



G R E G K R U P A
ZAGINIONY KLEJNOT
FERRARY

Intrygująca opowieść kryminalna
z historią sztuki w tle

LETRA

G R E G K R U P A

ZAGINIONY KLEJNOT
FERRARY

LETRA

Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

1. Profesor
2. Diana
3. Śmierć
4. Pogrzeb
5. Wątpliwości
6. Giacomo
7. Davide
8. Kradzież
9. Spotkanie
10. Inni
11. Śledztwo
12. Egzekucja
13. Olivia
14. Przebudzenie
15. Zebranie
16. Ocalony
17. Posiłki
18. Anioł
19. Przesłuchanie
20. Obraz
21. Gaudin
22. Ucieczka
23. Biblioteka

24. Pościg
25. Szczotka
26. Montresor
27. Druga szansa
28. Odosobnienie
29. Borgia
30. Kwiaty
31. Baszta
32. Kaplica Estensi
33. Pomyłka
34. Casa Romei
35. Na ratunek
36. Templariusze
37. Testament
38. Kamień
39. Krypta
40. Sophia

Text copyright © 2021 Grzegorz Krupa

Copyright for this edition © 2021 Wydawnictwo ARKADY Sp. z o.o., Warszawa

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana w jakiegokolwiek formie ani powielana graficznie, elektronicznie czy mechanicznie, w tym za pomocą kopiowania, nagrywania, ani przechowywana w informatycznej bazie danych bez pisemnej zgody wydawcy. Prosimy o przestrzeganie praw twórców do ich własności intelektualnej i nieudostępnianie treści książki w sieci.

Redakcja: Agata Żabowska
Korekta: Aleksander Kmak
Projekt okładki: 3oko Krzysztof Kielbasiński
Skład i łamanie: GJ-studio Grażyna Janecka

ISBN 978-83-213-5157-5

CIP Biblioteka Narodowa
Krupa, Greg
Zaginiony klejnot Ferrary / Greg Krupa . -
Warszawa : Letra, 2021

Wydanie I, 2021. Symbol 5285/R

Wydawnictwo ARKADY Sp. z o.o.
ul. Dobra 28, 00-344 Warszawa
tel. 22 444 86 50/51
info@arkady.eu, www.arkady.eu
www.facebook.com/Wydawnictwo.Arkady
www.facebook.com/Wydawnictwo.LeTra
księgarnia firmowa tel. 22 444 2519, e-mail: ksiegarnia@arkady.eu

Wyłączny dystrybutor: DOBRA 28 Sp. z o.o.
ul. Dobra 28, 00-344 Warszawa
tel. 22 444 86 94
e-mail: biuro@dobraz28.pl, www.dobraz28.pl
księgarnia wysyłkowa: www.arkady.info
tel. 22 444 86 97

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

*Zdradliwe są wyobrażenia rzeczy,
które uznaliśmy za prawdziwe.*

Seneka Młodszy

Mężczyzna wpatrywał się w krzyż. Uświadomił sobie ze zdziwieniem, że w tym widoku było coś drażniącego, co nie dawało mu spokoju. A przecież zarówno tu, w katolickich Włoszech, jak i w kraju, z którego pochodzili jego rodzice, krzyże i kościoły były naturalną częścią krajobrazu. Przekrzywił głowę i przenikliwy ból zlokalizowany gdzieś w okolicach szyi na moment pozbawił go oddechu. Lodowaty płomień strachu ogarnął jego serce, gdy jęcząc z bólu, obrócił się z pleców na brzuch i oparł się zdartymi do krwi łokciami o asfalt jezdni. Tuż przed oczami zobaczył elegancki męski półbut typu derby leżący na krawężniku. Wydało mu się, że zna ten but, bo sam nosił podobne obuwie do garnituru, lecz gdy dostrzegł, że z buta wyziera czerwień przemielonej łydki pozbawionej właściciela, jego umysł zaczął rozpaczliwie bronić się przed tą myślą. Pokonując torsje, uniósł wzrok i ponownie zobaczył krzyż, tym razem widziany już z właściwej perspektywy. Pod krzyżem widniał wykuty w metalowej ramie napis, na tyle nieoczekiwany, że przeczytał go mimo bólu i szoku: „PURGATORIO” – Czyściec.

Zachłysnął się i ostatkiem sił wydobył z siebie polskie przekleństwo.

Ciało przestało go słuchać i odpłynął w ciemność.

Profesor

Dwadzieścia dni wcześniej w Ferrarze, niewielkim mieście leżącym w północnej części Włoch, za zamkniętymi drzwiami na najwyższym piętrze budynku, w którym mieściła się redakcja lokalnej gazety „Il Giornale Pomeridiano”, siedział starszy mężczyzna. Od łysiny na jego czole oraz w szklach jego prostokątnych okularów odbijało się światło monitora, na który nie patrzył. Zajęty był bowiem pieczołowitym sprawdzaniem postów swojej kochanki na popularnej aplikacji w telefonie. Przewijając palcem kolejne banalne cytaty i wyretuszowane darmowym filtrem tandetne zdjęcia czterdziestoosmioletniej kobiety udającej nastolatkę, wzdrygał się na widok wyszminekowanych i wygiętych w kaczki dzióbek ust. Nie mógł uwierzyć, że regularnie od pięciu lat, podczas każdej sjesty wdrapywał się z zadyszką na drugie piętro w przylegającej do redakcji kamienicy, aby zaspakajać chuć tej próżnej i pozbawionej elementarnej wiedzy o świecie kobiety. Przypomniwał sobie jej kostyczne, wyschnięte i pachnące z daleka wszelkimi dostępnymi na rynku kosmetykami ciało i głośno westchnął. Zrobiło mu się niemal głupio, nie tylko z powodu kochanki, ale również dlatego, że oglądanie bzdur na smartfonie nie należało do jego obowiązków szefa redakcji. „Niemal”, ponieważ w zasadzie nie miał nic do roboty.

Ferrara była małym miastem, wprawdzie uniwersyteckim i posiadającym znaczący przemysł, ale jednak sennym, otoczonym polami i zamieszkanym przez ludzi, którzy cenili sobie przede wszystkim spokój i dobre jedzenie. Mimo starań władz, aby ożywić to zabytkowe, otoczone starymi murami miasto, jego spokojny charakter od czasów średniowiecza, gdy rządził nim potężny ród d'Este, prawie się nie zmienił. Owszem, miało to też wiele zalet. Ale nie dla dziennikarza, który od czasu studiów na renomowanym uniwersytecie w pobliskiej Bolonii, marzył o prowadzeniu dziennikarskich śledztw, tropieniu gospodarczych afer i skorumpowanych polityków. Tymczasem do Ferrary docierały jedynie dalekie echa skandali z Mediolanu i Rzymu, a skorumpowani politycy, cóż, byli jego kolegami ze szkolnej ławy lub sąsiadami, więc ostatnie, czego potrzebował, to opisywanie ich prymitywnych lewych interesów, opiewających zresztą na kwoty, które wywołałyby co najwyżej szydery uśmieszek rzymskich tuzów finansjery.

Życie redakcji toczyło się więc spokojnie, a jego młody zastępca od lat z powodzeniem wykonywał za niego całą żmudną robotę, tropiąc chuligana, który stłukł donicę przed sklepem lub opisując kolejny sukces drużyny piłkarskiej „Spal”, chluby miasta.

Mężczyzna przerwał raptownie swoje przemyślenia, a jego palec wodzący po

ekranie smartfonu nagle się zatrzymał. Wśród zdjęć kaczych dzióbek swojej kochanki, animowanych gifów z sikającym łosiem i przemądrzałych cytatów ze znanego pisarza zobaczył coś, co przykuło jego uwagę tak wyraźnie, że chcąc gwałtownym ruchem poprawić sobie okulary na nosie, niemal przewrócił kieliszek z niedopitym popołudniowym drinkiem. Post, który zobaczył, wyglądał na kolejny klasyczny *fake news*, wstawiony przez internetowe trolle. Ile już razy w historii internetu podobne fałszywe posty przedwcześnie uśmierciły słynnych celebrytów, polityków, a nawet samego papieża. Ten jednak dotyczył osoby, którą znał niemal każdy: z telewizji, radia, z internetu oraz z licznych wystąpień i wykładów na uniwersytetach w całym kraju. Chodziło na dodatek o kogoś, kogo znał osobiście.

Na zastawionym papierami i brudnymi naczyniami biurku rozdzwonił się redakcyjny telefon.

Redaktor podniósł słuchawkę do ucha i powiedział ochryłym od wieloletniego ulegania nałogowi palenia głosem:

– Montanari, słucham.

Młodzieńczy damski głos w słuchawce powiedział coś szybko.

– Tak, czytałem – odpowiedział. – Więc to prawda? Kiedy? Nie, nie oglądałem. Coś więcej mówili? W porządku, przyslij mi tu Dobravskiego. Jak to na rynku? – zirytował się. – Za cholerę nie obchodzi mnie jego machanie flagą! Ma tu przyjść, dzwoń, aż odbierze albo idź po niego i znajdź go w tym cholernym tłumie! – zakończył nerwowo i zamaszystym ruchem upuścił słuchawkę, tym razem skutecznie strącając z biurka kieliszek i wylewając całą jego zawartość na spodnie. Twarz stężała mu w grymasie złości, podczas gdy w jego uśpionym od dawna umyśle, zatlił się wątyły płomyk, zaledwie w niewielkim stopniu przypominający jego dawną dziennikarską pasję.

Za oknem gęstniał tłum. Był początek maja i w Ferrarze rozpoczynały się przygotowania do, sięgających tradycją trzynastego wieku, zawodów Palio. W oddali były rytmicznie bębny, powietrze przeszywał dźwięk trąbek. Wszystkie historyczne dzielnice miasta, zwane kontradami, wystawiały swoje drużyny, które w dniach poprzedzających zawody, poprzebierane w średniowieczne stroje, paradowały z muzyką i kolorowymi sztandarami po starówce.

Podstarzały redaktor naczelny Enrico Montanari, nieoczekiwanie dla niego samego, poczuł się znów jak dwudziestokilkuletni student słuchający finezyjnych wykładów Umberta Eco z semiotyki w bolońskiej Alma Mater.

„Może moje pióro naostrzone przez samego Mistrza, w końcu naprawdę się do czegoś przyda”, pomyślał.

Davide Dobravski, trzydziestodwuletni, wyższy od większości Włochów blondyn o błękitnych oczach, siedział w gabinecie swojego szefa, wpatrując się w niego roztargnionym wzrokiem. Ubrany był w żółto-fioletowe rajtuzy, podkreślające jego wysportowane łydki oraz w średniowieczną tunikę. Rytmicznie uderzał o udo trzymanym w dłoni beretem przetykanym srebrną nicią. Słuchając naczelnego,

spoglądał tęsknie przez otwarte okno. Na wysokości oczu w rytmie werbli przemaszerowywały właśnie żółto-niebieskie proporce.

„Chłopcy z San Giacomo”, pomyślał o swoich głównych rywalach w Palio.

– Davide, do ńędzy, jesteś tu czy nie?! – gniewnie gestykulując, Montanari przechylił się przez biurko w jego stronę. – Rozumiesz, że mamy szansę być na miejscu i opisać tę sprawę przed tymi sępmi z Rzymu i Mediolanu? To nie są coroczne dyrdymałki o twoich chłopakach w rajtuzach. To jest chyba to, na co czekałeś, tak? Twoja szansa! Nasza szansa – poprawił się.

Młody dziennikarz poprawił się na krześle i oprzytomniał jak ktoś, komu przerwano bardzo miły sen. Nastawił jednak uszu, ponieważ powoli zaczęło do niego dochodzić, że może ten stary piernik, którego traktował dotąd jako nudnego, acz dobrego pracodawcę, rzeczywiście wkładał mu w ręce klucz do czegoś, o czym zdążył już w tym nieruchawym prowincjonalnym mieście zapomnieć: do prawdziwej kariery, o jakiej marzył w odległych, jak mu się teraz wydawało, czasach. Syn emigrantów z Polski, wrósł w to miejsce i zaaklimatyzował się jak bluszcz na rozpadających się murach wokół miasta. Piął się szybko i wysoko i tak zastygł, porzuciwszy po wygodnych i monotonnych latach maksimum ojca: „kto nie idzie do przodu, jest stracony”.

– Masz dwadzieścia minut, żeby się przebrać w cokolwiek, co nie będzie wyglądało jak muzealny rekwizyt! – powiedział Montanari. – Jedziemy do Villa Belgusto.

Stanowczy głos naczelnego sprawił, że chłopak stanął na baczność. Energicznym krokiem skierował się do wyjścia.

Trzaśnięciu redakcyjnych drzwi towarzyszyło westchnienie naczelnego. Stary redaktor nie miał ani krzty pewności, czy będzie mógł liczyć na swojego roztrzepanego i ulegającego przelotnym emocjom podwładnego.

„Cholerny Piotruś Pan”, pomyślał i uśmiechnął się do odbicia własnej pomarszczonej twarzy, które zobaczył w monitorze. Pół wieku temu był dokładnie taki sam jak Davide.

Mężczyźni w białych kombinezonach z nadrukowanymi na plecach emblematami „RIS Carabinieri” wchodzili i wychodzili szerokimi drzwiami na pierwszym piętrze okazałej willi zbudowanej na wzór renesansowych Delicji – letnich pałaców książęcego rodu d'Este, rozsianych po całej ferraryjskiej prowincji. Wznosząca się pośród kwitnących o tej porze roku łąk willa była niezwykle piękną budowlą, ale to nie architektoniczne walory były źródłem sławy, jaka otaczała to miejsce. Dużo większe znaczenie miał fakt, że budynek mieścił w swoich wnętrzach jedną z największych prywatnych kolekcji obrazów i rzeźb w północnych Włoszech. Jej właściciel, profesor Alessandro Bonardi, były nauczyciel akademicki Davide'a Dobravskiego, słynny z licznych publikacji i występów w mediach krytyk sztuki leżał martwy w urządzonej z przepychem i udekorowanej kwiatami pałacowej sypialni.

Davide stał oparty o wykutą z żelaza balustradę schodów i starał się nie patrzeć przez otwarte drzwi sypialni na goły, siny tyłek swojego dawnego mentora, spoczywającego twarzą ku podłodze tuż przy olbrzymim łożu z baldachimem. Skupił swoją uwagę na obrazach zawieszonych na wysokich ścianach pomieszczenia, wśród których przeważały porywające pięknem detali portrety kobiet z początku dwudziestego wieku autorstwa Giovanniego Boldiniego, malarza, którego Bonardi darzył szczególnym uwielbieniem. Nie tylko zażenowanie spowodowane widokiem nagiego starczego ciała powstrzymywało młodego dziennikarza przed wejściem do komnaty. Nawet w miejscu, gdzie przystanął, w powietrzu unosił się drażniący nozdrza zapach kilkuset kwiatów zgromadzonych w koszach i wazonach stojących w różnych częściach sypialni denata. Funkcjonariusze z jednostki kryminalnej przed dokładnymi oględzinami i szczegółowym obfotografowaniem pomieszczenia nie zdecydowali się jeszcze na otwarcie okien.

Z głębi sali wynurzyła się przygarbiona postać Montanariego w towarzystwie zgrabnej choć drobnej kobiety. Jej kruczoczarne i spięte skromnie do tyłu włosy niemal zlewały się z czernią skrojonego na miarę munduru karabinierów. Gdyby nie okoliczności, oczy wszystkich obecnych wokół mężczyzn z pewnością nie byłyby w stanie oderwać się od niewiarygodnie kształtnych pośladków, które nic sobie nie robiły z powagi urzędu i bezczelnie wypychały jej mundurowe spodnie.

– Davide! – zaczął przedstawiać Montanari, wyciągając jednocześnie papierosa z pogniecionej paczki. – To jest porucznik Diana Leone. Pani porucznik, Davide Dobravski, mój asystent.

Diana przystanąła gwałtownie. Wyglądało to tak, jakby zawahała się na widok papierosa wyciągniętego w miejscu, w którym nie można palić. Jej ciskające iskry spojrzenie nie było jednak utkwione na rękach naczelnego, tylko na przygryzanych właśnie do krwi wargach Davide.

– My się znamy – syknęła krótko. – Nie wiem, czy będę mogła wam pomóc – dodała lodowatym głosem.

Zaskoczony naczelny obrócił się w stronę podwładnego, jednak ten nie wyglądał na skłonny do udzielania jakichkolwiek wyjaśnień. Ze spuszczoną głową mamrotał coś pod nosem, czerwieniąc się przy tym jak dzieciak przyłapany na kradzieży jabłek. Stary dziennikarz, mimo leniwej ospałości, która od lat niszczyła jego charakter, nie stracił jednak całkiem zawodowej werwy.

– Z całym szacunkiem, pani porucznik – Montanari użył swojego najbardziej perswazyjnego tonu – nie interesują mnie wasze prywatne sprawy. Tak się składa, że profesor Bonardi był bliskim przyjacielem Ministra Obrony Narodowej. A my trzej kompanami ze szkolnej ławki. I tak się również składa, że jeden z pani ludzi w tym gustownym białym ubranku właśnie zdradził mi, że jesteście tu tylko dlatego, że medyk sądowy nie uważa, żeby był to całkiem naturalny zgon, a prokurator już to przyklepał i przydzielił wam sprawę. Oczywiście, może pani czekać na telefon z ministerstwa, ale radziłbym już teraz odłożyć na bok wasze nie wiem jakie spory i ułożyć sobie współpracę, bo i tak będziecie na nią skazani. Słyszałaś, lowelasie? –

skończył tyradę, spoglądając złośliwie na Davide'a.

– I pamiętajcie oboje – dodał już bardziej pokojowym tonem – że niezależnie od osobistych animozji wszyscy mamy szansę coś na tym zyskać. Może to źle zabrzmie, ale biedny Alessandro zrobił nam wszystkim coś w rodzaju prezentu. Jeśli wszyscy wykonamy swoją robotę jak należy, ja będę mógł odejść spokojnie na emeryturę, Davide błysnie porządną historią i zajmie moje miejsce w redakcji, a pani porucznik doszyje sobie gwiazdkę na pagonach. Mnie to wystarczająco motywuje, a was? – spojrzał pytająco na stojącą przed nim parę.

Diana mimo ewidentnego zdenerwowania impertynencjami dziennikarza i niepożądaną obecnością Davide'a w milczeniu kiwnęła głową. Chłopak mimowolnie powtórzył jej gest, po raz pierwszy od początku tego spotkania patrząc jej głęboko w oczy.

Diana

Główna komenda karabinierów czuwająca nad porządkiem w całej prowincji Ferrary, znajdowała się poza murami starego miasta i przypominała raczej bazę wojskową niż komendę policji. W rzeczywistości odpowiedzialność karabinierów tylko częściowo pokrywała się ze standardowymi obowiązkami policjantów. Głównym zadaniem tej formacji, stworzonej w dziewiętnastym wieku jako gwardia królewska, była ochrona integralności państwa. Karabinierzy, w przeciwieństwie do Policji Państwowej, nie podlegali Ministrowi Spraw Wewnętrznych, lecz Ministrowi Obrony, co zrównywało ich rolę z regularnym wojskiem i nadawało szczególnych uprawnień, poczynając od wojskowej struktury, stopni, a kończąc na wyposażeniu, uzbrojeniu i poszerzonym prawie do interwencji, także poza granicami kraju. Główna komenda w Ferrarze posiadała więc część koszarową, biura, park maszynowy, a nawet małe lotnisko dla helikopterów. Jednak obywatel wchodząc na teren komendy, nie czuł się nieswojo, oczywiście o ile przychodził tam z własnej woli i bez kajdanek założonych na nadgarstki. Choć wnętrza gmachu pozbawione były jakichkolwiek ozdób, to ich surową militarną oprawę ocieplały niezwykle miłe i kompetentne urzędniczki pracujące w czymś w rodzaju recepcji. Każdy, kto przychodził ze swoim problemem był kierowany do odpowiedniego departamentu, dostawał numerek, po czym siadał w oczekiwaniu na personel, który zaprowadzał go do właściwego pokoju w tym dwukondygnacyjnym labiryncie korytarzy i pomieszczeń. Cała organizacja już od wejścia przypominała raczej biznesową korporację niż komisariat i była to pierwsza myśl, jaka pojawiła się w głowie Davide'a, kiedy zawitał tu po raz pierwszy dwa i pół roku wcześniej. Przyszedł tu z powodu porysowanej przez wandalę karoserii alfy romeo Spider: używanego kabrioletu, którego zakupu nie mógł wybaczyć mu ojciec, nazywając go „stratą pieniędzy i niepotrzebną fanaberią”. Właśnie wtedy Davide poznał dwudziestosiedmioletnią porucznik Dianę Leone. Gdyby jego ojciec kiedykolwiek dowiedział się, co dwa tygodnie po tamtej wizycie wyczyniał z oszałamiająco zgrabnym ciałem Diany na fotelu pasażera, nie tylko nigdy już nie nazwałby kupna alfy stratą pieniędzy, ale prawdopodobnie dołożyłby się do niego z prawdziwie słowiańską szczodrością.

Jednak tym razem dziennikarz przekraczał próg komisariatu z ciężkim sercem. Układał sobie w głowie słowa, jakimi mógłby powstrzymać nieuchronny gniew ognistej i urażonej do głębi kobiety, która nigdy mu nie wybaczyła zawodu, jaki jej sprawił. Jednocześnie musiał pamiętać o wypełnieniu misji, z jaką przysłał go w to miejsce szef.

Diana siedziała sama, stukając w klawiaturę komputera w małym pokoju przyozdobionym rachitycznymi roślinami doniczkowymi oraz licznymi dyplomami wiszącymi na ścianach. Poświadczały one fakt, że mimo krótkiej kariery miała już na swoim koncie sporo znaczących sukcesów. Davide zapukał symbolicznie w otwarte drzwi i wszedł, siadając bez słowa na krzesło naprzeciw kobiety. Ta nawet nie podniosła wzroku i tylko mięśnie drgające na jej opalonych policzkach zdradzały powstrzymywane emocje. Wiedziała, po co przyszedł, bo musiał to powiedzieć funkcjonariuszce w recepcji, aby w ogóle zostać wpuszczonym, ale dziennikarz czuł, że powinien zacząć mówić pierwszy.

– Di, posłuchaj ja... – zaczął przepraszająco. Bursztynowe oczy oderwały się od monitora.

– Jak ty sobie wyobrażasz, że mam z tobą współpracować, co?! – jej lekko zachrypnięty głos zabrzmiał twardo i bezlitośnie.

Wstała gwałtownie, zrobiła krok w stronę drzwi i zamknęła je z impetem.

– *Bastardo!* – złość, którą tłumiała w sobie od dawna, znalazła wreszcie ujście.

Jako pierwszy w stronę Davide'a poleciał długopis, który trzymała w dłoni. Rzuciła celnie, ale po latach zonglowania flagami, Davide miał niezły refleks i długopis wbił się w gipsową ściankę tuż za nim. Zafascynowany tym widokiem nie zdążył uchylić się przed ciężką książką telefoniczną, która uderzyła go twardym grzbietem w skroń. Spadł z krzesła na kolana i błyskawicznie się podniósł, ale oszołomiony zdążył jeszcze przyjąć na czoło skoroszyt, który przyleciał do niego rozsiewając po drodze kartki. Kawalki papieru opadały powoli na brudną wykładzinę jak wielkie płyty śniegu, a on biernie przyjmował ciosy i kopniaki, jakie zadawała mu Diana. Furia tej pięknej kobiety nie była udawana, ale Davide po stosunkowo niewielkiej sile zadawanych mu razów poznawał, że kara, jaką właśnie odbierał, była dość symboliczna. Drobną posturą dziewczyny zmyliła już niejednego przeciwnika nieświadomego faktu, że jej życie polegało na pracy fizycznej i nieustannych treningach boksu, wspinaczki oraz biegania. Mimo litości, jaką mu okazywała, jej ciosy były mocno odczuwalne. Nie próbował się jednak przed nimi bronić, czując jak przez jego ciało przechodzi fala oczyszczającego bólu. Jego mózg zaczął odczuwać powoli coś na kształt fascynacji tą sytuacją, a może nawet wdzięczności, ale zanim zdążył uświadomić sobie, czym konkretnie jest to uczucie, drzwi gwałtownie się otwarły i stanął w nich niewysoki śniady mężczyzna. W mgnieniu oka Davide zrozumiał, że ma przed sobą tajniaka z pionu śledczego. Niechlujny zarost nie byłby może wystarczającym powodem do takiej oceny, ale cywilne ubrania, zaczesana na żel fryzura typu Johnny Bravo i prawa dłoń spoczywająca na glocku 17 zatkniętym za pasek od spodni w miejsce służbowej beretty 92FS zwisającej z pasa każdego regulaminowo ubranego karabiniera, niezbitnie wskazywały na charakter pracy stojącego w drzwiach indywiduum, no chyba że do komendy wdarli się właśnie cyngle sycylijskiej mafii.

– Wszystko w porządku Di? – zapytał, nie spuszczając z oczu Davide'a i nie

ściągnając rękę z glocka.

– To tylko prywatne sprawy, Giacomo, wszystko w porządku – odpowiedziała Diana lekko drżącym głosem. – Przepraszam za hałasy, upadły mi dokumenty – dodała już przytomniej.

– Chyba cała szafa ci spadła w pizdu – skwitował Giacomo, ściągnając rękę z broni i rozluźniając się całkowicie. Jego ruchy zrobiły się miękkie, a gest wytrząsania papierosa z paczki pasował do niego znacznie bardziej niż postawa zimnego zabójcy, jaką zaprezentował minutę wcześniej. Gdy wsadził papierosa do ust i zapalił go, nonszalancko ignorując kartkę z napisem „palenie zabronione” wiszącą tuż nad jego głową, wydał się Davide’owi jednym z tych równych prostych i otwartych chłopaków, jakich można spotkać na mieście w każdym włoskim barze.

– *Ragazzi*, wrzućcie na luz, okej? Bo zaraz się tu zaczną schodzić ludzie, a jak wpadnie tu stary, to... – zawiesił głos Giacomo.

Wychodząc, spojrział Davide’owi w oczy, dając mu odczuć, że fajny chłopak, może w każdej chwili zamienić się w pozbawionego skrupułów cyngla, gotowego przestrzelić go jednym z siedemnastu pocisków kalibru 9 mm upchniętych do oporu w magazynku glocka i zniknąć w korytarzu. Diana zamknęła za nim drzwi i stanęła przed Davidem.

Spojrzała bez cienia litości na jego rozwaloną wargę i smużkę krwi ściekającą mu z nosa i powiedziała całkowicie już opanowanym głosem:

– Niech będzie jasne, że nigdy ci nie wybaczę. Zabiorę cię ze sobą na śledztwo i przekażę ci wszystkie informacje i nie będzie to żadna przysługa. Zamierzam tylko wypełnić rozkazy mojego szefa i gównu mnie obchodzi twoja praca oraz to, że twój szef ma jakichś zasranych znajomych w ministerstwie. Zrobię to, co mi każą, ale absolutnie niczego więcej.

Usiadła, poprawiła włosy i otworzyła teczkę leżącą na biurku.

– Jutro jadę do starego miasta przesłuchać asystentkę denata, niejaką Olivię Cattanei, bo nie zgłasza się na nasze wezwania. Zapisz sobie. Masz być punkt dziewiąta rano pod Savonarolą. I wiedz, że nie będę na ciebie czekała nawet jednej minuty, jeśli zamierzasz się spóźnić, jak to masz w zwyczaju.

Śmierć

Na tle ciemnej mozaiki ułożonej pieczołowicie przez średniowiecznych rzemieślników, nagie stopy kobiety wydawały się tak białe, jakby należały do marmurowego posągu. Stopy przesuwaly się powoli, stawiając niepewne kroki, a powykęcane artretyzmem palce przykurczały się boleśnie przy każdym dotknięciu zimnej posadzki. Zaczynające się ponad kostką żyłaki skrywały się pod szarą i pomiętą długą nocną koszulą. Kobieta przemierzyła cały buduar, dochodząc w końcu do misternie rzeźbionej toaletki pełnej puzderek i flakoników stojących pod owalnym kryształowym lustrem w mosiężnej ramie. Stała przed nim wyprostowana jak struna. W jej rozpuszczonych siwych włosach sięgających aż do talii odbijały się promienie porannego majowego słońca, nadając im ciepłego złotego blasku. W oślepiającym świetle wdzierającym się z otwartego okna sylwetka kobiety wydawała się efemerycznie piękna, ukazując mglisty obraz zmysłowej urody, którą musiała być obdarzona w dalekiej przeszłości. Nagle słońce skryło się za jedną z nielicznych chmur i przygnębiający kolor szarości zdominował wnętrze pokoju. Wyprostowane ramiona kobiety zgarbiły się i wstrząsnął nimi spazmatyczny szloch. Niewiarygodnie pomarszczona dłoń pokryta licznymi starczymi plamami oparła się o ramę lustra. Na serdecznym palcu załśnił przez chwilę wielki czerwony klejnot osadzony na złotym pierścieniu.

Dłoń zacisnęła się, szloch się urwał i kobieta runęła na ziemię ściągając na siebie górną część toaletki wraz z lustrem. Hałas tłukącego się lustra i flakoników wypełnił pomieszczenie. Drobinke szkła rozprysły się po podłodze i utkwily we włosach leżącej na podłodze staruszki. Słońce wyjrzało zza chmur i pokój rozświetlił się setkami refleksów, wśród których wybijał się krwisty kolor rubinu na znieruchomiałej dłoni.

Pogrzeb

Pordzewiały rower, którym jechał Davide, skrzypiał niemiłosiernie, ale nie przeszkadzało to ani jemu, ani innym rowerzystom przejeżdżającym po głównym placu na podobnie zdezelowanych dwukołowcach. „Ferrara – Miasto Rowerów” ogłaszały tablice na drogach wjazdowych, co było jednocześnie reklamą dla turystów i idealnym wabikiem na wszelkiej narodowości złodziei, którzy odwiedzali regularnie miasto, wywożąc z niego w siną dal furgony wypełnione po brzegi skradzionymi jednośladami. Z tego powodu zapobiegliwi ferraryjczycy wyruszali w miasto na jak najbardziej zardzewiałych i poobijanych bicyklach, licząc na to, że będą mogli je gdzieś bezpiecznie zostawić i wrócić nimi później do domu.

Davide nie korzystał z nadużywanej powszechnie przez tutejszych mieszkańców umiejętności prowadzenia roweru bez trzymania rąk na kierownicy – akrobatycznego talentu umożliwiającego podróżującą w ten sposób osobie przeczytanie gazety czy swobodne wertowanie postów w komórce. Był urodzonym obserwatorem i z niegasnącym od wczesnego dzieciństwa zainteresowaniem chłonał otaczający go świat. Nie tylko realny, ale i ten miniony, zakłęty w średniowiecznych uliczkach i budynkach.

Atmosfera rynku w Ferrarze, rozciągającego się w cieniu trzech monumentalnych budowli – katedry, ratusza i zamku – przyprawiała go o szybsze bicie serca tak samo jak wtedy, gdy jako małego chłopca przyprowadzali go tutaj rodzice. Wyrywał się im z rąk i biegł w kierunku marmurowych gryfów stojących przed katedrą. Wdrapywał się na nie, żeby z ich grzbietu wyobrazić sobie, że jest księciem na białym koniu witającym piękną Lukrecję Borgię wjeżdżającą do miasta z orszakami dworzaków. Wyrastając wśród wszechobecnych symboli średniowiecza – budowli, pomników, herbów i flag – nasiąknął nimi tak bardzo, że w końcu zdecydował się podjąć studia na wydziale historii antycznej, a później historii sztuki, aby w końcu obronić dyplom i uzyskać pod nim podpis profesora Alessandra Bonardiego, którego nagie zwłoki miał nieprzyjemność oglądać dwa dni temu.

Młody dziennikarz przejeżdżał właśnie obok górującej nad południową częścią rynku renesansowej wieży dzwonnicy. Zaprojektowana przez Leona Battistę Albertiego z dwukolorowego biało-czerwonego kamienia, nie doczekała się nigdy kopuły, która miała ją zwieńczać. W przeciwieństwie do wyróżniającej się spośród otaczających ją budynków dzwonnicy stojąca tuż obok olbrzymia, wzniesiona z cegieł dwunastowieczna katedra wydawała się zrosnięta z rynkiem. Przyklejone do południowej ściany świątyni, ciągnęły się mikroskopijne sukiennice, zacierając granice między *sacrum* i *profanum*. Eklektyczne podwójne kolumnienki zdobiące loggie

nad dachami sukiennic i misternie zdobiona marmurowa fasada świadczyły o wielkim kunszcie średniowiecznych budowniczych. Widoczne na murach blizny po przebudowach i naprawach, stanowiły dowód na to, że stara katedra od wieków dzieliła z mieszkańcami miasta trudy istnienia.

Minęła dziewiąta i sklepikarze szykowali się do otwarcia swoich lokali. Z kawiarni wysypywali się wzmocnieni poranną kawą pracownicy okolicznych biur i urzędów. Część z nich wsiadała na rowery i jechała do swoich miejsc pracy. Inni stali jeszcze na placu i rozmawiali. Co jakiś czas słychać było pozdrawiających się głośno znajomych. Davide minął wznoszącą się nad rogu rynku wieżę zegarową, w której mieścił się sklep z czekoladami *Rizzati* i skręcił w stronę wyłaniającej się zza katedry masywnej bryły otoczonego fosą ferraryjskiego zamku. Ominął białe taksówki zaparkowane pod zamkiem i nieśpiesznie podjechał do posępnego marmurowego posągu przedstawiającego płonącego na stosie mnicha Savonarolę.

– Ostatni raz na ciebie czekam! – wyrwał go z zamyślenia ostry, choć tym razem jakby mniej agresywny głos Diany.

– Dobrze się spało, wasza wysokość? – kontynuowała złośliwości, kiedy chwilę później zapinał porzewiałe koło swojego roweru równie sfatygowanym łańcuchem do słupka znaku zakazu postoju.

– Wybacz Di, musiałem być u ojca w szpitalu dziś rano – powiedział, patrząc na nią ze skruszoną miną.

Diana spuściła wzrok, nie pozwalając mu dojrzeć przelotnego błysku wzruszenia w jej oczach.

– Mogłeś zadzwonić – burknęła naburmuszona. – Wsiadaj! – kiwnęła w kierunku stojącego obok fiata punto w czarno-czerwonych kolorach karabinierów.

Davide podszedł do drzwi pasażera i otworzył je zamasyżycie.

– Z tyłu! – syknęła siedząca już w środku Diana. – Nie jesteś moim kolegą, nie masz prawa tu siedzieć – dodała dobitnie.

Obszedł potulnie auto i wgramolił się na tylną kanapę, uważając przy tym, aby nie usiąść na czymś, co mogli pozostawić tu odwożeni na komisariat nie zawsze czysti i nie zawsze trzeźwi podejrzeni. Miała już odpalić silnik, gdy wyjął zza poły swojej skórzanej kurtki mały biały baton *torrone*: zrobiony z cukru i migdałów przysmak, który zwykł był kupować Dianie w czasach, gdy życie wydawało im się jeszcze proste i wypełnione samymi przyjemnościami.

– To dla ciebie – powiedział cicho, wsuwając batonik przez kraty oddzielające tylną kanapę od przedniej części kabiny. – I przepraszam – dokończył, gdy się obróciła.

Diana spojrzała na niego i nabrała tchu, by obdarzyć go kolejną dawką zjadliwości, ale zatrzymała się nagle w pół słowa. Ich spojrzenia w końcu się skrzyżowały. Wypuściła powietrze, które uszło z niej jak z przekłutego balonika.

– Ty się nigdy nie zmienisz – powiedziała głosem, w którym po raz pierwszy od bardzo długiego czasu usłyszał cieplejsze nuty. – Chodź tu, siadaj obok – skinęła wskazując brodą siedzenie pasażera – jesteśmy już spóźnieni.

Po krótkiej jeździe wąskimi uliczkami Ferrary Diana zaparkowała samochód obok zielonego skwerku znajdującego się przed wejściem do kościoła San Francesco we wschodniej części miasta. Davide dobrze znał to miejsce, gdyż sąsiadowało ze znajdującymi się nieopodal budynkami uniwersyteckimi. Kościół był jego ulubionym schronieniem, w którym ukrywał się od czasu do czasu przed zgiełkiem świata, aby kontemplować historię zaklętą w herbach zdobiących ławy i sklepienia. Tym razem jednak nastrój otoczenia nie sprzyjał medytacji. Na trawniku ocienionym przez ceglana, zwieńczoną łagodnymi krzywiznami w formie jońskich wolut fasadą świątyni, kilkunastoletni chłopcy z zacięciem grali w piłkę czyniąc przy tym przeraźliwy harmider. Piłka co jakiś czas odbijała się od drewnianych wrót lub od podpierających gzyms marmurowych pilastrów, czemu towarzyszyły okrzyki malców oznaczające strzelonego gola albo słupek. Na rogu stojącej po drugiej stronie ulicy kamienicy, stłoczeni przy wystawionych na chodnik kawiarnianych stolikach starsi panowie grali w karty i spierali się głośno o politykę.

Davide i Diana wysiedli z auta i minęli ich, ale nie uszli nawet dziesięciu kroków, gdy dziewczyna szarpnęła go mocno za rękaw, zatrzymując go przed wysokimi drzwiami zwieńczonymi okazałym łukiem.

– To tutaj – oznajmiła.

– Nie wierzę... – powiedział Davide. – Wiesz, co to za dom? Tutaj się urodził Boldini, ten malarz! – kontynuował podniecony, nie zrażając się obojętną miną dziewczyny. – Tam jest nawet tabliczka pamiątkowa. Zawsze chciałem wejść do środka!

– No to teraz wejdiesz, tylko błagam, nie zachowuj się jak dzieciak w sklepie z żelkami, w porządku? – sprowadziła go na ziemię Diana. – Skup się na sprawie albo załatwię to sama – dokończyła chłodno, popychając ciężkie wrota i wpychając się przed nim do chłodnej sieni.

„Żeby ja chociaż wiedział, co to za sprawa”, pomyślał filozoficznie Davide, idąc w jej ślady.

Drewniane i skrzypiące niemiłosiernie przy każdym kroku schody zaprowadziły ich na pierwsze piętro. Kamienica wewnątrz była jedynie cieniem swojej dawnej świetności. Pięknie rzeźbione belki stropowe kontrastowały z odpadającym tynkiem i wszechobecnym zaduchem wilgoci i grzyba. Dochodząc do masywnych drzwi na pierwszym piętrze przepłoszyli czarno-białego kota, który obserwował ich teraz nieufnie z wyższej kondygnacji schodów. Kiedy dziewczyna sięgała do dzwonka, Davide przeczytał napis wykaligrafowany starannie obok przycisku: „Cattanei Eleonora”. Pod spodem, na białej taśmie izolacyjnej, ktoś dopisał flamastrem „Cattanei O.”

„Rzadkie nazwisko” pomyślał Davide, uświadamiając sobie jednocześnie, że w takim razie jego zwłoszczone nazwisko należałoby uznać za całkowicie nieznanne. Nim dotarła do niego ironia tego spostrzeżenia, drzwi uchyliły się i stanęła w nich

ubrana na czarno starsza kobieta o wschodnich rysach.

– Pani nie ma, nie ma pani tutaj! – oznajmiła z silnym rosyjskim akcentem, zanim zdążyli zapytać ją o cokolwiek.

– Szukamy pani Olivii, czy wie pani może, gdzie możemy ją znaleźć? – powiedziała Diana niezrażona niegościnnym przywitaniem kobiety.

– Pani nie ma, przykro mi, pani nie ma – kontynuowała ta ostatnia wycofując się jednocześnie za drzwi, które powoli zaczęły się zamykać.

Davide widząc, że szansa na uzyskanie jakiegokolwiek informacji ucieka im dosłownie sprzed nosa, postanowił zrobić to, co w podobnych sytuacjach zazwyczaj wychodziło mu najlepiej, czyli zdać się na intuicję.

– Niech pani poczeka chwileczkę! – wypalił po polsku.

Intuicja musiała być trafna, gdyż drzwi uchyliły się ponownie.

– Proszę pani, my tylko chcieliśmy się dowiedzieć, gdzie jest Olivia. Jesteśmy jej starymi znajomymi – skłamał – i chcieliśmy ją po prostu pozdrowić. Powie nam pani, gdzie ona teraz jest?

Kobieta patrzyła na niego przez chwilę osłupiała, aby przerwać w końcu milczenie.

– Panienska jest na pogrzebie przecież! No już dwa dni jak jej matka umarła, więc ona w kościele jest teraz, tam w tym kościele starym, z tą krzywą wieżą, na San Giorgio – dokończyła kobieta łamaną polszczyzną przeciągając samogłoski z charakterystycznym rosyjskim zaśpiewem.

Davide i Diana, którzy usłyszeli dobrze znaną im nazwę, spojrzeli po sobie. Najwyraźniej nie skończyli jeszcze dziś jeździć po mieście.

Słońce zalewało oślepiającym blaskiem rozległy plac przed znajdującą się poza murami miasta bazyliką San Giorgio. Davide wysiadł z samochodu, automatycznym ruchem ręki zsunął okulary słoneczne z czoła na nos i spojrział w stronę kościoła.

Najstarsza katedra Ferrary, a obecnie spełniająca rolę zwykłej parafii świątynia, była o tej porze dnia jedynym źródłem cienia na całym placu. Stojąca przy niej ładna renesansowa dzwonnica sprawiała wrażenie, jakby nie do końca trzymała pion.

Przed prostokątnym, przebudowanym w barokowym stylu portalem czekała niewielka grupa ludzi. Podchodząc wraz z Dianą w ich kierunku, dziennikarz zaczął przyglądać się zgromadzonym, którzy przyszedli tu niewątpliwie po to, aby uczestniczyć w pogrzebie. Przyzwyczajony do historycznych rekonstrukcji i widoku ludzi ubranych w stroje z dawnej epoki, w pierwszej chwili nie zwrócił uwagi na to, że kilku stojących pod kościołem mężczyzn nosiło długie czarne peleryny. Dopiero, gdy silniejszy powiew wiatru nadciągającego od strony placu odchylił połę tego niecodziennego stroju u jednego z mężczyzn, ukazując na chwilę emblemat wyszyty po wewnętrznej, białej stronie płaszcza, Davide przystanął zaciekawiony. Jeśli mu się nie wydawało, to właśnie dostrzegł herb któregoś z dawnych zakonów rycerskich. Widział go zbyt krótko, żeby być czegokolwiek pewien, ale przysięgłby, że dostrzegł

czerwony krzyż z ramionami rozszerzającymi się na końcach. Co więcej, ten symbol wydawał mu się bardzo znajomy, choć w sumie nie było w tym nic dziwnego. Podczas studiów zetknął się z historiami wielu średniowiecznych zakonów, a motyw czerwonego jerozolimskiego krzyża był wpisany w większość ich herbów.

Wśród czekających przed świątynią mężczyzn odzianych w peleryny jeden wyróżniał się szczególnie. Musiał mieć około dwóch metrów wzrostu, bo jego głowa z ostrzyżonymi na krótko, niemal całkowicie siwymi włosami górowała wyraźnie nad innymi. Większość jego identycznie ubranych towarzyszy była zwrócona ku niemu, jakby czekając na jego słowa albo polecenia.

Nie chcąc nikomu przeszkadzać, Davide i Diana przeszli obok czekających pod kościołem osób i weszli do bazyliki. Ogarnął ich chłód wnętrza wypełnionego dymem z kadzidła. Ksiądz stojący nad ozdobioną złotymi kłaniami, zamkniętą dębową trumną, właśnie wypowiadał ostatnie formuły obrzędu pogrzebowego. Davide zauważył, że słowa modlitwy były wypowiadane w języku łacińskim, a nie włoskim, co było kolejnym nietypowym elementem tej uroczystości. Usiedli w ławce niedaleko ołtarza. Kościół świecił pustkami. Naprzeciw trumny stała obrócona do nich tyłem kobieta. Widzieli jedynie jej odziane w czarną suknię plecy, po których spływały fale długich jasnych włosów. Pustka przestronnej bazyliki i samotna kobieta przy trumnie wywoływały przygnębiający nastrój.

Kolejne zdarzenia potoczyły się bardzo szybko. Gdy tylko ksiądz wypowiedział ostatnie „amen”, usłyszeli za sobą miarowe uderzenia butów o posadzkę. Minął ich, idący od wejścia szpaler odzianych w czarne peleryny osób, które dopiero co widzieli przed kościołem. Na czele grupki szedł wysoki siwy mężczyzna, który podszedł do kobiety stojącej przed trumną i z ście żołnierską stanowczością wziął ją pod ramię. Odwrócili się razem i zaczęli zmierzać w stronę wyjścia, podczas gdy czterech mężczyzn w pelerynach wzięło trumnę na ramiona i dość szybkim krokiem podążyło ich śladem. Gdy kobieta mijała Davide’a, zobaczył ją wreszcie z bliska i wtedy stały się dwie rzeczy, których się zupełnie nie spodziewał.

Po pierwsze nigdy w życiu nie widział tak pięknej twarzy. Uświadomił to sobie w ułamku sekundy, kiedy błękitno-stalowszare olbrzymie oczy młodej dziewczyny spotkały się z jego własnymi. Ciało zaczęło mu wysyłać sygnały, nad którymi nie miał kontroli. Plecy oblał mu zimny pot, a serce zaczęło nagle pompować litry krwi do mózgu, który w tej krótkiej chwili był całkowicie zaprzątnięty podziwianiem idealnych proporcji zawartych w smukłej i delikatnej, zwróconej w jego kierunku twarzy. Dziennikarz mimowolnie zaczął odpywać w rodzaj transu, jaki zdarzał mu się podczas studiów, kiedy stał przed obrazami największych mistrzów pędzla, takich jak Michał Anioł, Botticelli czy Rafael.

Ta krótkotrwała impresja urwała się nagle jak ucięta nożem, gdy zaskoczony zobaczył, że kształtne i podkreślone rubinową szminką usta dziewczyny wyraźnie ułożyły się w niewypowiedziane na głos słowo *aiuto* – „na pomoc”.

Wtedy zdarzyła się kolejna dziwna rzecz będąca dopełnieniem tej przypominającej surrealistyczny sen sceny.

W ślad za szybko przemieszczającym się w stronę wyjścia orszakem, ruszył w pośpiechu ksiądz. Davide'owi skojarzyło się to z pościgiem, co byłoby naprawdę absurdalne, bo dlaczego ksiądz miałby biec za żałobnikami? To raczej oni powinni byli poczekać na kapłana. Co dziwniejsze, mimo pośpiechu ksiądz przystanął na chwilę na widok ubranej w mundur Diany, jakby również chciał jej coś powiedzieć. Po chwili milczącego wahania pobiegł jednak dalej.

Davide zamarł całkowicie zaskoczony sytuacją. Nie potrafił określić, czy wszystko to, co właśnie zobaczył, wydarzyło się naprawdę, czy było wytworem jego wyobraźni. Stał tak nieruchomo, podczas gdy dziwaczny kondukt pogrzebowy wraz z dziewczyną na czele i księdzem na końcu opuszczał w pośpiechu świątynię. Otrzeźwił go dopiero mocny szturchaniec otrzymany od Diany niecierpliwącej się jego becznością.

– Co z tobą jest? Mam cię stąd wyciągnąć na siłę? – syknęła ze złością.

Nie mogło ujść jej uwadze wrażenie, jakie wywołała na nim odziana w czern dziewczyna, ale jej koncentracja związana z prawdziwym celem tej wycieczki najwyraźniej przeważała nad emocjami.

– Albo ich dogonimy i pogadam w końcu z tą laską, albo możliwe, że jej długo nie zobaczę. W zasadzie to powinnam ją od razu zatrzymać za niestawianie się na przesłuchanie – dodała, gdy wychodzili pośpiesznie z kościoła.

Szok dla oczu, wywołany niesłychanie jasnym słońcem, jakie czekało na nich po wyjściu, był tak wielki, że Davide na kilka sekund stracił wzrok. Nie pomogły nawet okulary słoneczne, a gdy wreszcie zaczął rozróżniać szczegóły otoczenia, dostrzegł długą czarną limuzynę z przyciemnionymi szybami odjeżdżającą z piskiem opon spod drzwi kościoła i drugą, do której kilku pracowników firmy pogrzebowej ładowało trumnę. Ani śladu księdza, dziewczyny, czarnych peleryn, ani jakichkolwiek innych osób.

– Ej, co jest?! – krzyknęła Diana. – Szybko! – dodała, biegnąc w stronę auta.

Davide dogonił ją, gdy dotykała już klamki i zamierzała wsiadać. Nagle zatrzymała się w miejscu.

– Ożeż...! – urwała przekleństwo w pół słowa.

Davide podążył oczami za jej wzrokiem. Obydwie opony po stronie kierowcy były przecięte i całkowicie pozbawione powietrza.

Wątpliwości

Odgłos kroków mężczyzny idącego podcieniami przy Piazza Ariostea ginął w porannym zgielku przejeżdżających ulicą aut oraz w hałasie, jaki robili kelnerzy wystawiający stoliki na zewnątrz znajdującego się tuż przy placu baru. Enrico Montanari szedł niespiesznie ubrany w niemodny i zbyt szeroki na niego garnitur, pozostawiając za sobą chmurę dymu z cygara, które tliło się w jego ustach.

Siódma rano. To była jego ulubiona pora dnia, szczególnie podczas tej najlepszej, jego zdaniem, pory roku – późnej wiosny, czyli czasu, w którym miasto opuszczała uciążliwa wilgotność, powietrze stawało się rześkie, a temperatura nie wydawała się ani zbyt wysoka, ani zbyt niska. Obrócił głowę w stronę rozpościerającego się po drugiej stronie ulicy wielkiego owalnego, otoczonego trawiastymi trybunami placu przypominającego kształtem stadion lub hipodrom. Rzeczywiście każdego roku wiosną w tym właśnie miejscu odbywały się wyścigi osłów i koni, stanowiące część dawnej tradycji Palio, której z takim zapalem oddawał się jego protegowany i asystent Davide Dobravski. W samym centrum owalu bieląca w słońcu marmurowa kolumna z posągami renesansowego poety Ludovico Ariosto, od którego nazwiska plac wziął swoją nazwę. Włosi zawdzięczali mu swój najśłynniejszy epos rycerski pod tytułem *Orlando Szalony*. Patrząc w stronę pomnika, stary redaktor nie widział jednak ani kolumny, ani dzieci z plecakami przecinających plac na rowerach w drodze do pobliskiej szkoły. Przed jego oczami pojawiał się sznur wspomnień. Na tym placu, jak może na żadnym innym w tym mieście, dosłownie wychowało się kilka pokoleń ferraryjczyków, grając tu w piłkę, biegając za dziewczynami, paląc swojego pierwszego papierosa czy kupując lody i smakołyki od przyjezdnych kramarzy.

W zadumie Montanari niemal minął się z celem swojej pieszej wycieczki. Cofnął się o krok, energicznym ruchem zdusił cygaro w doniczce stojącej przed wejściem do zanedbanej bramy, której strzegły wielkie drewniane drzwi zdobione metalowymi okuciami i nacisnął na domofon.

Gabinet patologa mieścił się na parterze po przeciwległej stronie okazałego podwórka otoczonego krążgankami ze starą i prawdopodobnie nieczynną studnią pośrodku. Redaktor niezliczone już razy w swoim długim życiu spędzonym w tym mieście przeżywał wciąż to samo zaskoczenie i zachwyt, który pojawiał się po przekroczeniu bramy na pozór zwykłego budynku, za którą czas wydawał się stać w miejscu od setek lat, a oczy olśniewały loggie, średniowieczne statuy, studnie i ogrody. Te skarby pozostawały na co dzień niedostępne dla turystów i przechodniów, a wiedzieli o nich tylko mieszkańcy i miejski konserwator zabytków.

Montanari przeszedł przez dziedziniec i wszedł wprost z przedsionka do otwartego gabinetu, w którym ubrany w zielonkawy fartuch siwowłosa mężczyzna o neandertalskiej urodzie pochylał się nad komputerem, nieporadnie stukając w klawiaturę.

– Można? – zapytał retorycznie redaktor, stając w progu.

Mężczyzna w fartuchu podniósł wzrok znad ekranu i uśmiechnął się półgębkiem.

– Monta! – przywitał go przezwiskiem z dawnych czasów. – No popatrz, skąd ja wiedziałem, że przyjdiesz staruchu, co? Takie nazwisko jak nasz biedny Bonardi to musi być żyła złota dla was pismaków. Z góry ci mówię, że nie jesteś tu dziś pierwszy i że ja was wszystkich spuszczaam po rurze. Dobrze wiesz, że nie mogę udzielać informacji. Śledztwo w toku, pytajcie u glin! – spojrzał na poły złośliwie, na poły z sympatią na dziennikarza, który niezrażony tym niemiłym powitaniem, podszedł z uśmiechem do biurka i rzucił na nie podłużny kartonik.

– Beppe – zaczął redaktor – może nie udzielasz i może nie jestem tu pierwszy, ale na pewno jestem jedyny, który przynosi ci taką piękną wejściówkę na jutrzejszy mecz Spal – Napoli. Może być czy mam ją dać glinom? – dokończył, śmiejąc się już otwarciem. Wiedział, że uderza w czuły punkt swojego długoletniego przyjaciela, który za ten mały świstek papieru oddałby nie tylko każdą pilnie strzeżoną informację, ale i własną matkę.

Z gorejącymi z zachwytu oczami patolog wcisnął bilet do kieszeni fartucha i usiadł na krześle, wskazując dziennikarzowi fotel przy ścianie.

– Ale ja ci na serio za wiele nie pomogę – zaczął tłumaczyć przeprasającym tonem.

– Sekcja zwłok była wczoraj, ale my dalej niewiele wiemy – lekarz upił łyk wody z plastikowego kubka i przejechał językiem po spierzchniętych ustach.

– Coś jednak musicie wiedzieć – Montanari spojrzał na niego przenikliwie.

– Owszem, coś tam wiemy – odpowiedział mu patolog. – Człowiek się udusił. Ale sposób, w jaki to się stało, pozostawia wiele wątpliwości. Nie było to uduszenie gwałtowne, a to by cię chyba najbardziej interesowało – rzucił ironiczne spojrzenie na dziennikarza. – Brak bruzdy wisielczej, brak wybroczyn, nie ma przekrwienia narządów, obrzęku płuc, śladów trucizny – wyrecytował. – Także jeśli szukasz sensacji, to raczej się rozczarujesz. Jedyne, co mogę powiedzieć to, że ciężko to jednak skojarzyć z naturalną śmiercią, bo Bonardi był raczej zdrowy, a w każdym razie nie miał jeszcze za bardzo powodów do umierania. No, ale młody też nie był, w sumie siedemdziesiąt pięć lat... Cóż, zdarza się, że ludzie po prostu zasypiają i się nie budzą – skończył wzruszając ramionami.

– To co, śledztwo zostanie zamknięte? – zapytał prowokacyjnie dziennikarz.

– Nie ode mnie to zależy, ale... – zawahał się mężczyzna w fartuchu – nie, nie sądzę.

Montanari uniósł brwi w pytającym geście.

– No powiedziałem ci na początku – odpowiadając, patolog wstał od biurka. – Facet się udusił. I to jakoś dziwnie. Prawie bez śladów konwulsji. Nie wnikając w nudne

szczegóły, podam ci taki przykład: to tak, jakby kogoś śpiącego delikatnie podduszać przez kilka godzin poduszką albo zaciskając mu lekko krtań. Ten ktoś się nie obudzi, nie będzie walczył, ale powoli zacznie tracić przytomność, krew przestanie krążyć, a potem po prostu po cichu umrze. Jego ciało wpadnie w drgawki dopiero w ostatnich sekundach życia, jak już w zasadzie będzie po wszystkim. Ale ja ci broń Boże nie mówię, że ktoś go czymś tam udusił – spojrzał na Montanarięgo przestraszonym wzrokiem. – Ja ci w ogóle nic nie mówię!

Lekarz zaczął iść w kierunku dziennikarza z otwartymi ramionami, wypraszając go tym gestem z gabinetu. Montanari wstał, a patolog złapał go za łokieć i odprowadził pod drzwi, dodając na pożegnanie:

– Coś tam na pewno się stało. Ta sprawa się na pewno rozwinie. Ale ode mnie nic więcej się nie dowiesz, na serio musisz popytać u glin. Acha, i ode mnie tego też nie wiesz – ściszył konspiracyjnie głos – ale... słyszałem, że z tamtego pokoju poginęły jakieś rzeczy.

Giacomo

Giacomo Masini stał w kuchni małego mieszkanka przy via Ragno i spoglądał jednocześnie na wąską stróżkę kawy wypełniającą powoli kawiarkę oraz na nagie plecy kobiety śpiącej w jego łóżku na antresoli w głębi pomieszczenia. Kuchnię spowijały kłęby dymu z dopiero co wypalonego papierosa, które uciekając powoli przez uchylone okno, leciały dalej w stronę słońca ogarniającego coraz cieplejszymi objęciami miasto w ten majowy poniedziałkowy poranek.

Giacomo nie był człowiekiem zbyt refleksyjnym. Jego życie od wczesnego dzieciństwa było nieustanną walką. Urodził się we Florencji. Nie pamiętał matki, która umarła, gdy był jeszcze mały. Został wychowany przez ojca, generała w najsłynniejszej we Włoszech brygadzie spadochronowej „Folgore”. „Wychowany” to może zbyt wielkie słowo. Tak naprawdę wychowało go wojsko. Wpierw został wysłany do wojskowej szkoły średniej w Mediolanie. Gdy ją ukończył, zgodnie z pragnieniem ojca przystąpił do egzaminów w akademii dla spadochroniarzy w Pizie. Był wtedy pewnym siebie, kipiącym testosteronem młodym człowiekiem. Świetnie pływał, biegał, a kurs strzelecki ukończył z wyróżnieniem. Niestety nie wiedział jeszcze wtedy nic o swoim lęku wysokości. Podczas szkolenia przygotowującego do egzaminów oficerskich w Pizie jako jedyny z całego kursu nie wykonał ani jednego skoku ze spadochronem. Niewiele pamiętał z tamtego czasu, może tylko moment, kiedy stojąc w otwartych drzwiach samolotu ze spadochronami przypiętymi do ciała, nie potrafił nabrać tchu i zaczął się dusić. Odepchnął sierżanta krzyczącego mu coś do ucha i usiłującego wypchnąć go na zewnątrz. Usiadł zły zimnym potem na samym końcu kabiny z dala od drzwi i skulony w pozycji embrionalnej czekał, aż samolot zawróci na lotnisko i wyląduje. Został wydalony z kursu. Zawiódł wtedy ojca tak bardzo, że ten nie przyjechał nawet na ceremonię ukończenia Akademii Wojskowej w Modenie, po której Giacomo zdecydował się oddalić od rodziny i wojskowych przyjaciół ojca i wstąpić do karabinierów. Po przyjęciu do nowej formacji został wysłany do Ferrary, gdzie od prawie dziesięciu lat pracował w sekcji kryminalnej, najpierw w patrolach na prowincji, a potem, po awansie na stopień porucznika, jako tajniak w centrum miasta.

Początkowo czuł się w tej pracy świetnie. Nie musiał wiele myśleć, tym zajmowali się jego koledzy na komendzie. Używał głównie brutalnej siły i nasyconej agresją mentalności chłopaka z ulicy. Balansował na niebezpiecznie chwiejącej się linii, między tym, co legalne, a tym, co mogłoby go zrównać z kryminalistami, z którymi przebywał całymi dniami. Miał jednak wrażenie, że ostatnio ta niewidzialna lina dawała coraz mniejsze oparcie jego nogom. Mimo wszystko dziś mógł czuć się

szczęśliwy.

Tego poranka czuł, że ma prawie wszystko, o czym mógłby zamarzyć. Swojego ulubionego porannego papierosa i słońce za oknem. Kawę, którą, jak każdy Włoch uwielbiał, i której aromatyczny zapach wkraadał mu się do nozdrzy. I Dianę, która czekała na niego w łóżku.

Poznał ją, kiedy zaczęła pracować w jego wydziale pięć lat temu. Od razu wpadła mu w oko i zachwyciła swoim silnym charakterem, zaraźliwym uśmiechem i seksowną figurą. Nie mówiąc o wynikach na strzelnicy, których nawet Giacomo mógł jej pozazdrościć. Dziewczyna początkowo nie zwracała na niego uwagi, poświęcała się wyłącznie pracy, wydawała się jedną z tych ambitnych młodych kobiet – wiecznych prymusek, które chcą robić karierę i udowodnić mężczyznom, że są lepsze od nich na każdym polu. Później ku jego zaskoczeniu, Diana wdała się w płomienny romans z Davidem, którego Giacomo jednocześnie nie cierpiał i podświadomie lubił, bo chłopak był zbyt naiwny, szczery i dobry, żeby Giacomo potraktował go jako poważnego wroga. A jednak dziennikarz skradł mu Dianę, na szczęście tylko na dwa lata, po których Giacomo bez skrupułów wykorzystał słabość i rozpacz dziewczyny, aby porwać ją w swoje silne ramiona wojownika i zapewnić jej to, czego Davide nigdy jej nie dał: poczucie stabilności i oparcia.

Niosąc tacę z kawą dla budzącej się Diany, miał więc wszelkie powody, aby czuć się szczęśliwym. Coś jednak kładło się cieniem na jego szczęściu. Coś, co go wewnętrznie uwierało i czego nie umiał dokładnie określić ani sprecyzować. Może to przegrana w karty, w tę cholerną briscolę, w którą dał się wciągnąć w zeszlą sobotę i która kosztowała go utratę ojcowskiego zegarka omega? A może to wspomnienie wczorajszej nocy, kiedy kochał się z Dianą, jak zwykle namiętnie i nawet nieco brutalnie, bo bardzo podniecało go poczucie siły i władzy, jaką miał w tych momentach nad kruchym ciałem dziewczyny? Zwykle kręciło to w równym stopniu i jego partnerkę, jednak wczoraj nie widział, żeby Dianie sprawiało to taką przyjemność, jak zawsze. Gdy było po wszystkim, obróciła się i zasnęła, nawet się w niego nie wtulając.

„A może miała tylko zły dzień, była zmęczona?“, pomyślał. „Może mój umysł śledczego, jest już tak wyczulony, że szuka dziury w całym?“, spróbował uspokoić narastające wątpliwości.

Nie uszło jednak jego uwadze, że dziewczyna tak jak zasnęła, tak i obudziła się z komórką w ręce, z uwagą szukając czegoś na telefonie.

– Dzień dobry, Gwiazdeczko! Mamy kolejny cudowny gówniany poniedziałek! – zaczął z szerokim uśmiechem i swoim wrodzonym sarkastycznym poczuciem humoru. – Czy moja królowna zechce się napić naparu bogów, ubrać się i udać biegusiem ze swoim królewiczem do zamku, aby tropić smoki? – sięgnął wyżyn swojej elokwencji, stawiając tacę z kawą i pączkami na stoliczku obok dziewczyny. Ta zerknęła na niego znad telefonu zaspanymi oczami.

– Że co? – zaczęła nieprzytomnie. – Tak, wstaję, mam dziś sporo do zrobienia. Wiesz, tam z tym historykiem sztuki jakies jaja są – dodała wyjaśniająco – ponoć są

jednak jakieś ślady, że ktoś tam był. Pojadę tam jeszcze raz.

– Z twoim eks pismaczkiem-polaczkiem? – zareagował błyskawicznie i już bez uśmiechu Giacomo.

W jednej sekundzie wróciły do niego wszystkie wątpliwości, a atmosfera pięknego poranka ulotniła się jak dym z papierosa za oknem.

– Ej! – zachnęła się dziewczyna – No wybacz, że mi kazali go niańczyć! Nakazy z góry, ani ja, ani ty nic na to nie poradzimy – powiedziała i spojrzała na niego łagodniej. – Nie myśl o tym w ten sposób, dobrze? – zatrzepotała długimi rzęsami, co nieodmiennie działało na wszystkich mężczyzn.

Miała to dobrze przetestowane. Z satysfakcją zobaczyła, jak twardy tajniak robi mydlane oczy.

– Ej, królewiczu, dzięki za kawę!

Uśmiechnęła się szeroko dwoma rzędami równych białych zębów. Przechyliła zalotnie głowę do tyłu, odsłaniając przy tym bezbronną delikatną szyję i zatrzymując dalszy potok refleksji Giacomo, któremu mózg wyłączył się w tym momencie, na skutek odpływu krwi do innych partii ciała. Uklęknał na łóżku i ściągnął T-shirt, spod którego wyłonił się wyrzeźbiony na siłowni tors.

– Smoki poczekają – powiedział drżącym z podniecenia głosem wpijając się w gorzkie od kawy usta Diany.

Nieco później Diana nienagannie uczesana i ubrana w mundur porządkowała papiery w swoim biurze, wsłuchując się jednocześnie w przerywany sygnał dobiegający z telefonu leżącego na biurku. Sygnał w końcu się urwał, a z głośnika telefonu dobiegł żwawy męski głos.

– Cześć, tu Davide Dobravski. Jeśli dzwonisz w sprawie służbowej, koniecznie zostaw wiadomość. W innym wypadku odpuść sobie i życzę ci dobrego dnia beze mnie, za trzy, dwa, jeden...

– O Boże, jakie to szczeniackie – prychnął z dezaprobatą Giacomo, który siedział rozwalony na krześle naprzeciw biurka Diany. – Co ty w nim widziałas? – urwał, widząc jak twarz dziewczyny tężeje.

Nie chciał się jej już dziś narażać. Nagroda, jaką dostał od niej tego poranka, była warta każdego poświęcenia.

– Dobra, już nic nie mówię – dodał pojednawczo.

Dziewczyna nerwowym ruchem rzuciła trzymanymi w rękę papierami i schowała telefon do kieszeni.

– Nieważne – rzuciła – dzwoniłam do gówniarza trzy razy. Jakby mu zależało, to by oddzwonił. Ja się zachowałam w porządku, a jak go to nie interesuje, to nie moja sprawa. Jadę z powrotem do willi denata, czeka tam na mnie stróż. Po tej asystentce dalej ani śladu – westchnęła.

– Wiesz, że nie mogę z tobą jechać, ale popytam na mieście, może któryś z moich

kolesi coś wie – zaoferował się. – A nuż ktoś przyuważył tych dziwaków w pelerynkach Batmana. Choć może powinienem popytać w jakimś muzeum, a nie u dilerów – uśmiechnął się na chwilę z własnego żartu, ale widząc poważną w dalszym ciągu twarz Diany, dodał – Di, uważaj na siebie, okej? Wyczyściłem ci wczoraj to twoje żelazo – wskazał brodą na kaburę zwisającą u pasa dziewczyny i objającą się o jej kształtne biodra. – *Lock and load!* – ostrzegł używając wojskowego żargonu oznaczającego broń gotową do oddania strzału.

– Stróża się mam bać? – skrzywiła się spoglądając na niego z ukosa.

– Nie, ale... – Giacomo zawahał się na moment – oboje chyba czujemy, że coś tu nie halo, nie?

Gdy kończył zdanie, kroki Diany rozbrzmiewały już na korytarzu.

Davide

– Poniedziałek-pośmierdziałek – w głowie Davide’a rozbrzmiewało polskie powiedzonko.

Zapamiętał je dobrze, bo tymi słowami zazwyczaj witał go szykujący się do pracy ojciec, gdy mały Dawidek wypętał ze swojego pokoju, zwanego przez rodziców pieszczotliwie „norką” i z cierpiącą miną człapał na śniadanie przed wyjściem do szkoły w pierwszy dzień po weekendzie.

– Zastrany poniedziałek-pośmierdziałek – powtórzył na głos Davide, patrząc ze złością na swojego iPhone’a, który jak zwykle go zawiódł i nie obudził. Zaspany umysł dziennikarza wołał wyładować swoją złość na urzędzeniu, niż przyjąć do wiadomości fakt, że całkowicie rozładowany i na dodatek przełączony w tryb wibracji telefon nikogo raczej obudzić nie może.

Po podłączeniu komórki do ładowania, Davide dorzucił do tyrady złości jeszcze kilka mało wyrafinowanych przekleństw: na ekranie pojawiło się pięć nieodebranych połączeń podpisanych słowem „Amore”.

Ciągle nie mógł zdecydować się na zmianę tej nazwy. Wspomnienie przyjemności, jaką wywoływało w nim pojawienie się tego napisu na ekranie smartfonu, było podobne do emocji, przeżywanych przez diabetyka stojącego przed witryną cukierni. Musiał tylko uważać, aby Diana nigdy nie wściubiła nosa w jego książkę telefoniczną lub historię połączeń: był przekonany, że nie skończyłoby się tylko na rzucaniu przedmiotami i że jej furia zaowocowałaby nieuchronnym rozlewem krwi. Jego krwi oczywiście.

Jak mało Davide wiedział jeszcze o kobietach...

Z ociąganiem wstał w końcu z łóżka i ciągnąc za sobą kabel ładowarki, z telefonem przy uchu podszedł do okna. Otworzył okiennice i spoglądał przez chwilę na rowerystów podskakujących na wybrukowanej rękami średniowiecznych robotników via delle Volte. Słońce świeciło z wysoka, dochodziło południe. W słuchawce usłyszał sygnał automatycznej sekretarki Diany. Zniecierpliwiony rzucił telefon na łóżko. Do Montanariego nawet nie chciało mu się dzwonić. Stary zawsze chodził własnymi ścieżkami i jeśli potrzebował pomocy swojego młodego asystenta, zwykł był sam go o tym informować. Davide czuł teraz wyraźnie, że poniedziałek go nie lubi i odwzajemniał mu tę niechęć z całego serca. Postanowił wziąć dziś dzień wolnego. To była jedna z niewątpliwych zalet jego zawodu i nie omieszkwał korzystać z niej przy każdej nadarzającej się okazji.

Kilkadziesiąt minut później ubrany w szorty, niedbale zapiętą koszulę, kaszkiet

i okulary słoneczne stanowiące równie nieodzowną jak bielizna część ubioru każdego szanującego się Włocha, szedł powolnym krokiem po nierównym bruku via delle Volte. Przeszedł pod kilkoma malowniczymi łukami, które podpierały przechodzące nad ulicą zabudowane mostki. Były one ostatnimi świadkami odległej epoki, w której poprzecinane kanałami miasto przypominało Wenecję. Na końcu uliczki skręcił w bok, gdzie zatopił się w rosnący tłum przechodniów na via San Romano – jednej z najstarszych arterii Ferrary łączącej południową bramę miasta z katedrą. Tego dnia ludzie parli tą wąską i zapełnioną sklepikami uliczką w przeciwnym kierunku. Poniedziałki były dniami targu odbywającego się pod murami miasta i Davide, który zmierzał w stronę rynku, miał wrażenie, jakby szedł pod prąd. Nie cierpiał targu.

Kiedyś było inaczej. Gdy był mały i matka zabierała go między kolorowe stragany, by kupować bibeloty do domu, płaciła za cierpliwość malca torebkami kandyzowanych aromatycznych orzechów i migdałów. Teraz targ drażnił zapachami chemii i taniej odzieży produkowanej w Bóg wie jakich miejscach według tej samej, pozbawionej gustu sztampy.

Dziennikarz postanowił nacieszyć się spacerem po centrum wolnym od handlarzy. Po drodze wstąpił do kawiarni „San Romano”. Przywitany przez baristę Diego gromkim „*ciao bello!*”, po chwili delektował się już pączkiem hojnie nadzianym nutellą i popijał słodkie kęsy gorącym cappuccino.

Czuł się tutaj jak u siebie w domu. Wychował się w sercu tej średniowiecznej dzielnicy zabudowanej gęsto niskimi kamieniczkami, których szerniały ze starości cegły, widoczne tu i ówdzie ślady po zamurowanych łukach okien, fragmenty marmurowych ornamentów i patrzące z góry posągi madonn, świętych i patronów niezmiennie przypominały mu o kilkusetletniej historii tego miejsca. Znał niemal wszystkich bywalców lokalu, w którym się znajdował. Przychodząc tu codziennie, miał okazję obserwować, jak kopających cygara emerytów, których pamiętał z dzieciństwa, z czasem zastąpili ich synowie i wnuki. Jedno pozostawało niezmiennie: mimo wszechobecnego internetu na stolikach wciąż królowały stosy gazet, głównie sportowych, ale również dzienników, w tym tego, dla którego sam pracował.

Wziął do ręki gazetę i zaczął czytać artykuł zatytułowany *Tajemnice Bonardiego* podpisany nazwiskiem jego szefa. Treść artykułu go nie zaskoczyła – przecież to on sam, na polecenie Montanariego, poświęcił kilkanaście godzin na ślęczeniu w miejskiej bibliotece, uzupełniając szczegóły biografii zmarłego nagłą śmiercią krytyka. Dowiedział się przy tym między innymi, że Bonardi prócz studiów nad włoską sztuką z okresu *belle époque*, interesował się również francuskimi impresjonistami i nawet wyjechał na dwa lata do Paryża, skąd przywiózł bliżej nieokreśloną liczbę obrazów. Nie zdążył już ich niestety zaprezentować szerokiej publiczności. Pewnie coś więcej na ten temat mogłaby powiedzieć ta jego cudna asystentka, gdyby...

Davide nie dokończył tej myśli, gdyż jego uwagę zwróciła czarnobiała fotografia towarzysząca artykułowi. Zdjęcie zrobione „w miejscu tajemniczej śmierci krytyka”,

jak głosił podpis, przedstawiało przykryte przez karabinierów zwłoki i imponującą liczbę dzieł sztuki zgromadzonych w pokoju. Davide przesunął okulary słoneczne z nosa na włosy i przymrużywszy oczy zbliżył twarz do zdjęcia, starając się lepiej zobaczyć szczegóły.

– Nie no, nie wierzę! – powiedział do siebie. – Niemożliwe!

Jego nos niemal dotykał już gazety, ale to, co widział, było ewidentne. W tle za łóżkiem na ścianie nad komodą pomiędzy szeregiem obrazów ferraryjskiego malarza Boldiniego, którego tak podziwiał Bonardi, świeciła nienaturalną pustką spora przerwa. Davide, mimo leniwego umysłu, chępił się doskonałą pamięcią wzrokową: to dzięki niej zdał wszystkie egzaminy na studiach. I teraz był absolutnie pewien, że, gdy był tam z Montanarim i Dianą, nie brakowało żadnego obrazu. A przecież zdjęcie w gazecie zostało zrobione najwyraźniej po tym, jak stamtąd wyszli: wskazywały na to przykryte i gotowe do wywiezienia zwłoki. Kto więc usunął ten obraz? Śledczy w celu jakiegoś badania? Czy może ukradł go złodziej korzystający z zamieszania? Ale jak wszedł do budynku pełnego funkcjonariuszy? I dlaczego ukradł tylko ten konkretny spośród tak wielu innych i z pewnością równie cennych?

Pod wpływem impulsu, jakiego dostarczyła mu fotografia, w ciągu kilka sekund zamienił się z leniwego spacerowicza w psa gończego, który zwęszył trop. Wziął gazetę pod pachę i rzucił na bar dwa euro. Nie mówiąc nawet „*ciao*” bariście, szybko wyszedł z lokalu i skierował się w stronę redakcji znajdującej się tuż przy samym rynku u wylotu ulicy.

Gdy wyszedł z podcieni, oślepiło go słońce. Nie zdążył zasłonić oczu i wpadł prosto na przechodzącego ulicą japońskiego turystę z wielkim aparatem Canona, zaopatrzonym w teleobiektyw godny snajpera z drugiej wojny światowej. Obaj mężczyźni krzyknęli zaskoczeni, a słomkowy kapelusz turysty potoczył się na drugi brzeg ulicy. Davide zaczął przeproszać Japończyka, na co tamten zareagował serią iście samurajskich okrzyków. Dziennikarz nie był pewien, czy oznacza to przyjęcie przeprosin, czy też klątwę rzuconą na niego i siedem następnych pokoleń. Na wszelki wypadek schylił się i sięgnął po kapelusz, chcąc go podać niefortunnemu przechodniowi.

W tym właśnie momencie, zobaczył długie blond włosy, należące do ubranej w czarną obcisłą sukienkę kobiety znikającej w tłumie o jakieś piętnaście-dwadzieścia metrów od miejsca, w którym stał, a właściwie kłęczał.

W Ferrarze nie było wielu blondynek. A już na pewno nie z tak zgrabnymi nogami i z taką idealną figurą. Pomijając nieduże prawdopodobieństwo, że właśnie zobaczył miss Rosji odbywającą tournée po Włoszech, piękne ciało i sięgające do talii blond włosy mogły należeć do tylko jednej dziewczyny. Tej, której oczy zobaczył przez mgnienie w kościele San Giorgio, a którego wspomnienie prześladowało go za każdym razem, gdy tylko przymykał powieki. Davide wcisnął pognieciony kapelusz w rękę Japończyka, który w końcu zamilkł i nie oglądając się za siebie ruszył w stronę znikającej jasnej plamy.

– Signorina! – krzyknął skupiając na sobie zaciekawiony wzrok większości kobiet

obecnych na ulicy.

Blond włosy zniknęły za rogiem, za którym znajdowała się galeria prowadząca na rynek. Szansa na dogonienie dziewczyny malała. Davide zaczął biec.

Gdy dotarł na rynek, wiedział już, że odnalezienie Olivii lub kobiety, która bardzo ją przypominała, będzie graniczyło z cudem. Wprawdzie targ odbywał się zupełnie gdzie indziej, lecz miasto żyło już zaczynającym się właśnie Palio i plac był pełen ludzi. Po całym rynku spacerowały grupy azjatyckich turystów. Kilku przewodników z wysoko uniesionymi parasolkami próbowało skupić na sobie uwagę rozproszonych grup. Wśród nich przemykali miejscowi na rozklekotanych rowerach. Tę barwną mieszankę ludzi uzupełniali robotnicy wieszający na budynku urzędu miejskiego herby rywalizujących ze sobą w Palio kontrad oraz młodzi żonglujący flagami chłopcy. O tej godzinie powinni uczyć się w jeszcze szkole, ale najwyraźniej ich profesorowie uznali umożliwienie im treningu przed Palio za swój lokalny patriotyczny obowiązek.

Zdezorientowany Davide rozglądał się wokół siebie. Nie potrafił wypatrzeć dziewczyny. Zniknęła w tłumie lub w jednym z licznych sklepów wokół rynku. Nie sposób było przeszukać tych wszystkich miejsc. Nagle zauważył znajome twarze wśród wymachujących flagami wyrostków. Wiele lat temu sam był na ich miejscu. Jak większość rówieśników, utożsamiał się ze swoją kontradą i chciał się przysłużyć do jej zwycięstwa w dorocznym Palio. Osiągnął to zostając zbandieratorem, czyli żonglującym flagami. Niewielu turystów odwiedzających tłumnie Włochy, widziało w tych akrobatycznych popisach coś więcej niż tylko barwne historyczne widowisko. Mało kto zdawał sobie sprawę, że żonglerka flagami była prawdziwą narodową dyscypliną sportową z własną federacją, sędziami i systemem punktacji za popisy solowe i drużynowe. Davide w swojej karierze zbandieratora zaszedł bardzo wysoko, zostając w wieku dziewiętnastu lat wicemistrzem Włoch, by później przez kilka lat trenować młodzież w swojej kontradzie. Był podziwiany i lubiany. Z grupki chłopców, którą miał przed sobą, znał prawie wszystkich. Zbliżył się do nich w momencie, gdy jedna z flag wystrzelona wysoko w górę zaczęła szybko pikować w dół. Spadała, utrzymując idealnie pionowy kierunek dzięki ołowiowi, którym obciążona była rękojeść drzewca każdej z flag służących do żonglowania. Nieostrożność podczas łapania tak „udoskonalonej” flagi, niejednego zbandieratora zaprowadziła do szpitala z podbitym okiem lub połamanymi żebrami.

Davide wybił się z jednej nogi jak do rzutu w koszykówce i wyciągając wysoko rękę schwycił zręcznie spadającą flagę, po czym zakręcił nią efektowną ósemkę.

– Ej!!! Daviiiiiiiiide! – ucieszyli się chłopcy, którzy przerwali trening i otoczyli dziennikarza, poklepując go po plecach.

– Cześć *ragazzi!* – Davide próbował ukryć lekką zadyszkę. – Posłuchajcie mnie wszyscy! Szukam jednej dziewczyny...

Chłopcy wybuchnęli śmiechem, niektórzy z nich zaczęli pogwizdywać z aprobatą. Dziennikarzowi przemknęło przez głowę, że jeśli Olivia przechodziła obok nich, nieuchronnie została w taki sam sposób ogwizdana przez tę nieokrzesaną

dzieciarnię.

– Chłopaki, na serio! Szukam jednej ładnej blondynki, musiała tędy przechodzić. Andrea, no kto jak kto, ale ty byś ją na pewno zauważył! – rzucił w stronę najwyższego z wyrostków, który przy wtórze śmieszków swoich kompanów wyprostował się dumny z wyróżnienia, jakim zaszczyił go Davide.

– Blondynę pewnie, że widziałem! Niezła laska! Poszła gdzieś tam, do *duomo* chyba – chłopiec wskazał ręką kierunek. *Duomo* było potoczną nazwą nadawaną najważniejszemu kościołowi w mieście. Chłopiec nie zdążył jeszcze schować wyciągniętej dłoni, gdy Davide przybił mu do niej piątkę i oddalił się szybko w stronę katedry.

Przed ozdobioną loggiami, jaśniejącą z daleka białym marmurem fasadą katedry, stało kilkanaście osób podziwiających znajdujący się nad środkowym wejściem, kunsztownie rzeźbiony romański tympanon z patronem miasta, świętym Jerzym. Dziennikarz, dopiero gdy się bardziej przybliżył, zrozumiał, że była to grupa sióstr zakonnych w towarzystwie księdza-przewodnika. Wykluczało to automatycznie możliwość odnalezienia wśród nich Olivii. Obszedł siostrzyczki bokiem i skierował się w stronę wejścia, którego strzegły siedzące po bokach marmurowe lwy i dwa zgarbione telamony podtrzymujące z zastygłym na ich kamiennych twarzach wysiłkiem zwieńczone archiwoltą kolumny. W głębokiej wnęce portalu Davide poczuł przyjemny chłód dochodzący z głębi kościoła. Przystąpił próg przedsionka i odruchowym gestem zdjął czapkę z głowy.

We wnętrzu świątyni na pierwszy rzut oka nie było żadnej blondynki. Niezrażony tym dziennikarz postanowił przyjrzeć się lepiej i zaczął iść wzdłuż głównej nawy w kierunku ołtarza, wytężając wzrok za dziewczyną, która mogła schować się między zwiedzającymi zabytek.

Nagle wśród szemrzących w obcym języku i pstrykających gigabajty zdjęć turystów wypatrzył grupkę mężczyzn w czarnych garniturach, którzy rozmawiali ze sobą w centralnej nawie. Stali tuż przy płycie, pod którą – jak pamiętał – pogrzebano fundatora świątyni, rycerza Guglielmo Adelardi. Być może nie zwróciłby na nich uwagi, gdyby nie to, że jeden z mężczyzn odróżniał się od reszty wysokim wzrostem i siwymi włosami. Bez cienia wątpliwości i mimo braku groteskowej peleryny rozpoznał w nim tajemniczego towarzysza Olivii, który eskortował ją po pogrzebie jej matki.

„Towarzysza, a może raczej porywacza?“, Davide gubił się w domysłach.

Podświadomość podpowiadała mu, że osoby, które obserwował, mogły być w jakiś sposób niebezpieczne, ale nad niepokojem, a nawet nad zawodową ciekawością zaczęła już przeważać niemożliwa do opanowania chęć ponownego spotkania dziewczyny.

Próbując zignorować obawy, Davide zaczął zbliżać się do mężczyzn od strony ołtarza. Miał zamiar porozmawiać z wielkoludem, który, jak podejrzewał, był w tej

grupie najważniejszy. Był już o kilka kroków od niego, gdy w głębi kościoła w pobliżu głównego wyjścia zauważył Olivię. Szła od strony konfesjonału, więc pomyślał, że przysła się tu wypowiadać. Przechodząc przez główną nawę, uklękła i wtedy ich spojrzenia się spotkały.

Spodziewał się, że przywoła go gestem, zawoła albo choć znów ułoży usta do jakiegoś wypowiedzianego niemo słowa. Nic takiego się nie stało. Patrząc mu ciągle w oczy podniosła się, po czym obróciła i skierowała w stronę wyjścia. W tym momencie siwowłosa mężczyzna oderwał się od grupki swoich towarzyszy i błyskawicznie podążył za nią. Dogonił ją i przytrzymał jej drzwi, gdy opuszczała świątynię.

Davide stanął skonsternowany. Nie wiedział, czy grupa mężczyzn, która pozostała w kościele ma związek z Olivią ani czy warto się im ujawniać. Zmienił zamiar i schował się w cieniu bocznej nawy, po czym skierował się do wyjścia. Gdy wyszedł na zewnątrz, od razu zauważył, że dziewczyna i siwy mężczyzna byli już o dobre sto metrów od niego. Na szczęście nie tracił ich z oczu. Szli w stronę zamku. Dziennikarz ruszył za nimi. Minęli pomnik mnicha Savonaroli – „pierwszego na świecie rewolucjonisty” – jak celnie opisał go kiedyś Montanari. Davide nie mógł nadążyć za dziewczyną i jej opiekunem. Szli bardzo szybko i dziennikarzowi przysła do głowy myśl, że Olivia musiała opanować sztukę chodzenia w szpilkach do perfekcji. Plac przylegający do zamku był bowiem wyłożony nieociosanymi okrągłymi kamieniami, zwanymi *sampietrini*, na których niejedna już kobieta zostawiła złamany obcas.

Davide minął zwodzony most prowadzący do zamku i skierował się za śledzoną parą w kierunku małego kościółka stojącego po drugiej stronie placu.

Kościół San Giuliano był jedną z najstarszych budowli w Ferrarze, ale Davide dobrze wiedział, że nikt do niego nie zdoła wejść. Świątynia, w której przed wiekami składali przysięgi rycerze, była zamknięta od czasu trzęsienia ziemi, które nawiedziło miasto w 2012 roku. Rzeczywiście, Olivia i jej towarzysz minęli nieczynny zabytek i zniknęli za nim. Znajdował się tam ślepy zaułek i wejście do schowanego za kościółkiem hotelu. Davide odetchnął. Teraz już nie musiał się spieszyć, miał wyjście ze ślepej uliczki na widoku. Chwilę później wszedł do hoteliku i podszedł do recepcjonisty. Po drodze zaczął szarpać się z kieszenią, z której wyciągnął wreszcie zalaminowaną, a mimo to mocno sfatygowaną legitymację dziennikarską.

– Dzień dobry, Davide Dobravski, dziennikarz „Il Giornale Pomeridiano”, jestem umówiony z panią Olivią Cattanei na wywiad – starał się, aby jego głos zabrzmiał pewnie i przekonująco.

– Dzień dobry panu. Hmm... Cattanei... Nie widzę tu takiej osoby – recepcjonista uniósł brwi, odrywając wzrok od monitora stojącego na kontuarze.

– Rozumiem, ale ona tu właśnie weszła ze swoim... hmm... przyjacielem.

– W takim razie powinienem zapytać pana o nazwisko tego przyjaciela, ale... – zawahał się recepcjonista – niech pan posłucha, tutaj nikt nie wchodził. Przynajmniej odkąd ja tu jestem, czyli od dwóch godzin. Także naprawdę nie wiem, jak mógłbym

panu pomóc – pracownik hotelu stracił nim zainteresowanie i wrócił do wystukiwania czegoś na swoim smartfonie.

Davide opuścił hall i wyszedł na zewnątrz. Bił się z myślami. Przecież widział, że tu szli. Recepcjonista skłamała albo...

Spojrzał w stronę miejsca, w którym budynek hotelu ściśle przylegał do kościółka. Nie, tu nie było żadnego przejścia. Miał ochotę podejść do murów i dotknąć ich własnymi rękami w poszukiwaniu niewidocznych drzwi. Wiedział jednak, jakie to śmieszne. Niedowierzając własnym zmysłom, wyszedł z powrotem na plac, z którego tu przyszedł i obszedł kościół z drugiej strony, dochodząc do jego zamkniętych drzwi. Ponad nimi wisiał herb z czerwonym krzyżem otoczonym małymi krzyżykami i napisem *Dio lo vuole – Bóg tego chce*, groźnym okrzykiem, z jakim krzyżowcy ruszali kiedyś do bitew w dalekiej Jerozolimie. Dziennikarz przez chwilę zastygł, myśląc o symbolu, jaki widział na pelerynach mężczyzn na pogrzebie. Chyba był już blisko rozwiązania tej zagadki, a jednak był pewien, że tamten krzyż wyglądał jakoś inaczej.

Podszedł bliżej do drzwi, bo chciał się upewnić, czy na pewno są zamknięte i wtedy zobaczył wciśnięte w futrynę zgięte kartki „Il Giornale Pomeridiano” z artykułem, który czytał dziś rano. Zaintrygowany rozwinął gazetę. Ktoś napisał na niej czerwoną szminką dwa słowa:

„Olivia C.”

I dopisał pod spodem tym samym kolorem:

„Kino Apollo, godzina 20:00”.

Davide oparł się plecami o drzwi, złożył starannie gazetę i wsadził ją sobie pod pachę.

Nie mógł się już doczekać wieczoru.

Kradzież

Diana kątem oka zauważyła, że oparty o futrynę swojego sklepiku młody i całkiem przystojny chłopak wpatruje się w nią intensywnie. Jego rozciągnięte w uśmiechu usta ukazywały rząd zadbanych białych zębów. Młodzieniec uniósł dłoń i gestem przesłał jej buziaka. Dziewczyna była odporna na zaczepki mężczyzn, ale ten miły gest naprawdę ją zaskoczył. Tym bardziej, że siedziała ubrana w mundur w oznakowanym radiowozie, który zatrzymała na chwilę na poboczu ulicy, by poprawić makijaż. Niezależnie od kraju czy miasta służby porządkowe rzadko wzbudzają sympatię wśród obywateli. Z drugiej strony Diana miała pełną świadomość swojej urody i efektu, jaki wywoływała na mężczyznach. Chłopak był jednak dużo od niej młodszy. I naprawdę ładny.

Odłożyła szminkę i energicznym ruchem zamknęła osłonę słoneczną z zamontowanym wewnątrz lusterkiem. Odwróciła się w stronę młodzieńca i zafalowała długimi rzęsami mrugając do niego jednym okiem. Jej gestowi towarzyszył dźwięk uruchamianego motoru. Odjechała ruszając z piskiem opon. W tylnym lusterku zobaczyła, jak młodzieniec uśmiecha się szeroko i obiema dłońmi chwyta się za serce.

Gdyby nie nieobecność Davide'a, który jak zwykle spóźnił się, a właściwie w ogóle się nie stawił na umówione spotkanie, ten poniedziałkowy poranek przebiegałby naprawdę miło.

Jechała na ponowne oględziny do willi Belgusto, miejsca tajemniczego zgonu swojego „klienta”, jak w żargonie pionu kryminalnego nazywano ofiarę w prowadzonym dochodzeniu.

Diana w swojej pracy kierowała się zawsze racjonalnym myśleniem i wnikliwą analizą zebranych dowodów. Jej zdyscyplinowany umysł zaskakiwał pracujących z nią mężczyzn, na równi z determinacją i przewagą fizyczną, jaką wykazywała się podczas licznych pościgów, a nawet starć z przestępcami, które zdarzały się w tym mieście coraz częściej. Na pogarszające się statystyki przestępczości miały niewątpliwy wpływ rosące w siłę gangi czarnoskórych dilerów pochodzących z Nigerii. Była to mroczna strona gościnności, jakiej przez dziesięciolecia udzielali Włosi emigrantom z Afryki. Przestępcy z Czarnego Łądu upodobali sobie małą i spokojną Ferrarę, być może dlatego, że wpływy rodzimej mafii na „rynku” prostytucji czy sprzedaży narkotyków były tu znikome. Podczas ostatniego z pościgów, zakończonego zatrzymaniem dilera, dziewczyna działała zupełnie sama, gdyż jej koledzy zwyczajnie nie nadążyli za nią podczas czterokilometrowego biegu

wzdłuż murów okalających miasto, po których uciekał przestępca. Pani porucznik nie tylko go schwyciła, ale także, nieco później, skutecznie przesłuchała po angielsku – przybysze z Afryki często nie znali włoskiego – co doprowadziło do aresztowania całej kilkusobowej grupy jego współników. Od tego czasu w całej, zdominowanej przez mężczyzn komendzie, nikt już nie odważył się wobec niej na żaden szowinistyczny żart czy zaczepkę, na co była stale narażona, odkąd tylko jako jedna z pierwszych kobiet wstąpiła do akademii wojskowej w Modenie. Jej niezłomny temperament i sukcesy w pracy mogły z łatwością stać się powodem do zazdrości, a nawet zawiści ze strony starszych kolegów, ale z drugiej strony, teraz już bezdyskusyjnie udokumentowany profesjonalizm, sprawiał, że zaczęto ją darzyć nieklamany szacunkiem. Ze względu na jej urodę z zazdrością kolegów musiał zmagać się tylko jej partner Giacomo, ten jednak mówiąc jego własnymi słowami, „miał na to wyrąbane”. Zresztą i tak więcej czasu spędzał poza komendą, pracując pod przykrywką w półświatku podejrzanych i kryminalistów.

Wyjechawszy z miasta, Diana przez kilkanaście następnych minut kontynuowała podróż krętą drogą prowadzącą w stronę willi Belgusto, stojącej pośrodku żyznej równiny, jaka rozległymi połaciami okalała szerokie koryto Padu. Ta najdłuższa rzeka Włoch ciągnęła się w poprzek całego półwyspu Apenińskiego i kończyła swój bieg wpadając do Adriatyku kilkadziesiąt kilometrów od Ferrary.

Patrząc na mijane kwitnące brzoskwińowe sady i żółcące się rzepakami pola, karabinierka czuła, jak jej analityczny umysł dokonuje podświadomie skomplikowanych kalkulacji, sumując i porównując wszystkie znane jej elementy sprawy Bonardiego.

W sprawie tej było więcej niewiadomych niż pewności. Nawet patolog nie był w stanie odpowiedzieć z całym przekonaniem na pytanie, czy krytyk umarł na skutek jakiejś nagłej zapaści organizmu związanej ze starością i przebytymi chorobami, czy też stan ten wywołał ktoś specjalnie, na przykład – co Diana przyjęła za jedną z hipotez – poprzez zakrycie ofierze przez dłuższy czas twarzy poduszką i doprowadzenie jej tym do powolnej śmierci. Ale czy w takim wypadku Bonardi nie powinien się obudzić, łapiąc rozpaczliwie powietrze i pozostawiając na miejscu domniemanej zbrodni i na własnym ciele licznych śladów walki? Dodatkowych wątpliwości dokładało dziwne zachowanie unikającej policji asystentki denata oraz telefon od stróża pałacu, który donosił o zaginięciu jakichś przedmiotów, co było bezpośrednim powodem, dla którego właśnie tam wracała.

Elektrycznie sterowana brama stanęła przed nią otworem, gdy pokazała do kamery w domofonie swoją policyjną odznakę. Zadbaną zwirowaną alejką ocienioną równym rzędem wysokich sosen pinii zajęchała pod samo wejście okazałego pałacu. W półotwartych, wzmocnionych metalowymi okuciami drzwiach czekał na nią niski starszy mężczyzna ubrany w roboczy kombinezon.

– Witam, Govoni, stróż – przedstawił się krótko podając jej spoconą rękę.

– Dzień dobry, porucznik Leone, to ze mną pan rozmawiał. Wyjaśni mi pan, o co dokładnie chodziło z tymi zaginionymi bibelotami?

– Bibelotami? – stróż spojrział na Dianę ze zgorzaniem.

– Proszę pani, z całym szacunkiem, ale pani chyba nie wie, o czym pani mówi. Wy tam na tej komendzie chyba w ogóle nic nie rozumiecie, co tu się zresztą dziwić, skoro panią tu przysłali dopiero po moim dziesiątym telefonie – starszy mężczyzna z trudem łapał powietrze wspinając się po krętych schodach prowadzących do sypialni, w której znaleziono martwego profesora.

– Panie Govoni, nikt mnie tu nie przysłał, przyjeżdżam prawie od razu po tym, jak pan do mnie zadzwonił – odpowiedziała nieco zirytowana.

Zawsze drażniły ją wieczne narzekania starszych ludzi. Wiadomo, każdy uważa, że za czasów jego młodości na świecie było najlepiej, ale bez przesady!

– No co też pani porucznik, przecież ja to mówiłem cały czas temu waszemu sierżantowi, czy komu tam. Dobrze, że pani przynajmniej potraktowała mnie poważnie. No nieważne, już jesteśmy – starszy człowiek przekreślał właśnie duży mosiężny klucz w drzwiach oklejonych jeszcze przerwaną policyjną taśmą.

Diana uniosła ze zdziwieniem brew. Jej uwadze nie uszły słowa starego stróża, które oznaczały, że ktoś z komendy nie przekazał jej ważnych informacji, ale postanowiła wyjaśnić to później. Do jej nozdrzy dotarł, wydobywający się z dopiero co otwartych drzwi, odór stęchlizny zmieszanej ze znanym jej z muzeów charakterystycznym zapachem substancji przeznaczonej do konserwacji drewna. Weszła do środka. W całym pomieszczeniu na podłodze leżały zasuszone i pokruszone płatki kwiatów. Wyglądało to trochę tak, jak ulica po przejściu pochodu karnawałowego albo kościelnej procesji.

– Tu było pełno kwiatów, co się z nimi stało?

– Ano było – stróż złapał w końcu oddech. – Ci Francuzi, co tu byli z wizytą ostatni dzień jak profesor jeszcze żył, to ich nanieśli całe kosze. Ja już paniące Olivii mówiłem, że ledwo się mieszczą w pokoju, że tam przejść już nie ma gdzie, ale ona się uparła, że profesorowi będzie miło i dalej je tu upychała. Jak tu weszli pani koledzy, to to się wszystko zaczęło sypać, przewracać, no to jak sobie poszli, to zebrałem i wyniosłem na kompostownik. Profesorowi to już i tak wszystko jedno – wzruszył ramionami. – Ale mniejsza o kwiaty, tam pani patrzy – wyciągnął rękę wskazując na ścianę nad wezłowiem łóżka.

Diana spojrzała na ścianę, na której jeden przy drugim wisiały obrazy dotykając się niemal ramami. Nad łóżkiem, w którym sypiał Bonardi ziała, niczym wyrwa w uzębieniu szczerbatego, przerwa, pod którą było widać farbę o tonacji dużo jaśniejszej niż na całej reszcie ściany. Brud i kurz, który osiadł na krawędzi brakującej ramy wyraźnie zaznaczył jej kształt. Cokolwiek tu wisiało, musiało tu wisieć przez wiele lat, co najmniej, odkąd ostatni raz malowano ten pokój.

– Co tu było? Wie pan? – Diana podeszła do łóżka.

– Ano wiem. To znaczy ja sam to nie wiem, ale wiem, gdzie jest spis, bo profesor zawsze wszystko miał zapisane i uporządkowane.

Staruszek pochylił się przy biurku stojącym naprzeciw łóżka i otworzył uchylone

drzwiczki szafki pod blatem. Przez chwilę stał nieruchomo jakby skonsternowany. Diana uznała, że pewnie niedowidzi i już podchodziła, aby mu pomóc szukać, ale stróż schylił się i wyjął oprawiony w skórę skoroszyt leżący na wierzchu stosu papierów w szafce. Położył go na biurku, ale zamiast go otworzyć, pochylił się ponownie jakby czegoś jeszcze szukając. Mamrotał przy tym do siebie coś niezrozumiałego.

– Wszystko w porządku? Ma pan ten spis? – zapytała Diana.

Usłyszała jeszcze jak stary powtórzył kilka razy „nic, nic”, po czym wstał i otworzył znaleziony wcześniej skoroszyt. Z kieszeni na piersi kombinezonu wyjął okulary w grubych oprawkach i pochylił się nad woluminem wertując kartki.

– Każdy obraz tu na tej liście ma numer i on jest zapisany też na ramie, na środku na dole – spojrzał znad grubych szkieł na Dianę. – Niech pani łaskawie podejdzie do tego obrazu, co wisi obok i mi przeczyta numer.

Dziewczyna podeszła do portretu pięknej kobiety ubranej w olśniewającą suknię w stylu *belle époque* i spojrzała na ramę.

– Dwadzieścia trzy – przeczytała. Stróż poruszył palcem wodząc nim wzdłuż zapisanej równym odręcznym pismem listy.

– Dwadzieścia trzy... Boldini Giovanni „Portret księżnej Bibesco”, dwadzieścia cztery... – stary zawiesił dramatycznie głos – Veneto Bartolomeo „Beatrice II d’Este”. Tak. Ten, co brakuje. Zdjął okulary i podszedł do Diany. – Ja się pani porucznik nie znam, nie taki ze mnie mądry człowiek, jakim był profesor. Ale trzydzieści pięć lat tu pracuję i gwarantuję pani, że ten obraz był wart miliony.

Diana aż podskoczyła.

– No co pan mówi! Takie cenne obrazy? Zamknięte w sypialni na zamek, który można otworzyć spinką do włosów? Pan chyba żartuje, to niemożliwe, to chyba raczej reprodukcje?!

Starzec spojrzał na dziewczynę przeciągle.

– Proszę pani... – głos nieco mu się załamał – pan profesor był... on był – wzruszony nie potrafił dobrać słowa – to nie był człowiek z tej epoki ani z tego świata. Dla niego pieniądze nic nie znaczyły, tylko sztuka, te obrazy, rzeźby, książki, to było jego życie. To był dobry mądry człowiek, takich już nie ma i już nigdy nie będzie. On był taki, że inni ludzie, niektórzy ci bogaci, wie pani, ci co naprawdę się urodzili w zamkach, pałacach, z tych rodzin królewskich czy innych wyższych sfer, nawet oni rozumieli, że profesor był niezwykły. Oni mu te obrazy dawali albo pożyczali. Tu przez lata pełno ważnych ludzi, takich vipów, jak wy to teraz mówicie, przyjeżdżało. I oni niejedną cenną rzecz mu tu zostawili, bo wiedzieli, że tylko on wie naprawdę, co mówią, co przedstawiają i co znaczą te dzieła sztuki. Stróż otworzył ponownie skoroszyt na ostatniej stronie i zerknął na nią przez trzymane w drżącej ręce szkła okularów.

– Moja droga, w tej sypialni są czterdzieści dwa obrazy. Teraz czterdzieści jeden. I żaden z nich nie jest reprodukcją, ani „bibelotem”. Ja to pani mówię. I nic nigdy nie

zginęło, jak profesor żył. Może nawet złodzieje mieli respekt, nie wiem. A teraz go już nie ma.

Starzec usiadł ciężko na krześle stojącym przy biurku, wzbijając przy tym fontannę pyłków kurzu, które zatańczyły w świetle padającym przez duże brudne i szczelnie zamknięte okno.

– Profesora nie ma, a jego rzeczy jakby przestały się trzymać tego mieszkania i zaczynają znikać. I to w obecności policji – spojrzał na nią z wyrzutem.

Wiedziała, o czym mówi. Oboje wiedzieli, że podczas oględzin zwłok żadnego obrazu nie brakowało. Zanim przyjechała do willi tego poranka, Diana przejrzała zdjęcia zrobione kiedy karabinierzy badali to pomieszczenie. Obrazów wprawdzie wtedy nie skatalogowano ani nie zrobiono zdjęć każdemu z osobna, ale widok ścian na zdjęciu nie pozostawiał złudzeń. Brakujący obraz tam był, kiedy w pomieszczeniu pracowali technicy. Musiał zginąć później. A na komendzie nikogo nic to nie obeszło. Jakby nic się nie stało.

Dziewczyźnie zrobiło się żal staruszka. Zaczynała mieć wyrzuty sumienia, że potraktowała go jak sklerotycznego zrzędcę. Dokładnie tak, jak najwyraźniej potraktował go któryś z jej kolegów. Zrozumiała, że ten stary stróż stanowił część pięknego i nieco niedzisiejszego świata, w którym ona sama była ignorantką i intruzem. Podeszła do niego i położyła dłoń na jego zniekształconych reumatyzmem palcach.

– Panie Govoni, obiecuję panu, że ja ten obraz znajdę. I oddam panu i... – spojrzała na puste łóżko – i profesorowi.

Starzec wyprostował głowę i spojrzał jej w oczy.

– Nie tylko obraz... Nie tylko on zginął. To biurko było zamknięte, proszę pani. Na klucz. A teraz klucza nie ma. Ani tej starej książki, co ją profesor tak strasznie pilnował. Często go z nią widziałem, choć nigdy jego nie pytałem, co to za księga. W spisie jej nie ma. Kto wie, czy ona od tego obrazu nie była cenniejsza – Govoni westchnął zrezygnowany, a Diana poczuła, że poniedziałek strasznie się jej skomplikował.

Spotkanie

Mimo pracującego na pełnych obrotach klimatyzatora stojący przed lustrem Davide pocił się niemiłosiernie.

– Globalne ocieplenie, ja pier... – poziom jego irytacji przekroczył wartość krytyczną, gdy zauważył plamę potu pod rękawem koszuli, którą miał na sobie od niespełna minuty. Dokładnie szóstej z kolei koszuli, jaką przymierzał, tocząc heroiczną walkę o osiągnięcie wyglądu, który zadowoliliby wreszcie jego krytyczne oko estety. Do spotkania z dziewczyną pozostało niecałe pół godziny, a Davide tkwił ciągle przed lustrem w bokserkach i niedopiętej koszuli z denerwującą plamą pod pachą i czuł, jak w odmętach podświadomości, duchy jego słowiańskich przodków zaczynają powoli bić w tarabany i nucić wojenne pieśni. Wścikłym ruchem zerwał z siebie koszulę i rzucił ją na łóżko, gdzie dołączyła do pomiętych zwłok swoich pięciu poprzedniczek. Sięgnął na półkę po złożony starannie ulubiony czarny T-shirt z logiem Foo Fighters i z wyrazem ulgi na twarzy, wszedł w niego jak w drugą skórę. Wybór spodni i obuwia był w tej sytuacji już prosty. W wyświechtanych jeansach i w nieco zdartych, ale zawsze wygodnych butach Levisa wkroczył do łazienki, gdzie obficie skropił się perfumami słynnej włoskiej marki. Przypomniawszy sobie przy tym słowa przyjaciela z czasów uniwerku, który zwykł był mawiać, że mężczyzna może się ubierać jak obdarty lump, ale musi mieć zawsze czystego penisa i pachnieć jak zdemolowana perfumeria.

Kino „Apollo”, gdzie zgodnie z zaproszeniem napisanym szminką na gazecie, miał się udać Davide, mieściło się przy małym, wybrukowanym okrągłymi kamieniami placyku znajdującym się kilkadziesiąt metrów od jego domu. Kiedyś nie musiałby nawet ubierać butów, żeby do niego dojść, gdyż budynek, w którym mieszkała Diana, sąsiedował z kinem. Kiedy jeszcze bywał u niej stałym gościem, lubił obserwować przez okno, jak każdego poniedziałkowego poranka stary portier zmieniał plakaty reklamowe filmów w szklanej witrynie przytwierdzonej do ściany budynku.

Niewielką loggię w kamienicy znajdującej się naprzeciw wejścia do kina zajmował pub, w którym wieczorem można było spotkać znajomych z dzielnicy. Davide poczuł nieprzyjemne ukłucie w żołądku, kiedy przyszło mu na myśl, że w miejscach, w których spędzili z Dianą wiele pięknych chwil, dziś towarzyszył jej Giacomo: troglodyta, który nie odróżniłby Antonioniego od świętego Antoniego, a Apolla od Achillesa. Nazwisko Antonioniego nie skojarzyło mu się całkowicie przypadkowo. Ten słynny reżyser urodził się w Ferrarze. Jego filmy wyświetlano często w kinie

„Apollo”, co znacznie ograniczało prawdopodobieństwo, że akurat tam natknie się na Giacomo.

Pokrzepiony tą myślą, wszedł różnym krokiem na placyk. Tak jak przypuszczał, wokół pubu zgromadziło się już mnóstwo ludzi. Była to pora *aperitivo* i wielu Włochów relaksowało się z przyjaciółmi przy winie, lekkich drinkach i przekąskach. Wśród stojących na zewnątrz z kieliszkami w dłoniach osób rozpoznał kilka znajomych twarzy.

„Chryste, żeby tu tylko nie było Diany albo tego jej tępego buca”, pomyślał. Miał wyrzuty sumienia, że nie zdążył na poranne spotkanie i oględziny w willi Bonardiego. Diana nie odbierała dziś jego telefonów ani nie odpisywała. Znał ją dobrze i doskonale wiedział, że jeszcze przez kilka dni każe mu pokutować za niepunktualność i niesłowność.

Odgonił nieprzyjemne myśli. Dziś miał w planach coś ważnego i wolał pozostać czujny i skoncentrowany. Miał szansę posunąć do przodu swoje dziennikarskie śledztwo, a dzieląc się informacjami z Dianą, zapewne zdołałby wymazać u niej część swoich win. Podświadomie liczył też na coś więcej.

Im dłużej wspominał widzianą przez mgnienie oka piękną twarz Olivii, tym bardziej miał ochotę poznać ją bliżej.

Minął tętniący muzyką i gwarem rozmów lokal i podszedł do drzwi wejściowych kina. Wbrew jego oczekiwaniom dziewczyna nie czekała na niego ani przed wejściem, ani w hallu, do którego zajrzał. Zawiedziony zerknął na zegarek. Była dwudziesta dziesięć. Wyglądało na to, że kolejna kobieta zapragnęła ukarać go za niepunktualność. Zdesperowany zaczął rozglądać się po placyku. Pobieżna lustracja niczego nie dała, więc postanowił podejść w kierunku przeciwnym do tego, z którego przyszedł. Już po kilku krokach, w oddali, zobaczył jedyną na całym zatłoczonym placu blond głowę.

Olivia stała w wejściu nieczynnego od dawna, zbudowanego w romańskim stylu niewielkiego kościółka, który przylegał do bocznej ściany kina „Apollo”. Rozmawiała akurat przez telefon. Gestykulowała przy tym żywo i wyglądała na zdenerwowaną.

Wbrew temu, czego mógł się spodziewać, nie była ubrana na czarno, jak wtedy, gdy biegł za nią przez całe miasto. Gdyby nie komórka w ręku, dziewczyna wyglądałaby jak wyjęta żywcem z żurnala mody. Jej granatowa sukienka w groszki pozbawiona była dekoltu i kończyła się przy szyi rodzajem skromnego kołnierzyka. Cienki pasek opinający jej wąską talię podkreślał smukłość sylwetki oraz wyraźnie zarysowany biust. Swoje długie blond włosy zakręciła w kok i spięła z tyłu, odsłaniając smukłą szyję i niewielkie srebrne kolczyki w uszach. Całość dopełniały białe buciki na niskich szpilkach i krwistoczerwona szminka. Davide w jednym momencie zrozumiał, że byle jaki T-shirt, który na siebie wrzucił nie był jednak najlepszym wyborem.

Na jego widok dziewczyna przerwała rozmowę, którą prowadziła. Wrzuciła telefon do małej torebki i wyszła mu naprzeciw.

– Punktualność nie jest chyba jedną z twoich zalet? – rzuciła na przywitanie,

wyciągając do niego dłoń.

– Przepraszam, oczywiście masz rację. Ale czy nie miałaś przypadkiem czekać przy kinie? – zapytał podając jej rękę.

Miała długie smukłe palce, a uścisk jej dłoni był silny i niemal męski.

– Ależ ja stoję przy kinie! – odpowiedziała bystrze, a jej zmęczona i wyraźnie zdenerwowana twarz rozjaśniła się na chwilę w pięknym uśmiechu, który odsłonił dwa rzędy białych zębów i spowodował, że wokół błękitnych oczu pojawiły się drobne, sympatyczne mimiczne zmarszczki. Davide z miejsca uznał je za urocze. Było widać, że dziewczyna śmiała się często i chętnie, ale jej wrodzona wesołość najwyraźniej została przytłumiona czymś, co ją przygniatało i rozpraszało.

– Przepraszam, że zwróciłam ci uwagę – na jej twarzy znów zagościła powaga. – To ja cię tu sprowadziłam i jestem ci wdzięczna, że przyszedłeś, ale to nie randka. Chyba to rozumiesz, jak i to, że nie pójdziemy na film.

– No pewnie! – odpowiedział pośpiesznie Davide. Za żadne skarby nie chciał wyjść na taniego podrywacza. – Jestem tu zawodowo i nie mogę się doczekać, żeby usłyszeć, co masz mi do powiedzenia – zająknął Olivii w oczy. – Ale przede wszystkim chciałbym wiedzieć, dlaczego chcesz rozmawiać akurat ze mną?

– Hmm... Naprawdę mnie nie poznajesz? – dziewczyna odwzajemniła mu głębokie spojrzenie.

Dziennikarz poczuł się całkowicie zdezorientowany. Znali się? Ale skąd? Przecież na pewno nie zapomniaby tych wielkich oczu!

– Ja... Nie za bardzo właśnie... A skąd my... – zaczął się jąkać, podczas gdy jego mózg rozpaczliwie skanował najgłębsze zakamarki pamięci.

– Profesor Bonardi. Historia sztuki. Byliśmy na tym samym roku – dziewczyna w końcu się nad nim zlitowała. – I nie przejmuj się, mogę zrozumieć, że mnie nie pamiętasz. Byłam w innej grupie, spotykaliśmy się w jednej sali tylko na niektórych wykładach. A ja nosiłam wtedy okulary, aparat na zębach i... jakby to powiedzieć... nie byłam blondynką – na twarz dziewczyny wrócił znów beztronski uśmiech. – Lubiłam farbować włosy na różne kolory. A ty byłeś wiecznie otoczony zwartym murem wzdychających do ciebie dziewic, spoza których i tak trudno byłoby ci mnie dostrzec – zakończyła śmiejąc się już na głos.

– Zapewniam cię, że to nie były dziewice! – Davide także się zaśmiał czując szansę na wyjście z tej dyskusji z twarzą.

– Posłuchaj, jestem tu, bo chcę poznać twoją historię i to, co masz do powiedzenia na temat profesora i jego śmierci. To jest jasne i oczywiste, ale chcę też żebyś wiedziała, że... – zawahał się, ale w końcu postanowił postawić na szczerość – że przyszedłem tu również, bo nie mogę zapomnieć twojego spojrzenia, wtedy po pogrzebie.

Zobaczył, jak twarz dziewczyny tężeje.

– Bardzo cię przepraszam, że do tego wracam – zreflektował się. Przypominanie jej o śmierci matki było jeszcze gorszym pomysłem niż flirtowanie – Wybacz, ale to

naprawdę nie daje mi spokoju. Co ty mi wtedy właściwie chciałaś powiedzieć? – udało mu się wybrnąć rzeczowym pytaniem.

Olivia zamiast odpowiedzieć chwyciła go pod ramię i zaczęła prowadzić w wąską uliczkę prowadzącą do dawnej dzielnicy żydowskiej.

– Mam nadzieję, że teraz się skupisz na czymś więcej niż na moim spojrzeniu – powiedziała cicho – bo ja mam mało czasu, a nawet nie wiem, od czego mam zacząć.

Inni

Kilka przecznic dalej, w wąskim ciemnym zaułku, dwóch mężczyzn rozmawiało ze sobą półgłosem. Uliczka, w której się znajdowali, była okryta złą sławą już od czasów średniowiecza, o czym dobitnie świadczyła jej nazwa: „vicolo dei Duelli” – aleja Pojedyneków. Droga była obecnie prywatną własnością, ale to właśnie fakt, że nie przechodziły tędy postronne osoby, a nieliczne okna należące do przyległych kamienic były szczelnie zakryte pozamykanymi na głucho okiennicami, w dalszym ciągu czynił z niej idealne miejsce do spotkań dla osób, które nie chciały być przez nikogo zauważone.

Mężczyźni starali się rozmawiać cicho, ale ekspresja, z jaką gestykulowali, świadczyła o coraz bardziej rozpalających ich emocjach.

– *Amico*, proszę cię jeszcze raz, skończ się już wkurwiać i mi grozić, bo na mnie ta twoja gadka wrażenia nie robi, a ja ci piąty raz powtarzam, że nie mam, ale wkrótce będę miał, okej?!

Wypowiadający te słowa, w uspokajającym geście wyciągał ręce w kierunku ubranego w strój motocyklisty mężczyzny o arabskich rysach. Ten jednak nie wyglądał na uspokojonego ani przekonanego.

– *Non! Toi connard!* Ja nie jestem twój „amico”! – motocyklista z trudem mówił po włosku z silnym francuskim akcentem. – A ty masz zrobić, jak mówię, *bien*? Jutro masz być tutaj! Z kasą! *Money, cash!* *Tu comprends?* *Mon chef* nie daje ci więcej czasu. Za długi się płaci, *fils de pute!* A dla ciebie skończył się czas *amico!* – nie próbował już zachować ciszy, a ręka z trzymanym przez niego kaskiem powędrowała w górę, jakby chciał się nim zamachnąć na drugiego mężczyznę. Ten, opuścił zrezygnowany ręce i splunął pod nogi Francuza.

– Dobra, szmaciarzu, możesz być pewien. Będę tu jutro – powiedział. Motocyklista najwyraźniej uznał odpowiedź za wystarczającą. Założył kask na głowę i skierował się w stronę uchylonej furtki u wylotu uliczki.

– *Connard italien!* – dało się słyszeć z wnętrza kasku, gdy mijając mężczyznę trącił go z rozmysłem w ramię.

Dawna dzielnica żydowska w Ferrarze obejmowała kilka kwartałów południowej i wschodniej części starego miasta. W połowie piętnastego wieku, kiedy Europa budziła się powoli z mroków średniowiecza, Ferrara była już prawdziwą enklawą wolności dla nieprawomyślnych i innowierców. Choć były to ziemie lenne państwa

papieskiego, prowadząca własną zręczną politykę dynastia d'Este wspierała nie tylko napływ przedsiębiorczych Żydów, ale i wszelkiej narodowości artystów, architektów, astrologów, alchemików i kabalistów. Dopiero zakończenie epoki książąt d'Este i definitywne przejście Ferrary pod rządy państwa papieskiego położyło kres tej barwnej i twórczej mieszance ras i kultur.

Davide i Olivia idąc niespiesznie od miejsca, w którym się spotkali, dotarli do małej kawiarenki przy prowadzącej do rynku via Mazzini. Lokalik, przy którym postanowili się zatrzymać, znajdował w samym centrum dawnego getta, w którym papież Klemens VIII, po wygnaniu d'Este rozkazał zamknąć Żydów. Była to typowa włoska ulica, wzdłuż której mieściły się sklepy z markową odzieżą, kawiarnie i restauracje. Pomiędzy nimi, jak relikwiny minionej epoki, wznosiła się ostatnia w mieście i wciąż uczęszczana synagoga.

Usiedli przy jednym z wystawionych na zewnątrz kawiarnianych stolików i zamówili drinki. Dzień się powoli kończył. Ruch w mieście zamierał. Z widocznej u wylotu uliczki katedralnej dzwonnicy dobiegał miarowy dźwięk dzwonów.

Dziewczyna wodziła palcem po brzegu kieliszka wypełnionego spritzem. Czerwień lakieru na jej zadbanych paznokciach doskonale harmonizowała z grejpfrutowym odcieniem alkoholu w kieliszku, w którym odbijały się promienie zachodzącego słońca. Siedzący naprzeciw niej Davide w zamyśleniu mieszał lód w swojej szklance z colą i trawił to, co opowiedziała mu podczas spaceru Olivia. Patrzył na piękną i poważną twarz asystentki zmarłego profesora i nie był pewien, czy powinien potraktować jej słowa jako szczególny objaw choroby psychicznej, czy też jako szytymi grubymi nićmi żart, który miał pogрузić jego karierę. Przyszło mu nawet na myśl, że wszystko to było jakąś makiaweliczną intrygą, za którą stał jego szef Montanari. Ale jaki do diabła miałby mieć w tym cel?

– Więc mówisz, że porwali cię... templariusze? CI templariusze? Z mieczami, w zbrojach i tak dalej? – zapytał patrząc jej w oczy i sprawdzając, czy w jej wzroku nie pojawi się cień obłędu albo demaskujący jej intencje ogień wesołości.

– Davide! – dziewczyna odwróciła się w jego kierunku ze spojrzeniem, w którym odbijała się jedynie złość. – Posłuchaj, opowiedziałam ci to wszystko, ponieważ pamiętałam, że zawsze byłeś inteligentnym chłopcem. Mimo, że trochę narcyzem – dodała szczerze.

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Bał się, że zostanie zmanipulowany. To była jego zawodowa fobia. Był wyczulony na kłamstwa i zawsze szczegółowo sprawdzał źródła informacji. Miał świetnego mentora i doskonale wiedział, że w świecie *fastfoodowych* mediów społecznościowych i anonimowych pseudoinformacji, które często okazywały się *fake newsami*, on i Montanari byli relikwiami dawnego dziennikarstwa niedostosowanymi do współczesnych trendów. Może właśnie dlatego obaj pracowali w prowincjonalnym dzienniku, gdzie, swoją drogą, było im jednak bardzo dobrze. Z drugiej strony, jak każdy dziennikarz, Davide marzył o swojej szansie: nośnym temacie, który uczyniłby go sławnym i pomógł w karierze. Historia, w którą właśnie wplątywała go dziewczyna, choć na pierwszy rzut oka niewiarygodna, wydawała mu

się jednocześnie coraz bardziej sensacyjna, a to właśnie było coś, co najłatwiej dawało się sprzedać. Ponadto, poprzez fakt, że dziewczyna była powiązana ze zmarłym Bonardim, Davide był wręcz zobowiązany do nieodpuszczania tego tematu. W końcu na tym właśnie polegało zadanie wyznaczone mu przez szefa. Montanari zapewne sprawdziłby nawet najbardziej nieprawdopodobne wątki. I to właśnie zdecydował się zrobić Davide.

Było jeszcze coś, co popychało go do działania. Nawet jeśli starał się to ukryć przed sobą samym, było mu niezwykle dobrze w towarzystwie Olivii. Coraz mocniej odczuwał ekscytację, wykraczającą daleko ponad naturalne zainteresowanie, jakie młody mężczyzna okazuje pięknej dziewczynie. Emocje, które go ogarniały, były mieszanką rodzącego się pożądania, ciekawości, a przede wszystkim zachwyty nad zapierającym mu dech w piersiach pięknem bijącym z oczu dziewczyny. Nie chodziło nawet o ich intensywny czysty błękit. Być może był już lekko zakochany i odbierało mu to trzeźwość myślenia, ale czuł, że w jej spojrzeniu było coś, co pochodziło nie z tego świata, zupełnie jakby było ono oknem do innego wymiaru. Jeśli istniały anioły, musiały tak właśnie patrzeć na ludzi. Humanistyczne wykształcenie Davide'a może nie pozostawiło w nim wiele wiedzy, ale dało mu talent do dostrzegania i doceniania piękna. Nie miał wątpliwości co do tego, że spotkał się z czymś niezwykłym. Tak jak malarz Botticelli, kiedy ujrział piękną Simonettę Vespucci, od razu dostrzegł w niej Wenus z obrazu, który później namalował, tak i Davide przeczuwał, że te nieziemskie oczy doprowadzą go do czegoś niezwykłego. Postanowił im ulec.

– Musisz mi wybaczyć – odchrząknął i wydobył wreszcie z siebie głos – ja sobie to muszę wszystko poukładać w głowie. I, o ile to w ogóle możliwe, jakoś zracjonalizować.

– Ale co tu dla ciebie jest jeszcze niejasne? – Olivia nerwowo stuknęła paznokciem w prawie pusty już kieliszek. – No dobrze, jeszcze raz to wszystko powtórzę. Tym razem sobie zapisuj albo nagrywaj, bo tłumaczę ci to ostatni raz – wzięła głęboki oddech.

– Trzy tygodnie przed śmiercią profesora zgłosiła się do mnie delegacja z Ministerstwa Kultury Francji. Tak się przedstawili. Chcieli się umówić z Bonardim. Wyznaczyłam termin. Pojechalśmy wraz z profesorem na spotkanie do pubu „Apelle” na via Carlo Mayr, który serwuje najlepsze drinki w mieście. Piłam „Polish bully” z polskim miodem.

Olivia zerknęła z ukosa na notującego posłusznie Davide'a. Ten zamarł z długopisem w ręku. O mało nie zapisał tej bezcennej informacji. Musiał się przyzwyczaić do tego, że dziewczyna potrafiła przemycić ironię w nawet najbardziej nieoczekiwanych momentach.

– Na spotkanie przyjechało trzech Francuzów – wróciła jakby nigdy nic do opowiadania. – Szczerze mówiąc, tylko jeden z nich wyglądał na urzędnika. Taki megaelegancki facet po sześćdziesiątce, z siwą szpicbródką, wyglądający jak podstarzały Aramis z „Trzech Muszkieterów”. Przedstawił się jako Eliot de Montresor

i wyciągnął papiery podpisane przez prezydenta Francji i jakieś tam włoskie upoważnienia. Mówił zresztą dość dobrze po włosku w przeciwieństwie do reszty tych gości, którzy się prawie nie odzywali i wyglądali raczej na najemników z Legii Cudzoziemskiej albo ochroniarzy niż na znawców sztuki. Od razu wydało się nam to dziwne. Ale wysłuchaliśmy tego Szpicbródki. Zaczął od tego, że po pożarze katedry Notre-Dame, ich prezydent powołał komisję, która ma otoczyć szczególną troską francuskie dziedzictwo kulturowe i takie tam. I że oni są w Ferrarze w celu odnalezienia i wynegocjowania zwrotu pozostawionych tu francuskich dzieł sztuki. A że nasz profesor bywał wielokrotnie we Francji, raz nawet z podobną misją odzyskiwania włoskich obrazów, więc oni chcieliby skorzystać z jego wiedzy i kontaktów.

– Bonardi faktycznie coś takiego robił? – zainteresował się Davide. – Chodziłem na jego wykłady, ale nigdy o tym nie wspominał.

Olivia spojrzała na niego z dezaprobatą.

– Hmm, nie wiem, z jakiej ty się choinki urwałeś, bo kto jak kto, ale ty powinieneś to wiedzieć. Twój szef bardzo mu pomógł podczas jednej z takich podróży. Jego popytaj. Mogę mówić dalej?

Poławajany Davide skinął potulnie głową i zatopił spojrzenie w notesie.

– Tak więc ten Francuz poprosił o pomoc profesora. Ale źle trafił. Bonardi odpowiedział, że chętnie posłucha, o co konkretnie chodzi, ale zaznaczył, że zanim miasto Ferrara cokolwiek odda Francuzom, on prosiłby uprzejmie o oddanie złotej kuli z kościoła San Giuliano oraz rzeźb książąt d'Este z brązu zagrabionych przez wojska napoleońskie. Odpalił im taką torpedę! Za to go uwielbiałam. Ale to się Francuzom oczywiście nie spodobało. Szpicbródka ledwie stłumił złość, ale widocznie bardzo mu zależało, bo odpuścił i zaczął coś tam dyplomatycznie tłumaczyć, że Unia Europejska, międzynarodowe dziedzictwo, dobra narodowe, UNESCO itede, itepe. Koniec końców, doszedł do sedna. I teraz uważaj, panie dziennikarzu – Olivia zawiesiła dramatycznie głos. – Ten de Montresor nagle strzelił z grubej rury i stwierdził, że jest potomkiem jednego z mistrzów zakonu rycerskiego, a konkretnie zakonu templariuszy i że on jest osobiście zainteresowany odnalezieniem bardzo cennego klejnotu należącego do zakonu, którego trop wiedzie właśnie do Ferrary!

– I profesor mu uwierzył? – zapytał nieco sceptycznie Davide.

– Ja mu uwierzyłam. Bo ja już coś o tym klejnocie słyszałam – odparła z lekkim wahaniem.

– Ale co to w ogóle za klejnot?

– Nie przerywaj, to ci opowiem detektywie! – uciszyła go dziewczyna. – Może niepotrzebnie przy tych Francuzach pochwaliłam się, że coś słyszałam o tym drogocennym kamieniu. Mama mi kiedyś o nim opowiadała. Zdaje się, że do Ferrary przywiózł go słynny francuski rycerz Pierre de Bayard w prezencie dla Lukrecji Borgii, która wtedy była żoną tutejszego księcia. Coś jakby w tym stylu, nie pamiętam już dokładnie – urwała i odwróciła głowę, jakby z niewiadomego powodu nie chciało

się jej o tym już mówić.

Davide zaczął intensywnie przywoływać z pamięci wymienione nazwiska. Księżniczka Borgia, była jedną z najpiękniejszych kobiet okresu renesansu. Nieślubna córka papieża Aleksandra VI była *femme fatale* tamtych czasów. De Bayard natomiast był odpowiednikiem polskiego Zawiszy Czarnego, o którym, ojciec czytał mu w dzieciństwie bajki. We Francji dzieci uczyło się o de Bayardzie – „rycerzu bez strachu i skazy”. Znał dobrze tę postać, ale nie wiedział, że Ferrara gościła tego słynnego rycerza. Najwyraźniej Olivia była znacznie pilniejszą studentką od niego.

– Ale co na to wszystko odpowiedział tym Francuzom profesor? Nie zapytał, co mają templariusze wspólnego z tym kamieniem? – uparcie dociekał dalej.

– Nie. Nie zapytał. Od razu przerwał spotkanie. Jak tylko usłyszał, że zaczynam coś mówić o klejnocie, kopnął mnie pod stołem tak mocno, że do dziś mam ślad – dziewczyna niespodziewanie postawiła stopę na krześle, na którym siedział Davide i pozwoliła mu podziwiać zgrabną łydkę z okazałym sińcem.

Wzrok chłopaka mimowolnie podążył wzdłuż odsłaniającego się pod sukienką uda. Olivia była czujna.

– Ej! – zdjęła gwałtownie nogę z krzesła. – Koleżko, to nie twoje! Trzeba było patrzeć, kiedy miałam na to ochotę – rzuciła wydymając wargi.

Zaczerwienił się jak mały złodziejczek przyłapany na kradzieży jabłek.

– I wtedy Francuzi cię porwali? – zapytał pośpiesznie, maskując swoje zakłopotanie.

– Dwa dni później. Z tamtego spotkania wypadliśmy tak szybko, jakbyśmy się ewakuowali z pożaru. Profesor wyprowadził mnie za łokieć i nawet się nie pożegnał z tymi typami. Miał przerażenie w oczach. Zaczął mnie pouczać, że mam milczeć jak grób i nikomu o tym kamieniu i o całej tej historii nie mówić i że to bardzo niebezpieczne. No i chyba faktycznie było. Dwa dni później szłam odwiedzić moją mamę, ona już była bardzo chora – głos dziewczyny na chwilę się załamał – wchodziłam po tej ciemnej klatce schodowej, no i... obudziłam się w bagażniku samochodu. Słyszałam tylko dźwięk motoru i jakieś głosy, jakby ktoś rozmawiał głośno przez telefon. W bagażniku było ciemno, to było straszne, nie mogłam krzyczeć, miałam coś na twarzy.

Olivia zaczęła drżeć. Davide instynktownie przykrył jej dłoń swoją. Przez chwilę dziewczyna pozwalała mu na ten gest. Poczul ją jak jest drobna i wiotka. Jego własna dłoń wydała mu się łapą wielkoluda. Dziewczyna opanowała się i cofnęła rękę szybkim ruchem.

– Skąd wiedziałaś, że to byli Francuzi? – zapytał.

– Rozmawiali po francusku, Szerłoku.

– O co cię pytali?

– Nie zdążyli o nic zapytać. Nagle poczułam szarpnięcie, usłyszałam jakieś krzyki, trzaski i bagażnik się otworzył, a nade mną stał wielki jak szafa facet ubrany na czarno. Powiedział po włosku, że mnie uratowali, że tamci uciekli i że to nie byli

żadni templariusze ani urzędnicy, tylko oszuści, natomiast on jest prawdziwym templariuszem i jego misją jest mnie chronić.

Davide otarł pot z czoła. Nie wiedział już nawet, o co pytać. Czuł się coraz bardziej zdezorientowany.

– To ich widziałem z tobą w kościele? Bo tego wielkiego faceta pamiętam.

– Tak. Może to i świry, ale oni mi faktycznie pomogli. Chodzili za mną cały czas, zorganizowali pogrzeb i wszystko. Wyglądają na dobrych ludzi, ale ja już mam ich dość. Boję się. Nie wiem, komu mam ufać i o co tu w końcu chodzi. Po śmierci profesora i mojej mamy nie mam tu już nikogo. Dlatego zwróciłam się do ciebie. Ciebie znam. Słabo, ale jednak. I wiem, że dobry z ciebie facet. No i masz kontakty... Może mi jakoś pomożesz...

Davide znów zobaczył to samo miękkie spojrzenie, które przykuło jego uwagę w kościele. Na moment znikła jej ironia i hardość. Pojawiła się bezradność i nieme błaganie.

Zawodowa dociekliwość nie dawała mu jednak spokoju.

– Ale kilka dni później, w dzień poprzedzający śmierć profesora zaczęły napływać kwiaty od tych Francuzów, tak? To było już po tym porwaniu. Dlaczego więc je przyjąłeś, dlaczego ich nie wyrzuciłeś? Nie powiedziałaś o niczym Bonardiemu? I tak w ogóle, dlaczego nie zgłosiłeś tego wszystkiego na policję?

Dziewczyna spuściła wzrok i utkwiała go w stoliku. Przestała stukać nerwowo paznokciami. Po dłuższym namyśle powiedziała:

– Bałam się straszliwie i chciałam tylko...

Dalsze słowa Olivii zagłuszył hałas i krzyki ludzi dochodzący z głębi uliczki. Dał się stamtąd słyszeć narastający i coraz bardziej przenikliwy dźwięk motoru.

Nagle u wylotu pasażu wyłonił się rozpędzony motocykl, którego kierowca, z twarzą szczelnie zakrytą kaskiem, minął ich w szaleńczym pędzie przewracając po drodze stoliki.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w tym samym momencie za plecami Olivii pojawił się znikąd wysoki siwy mężczyzna, w którym dziennikarz rozpoznał jej tajemniczego opiekuna. Wziął ją delikatnie, choć stanowczo pod rękę i pociągnął za sobą. Davide w harmidrze, jaki się rozpętał, ledwo dosłyszał wypowiedane przez niego słowa:

– Proszę panienko, tu jest niebezpiecznie! Proszę bardzo, idziemy!

Dziennikarz stał zdezorientowany nie wiedząc, jak ma się zachować, ale zobaczywszy, że dziewczyna się nie opiera, postanowił nie powstrzymywać mężczyzny.

Dopiero gdy oboje zniknęli za zakrętem, zorientował się, że tuż obok niego wśród nielicznych przechodniów wygrażających i krzyczących za piratem drogowym stał Giacomo. Nieruchomo, w poszarpanym ubraniu wpatrywał się w ślad po motocyklicście wzrokiem byka, który ma zamiar dziką szarżą rozerwać na strzępy torreadora.

Śledztwo

Dwa dni później Enrico Montanari siedział w wygodnym fotelu w Sali Arrasowej zabytkowego ratusza patrząc na burmistrza Ferrary Stefano Barbieriego, który przechadzał się nerwowo wzdłuż pomieszczenia z plikiem dokumentów w dłoni. Tego poranka wólarz miasta miał aż nadto powodów do zdenerwowania. Wizyta naczelnego redaktora jedynej liczącej się w mieście gazety oraz rewelacje, z którymi ten ostatni przyszedł się podzielić, były kroplą, która przelewała czarę, wypełnioną już po brzegi fatalnymi wiadomościami z ostatnich dni. Jakby niebo sprzysięgło się, aby uprzykrzyć mu piastowanie jego ważnego urzędowego stanowiska lub, co gorsze, spektakularnie go tego stanowiska pozbawić. Nie dość, że kilkanaście dni temu w, mówiąc oględnie tajemniczych okolicznościach, zmarł znany i poważany w całym kraju znawca i mecenas sztuki, to karabinierzy zamiast wyjaśniać okoliczności tej śmierci, od wczoraj szukali swojego zaginionego funkcjonariusza. Podobno nie zgłaszał się na służbę. Jego telefon był wyłączony, a przełożeni ani bliscy nie mieli z nim kontaktu.

A teraz jeszcze to.

– Tak, to mój podpis i pieczęć. Skąd miałem wiedzieć, że poświadczam nieprawdę? – burmistrz stanowczym urzędniczym tonem głosu próbował zatuszować zdenerwowanie. – Dokumenty tych Francuzów wyglądały na całkowicie legalne i oficjalne. Do cholery! Tam były pieczęci Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Ministerstwa Kultury! – Barbieri zakończył niemal krzyżąc, co było spowodowane nie tylko narastającym w nim rozdrażnieniem, ale i hałasem dochodzącym z placu pod urzędem, na którym, jakby specjalnie, aby pozbawić go resztek spokoju, zgromadziła się młodzież skandująca głośno hasła przeciwko zmianom klimatycznym i zanieczyszczaniu środowiska.

Burmistrz podszedł do okna, z którego dochodziły hałasy z zamiarem zamknięcia go, gdy nagle najwyraźniej coś w nim pękło i całe narastające w nim napięcie znalazło ujście w krzyku, jaki wydobył się z jego gardła w stronę demonstrującej młodzieży.

– Gówniarze!!! Do szkoły wracać! Albo do domu! A nie wrzaski tu urządzać! Tu się pra-cu-je! – przesylabizował charcząc z wysiłku, jaki włożył w ten wybuch oraz w energiczne zamknięcie okna, które miało postawić kropkę po jego emocjonalnej wypowiedzi i oddzielić go od nienawistnej tłuszczy. Nie zatrzymał tym jednak skutecznie hałasu, do którego doszły na dodatek gwizdy i uderzenia plastikowymi butelkami trzymanymi w rękach przez tłumek pobudzonych młodych ludzi. Burmistrz usiadł ciężko na krześle przy olbrzymim stole zajmującym centralną część

sali i pomyślał, że łatwiej się rządziło, kiedy wszyscy z powodu pandemii byli zmuszeni do siedzenia w domach. Mimo niespełna pięćdziesięciu lat poczuł się stary i bezsilny. Chętnie wysłałby policję do rozgonienia tego nielegalnego zgromadzenia. Gdyby tylko nie mieli teraz czego innego do roboty. Na straż miejską też nie mógł liczyć, bo ta potrafiła tylko wystawiać mandaty za parkowanie w niedozwolonych miejscach.

– Ja naprawdę nie chcę panu dokładać zmartwień – odezwał się z chłodnym spokojem Montanari. – Ale jako przedstawiciel prasy występujący w imieniu mieszkańców tego miasta, chciałbym się dowiedzieć, czy nie macie jakichś procedur, które miałyby na celu weryfikację osób, które do pana przychodzą i chcą tu legalnie działać, podając się za kogoś ważnego. Gdybym na przykład przyszedł i powiedział panu, że jestem potomkiem Alfonsa d’Este i chcę z powrotem mój pałac? – Montanari rozejrzał się wokół znacząco.

– Ależ, co pan mi tu! – rozsierdzony burmistrz aż podskoczył na krześle. – Co mi pan tu imputuje? Ma pan mnie za idiotę?! Pieczętka z ministerstwa to jest proszę pana dowód urzę-do-wy! – zaczął znów sylabizować. – Jakiej pan niby chce procedury?!

– Może tak telefon do ministerstwa? – zasugerował dziennikarz, wskazując podbródkiem aparat stojący na biurku za plecami burmistrza.

– Proszę pana, ja mam już dość pana impertynencji! Przyznałem się, że zostałem wprowadzony w błąd. Czego pan więcej chce? Ja nie mam już nic więcej do powiedzenia. To nie jest moja odpowiedzialność, żeby sprawdzać każdy jeden dokument i każdą jedną pieczętkę!

– Acha. Wie pan co, panie burmistrzu? Niech mi pan tylko powie, a czyja to jest odpowiedzialność? – Montanari również podniósł się z fotela i spojrzal burmistrzowi prosto w oczy. – Po kilku dekadach mojej dziennikarskiej pracy, nabyłem głębokiego przekonania, że wam, politykom, zbyt łatwo wychodzi pozbywanie się jakiegokolwiek odpowiedzialności – redaktor ruszył w stronę wyjścia. Trzymając rękę na kłamec, obrócił się ponownie w stronę urzędnika.

– I jeszcze jedno. Nie ma sensu, żeby pan zamykał okna. Oni i tak będą krzyczeć. I będą mieli rację. Bo niestety, ale ich okłamaliśmy.

Burmistrz wybałuszył oczy, nie dowierzając w to, co usłyszał. Miał wrażenie, że jego poranek przeradzał się z fatalnego w jakiś surrealistyczny koszmar.

– Co pan znowu teraz?! O czym pan mówi? Kto kogo okłamał?

– Wy, politycy. My zresztą też, dziennikarze, przedsiębiorcy, całe nasze pokolenie. My wszyscy ich okłamaliśmy – powiedział Montanari ze smutkiem. – Wie pan, wmówiliśmy im, że świat działa tak, jak powinien. Że kominy mają filtry i perfekcyjnie czyszczą powietrze. Że możemy wylewać do ścieków, co chcemy, bo przecież mamy świetne oczyszczalnie. Że wystarczy wyrzucać śmieci do odpowiednich pojemników, a magicznym sposobem cały ten ładnie posegregowany plastik wyparuje i nie pozostawi po sobie śladu, a z reszty zbudujemy place zabaw. Że nie musimy się bać zmian klimatu, kryzysów ekonomicznych, migracyjnych

i zarazków. Że należy cieszyć się z tego, że w ogóle mamy jakąś pracę, płacić coraz wyższe podatki, jeść do syta, a latem leżeć na plaży i oddawać się błogiej bezmyślności. I nigdy, przenigdy nie narzekać, bo przecież świetnie się nam żyje. To im wmawialiśmy, od pierwszej klasy szkoły podstawowej. Ale teraz oni już wiedzą, że ich okłamaliśmy. To tak na temat odpowiedzialności. Do widzenia, panie burmistrzu. – Montanari zatrzasnęła za sobą ciężkie drewniane drzwi dostatecznie szybko, by nie usłyszeć emocjonalnej odpowiedzi urzędnika zaczynającej się od słów „następny, któremu ukradli dzieciństwo” i kończącej się bogatą wiązką przekleństw w niezbyt miłym dla ucha ferraryjskim dialekcie.

W tym czasie redaktor szedł już powoli w kierunku bramy oddzielającej kratami urząd od zgromadzonego przed nim tłumu. Przystanął na chwilę w hallu, patrząc na bogato zdobione ściany. Lubił to miejsce, mimo że przypominało mu o dniu, w którym jako młody i obiecujący dziennikarz zawarł ślub z kimś, kto nie docenił jego uczucia i oddania. Ogarnęło go uczucie rozdrażnienia, które wzmogło się, kiedy do jego nosa dotarł duszący zapach kwiatów zgromadzonych w dużej ilości pod ścianami sali.

– To pani ma tylu wielbicieli czy jego ekscelencja? – zagadnął żartobliwie sekretarkę siedzącą przy niewielkim biurku w kącie pomieszczenia.

– Ja nie znoszę piwonii – odparła z uśmiechem dziewczyna. – Ale narzeczona adwokata najwyraźniej je lubi. O dwunastej mamy tutaj ślub vipów. Zjedzie się mnóstwo ważnych ludzi z Ferrary i z Bolonii. Mam nadzieję, że do tego czasu ta cała demonstracja się już skończy – westchnęła patrząc w stronę okna.

– Piwonie, mówi pani... – powiedział bardziej do siebie niż do niej Montanari. Zbliżył się do kwiatów. Z bliska zapach był absolutnie nie do wytrzymania. Odwrócił się zamyślony i podszedł do drzwi wyjściowych. Tam przystanął, zawrócił na środek hallu i wyciągnął z kieszeni telefon. Przez chwilę szukał numeru i w końcu przyłożył telefon do ucha.

– Govoni, kto tam? – usłyszał chrapliwy i zasapany głos.

– To ja, Enrico. Trzymasz się jakoś stary druhu? Tak, przyjmij moje kondolencje... Domyślam się, jak ci ciężko. Tyle lat dla niego pracowałeś. Ja też nie mogę się pozbierać. Posłuchaj, mam do ciebie sprawę – Montanari ściszył głos.

Rozmowa dwóch mężczyzn trwała niespełna kilka sekund, po czym dziennikarz schował telefon i zdecydowanym krokiem opuścił budynek.

Diana siedziała w pokoju swojego przełożonego i za pomocą kolejnej chusteczki wycierała resztki makijażu, który rozpląnął się całkowicie od łez. Kapitan Emiliano Cimelli był uosobieniem elegancji, spokoju i uprzejmości, zupełnie jakby postanowił się oprzeć powszechnemu mniemaniu na temat służb porządkowych i ich pracy polegającej w dużej mierze na tyłtaniu się po łokcie w najgorszych obrzydliwościach miasta. Jego szpakowata idealnie przystrzyżona szpicbródka oraz nienaganne maniery przywodziły na myśl urzędnika w jakiejś zacnej osiemnastowiecznej

instytucji lub gentelmana siedzącego w angielskim klubie i pykającego fajkę nad popołudniową herbatą.

– Diano – zaczął miękko patrząc z niemal ojcowską troską na nieregularnie rozmazaną szlochającą podwładną – dobrze wiesz, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby odnaleźć Giacomo. Sprowadzam właśnie posiłki z Modeny, przyjadą koledzy, którzy kiedyś z nim pracowali pod przykrywką. Postawiłem też na nogi komisariaty z Bolonii i z Padwy. Wszyscy nasi operacyjni są już na mieście. Chłopcy z Leśnictwa i ze Straży Wybrzeża patrolują deltę Padu i miejscowości nadmorskie. Kto wie, czy tam nie zawiodło go jakieś śledztwo, jakiś trop – zamyslił się kapitan. – Wiesz, problem z naszym Giacomo polega na tym, że jest tajniakiem. Nie kontrolujemy go w stu procentach, nigdy nie wiedzieliśmy dokładnie, gdzie akurat przebywa. On czasem żyje wśród kryminalistów, może akurat wydarzyło się coś, co przeszkodziło mu skontaktować się z nami.

– Ale nigdy, nigdy dotąd tak nie było, żeby choć dzwonka mi wieczorem nie puścił! – zaoponowała Diana. – Przecież doskonale wiem, że pracuje pod przykryciem, ja się nigdy nie wtrącałam, nie pytałam i się nie czepiałam, jak wracał nad ranem albo nawet po dwóch czy trzech dniach. Wiem, co robi. Sama mu czasem zlecam, żeby dla mnie sprawdził coś albo kogoś. Ale właśnie dlatego umówiliśmy się na ten znak! Jeśli go nie było w domu, to codziennie o 23:00 puszczał mi dzwonek. Jeden, dwa sygnały. Oczywiście na prywatną komórkę. I nigdy nie zdarzyło się, żeby zapomniał... a to już dwa cholerne dni! – zacisnęła bezradnie zadbaną dłoń i trzepnęła nią w papiery na biurku, z których uniosła się mgiełka kurzu pobłyskująca w promieniach światła.

– Przepraszam, panie kapitanie – zreflektowała się i cofnęła dłoń. – Nie powinnam – wyprostowała się na krześle. – Moje miejsce jest teraz na mieście razem z kolegami. Proszę mi wyznaczyć sektor, pojedę od razu sprawdzać.

– Hmm i tutaj się mylisz – szef był uprzejmy, ale potrafił być też stanowczy. – Z całym szacunkiem, jaki do ciebie mam, na mieście nie na wiele mi się przydasz. Tam lepiej sprawdzą się chłopcy po cywilnemu. Może tak być, że Giacomo naprawdę coś rozpracowuje, nie możemy go spalić, to mogłoby się dla niego naprawdę źle skończyć – kapitan wstał, jakby miał jej do przekazania coś niezwykle ważnego.

– Mam jednak dla ciebie zadanie, które, jak sądzę, może pomóc i nam, i jemu. Widzisz, on ostatnio nad czymś pracował. Chodził za pewnymi oszustami z Francji. Na pewno już wiesz, że ten zmarły profesor przed śmiercią gościł jakąś delegację z zagranicy. Chodzi o tych samych ludzi. Trzeba ich sprawdzić. Tak przy okazji, właśnie dzwonił do mnie burmistrz i tłumaczył się, że niechący pomógł tym typom, bo nie wiedział, że to oszuści. Choć szczerze mówiąc, głównie to skarżył się na tego dziennikarza z „Pomeridiano”, że go niby nachodzi w tej sprawie... jak mu tam, Montanari! – Cimelli pstryknął palcami. – Nieważne. Problemy burmistrza są w tym momencie na ostatnim miejscu na liście moich priorytetów – kapitan skrzywił się z dezaprobatą, nie próbując nawet ukryć niechęci, jaką żywił do włodarza miasta, którego uważał za niekompetentnego karierowicza. – Tak czy owak chciałbym, żebyś zajęła się tymi oszustami. Pogadaj też z tym Montanarim, wiem, że on się i tak kręci

przy tej sprawie i że cię naciąga na informacje. Tym razem, może to on wie coś więcej. Jest jeszcze coś – Cimelli zawahał się. – Diano... mam do ciebie osobistą prośbę – zniżył głos do konspiracyjnego szeptu, jakby obawiał się wyimaginowanych urzędów podsłuchujących. – Ze względu na delikatny charakter sytuacji, nie mogę teraz na szybko zdobyć odpowiednich nakazów – zawiesił głos. – Ale... gdybyś pozwoliła na przeszukanie waszego mieszkania i prywatnego laptopa Giacomo, mam przeczucie, że mogłoby to ułatwić jego znalezienie – kapitan spojrzał Dianie głęboko w oczy. – Zgodzisz się?

Diana zawahała się tylko przez sekundę.

– Tak, oczywiście. Jeśli to może pomóc...

– Dobrze, cieszę się – Cimelli powiedział już normalnym tonem. – Nie wiem, czy pomoże, ale jestem pewien, że może nam coś rozjaśnić – zapewnił ją. – Zabierz chłopaków z działu informatycznego. Daj mi znać, jeśli tylko coś znajdziecie, Giacomo na pewno coś gdzieś zapisał. Złapiemy jakiś trop, potrzebujemy tego!

Szef uśmiechnął się do Diany pocieszająco. Miał wielką nadzieję, że dziewczyna zajmie się czymś i nie będzie obecna w pobliżu na wypadek odnalezienia zwłok jej narzeczonego, a taką właśnie możliwość w głębi ducha uznawał za dość prawdopodobną.

Porucznik Leone była nie mniej przebiegłą śledczą, ale z wielką ulgą chwyciła się myśli rzuconej jej przez szefa. Wstała, poprawiła mundur, spojrzała na przełożonego i zanim wyszła skinęła w jego kierunku służbiście, jakby ten gest miał przywrócić utraconą nadzieję i cel jej działaniom.

Egzekucja

Do małego pomieszczenia nie dochodziły żadne odgłosy z zewnątrz. Wrażenie całkowitego odizolowania potęgował brak okien. Jedynym źródłem oświetlenia była stojąca na kamiennej posadzce latarka, która rzucała zimny snop światła na zawilgocone ściany, upstrzone wydrapanymi na nich napisami i tajemniczymi symbolami. Niskie romańskie sklepienie nadawało piwniczce doskonałych właściwości akustycznych, toteż nienaturalnie głośne dźwięki spadających kropeł wydawały się wzmocnione za sprawą jakiejś niewidzialnej aparatury. Krople spadały ze stóp wiszącego na ścianie człowieka i zdążyły pod nimi utworzyć dużą czerwoną kałużę krwi, która powoli zaczynała już gęstnieć.

Mężczyzna był całkowicie nagi. Jego szeroko rozwarte ramiona zostały przybite do muru w okolicach nadgarstków za pomocą pneumatycznej gwoździarki. Podobny los spotkał jego złęczone ze sobą i przebite długim metalowymi szpilami stopy. Posiniaczone i poranione ciało nosiło ślady licznych tortur. Mimo tego okrutnego potraktowania mężczyzna jeszcze żył, o czym świadczyła delikatna mgielka pary wydobywająca się wraz z cichym jękiem ze zmasakrowanych ust. Oblepiona krwią twarz, o zniekształconych opuchlizną rysach, nie przypominała kształtem ludzkiej istoty, ale raczej jakąś obrzydliwą maskę z przerażającego horroru. Naprzeciw umęczonego wisielca stał niewysoki, krępy i łysy mężczyzna ubrany w zupełnie niepasujący do otaczającej go upiornej scenerii sposób. Elegancko skrojony czarny płaszcz, nienagannie biała koszula, okulary w złotych oprawkach i czarny wąski krawat nadawały mu bogatego i nobliwego wyglądu. Jedynie zakrwawione gumowe rękawiczki na jego dłoniach dobitnie świadczyły o niechlubnej roli, jaką odgrywał w tym momencie. Od dłuższego czasu wpatrywał się zimnymi szarymi oczami zza szkieł okularów ubrudzonych drobnymi kropelkami krwi w bezbronną i konającą ofiarę. Na jego twarzy nie malowała się żadna emocja. W milczeniu lustrował swoje okropne dzieło. Nieoczekiwanie przyklęknął, uważając przy tym, aby krzepnąca na podłodze krew nie ubrudziła mu starannie wyprasowanych spodni. Ubraną w rękawiczkę dłoń zgarznął z posadzki jakiś podłużny przedmiot. Podniósł się i ponownie stanął naprzeciw okrwawionego wisielca. Zbliżył się do niego na odległość kilku centymetrów i odezwał się cicho z wyraźnie słyszalnym, obcym akcentem.

– Twoja ofiara nie pójdzie na marne. Teraz wszystko będzie łatwiejsze.

Po wypowiedzeniu tych słów, trzymanym w dłoni sztyletem, pchnął przybitego do ściany człowieka prosto w serce. Ten wydał z siebie ostatni jęk i jego zmasakrowana głowa opadła bezwładnie.

Mężczyzna w płaszczu cofnął się o krok, skłonił lekko przed zabitym i chropowatym głosem zaintonował monotonną pieśń.

*Da pacem, Domine,
In diebus nostris,
Quia non est alius
Qui pugnet pro nobis
Nisi tu Deus noster.*

Jego ponury śpiew przypominał raczej recytację. Gdy skończył, w piwnicze zapadła grobowa cisza. Odwrócił się od trupa i powiedział coś niezrozumiałego w głąb pomieszczenia. Z ciemności wyłonił się podobnie do niego ubrany mężczyzna z długimi, kruczoczarnymi włosami. Odebrał od tysego zakrwawiony nóż i wrzucił go do foliowego worka, do którego trafiły także poplamione krwią rękawiczki. Łysy wyciągnął w tym czasie z kieszeni białą chusteczkę i starannie oczyścił okulary, które założył ponownie na nos. Następnie podniósł z ziemi latarkę i obaj mężczyźni wyszli z piwnicy.

Dźwięki kroków, jakie wydawały ich eleganckie, drogie buty, oddalały się wraz z niknącymi promieniami światła z latarki. W bladym blasku przez chwilę zajaśniała biel chusteczki, która wysunęła się z kieszeni okularnika i leżała teraz na posadzce obok rosnącej plamy krwi ściekającej ze zwłok. Z oddali dał się jeszcze słyszeć zgrzyt zamykanych metalowych krat i wilgotną komnatę ogarnęła całkowita cisza i ciemność.

Olivia

Połowa maja przywitała miasto delikatną mżawką, która odświeżyła powietrze, zmoczyła ulice i zniknęła tak szybko, jak się pojawiła, pozostawiając po sobie intensywnie niebieskie niebo. Davide'owi przyszła na myśl słynna piosenka Rino Gaetano *Ma il cielo è sempre più blu* – „Niebo jest zawsze bardziej niebieskie”.

Kontemplował ten imponujący błękit przez lekko zakurzone okno w sypialni. Leżał w wielkim łóżku z baldachimem i czuł, że każdą komórkę jego ciała rozpieiera kosmiczna energia oraz słodkie, niemal mdlące, poczucie spełnienia. Obok niego Olivia oddychała spokojnie przez sen. Na wpeł zawinięta w prześcieradło, leżała na brzuchu z głową wtuloną w poduszkę.

Przez okno, którego zaprzątnięci zupełnie czym innym zapomnieli wczoraj zasłonić, wpadały promienie słońca. W pierwszej kolejności oświetlały drobinki kurzu drgające w powietrzu, by później, dotarłszy do zmierzwionych jasnych włosów dziewczyny, oświetlić je złotym blaskiem, wywołującym złudzenie aureoli. Blond kosmyki okalały jej ledwo widoczny zza fałd poduszki policzek i opadały falami wzdłuż smukłych nagich pleców.

Davide wodził wzrokiem po delikatnych łopatkach Olivii, które wznosiły się i opadały wraz z jej oddechem. Dopiero teraz zauważył delikatny jasny meszek na jej miękkiej jak aksamit, lekko opalanej skórze. Poczł nagły przyptływ wzruszenia i czulości. Obezwładniony tymi emocjami bał się poruszyć, aby nie zepsuć doskonałej harmonii tej chwili. Leżał nieruchomo i czuł narastającą falę pożądania, które zaczynało rozpalać go od środka.

Jego ciało ożyło. Obrócił się na bok, a jego dłoń wylądowała na lewym pośladku dziewczyny, wylaniającym się spod prześcieradła. Zaczął go delikatnie masować. Wsunął dłoń niżej. Olivia drgnęła i przeciągnęła się leniwie. Nie otworzyła oczu ani nie podniosła głowy znad poduszki, ale jej ciało zareagowało na dotyk Davide'a dreszczem i wilgocią, którą poczuł na palcach. Świat zawirował mu w oczach. Zsunął z niej prześcieradło i zatopił twarz między jej udami. Chciał jej smakować, najeść się jej pachnącym młodością ciałem. Olivia drżała mocniej. Jej coraz głośniejsze westchnienia zamieniły się w jęk rozkoszy, gdy podpierając się na rękach położył się na niej i wypełnił ją sobą.

Kiedy kilka chwil później wśród rozchełstanej pościeli powoli dochodzili do siebie, Davide całując kark dziewczyny, wyszeptał do niej coś, czego sam się nie spodziewał.

– Kocham cię.

Nie odpowiedziała, ale spojrzała w jego kierunku parą zamglonych szczęściami,

ciągle zaspanych oczu.

– Wariat.

– Naprawdę – potwierdził bez namysłu. – Wiem, to wszystko się dzieje jakoś tak szybko, ale mówię serio. Ty jesteś już taka... moja.

Nie odpowiedziała od razu. Ona też zdawała się być zaskoczona łatwością, z jaką stali się sobie tak bliscy.

Po tym, jak kilka dni wcześniej gwałtownie przerwano im rozmowę w kawiarni, Davide nie dawał jej spokoju telefonami. Bał się o nią i koniecznie chciał wiedzieć, czy jest bezpieczna. W końcu po kolejnym nieodebranym połączeniu oddzwoniła. Aby go uspokoić i tym razem już bez przeszkód dokończyć przerwana rozmowę zaprosiła go do siebie.

Gdy wszedł do jej mieszkania, zaskoczył go widok nakrytego stołu i stojących na nim dwóch kieliszków czerwonego wina. Po kolacji spędzonej przy niezobowiązującej rozmowie zamierzał jej ponownie zadać pytania, na które jak dotąd nie uzyskał odpowiedzi. Uprzątnęła stół i usiadła bliżej niego. Zapach jej perfum oszołomił go tak bardzo, że zaczął mu się plątać język. Usiłował się skoncentrować na rozmowie, ale to, co kołatało mu się w głowie, zwyciężyło i po krótkiej chwili jego dłoń wylądowała na jej udzie. Nie zaprotestowała, powodując tym przyzwoleniem gwałtowną eksplozję wzajemnej namiętności, której ukoronowaniem był dzisiejszy poranek.

– Ja jestem tylko moja, pamiętaj o tym – odpowiedziała po dłuższej chwili na jego zaborcze wyznanie.

Gdyby w tym momencie dobrze się zastanowił nad jej słowami, wydarzenia kilkunastu następnych dni mogłyby mieć zupełnie inny przebieg. Davide miał jednak jedną słabość. Była nią niepohamowana skłonność do ulegania emocjom. Tak jak jego ojciec, reagował na życie płaczem, gniewem, śmiechem lub, jak w tej właśnie chwili, absolutną euforią. Brakowało mu stanów pośrednich. Żył bez odcieni i półtonów. Poprzedniej nocy zatlił się w nim żar i nie był już w stanie powstrzymać pożogi.

Pochylił się nad Olivią i pocałował ją w szyję.

– Poczekaj tu, zaraz wrócę z kawą – powiedział.

– Nie! – zaprotestowała. – Idź się ogarnąć, wariacie, chcę się przejść i coś ci pokazać na mieście. Zjemy po drodze.

Posłusznie zaczął zbierać porozrzucane części swojej wczorajszej garderoby, podczas gdy owinięta prześcieradłem dziewczyna podreptała do łazienki.

Kilkadziesiąt minut później szli już przez rynek w stronę *duomo*. Davide zlizywał z warg resztki dopiero co wypitego espresso. Poranek wydawał mu się coraz piękniejszy.

Niewielkim dysonansem był ubiór, w którym przyszło mu kontynuować spacer. Nauczony doświadczeniem poprzedniego dnia solidnie przygotował się do spotkania

z Olivią. Dobrał właściwą koszulę, założył czarną marynarkę oraz wąskie spodnie, które zaginiony Giacomo prawdopodobnie nazwałby „gejowskimi”. Jego garderobę dopełniały eleganckie skórzane buty na obcasie oraz zawiązany niedbale pod szyją czarny, wąski krawat. Był pewien, że taki wygląd poprawi jego wizerunek w oczach Olivii. Przebieg spotkania wskazywał na to, że mógł mieć rację. Tego poranka wyglądał jednak jak kwiatek przy kozuchu.

Olivia wybrała się na przechadzkę w obcisłych jasnych jeansach, białym T-shircie i wygodnych markowych sneakersach na nogach. Spodnie leżały na niej jak druga skóra, opinając ściśle jej niewiarygodnie zgrabne kształty. Westchnął, patrząc na jej wygodne buty i własne, obcierające mu stopy lakierki.

Postanowił zadać jej pytanie, które chodziło mu po głowie od wczoraj.

– No więc? Gdzie się podziali ci twoi ochroniarze, rycerze w pelerynkach? Przestali cię w końcu niańczyć?

Buty piły go niemiłosiernie, dlatego ucieszył się, kiedy dziewczyna zatrzymała się na chwilę przed bogato rzeźbioną fasadą katedry.

– Tak, to właśnie chciałam ci wczoraj powiedzieć, zanim mnie napadłeś.

– „Napadłeś”? – parsknął. – Nie wyglądałaś na ofiarę.

– Ale ty wyglądałeś na zbója. Z wielką maczugą – roześmiała się głośno.

– Dzięki – wziął to za komplement. – Więc? Dokąd poszli twoi templariusze? Odjechali wehikułem czasu?

– Niezupełnie. Raczej wielkim SUV-em – odparła. – Po naszym ostatnim spotkaniu widziałam ich ostatni raz w miejscu, w którym właśnie jesteśmy. Jak pewnie pamiętasz, odprowadzał mnie ten siwy wielkolud, Marco. Reszty z nich w ogóle nie widywałam, tylko na pogrzebie. Nie wiem nawet, jak się nazywają. Szliśmy i Marco nagle odebrał telefon.

– Rycerz miał telefon? Nie gołębia pocztowego? – Davide przeklinał się w duchu za swój gówniarski nawyk kpienia ze wszystkiego. Na szczęście Olivia nie zraziła się jego błazenadą.

– Najwyraźniej gołębia nie miał pod ręką. A telefon miał. Zaczął rozmawiać, ktoś mu coś tam tłumaczył podniesionym głosem. Nie słyszałam co. Skończył gadać i powiedział do mnie, że jest mu przykro, ale coś się stało i on nie będzie chwilowo mógł mnie pilnować. Próbował mnie pocieszać i mimo że przecież o nic nie prosiłam, powiedział, że i tak będzie cały czas w pobliżu. Dał mi też wizytówkę ze swoim numerem i na koniec wcisnął mi to.

Dziewczyna wyjęła z torebki bransoletkę, która przypominała różaniec z dużymi srebrnymi kulami paciorków. Zamiast krzyżyka przyczepiony był do niego niewielki medalion.

– Potem podjechał wielki czarny SUV z przyciemnianymi szybami, Marco wskoczył do auta i więcej go już nie widziałam – dokończyła opowieść.

Davide wyjął jej z dłoni bransoletkę i zważył ją w dłoni.

– I to miałyby ci jakoś pomóc? Czy masz tego używać jako broni? Faktycznie

miałabyś szansę kogoś tym zabić, gdybyś się dobrze zamachnęła!

Musiał przyznać, że był to bardzo ładny przedmiot. Jego wzrok spoczął na medaliku. Pomyślał, że nie widział dotąd różańca bez krzyża. Jednak gdy się lepiej przypatrzył, znalazł go. Był wygrawerowany na widocznej na medalionie miniaturce rycerza siedzącego na koniu, a dokładnie na trzymanej przez jeźdźca tarczy. Krzyż wydał mu się dość dziwny. Mając na uwadze osobę, która sprezentowała bransoletkę Olivii, spodziewałby się raczej krzyża templariuszy z rozszerzającymi się na zakończeniach ramionami. Tymczasem symbol, na który patrzył, był prostym krzyżem z czymś w rodzaju wystającego pośrodku ćwieka. Z tego miejsca wychodziły dodatkowo cztery nieco cieńsze ukośne linie – po jednej w każdym kierunku. Wyglądało to tak, jakby ktoś przekreślił krzyż literą X, a wszystkie linie przecinały się w jednym centralnym punkcie, w którym znajdował się ów ćwiek. Davide był przekonany, że widział już gdzieś coś podobnego, ale bezskutecznie próbował wydobyć z zakamarków pamięci jakąkolwiek wskazówkę. Uwielbiał historię, ale nie miał głowy do detali.

Przeczuwał jednak, że ktoś bystrzejszy od niego zdążył już przestudiować medalik.

– Widziałas tego tutaj? – wskazał na miniaturkę rycerza. Olivia uśmiechnęła się tajemniczo.

– Tak. Ty też widziałeś. Milion razy.

Davide nie wiedział, co powiedzieć.

– Nawet teraz koło niego stoisz – dziewczyna zaśmiała się, a jej brew uniosła się w górę, jakby chciała nią wskazać jakieś miejsce.

Chłopak rozglądał się bezradnie.

– Stoję koło kogo?

– Rycerza, ślepoto. Spójrz do góry. W lewo. Bardziej w lewo.

Davide obrócił głowę we wskazanym kierunku i wyteżył wzrok. Nad głowicą wąskiej kolumnienki zdobiącej lewy róg fasady katedry dostrzegł niewielką płaskorzeźbę. Przedstawiała jeźdźca w zbroi trzymającego tarczę z krzyżem, z którego wychodziły promienie w kształcie litery X. Upływ czasu spowodował korozję kamienia, ale od biedy można by uznać, że medalik był reprodukcją płaskorzeźby, na którą patrzył.

– No, jakby ten sam – powiedział.

– Tak – przytaknęła. – A to nie wszystko. Gdybyś kiedyś poszedł do muzeum katedralnego, zobaczyłbyś statuetkę tego samego rycerza na koniu z identyczną tarczą i promienistym krzyżem, który był pierwszym symbolem templariuszy. Statuetka pochodzi z tak zwanej „Bramy Pielgrzymów” – drugiego, południowego wejścia do katedry, które zostało zlikwidowane gdzieś w osiemnastym wieku.

Davide zignorował ironię ukrytą w słowach „gdybyś kiedyś poszedł”. Posągu w muzeum rzeczywiście nie widział, ale o zlikwidowanej bramie wiedział doskonale. Ślady po tym historycznym i niedbale zamurowanym wejściu były widoczne do dziś nad znajdującymi się obecnie w tym miejscu sukienicami.

– No dobrze, mamy więc kilka takich samych wizerunków tego samego rycerza. Zapewne zechcesz mi teraz powiedzieć, kto to był? – zapytał wprost Olivii.

– Chciałabym. Ale to nie takie proste.

Pokręcił głową z wyrazem dezaprobaty.

– Ej no, pani profesor, jestem rozczarowany.

– Wybacz, jakoś nie miałam ostatnio czasu na siedzenie w bibliotekach i wdychanie kurzu z książek – zrobiła się nagle poważna.

Davide zrozumiał, że trochę przeholował.

– Przepraszam, wiem, że masz ostatnio pod górkę.

– Pod górkę! – prychnęła. – Daj spokój. Jak myślisz, po co ja ci to wszystko mówię? Chyba nie po to, żeby się przed tobą popisywać?

Nie mógł dopuścić do tego, aby miła atmosfera poranka ulotniła się nagle i to z jego winy.

– Wybacz, przecież ja doskonale wiem, że nie jest ci do śmiechu. I że te wszystkie wydarzenia wokół ciebie też są nieźle pokręcone. I to łagodnie mówiąc! Wiem, że czasem przesadzam z żartami, ale... ja bym ci nieba przychylił, dziewczyno!

Chciał poprzeć swoje słowa wymownym spojrzeniem, więc postąpił o krok do tyłu i w tej samej chwili usłyszał za sobą głośny klakson motocyklu. Rozpędzony pojazd musnął jego plecy i pognął w głąb ulicy. Gdyby zrobił nieco dłuższy krok, zostałyby rozjechany. Poczuł, jak ogarnia go wściekłość.

– Na tor wyścigowy spierdalaj! – krzyknął za motocyklistą. – Co tu się, do diabła, wyrabia w tym mieście?!

Stał przy krawędzi chodnika, sapiąc ze zdenerwowania. Oczy Olivii złagodniały. Podeszła i chwyciła go za rękę.

– No już, spokojnie. Jeszcze mi się przydasz. Oddychaj, bo mi tu zawału dostaniesz.

W jej spojrzeniu znów zabłyśły ogniki dobrego humoru.

– Skoro przeżyłeś, to ci jeszcze krótko dokończę, co wymyśliłam z tym medalikiem. Słuchasz mnie?

Davide opanował oddech i spojrzał na nią półprzytomnym wzrokiem.

– Mów. Adrenalina pomoże mi zapamiętać – uśmiechnął się blade.

– No więc – zaczęła. – Ten rycerz. Tak jak ci mówiłam, nie do końca wiadomo, kogo te rzeźby przedstawiają. Rzeźby i medalik. O ile to ta sama osoba.

– No raczej ta sama, to chyba oczywiste? – wtrącił się.

– Nic tu nie jest oczywiste – zaoponowała. – Nawet historycy nie wiedzą, kto jest na tych podobiznach. Generalnie mówi się, że to Guglielmo Adelardi. Wiesz, kto to?

Wiedział. Guglielmo II Adelardi był głównym fundatorem katedry, przed którą stali. Davide nie był szczególnie obeznany ze średniowieczem, ale tę postać znał pobieżnie.

– Jeden z pierwszych władców Ferrary, zwolennik stronnictwa gwelfów popierającego papieżstwo. Wielki rycerz z dwunastego wieku. Tyle – wyrecytował. – Jest pogrzebany w tym kościele, zgadłem? – strzelił niemal na pewniaka.

Pamiętał marmurową płytę nagrobną z nazwiskiem Adelardi wmurowaną w posadzkę głównej nawy w katedrze. Wszyscy uczniowie szkół średnich z miasta chodzili tam na wycieczki.

– Tiiiiit! – Olivia zasymulowała dźwięk buczka. – Oblałeś. Jego tam nie ma. Nie znaleźli tam nigdy żadnych szczątków. Wygląda na to, że on i jego synuś, Guglielmo III, spoczywają w zupełnie innym miejscu. A dokładniej w takim małym kościółku koło Ferrary, w miasteczku Mizzana. I tutaj, uwaga. Wiesz, do kogo należał ten kościółek? Do...?

Davide uwielbiał, kiedy unosiła brew na końcu zadawanego pytania.

– Niech pomyślę. Do Adelardich.

– No to jest chyba jasne, skoro tam sobie leżą całą rodziną. Jakiś ty błyskotliwy, redaktorku mój – zarobił kolejną uszczypliwość. – Jak myślisz, o kim my cały czas rozmawiamy? O...? – jej brew uniosła się do góry.

– O... O templariuszach! – Davide ucieszył się jak dziecko, że udało mu się w końcu odpowiedzieć na chociaż jedno pytanie.

– No brawo! Tak! Kościółek w Mizzanie wielokrotnie przebudowywano, ale zachował do dziś średniowieczną absydę zbudowaną na podobieństwo Kopuły na Skale, jerozolimskiej świątyni, która była siedzibą templariuszy w Świętym Mieście. Ta z kolei została wzniesiona na szczątkach starej żydowskiej Świątyni Salomona zwanej „templum”. I stąd właśnie nazwa „templariusze”. Od słowa „templum”!

Davide spojrział na dziewczynę z niekłamanym podziwem.

– Nieźle jak na kogoś, kto nie ma czasu na wdychanie kurzu w bibliotece.

– Internet, mój drogi – odparła z uśmiechem Olivia.

Od pewnego czasu kontynuowali przerwany spacer podążając w kierunku zamku znajdującego się nieopodal katedry. Zbliżyli się właśnie do posępnego posągu mnicha Savonaroli, za którym rozciągała się monumentalna bryła zamku rodu d’Este. Dziennikarz poczuł słodki zapach *torrone* dobiegający z pobliskiego straganu i w jego głowie pojawił się obraz Diany oraz niepokojąca myśl, że może jako dobry przyjaciel powinien ją jakoś pocieszyć lub pomóc w poszukiwaniach Giacomo. Odłożył tę myśl na później, w czym wydatnie pomógł mu pokrywający wszystko inne, narkotyzujący zapach perfum Olivii.

– No to w zasadzie wiemy już, kto jest na tym medaliku. Adelardi, który był w Jerozolimie na wyprawie krzyżowej i został tam templariuszem! – podsumował niedokończoną rozmowę. – Nie wiemy tylko, po co ten cały Marco dał ci ten różaniec. Nie wygląda to jak zwykle tanie dewocjonalia. Na jego miejscu dałbym ci obrazek – dodał z uśmiechem.

Oddalając się od zamku, szli w kierunku wyłożonego koską brukową prospektu Ercole I D’Este, malowniczej długiej alei, która powstała podczas piętnastowiecznej

rozbudowy miasta. Wzdłuż niej wznosiły się okazałe renesansowe pałace.

Dziewczyna nie podzielała wątpliwości Davide'a.

– Jak dla mnie nie ma tu niczego dziwnego. Dziwne raczej jest to, że tacy duzi chłopcy jak Marco bawią się w rycerzy – zaśmiała się. – Ale jeśli traktują to serio, to Adelardi jako templariusz na pewno jest dla nich kimś istotnym. A może oni zwyczajnie wierzą, że mi ten różaniec przyniesie szczęście? – dodała już poważniejszym głosem.

Doszli do Palazzo dei Diamanti, imponujących rozmiarów pałacu, który zawdzięczał swoją nazwę oryginalnej fasadzie zbudowanej z ostrosłupów przypominających diamenty. Mieściła się w nim najważniejsza w mieście galeria sztuki. W tym miejscu zabytkowa i zamknięta dla ruchu kołowego aleja, którą szli, krzyżowała się z ruchliwą ulicą przecinającą miasto z zachodu na wschód. Stanęli w oczekiwaniu na zielone światło, aby pójść dalej na wprost, w kierunku murów miejskich i urokliwej Bramy Aniołów.

Davide skorzystał z okazji i przykleknął wkładając palce między brzegi butów a zmaltretowane pięty. Zgodnie z przypuszczeniem skarpetki miał mokre od krwi. Właśnie zastanawiał się jak stworzyć zaimprovizowany opatrunek, który mógłby przynieść mu choć odrobinę ulgi, gdy światła się zmieniły i Olivia nie czekając na niego, weszła na jezdnię.

Nagle, nie wiadomo skąd, za plecami dziewczyny pojawił się ubrany na czarno motocyklista na wielkim ścigaczu, który pałac gumy zatoczył półokrąg i zatrzymał się tuż przed nią. Davide zamarł w przykłęku z palcami ciągle zatopionymi w skarpetkach. Był niemal pewien, że to ten sam pirat drogowy, który o mały włos rozjechałby go przed katedrą.

Już chciał wstać i zdrowo nakrzyczeć na bezmyślnego kierowcę, gdy ten nieoczekiwanie wyciągnął przed siebie prawą dłoń, którą zacisnął na rozpuszczonych włosach zaskoczony Olivii. Przyciągnął ją do siebie przerzucił przez siedzenie motoru. Davide zobaczył jej wypięte pośladki i wierzgające nogi, usłyszał jej krzyk i motocyklista ruszył. Być może udałooby mu się odjechać z dziewczyną, ale gwałtowny opór, który stawiała, spowodował, że ruszający motocykl mocno się zakolebał i zmusił kierowcę do zatrzymania się.

W tym momencie na mocującego się z Olivią mężczyznę spadł Davide, który wystrzelił z przykłęku jak tygrys na ofiarę.

Impet, z jakim dziennikarz zakończył swój skok, sprawił, że wszyscy znaleźli się na ziemi. Przewrócony pojazd upadł na plecy dziewczyny, która przygnieciona i oszołomiona nie mogła się ruszyć. Davide zaczął okładać motocyklistę pięściami. Siła jego wściekłych uderzeń zerwała z głowy porywacza kask, spod którego wyłoniła się śniada twarz o arabskich rysach. Z rozbitych warg mężczyzny ciekła krew, co nie przeszkodziło mu rzucać w stronę chłopaka arabskimi i francuskimi przekleństwami. Dziennikarz zdekoncentrował się nagle na widok uwięzionej pod motorem Olivii i nie zauważył, że leżący pod nim mężczyzna sięgnął do kieszeni po jakiś przedmiot, którym z całej siły walnął chłopaka w skroń. Ogłuszony ciosem

stracił przytomność i osunął się na bok.

Wokół motocykla zebrała się już grupa przypadkowych osób. Kobiety krzyczały. Grupa wyrostków ze stoickim spokojem filmowała komórkami zdarzenie. Elegancko ubrany starszy pan po drugiej stronie skrzyżowania krzyczał głośno „policja”! Ktoś dzwonił na numer alarmowy. Dwaj rośli turyści odważyli się podejść do motocyklisty i ostrożnie, jakby mieli do czynienia z jadowitym wężem, próbowali go unieruchomić chwyciwszy go za nogi. Motocyklista kopnął jednego z nich, a w stronę drugiego skierował pistolet, który trzymał w dłoni. Turysta podniósł ręce do góry i odstąpił. Na widok broni zgromadzeni ludzie pierzchli w popłochu i ukryli się pod ścianami budynków. Tylko starszy pan wył z oddali.

– Kryminalista! Morderca! Kanalia! Policja!

Motocyklista grożąc w dalszym ciągu pistoletem podniósł się i używając własnego ciała jako przeciwwagi postawił do pionu motocykl, spod którego zaczęła się wyczołgiwać jęcząca z bólu Olivia. Następnie spokojnym ruchem podniósł z ziemi kask, założył go sobie na głowę i ruszył w stronę pełzającej Olivii. Idąc ku niej z cholewy buta wyciągnął duży sprężynowy nóż, który otworzył się z metalicznym klikiem.

Ze strony poukrywanych za budynkami ludzi zerwał się chór okrzyków.

– Neeee! Nie rób tego! Idź sobie! Zostaw ją! Bydlakuuu!

Mężczyzna przyklęknął nad dziewczyną. Odłożył pistolet na ziemię. Pociągnął ją za włosy, aż zawyla z bólu. Oczy wyszły jej na wierzch, kiedy brutalnie odsłonił jej bezbronną szyję. Pochowani po kątach ludzie zamarli z przerażenia.

Zamachnął się i ostrym jak brzytwa nożem odciął jej długi kosmyk włosów, po czym rozluźnił uścisk. Głowa dziewczyny opadła z głośnym plaśnięciem na asfalt. Z czoła popłynęła jej krew.

Mężczyzna złożył i schował nóż, zgarnął leżącą na ziemi broń i wstał. Trzymając wciąż w jednej ręce długie pukle Olivii, wskoczył na motor i włączył silnik. Spod opon wydobył się dym i pojazd ruszył. Był już daleko, kiedy ludzie wyszli z kryjówek i dopadli do nieruchomo leżących na ulicy ciał. Nagle zewsząd dało się słyszeć policyjne syreny. Po motocykliście nie było już śladu.

Przebudzenie

W zasadzie trudno powiedzieć, co było gorsze: przytłaczające uczucie mdłości czy ból, który oplatał całą jego głowę. Miał wrażenie jakby ścisnęły ją obcegi jakiegoś niewidzialnego kowala-sadysty. Davide spróbował się poruszyć, ale jego wysiłek okazał się bezskuteczny. Nie czuł rąk ani nóg. Podobnie skończyła się próba otwarcia oczu. Przez zamknięte i ciężkie jak ołów powieki docierało do niego jednak światło, które obok fizycznego dyskomfortu było jedynym namacalnym dowodem na to, że żył. Małymi fragmentami powracała mu pamięć i kiedy przypomniał sobie Olivie leżącą na ziemi, serce załomotało mu gwałtownie w piersi. Zrobiło mu się jeszcze bardziej niedobrze. Zaczął się krztusić i rzucać na łóżku, na którym leżał.

Jak przez grubą warstwę waty usłyszał kobiecy, próbujący go uspokoić głos.

– Ciii, już dobrze, spokojnie, wszystko jest dobrze, cichutko, cichuteńko.

Przestał się szarpać. Z coraz większą pewnością dochodziło do niego, gdzie się znajdował. Powoli wracały mu zmysły. Zaczął czuć zdrętwiałe nogi, ręce i pulsujący w głowie ból. Coraz więcej bólu.

Jęknął i chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie. Uzmysłował sobie, że głos, który usłyszał, był mu znajomy, podobnie jak i słodki zapach perfum unoszący się w powietrzu. Udało mu się poruszyć głową i bandaż, który ściśle otaczał jego głowę uchylił się akurat na tyle, żeby umożliwić mu otwarcie jednej powieki. Dostrzegł rząd monitorów, na których pulsowały kolorowe wykresy oraz stojak na kroplówkę, do której był podłączony przezroczystą rurką. Na łóżku tuż obok niego skulona w jakiejś nieprawdopodobnej i zapewne niewygodnej pozycji leżała Diana. Widział czubek jej głowy delikatnie opartej na jego piersi. Chciał ją zapytać o Olivie, ale z jego suchego gardła wydobył się jedynie niezrozumiały bełkot. Dziewczyna, jak wyrwana ze snu, podniosła głowę i spojrzała na niego. Półprzymkniętym okiem dojrzał jej twarz w świetle szpitalnych jarzeniówek. Wielkie brązowe oczy sprawiały wrażenie zagubionych i przerażonych, a jednocześnie wypełnionych trudną do opisanego czułością. Po jej policzkach leciały strumienie łez, całkowicie rozmazujących jej makijaż, przez co wyglądała jeszcze bardziej żałośnie i bezbronne. Davide zrozumiał, dlaczego na piersiach czuł zimno i wilgoć. Jego szpitalna piżama była w tym miejscu całkiem przesiąknięta łzami. Diana musiała tu być od bardzo dawna, czuwając przy nim i szlochając.

Kiedy zobaczyła, że jest przytomny, zaczęła go całować po nieokrytej bandażem części twarzy.

– Nic nie mów, teraz już wszystko będzie dobrze! Miałeś silny wstrząs mózgu,

wszyscy się bali o ciebie, pełno ludzi o ciebie pyta. Jesteś sławny, nazwali cię nawet bohaterem! – próbowała zażartować zachrypniętym od płaczu głosem. Natychmiast spoważniała i dodała – o nią nie musisz się martwić, nic jej nie jest. Wypisali ją już. Parę szwów, prześwietlenie i już jest w domu. I ona jedyna tu nie przyszła do ciebie, wiesz? Głupia pizda! Przepraszam – zreflektowała się szybko, jednak po chwili znów dała się ponieść emocjom.

– Och, Davide, i co ja teraz mam zrobić z tym wszystkim, co? Wszystko mi się sypie! – jej ciałem znów wstrząsnął szloch i opadła na jego mokrą piżamę.

Dziennikarz użył całej dostępnej mu w tym momencie siły, aby podnieść prawe ramię i objąć nim drżące ciało dziewczyny.

Poza zasięgiem jego ograniczonego pola widzenia otworzyły się drzwi. Przenikliwy kobiecy głos powiedział donośnie – Proszę pani, ja już pani trzy razy mówiłam, nie może pani tu być, to nie jest pora odwiedzin i w ogóle tu nie powinniśmy nikogo wpuszczać! Proszę stąd wyjść i zostawić pacjenta w spokoju!

Diana podniosła głowę. Była zapłakana i rozczochrana, ale z jej zaciśniętych ust wydobył się stanowczy i władczy głos – Wypierdalaj. Wy-pier-da-laj!

Drzwi za plecami Davide'a zatrzęsły się głośnie. Dziewczyna wtuliła się w niego, ale jej ciałem nie wstrząsał już szloch. Znał ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że faza rozpaczki właśnie się skończyła. Po niej zazwyczaj nadchodziła faza gniewu i braku miłosierdzia dla wrogów. Zamknął oczy i pozwolił swojemu ciału się rozluźnić. Cokolwiek miało się teraz wydarzyć, mógł tylko współczuć wszystkim, którzy wejdą tej kobiecie w drogę.

Zebranie

Mimo że niewielki pokój porucznik Leone wypełniony był ludźmi, panowała w nim niemal absolutna cisza. Zakłócał ją jedynie przytłumiony gwar głosów dochodzących zza cienkich ścian, którymi były przedzielone biura komisariatu oraz monotony szum ciepłej majowej ulewy. Ściekające krople deszczu żłobiły jasne ślady na zakurzonych powierzchniach szyb.

Diana siedziała przy biurku z głową podpartą na rękach. Czuła się źle i tak też wyglądała. Nieregularnie rozpuszczone i niedbale uczesane włosy zasłaniały przed przebywającymi w pomieszczeniu ludźmi jej nieumalowaną i niewyspaną twarz. Podniosła ciężkie powieki i oderwała wzrok od otwartego laptopa.

Osoby, które miała przed sobą, wyglądały na równie zmęczone i doświadczone ostatnimi wydarzeniami. Davide strasząc fioletowymi śladami wokół podpuchniętych oczu, wodził tępym wzrokiem po zdjęciach wiszących na ścianach. Enrico Montanari w zamyśleniu dotykał ręką szyby, jakby witał się z jakąś niewidzialną osobą stojącą po drugiej stronie okna. Jedynie siedząca z dala od reszty Olivia wpatrywała się intensywnie w Dianę. Jej naburmuszona mina jasno wyrażała niechęć do karabinierki oraz niezgodę wobec faktu, że musiała przyjść na posterunek i wziąć udział w tym spotkaniu.

Porucznik wytrzymała jej zimne spojrzenie i odezwała się przygaszonym i lekko schrypniętym głosem.

– Chcę, żeby było jasne, że nie zostaliście tu wezwani oficjalnie. To nie jest żadne przesłuchanie, więc ci, którzy nie chcą tu być, mogą sobie po prostu iść, choć oczywiście wołałabym, żebyście wszyscy zostali i posłuchali tego, co mam do powiedzenia – Olivia zrozumiała, że uwaga skierowana była do niej. Zaciśnęła usta i spuściła wzrok.

– Chciałabym skonfrontować to, co wiemy my jako wydział śledczy, z tym, co niektórzy z was mają do powiedzenia jako świadkowie, oraz z informacjami, jakie zdobył redaktor Montanari.

Naczelnny odwrócił się od okna i odchrząknął, jakby chciał zacząć mówić, ale Diana mu na to nie pozwoliła.

– Jednocześnie chcę was uprzedzić, że jeśli zdecydujecie się zostać – Olivia wciąż czuła, że Diana mówi tylko do niej – to wszystko, co tu usłyszycie, musi pozostać wyłącznie między nami. Jest to jedynie prośba, ale jak się domyślacie, mogę ją łatwo zamienić w groźbę i wyciągnąć konsekwencje.

Olivia przygryzła wargi i tylko ciekawość, która kierowała nią, kiedy pokonując

wewnętrzna niechęć, szła na posterunek, zmusiła ją do pozostania na miejscu.

– To, co mówię, dotyczy także pana, Montanari – porucznik przeniosła wzrok na naczelnego. – Mam nadzieję, że jak nikt inny rozumie pan powagę sytuacji i obieca mi pan, że ewentualne publikacje ukazażą się dopiero wtedy, kiedy nie będzie to szkodziło śledztwu... a właściwie śledztwom – poprawiła się.

Montanari skinął w milczeniu głową.

– Skoro to już jest jasne, to teraz chcę wam powiedzieć coś osobistego.

Diana wstała i podeszła bliżej zebranych.

– Wszystkich nas coś łączy. Los sprawił, że jesteśmy razem zamieszani w wydarzenia ostatnich dni i wydaje się, że leży we wspólnym interesie, żebyśmy zaczęli sobie pomagać. I teraz właśnie będzie to coś osobistego – zlustrowała twarze wszystkich obecnych.

– Przyznam, że po prostu was potrzebuję. Zostałam ze wszystkim sama. Mój partner zniknął. Koledzy go oczywiście szukają, ale niczego poza tym nie zrobią, bo nie mają kiedy i nie mają jak. Każdy ma tutaj mnóstwo swojej roboty. Mój szef jest w porządku, ale chce mi tu przysłać jakichś ludzi z zewnątrz, którzy nie znają miasta. W tej chwili zostajecie mi tylko wy. Mogę wam się trochę odwdzińczyć i odstąpić od procedur. Chyba nie chcecie być ciągnani na oficjalne przesłuchania, prawda? Więc jak, chcemy sobie pomagać? Davide?

Wywołany dziennikarz wrócił z niebytu, w którym błędził jego umysł przez ostatnie minuty. Był wciąż bardzo obolały, co stanowczo nie sprzyjało koncentracji. Spiał się jednak w sobie i spojrzał przytomnie na przyjaciółkę.

– Di, przecież nie musisz pytać. Dobrze wiesz, jak jest. Ja zawsze będę z tobą.

Diana przeniosła wzrok na Olivię. Ta odezwała się po raz pierwszy, odkąd przekroczyła próg komisariatu.

– Nie jestem pewna, czy w czymkolwiek mogę pomóc. A przede wszystkim nie rozumiem, dlaczego nagle wszyscy, łącznie z tobą, Davide, traktują mnie, jakbym to ja coś tutaj namieszała. Tak przy okazji, przykro mi, że się nie odzywałam, ale widocznie miałam swoje powody. I ty też mogłeś do mnie zadzwonić, tak? Minęły dwa dni, odkąd cię wypisali... Naprawdę nie mogłeś mi o tym powiedzieć? – w tonie jej głosu dały się słyszeć nuty smutku.

Chłopak obrócił się do niej, jakby chciał odpowiedzieć, ale przerwała mu nerwowym gestem dłoni.

– I w porządku, powiem wam wszystko, co wiem. Zrobię, co mogę, ale nie spodziewajcie się, że wam wyjaśnię, dlaczego przyczepili się do mnie jacyś wariaci. Sama chciałabym to wiedzieć – dodała gniewnie.

– Wystarczy, że będziecie się wymieniać ze mną informacjami, które posiadacie – weszła jej w zdanie Diana, gasząc zarzewie sprzeczki między Olivią i Davidem. – Analizę faktów pozostawcie mnie. Tylko tyle od was potrzebuję. W zamian będę wam mówiła to, czego ja się dowiem. Wstała zza biurka, obeszła je i usiadła na nim. – Na dowód tego, że traktuję naszą współpracę poważnie, wyjawię wam coś, co od kilku

dni jest tajemnicą wydziału. Coś, co jest dla mnie osobiście smutne i bolesne – ton jej głosu był ciągle rzeczowy i tylko Davide wyczuł w nim ledwo zauważalne drżenie. Obróciła komputer, tak aby wszyscy mogli zobaczyć otwartą skrzynkę mailową widoczną na ekranie.

– To jest poczta Giacomo. Otworzyłam ją wpisując datę moich urodzin. To był zawsze prosto myślący chłopak – westchnęła. – Szkoda tylko, że mnie okłamywał – jej głos załamał się. Nie umiała już ukryć emocji.

– Okłamywał wszystkich. Przez cały czas kontaktował się z tymi rzekomymi dyplomatami z Francji. I te kontakty wykraczały daleko poza jego pracę tajniaka. To on wyrobił im fałszywe dokumenty dyplomatyczne. To on wynosił stąd informacje, z tej komendy, z tego pokoju, ode mnie. Interesowało ich śledztwo w sprawie Bonardiego. Wszystko wskazuje na to, że Giacomo umożliwił im przeszukanie posiadłości profesora zaraz po tym, jak wyjechali stamtąd karabinierzy. Założę się, że weszli tam w kombinezonach laborantów. Stróż niczego się nie domyślił.

– Ale co nim kierowało? Dlaczego Giacomo im pomagał? – tylko umysł redaktora naczelnego nie dał się pokonać zaskoczeniu i pozwolił mu na sformułowanie konkretnego pytania.

– To może jedyna rzecz, która minimalnie go tłumaczy. Choć go nie usprawiedliwia. Oni go szantażowali. Był zadłużony. Hazard. Karty. I przez te wszystkie lata niczego się nie domyślałam! W jakiś sposób odkupili jego długi od lokalnych gangsterów. Tu są maile, w których grożą, że naślą też cyngli na mnie. Uległ i zaczął im pomagać... – Dianę znów ogarnęło palące uczucie upokorzenia.

– A czego oni szukali u Bonardiego? To oni go zabili? Ci Francuzi? – w Davidzie obudziła się w końcu dziennikarska ciekawość.

Karabinierka wzruszyła ramionami.

– W tym laptopie nie ma odpowiedzi na wszystkie pytania. Ale z kontekstu wiadomości wynika, że sami byli zaskoczeni śmiercią profesora. Oni tu przyjechali wyciągnąć od niego informację o jakimś bardzo cennym klejnocie z czasów średniowiecza. Stąd pewnie ta bajka o tym, że są spadkobiercami templariuszy, żeby uwiarygodnić niuchanie wokół dzieł sztuki. Olivia powinna coś wiedzieć o ich prawdziwych zamiarach, prawda? – zerknęła z ukosa na dziewczynę.

– Przecież ja to już mówiłam, Davide! Że coś tam słyszałam o takim klejnocie. Profesor Bonardi wiedział o nim znacznie więcej, ale nigdy mi niczego nie wyjaśnił. Umarł kilka dni później. Nie mam nic do ukrycia – zachnęła się Olivia.

– Spokojnie – powiedziała porucznik pojednawczo. – Akurat te maile rozwiewają wiele podejrzeń, które wobec ciebie, szczerze mówiąc, miałam. I tym też się z wami podzielę. W tych wszystkich wiadomościach, a informatycy pomogli mi uzyskać także kopie smsów z telefonu Giacomo, nie ma ani słowa o Olivii. To nie Olivia wynosiła informacje. Robił to wyłącznie mój facet...

– Wierzę w to, ale ten cały napad? I po co im twoje włosy? – zapytał Davide, zwracając się do Olivii.

– A skąd mam wiedzieć? – odparła rozdrażniona. – Właśnie dlatego jestem na ciebie zła, człowieku! Ty myślisz, że ja się prosiłam, żeby mnie jacyś zbrojacy napadali i brali sobie części mojego ciała?

– Przecież niczego takiego nie mówię, ale to chyba jednak dziwne, prawda?

W pomieszczeniu zapadła cisza i niemal dało się zobaczyć iskrzenie między oczami kłócącej się pary. Milczenie przerwał spokojny głos starego redaktora.

– Nietrudno się domyślić, po co im twoje włosy, Olivio. Chyba każdy słyszał o badaniach DNA. Dużo trudniej odpowiedzieć na pytanie, do czego ma im służyć badanie twoich genów. A zmieniając temat, równie trudno zrozumieć, dlaczego w dzień przed śmiercią profesora do kwiatów, które dostał od Francuzów, osobiście dokupiłaś pięć razy tyle. Czy możesz chociaż to nam wytłumaczyć?

W dziewczynę jakby piorun strzelił. Zbladła jak ściana, naprężyła się jak kocica gotowa do ucieczki. Davide nie widział takiego przerażenia w jej oczach nawet wtedy, gdy porywał ją motocyklista.

Wtem na korytarzu za drzwiami biura Diany rozległ się stukot zbliżających się szybko kroków oraz coraz głośniejsze głosy wołające z daleka coś niezrozumiałego. Drzwi otworzyły się z na oścież. Stał w nich zdyszany karabinier w mokrym od deszczu mundurze.

– Pani porucznik, proszę szybko jechać na zamek. Znaleźli tam ciało. Stary już tam jest. I wydobywają z podziemi jeszcze kogoś.

Diana nie wzięła nawet czapki. Wybiegła trzymając się za kaburę i sprawdzając odruchowo stan broni. Zaskoczony Davide z dwusekundowym opóźnieniem pobiegł za nią.

W pokoju pozostał tylko Montanari wpatrujący się badawczo w milczącą Olivię.

Ocalony

Deszcz był sprawiedliwy. Równie hojnie omywał wznoszący się obok katedry pałac biskupa, walił strumieniami w dach zaparkowanej nieopodal limuzyny burmistrza i przeciekał obficie przez połamany parasol żebraka, który usiłował schować swoje nędzne graty w podcieniach naprzeciw pomnika Girolamo Savonaroli. Trudno powiedzieć, czy bardziej ponury był widok nędzarza, obłądny wzrok utrwalony w marmurowej podobiznie mnicha czy widoczna za jego kamiennymi plecami ogromna, otoczona masywnymi wieżami bryła zamku wyrastającego z fosi w samym centrum miasta.

Davide stał kompletnie przemoczony obok otwartego karawanu medycyny sądowej, do którego za chwilę wniesione miały zostać zwłoki odnalezione dzisiejszego poranka przez ekipę elektryków ciągnących kable w najniższych kondygnacjach twierdzy. Diana wprowadziła go wprawdzie za kordon policji i strażników miejskich, ale później natychmiast zniknęła w czeluściach zamku. Młody dziennikarz czekał między karawanem a ambulansem i zastanawiał się, który z dwóch pojazdów odwiezie za chwilę kogoś, kogo znał. Nie cierpiał Giacomo z całego serca i była to antypatia doskonale odwzajemniana, ale martwił się o Dianę, która ciągle była jego najbliższą przyjaciółką. Jak nikt inny zdawał sobie sprawę z tego, że dziewczyna znajdowała się na krawędzi załamania. Wiedział też, że tak jak ostro i do końca walczy, tak samo definitywnie może upaść, by więcej się nie podnieść.

Kiedy z bramy wytoczył się wózek z leżącym na nim ciemnym pakunkiem otoczony policyjnymi laborantami i Davide nie zobaczył wśród nich Diany, poczuł wyraźną ulgę. Ekipa zbliżyła się do karawanu i chłopak po raz drugi odczuł wdzięczność do losu, tym razem za to, że zwłoki leżące na ruchomych noszach były szczelnie zamknięte w grubym worku. Pomimo to czuć było z daleka obrzydliwy odór i Davide robił, co mógł, aby nie wyobrazić sobie stanu, w jakim musiał być trup, za którym zamknęły się właśnie drzwi pojazdu. Auto odjechało eskortowane przez alfę romeo karabinierów. Dziennikarz nadstawił uszu, usiłując usłyszeć wymianę zdań między stojącymi w podcieniach obok zaparkowanego ambulansu strażnikami miejskimi a kierowcą z pogotowia.

– Masakra. Podobno pełno tam było krwi.

– Byliście tam?

– My nie. Wpuszczają tylko dochodzeniówkę. Ale rozmawialiśmy z tymi elektrykami, którzy ich znaleźli.

Tuż przy barierce oddzielającej tłumek gapiów od zgromadzonych pod zamkiem służb zatrzymał się biały furgon, który zagłuszył rozmowę dźwiękami pracującego motoru. Kierowca wychylił się przez otwarte okno i zagadnął jednego ze strażników, wskazując ręką na bramę wjazdową.

Napisy na boku pojazdu wskazywały, że należał do firmy budowlano-remontowej. Strażnik przecząco pokręcił głową i kierowca z widocznymi na twarzy oznakami złości, zniknął w szoferce, nacisnął na gaz i auto szybko zawróciło, pozostawiając po sobie kłęby białego śmierdzącego dymu.

– Ktoś ma dziś po robocie – przemknęło Davide’owi przez głowę.

Przysunął się jak najbliżej strażników, aby usłyszeć dalszy ciąg rozmowy.

– Gdyby nie było tego remontu, toby nigdy nie znaleźli tego docenta. To był jakiś naukowiec, słyszeliście? Z naszego uniwerku. I tego drugiego też by nie uratowali. Teraz go próbują odkuć od ściany. Ciekawe, czy to przeżyje. Ten, co ich tak urządził, musiał być niezłym maniakiem.

– Dokładnie – potwierdził drugi ze strażników. – To jakiś zwyrol musiał być, bo jakby chciał ich tylko zabić, toby zabił, a nie torturował.

– A ten, którego wyciągają, to jakiś wasz kolega? – zainteresował się sanitariusz.

– Jakiś tajniak od karabinierów podobno. Oby wyszedł z tego żywy. Kurwa, a mówią, że to takie spokojne miasto, a tu się burdel robi coraz większy. Nasprawdzali tych emigrantów...

Strażnikowi przerwało skrzeczenie krótkofalówki, która wisiała przyczepiona do jego pasa. Jednocześnie przy bramie zamku nastąpiło poruszenie. Wpierw wyłoniło się kilku karabinierów podążających szybko w kierunku radiowozów. Idący na czele wydawał komendy przez radio. Widząc to, kierowca karetki także wskoczył do kabiny i uruchomił silnik.

Za karabinierami z zamku wyjechały nosze otoczone personelem medycznym i kilkoma strażnikami. Jeden z nich trzymał parasol, usiłując osłonić nim pacjenta. Wśród mundurowych Davide dostrzegł Dianę, która szła obok noszy podskakujących na nierównym bruku. Grupa szybko dotarła do ambulansu. Rozległ się dźwięk syren i radiowozy ustawiły się gotowe do eskorty, podczas gdy strażnicy odsuwali bramki i odganiaли gapiów, aby umożliwić przejazd.

Davide podszedł jak najbliżej karetki. Nie miał już wątpliwości, że na noszach leżał Giacomo, mimo że jego zmasakrowana twarz była trudna do rozpoznania. Był przytomny, a jego oklejona włosami i krwią głowa była obrócona w stronę Diany. Dziewczyna, blada jak papier, wpatrywała się w niego bez słowa. W chwili, gdy nosze unoszone przez sanitariuszy miały już wjechać do karetki, chwyciła mocno dłoń rannego, ścisnęła ją i szybko puściła. Jej usta poruszyły się, wypowiadając jakieś niesłyszalne słowa. Davide pomyślał, że wyglądało to jak pożegnanie. Drzwi ambulansu się zamknęły i konwój ruszył pędem w stronę szpitala. Gapie rozchodzili się powoli schowani pod swoimi parasolami.

Diana, jak w transie, podeszła do dziennikarza i padła mu w ramiona. Ścisnęła ją

mocno, jakby chciał ochronić przed całym złem świata.

– Już dobrze – powiedział. – Najważniejsze, że żyje.

Posiłki

W sali odpraw było ciepło i duszno. Cięcia budżetowe nie pozwoliły na zainstalowanie klimatyzacji, a wielkie okna w aluminiowych ramach modne w latach sześćdziesiątych dawały się jedynie lekko uchylić. Kapitan Emiliano Cimelli stał naprzeciw jedenastu funkcjonariuszy wiercących się na niewygodnych krzesłach i ocierał chusteczką pot z łysiny.

Rozpoznawał tylko sześć twarzy. Wydział dochodzeniowy w tak niewielkim i stosunkowo spokojnym mieście jak Ferrara nie wymagał nigdy utrzymywania większej liczby etatów. Tym razem nie miał innego wyjścia i zwrócił się do zwierzchników z prośbą o wypożyczenie jak największej liczby agentów z zewnątrz. Wykorzystał wszystkie posiadane kontakty na wysokich szczeblach i zrobił wszystko, aby uzyskać najlepszą pomoc, na jaką mógł liczyć.

Teraz, podobnie jak wszyscy w pomieszczeniu, zerkał na siedzącego po jego lewej ręce przybysza i tak jak reszta zastanawiał się, czy aby na pewno przysłano mu właściwego człowieka.

Mężczyzna będący obiektem zainteresowania obecnych siedział, kiwając się na krześle, ze stopą opartą nonszalancko na kolanie drugiej nogi. Stopa była odziana w czarny lśniący skórzany mokasyn z frędzelkami. Białe spodnie mężczyzny miały modnie zawinięte mankiety, a odpięte górne guziki koszuli odsłaniały opalony, wyrzeźbiony na siłowni tors oraz gruby złoty łańcuch, na którym wisiał nie mniej gruby i nie mniej złoty Chrystus. Całości ubioru nowego członka zespołu dopełniała biała marynarka ozdobiona granatową poszetką. Spod jej podwiniętych rękawów wystawały wytatuowane muskularne ramiona i wypiełgnowane, nieskalane pracą fizyczną dłonie. Twarz mężczyzny wyróżniała się łagodnymi rysami, starannie przystrzyżoną czarną bródką i postawionymi na żel bujnymi włosami, od którego nie odstawał nawet jeden przypadkowy kosmyk.

Przybysz nie otworzył jeszcze ust, ale siedząca po prawej ręce szefa Diana mogłaby się założyć, że jego zęby były lśniaco białe i równe jak od linijki. Cały pokój przeniknięty był intensywnym zapachem jego niewątpliwie drogich perfum, od którego kilkoro obecnych dostawało już mdłości.

Kapitan Cimelli westchnął i zaczął mówić.

– Koledzy – zaczął i od razu spotkał spojrzenie swojej podwładnej. – Koleżanki i koledzy – poprawił się. – Jak wiecie, dzięki pomocy komendy głównej oraz wsparciu naszych współpracowników z Europolu, nasza mała *task-force* uzyskała nie tylko dodatkowe środki techniczne w postaci jednostek patrolowych, środków łączności,

sprzętu informatycznego, a nawet dronów, ale przede wszystkim została wzmocniona personelem. Z góry dziękuję za wkład, jaki wniosą do naszego zespołu koledzy z Padwy i Bolonii – Cimelli skinął w kierunku siedzących w pierwszym rzędzie, ubranych po cywilnemu mężczyzn. – W tym miejscu chciałbym wam przedstawić naszego „francuskiego łącznika” – kapitan wysilił się na żart, którego nikt nie podchwycił. – Oto porucznik Jacques Gaudin z sekcji badawczej francuskiej żandarmerii narodowej. Nasz nowy kolega przyjechał do nas z Nicei. Ma bogate doświadczenie w pracy z kryminalnym światkiem oszustów oraz złodziei dzieł sztuki. Z tego, co już mi wiadomo, ojciec pana porucznika jest szanowanym członkiem zgromadzenia narodowego, a jego matka jest Włoszką, dlatego signor Gaudin mówi świetnie po włosku, czy tak? – kapitan zwrócił się bezpośrednio do Francuza.

– *Oui. Bonjour* – odparł ten ostatni, wyszczerzając zęby w perlistym uśmiechu. Ktoś z tyłu sali parsknął przytłumionym śmiechem, a Diana pomyślała, że właśnie wygrała zakład sama ze sobą.

Cimelli znów przetarł czoło chusteczką i kontynuował wypowiedź.

– Jak zapewne wiedzicie już nawet nowo przybyli, naszym celem jest grupa przestępcza w całości lub częściowo pochodząca z Francji. Przywódcą grupy jest osobnik, którego rysopis macie w teczkach przed sobą, przedstawiający się jako Eliot de Montresor i posługujący się sfałszowanymi dokumentami dyplomatycznymi, podpisanymi niestety również przez naszego burmistrza.

– De Montresor – ciągnął dalej kapitan – aby uwiarygodnić i ułatwić sobie działanie, podał się w tych dokumentach za spadkobiercę wielkiego mistrza templariuszy, czyli powstałego w średniowieczu zakonu rycerskiego. Zakon nie istnieje od wieków, bo został zlikwidowany na początku XIV wieku przez, eeee – przewertował notatki – papieża Klemensa któregoś tam i króla Francji Filipa Pięknego i już sam fakt nadawania sobie tytułu w nieistniejącej organizacji powinien być wzbudzić podejrzenia. Jednakże, historycznie rzecz biorąc, w naszym mieście rzeczywiście działało mnóstwo zakonów. Istniały tu też różne organizacje, z osławionymi masonami włącznie, więc kto wie, być może bajeczka, którą rozpowiadał de Montresor, ma jakieś, choćby śladowe, umocowanie w faktach. Reszta jego grupy na razie nie została dokładnie opisana poza jedną osobą zamieszana w próbę porwania niejakiej Olivii Cattanei, byłej asystentki zmarłego niedawno profesora Alessandro Bonardiego.

– À propos profesora – kapitan zerknął w stronę Diany. – Jak wiecie, początkowo skupialiśmy nasze wysiłki na tym, aby wyjaśnić nie całkiem jasne okoliczności jego śmierci. Nie znaleźliśmy jednak śladów działań osób trzecich, a osobisty lekarz profesora przekazał nam informacje o chronicznych patologiach oddechowych denata, z którymi ten zmagał się od lat. Tak więc w świetle tych informacji możemy powiedzieć, że na dziewięćdziesiąt procent ten zgon miał przyczyny naturalne i dlatego na razie, dopóki nie wypłyną nowe dowody, wkładamy ten wątek do zamrażarki i skupiamy się na poszukiwaniu bandy de Montresora.

Diana spojrzała pytająco na szefa. Nie mieściło jej się w głowie, że tak łatwo odpuszcza, tym bardziej, że doskonale wiedziała, że owe dziewięćdziesiąt procent było mocno nagięte. Cimelli zupełnie zignorował jej spojrzenie.

– Przestępcy, których będziemy szukać, są wyjątkowo brutalni i zdeterminowani. Posługują się fałszerstwem i szantażem. Nie cofają się przed porwaniami i torturami, a nawet morderstwem. Jak dotąd wiemy tylko o jednej ofierze. Jest nią pracownik naukowy wydziału nauk humanistycznych, docent Alberto Rossi. Wczoraj wydobyto jego ciało z lochów zamku. W celi obok znaleziono naszego kolegę, na szczęście żywego. Jest w ciężkim stanie, na razie nie możemy go przesłuchać, ale wierzymy, że będzie chciał współpracować i dostarczy nam jakichś informacji.

– Bo tak naprawdę – Cimelli spojrzał na swoich ludzi – nie wiemy najważniejszego, czyli tego, jaki jest dokładnie cel działań kryminalistów. Jak dotąd ich ruchy wydają się co najmniej chaotyczne. Podsumujmy to, co wiemy.

Kapitan podszedł do białej tablicy stojącej w rogu sali i wziął do ręki mazak, aby zapisać najważniejsze punkty.

– Po pierwsze grupa szukała jakichś informacji u Bonardiego. Zakres wiedzy profesora był tak szeroki, że trudno powiedzieć, czego od niego chcieli, ale z zeznań asystentki wiemy, że interesowali się jakimś klejnotem, o którym Bonardi mógł coś wiedzieć. W tym świetle dość dziwne wydaje się zaginięcie z willi tylko jednego obrazu, które nastąpiło po nagłej śmierci profesora. Obraz, który zaginął – kapitan zerknął ponownie do teczki – eee.... „Portret Beatrice d’Este” był bardzo cenny i to by akurat mogło pasować do profilu przestępców. Natomiast zupełnie niezrozumiałe wydaje się to, że tacy specje ukradli tylko to malowidło, pozostawiając inne, warte setki tysięcy euro. Profesor posiadał między innymi imponującą kolekcję obrazów Giovanniego Boldiniego, osiągające na aukcjach zawrotne ceny. Przyjmujemy tu trzy hipotezy. Zatem: złodziejem mógł być ktoś inny korzystający z okazji i niekoniecznie znający się na sztuce, albo nasi złodzieje zostali przepłoszeni, albo – zawiesił głos – chodziło im dokładnie o ten konkretny obraz. Co jednak nie tłumaczy dalszych działań grupy. I tu przechodzimy do następnego punktu. Nie wiemy, w jakim celu torturowali i zabili docenta uniwersytetu, którego, jak się dowiedzieliśmy, specjalizacją był okres panowania książąt d’Este. Ten docent, Rossi, napisał nawet pracę naukową na ten temat. Nie tylko od niego chcieli coś wydobyć. Wiemy, że próbowali porwać asystentkę zmarłego profesora Bonardiego, która również jest absolwentką historii sztuki. Reasumując – Cimelli zakreślił koło wokół punktów wypisanych na tablicy – wszystkie te wątki skupione są wokół osób związanych z historią sztuki i wokół zabytkowych artefaktów. I to nieprzypadkowych. Są to na pewno bardzo konkretne obiekty, których przestępcy szukają z wielką determinacją, nie cofając się absolutnie przed niczym. Obserwując ich metody, możemy przyjąć roboczą hipotezę, że być może działają z pobudek ideologicznych, *ergo* rzeczywiście są członkami pewnej zorganizowanej grupy czy tajnego stowarzyszenia, które ma jakiś wyższy cel. I dlatego tu jesteście: aby ten cel odkryć, a tych delikwentów powstrzymać, zanim zrobią coś naprawdę nieobliczalnego.

Cimelli sięgnął po butelkę wody stojącą na stole. W pomieszczeniu zapanowała cisza. Wszyscy trawili słowa dowódcy. Nawet Francuz przestał się kiwać na krześle. Nikt z obecnych nie miał nigdy do czynienia z podobnego rodzaju przestępcami. Prowadzili dotąd wiele zawiłych spraw, ale motywacje kryminalistów były dla nich zawsze jasne i oczywiste: pieniądze, szybki zysk, władza, panowanie nad danym terytorium lub określonym typem nielegalnej działalności. Monopol na prostytutkę, przemyt lub handel narkotykami. Tym razem mieli się zmierzyć z ludźmi, którzy stanowili dla nich zagadkę. Jeden z funkcjonariuszy zdobył się na odwagę i zabrał głos.

– Szefie, a czy nie powinniśmy tego oddać antyterrorystom?

Kapitan odstawił butelkę.

– A może zaraz antymafii? – skarcił wzrokiem podwładnego. – Dopóki ta grupa nie wysunie żadnych żądań albo, nie daj Boże, nie podłoży gdzieś bomby, to jest w dalszym ciągu sprawa kryminalna przydzielona nam przez prokuratora, rozumiano? Jest dziwna i wielowątkowa, ale damy radę. Podzielimy zadania. Całością będzie kierować porucznik Leone, która od tej chwili przechodzi do działu śledczego. Diano – zwrócił się bezpośrednio do podwładnej – od jutra jesteś do dyspozycji wydziału dwadzieścia cztery godziny na dobę. Oczekuję, że wykorzystasz znajomość z tymi dziennikarzami, oni mają sporą wiedzę i kontakty. Zaangażuj ich, niech ci pomogą z tymi, jak im tam, templariuszami. Postaraj się dowiedzieć czegoś więcej o skradzionym obrazie i tym klejnocie, o którym mówiła asystentka. Musimy wiedzieć, czego oni jeszcze szukają. I musimy to znaleźć przed nimi. Poruczniku Gaudin, pan będzie deptał po piętach temu de Montresorowi, może on albo jego koledzy są gdzieś notowani, niech pan spróbuje uzyskać wszelkie info od pana kolegów we Francji, dobrze?

– *Va bene* – Gaudin po raz pierwszy przemówił po włosku.

– Wszystkich pozostałych proszę o maksimum zaangażowania – zwrócił się do pozostałych kapitan. – Zbierajcie na mieście wszystkie, nawet pozornie nic nieznaczące plotki. Może oni współpracują z lokalnym półświatkiem. Muszą też gdzieś spać i jeść. Dowiedzcie się gdzie. A może chodzą na dziwki? Albo nadepnęli już komuś na odcisk, odkąd zaczęli się panoszyć na nie swoim terenie? Zmuscie ptaszki do śpiewania! Raportujecie wszystko porucznik Leone. Pod koniec następnego tygodnia robimy ponowne zebranie i chcę mieć już jakieś konkrety. Do roboty!

Cimelli tymi słowami zakończył spotkanie i w pokoju rozległo się szuranie krzeseł. Wszyscy zaczęli wychodzić. Tylko Diana nie ruszyła się z miejsca.

Jako ostatni w stronę drzwi ruszył Gaudin. Gdy wstał, prostując swoje świetnie zbudowane dwumetrowe ciało, przez głowę Diany przeszła po raz kolejny myśl, że ten człowiek zdecydowanie pomylił zawody i powinien teraz paradować na wybiegu u któregoś ze znanych projektantów, a nie marnować czas w podrzędnej włoskiej komendzie.

W pokoju pozostała tylko Diana i jej szef. Diana spojrzała na niego

z niedowierzaniem.

– Dziewięćdziesiąt procent? Naprawdę?

Cimelli usiadł naprzeciw niej i przybrał konfidencjonalny ton. Znali się wiele lat i rozumieli prawie jak ojciec z córką. Taki też był ich pozasłużbowy wzajemny stosunek.

– Słuchaj, Di, są rzeczy, których nie mogę powiedzieć ani zrobić oficjalnie. Oboje wiemy, że sprawa Bonardiego śmierdzi. Ale nie mamy teraz środków, żeby to ciągnąć. Mamy za to szaleńców torturujących ludzi po piwnicach. Skupmy się na tym. Jeśli ci niby-templariusze mają jakiś związek ze śmiercią profesora, to prędzej czy później to wyjdzie. Tylko ich złapmy. I jeszcze coś – chwycił ją za rękę. – Dopóki nie dowiemy się, jaka była naprawdę rola Giacomo, nie chcę go całkowicie pogrążyć. Kto jak kto, ale ty to rozumiesz. Nikomu ani słowa. Zanim sformalizują się wobec niego zarzuty, liczę na ciebie, że prześwietlisz to na wylot. Informuj mnie i tylko mnie, przefiltrujemy to wszystko, zanim to pójdzie dalej. Musimy być szybcy i skuteczni, bo jeśli damy ciała, to naprawdę sprawę przejmie antymafia albo chłopcy z wydziału ochrony dzieł sztuki z Bolonii, którzy już tu zwęszyli robotę dla siebie. Jak nam to odbiorą, to dla Giacomo nic już nie będziemy mogli zrobić. Najlepiej zacznij od przyjrzenia się tej Olivii. Może przez tego twojego znajomego. Ona sama coś nie za bardzo chce współpracować. Nie ma wprawdzie żadnych dowodów, że wie więcej, niż mówi, ale na mój policyjny i prawie emerytowany nos to ona jest kluczem do całej tej sprawy. Albo przynajmniej wytrychem.

Diana po raz pierwszy tego dnia w pełni podzielała opinię swojego szefa.

Anioł

Davide automatycznie przeżuwał pączka, którego prawie połowę objętości zajmowało nadzienie z nutelli. Jego ojciec zwykł mawiać, że taką ilością cukru można by posłodzić herbatę dla całej kompanii Armii Czerwonej. Davide nie pijał herbaty, a Krasnaja Armia była dla niego pojęciem zasadniczo abstrakcyjnym. Zazwyczaj jednak, odkąd sięgał pamięcią, sama myśl o pączku z nutellą wywoływała w nim napływ apetytu. Gdy tylko pojawiał się rano w barze San Romano, barista Diego szykował już dla niego dwa talerzyki: jeden na tradycyjne poranne cappuccino, a drugi na *bombolone* – włoskiego pączka ze słodkim nadzieniem. Tak właśnie tradycyjnie jadło się w całych Włoszech śniadanie. Na słodko i z kawą. Żadnych kanapek. Żadnej herbaty. Pączka, rogalik lub brioszkę jadł i wymuskany pan z teczką, i robotnik, który miał za chwilę przerzucać beton taczkami.

Davide od zawsze wybierał nutellę. Czekolada była jego paliwem w nie mniejszym stopniu niż kofeina. Tym razem nie odczuwał jednak nawet jej smaku. Ból głowy, który nękał go od czasu incydentu z motocyklistą już prawie ustał, ale wciąż nie potrafił sobie poradzić z płataniną myśli i wątpliwości, których nie był w stanie rozwiązać. W dniu, w którym ocknął się w szpitalu, pierwszą osobą, jaką zobaczył, była Diana. Nie mógł nie zauważyć bijącego w oczy kontrastu między bezinteresowną dobrocią i troską, jaką mu okazała, a wyniosłą nieobecnością Olivii. Jeszcze kilka dni temu rzuciłby się za tą dziewczyną w ogień. Dziś zalewała go gorycz rozczarowania. Anioł, w którego naiwnie i święcie wierzył, okazał się zwykłym stworzeniem z krwi i kości. Ktoś, kogo zbyt pośpiesznie wziął za swoją drugą połówkę, nagle stał się odległy jak biegun północny. Davide desperacko pragnął odzyskać kontrolę nad swoimi emocjami. Resztkami nadwyreżonej siły woli próbował przywrócić rzeczom ich właściwy kształt. Wiedział, że sam ponosił część winy za swoje kiepskie samopoczucie. Nie mógł nie przyznać Olivii sprawiedliwości za to, że próbowała go pohamować przed nadmiernym zaangażowaniem. To jednak nie koło jego depresji. Może dlatego, że wciąż widział przed oczami twarz dziewczyny i ciągle była to dla niego twarz anioła.

Przetykając kęs słodkiego pączka, postanowił zawrzeć ze sobą desperacki pakt. Miał świadomość, że nic w tej historii nie będzie tak piękne i magiczne jak dotąd. Ale gdy myślał o tej sprowadzonej do ziemskiego wymiaru blond bogini, gdzieś w głębi duszy czuł pewność, że każde, nawet najmniejsze „coś” z nią będzie dużo lepsze niż „wszystko” z jakąkolwiek inną. Postanowił, że podejmie jeszcze jedną próbę. Nigdy by sobie nie darował, gdyby tego nie zrobił. W zasadzie był na to skazany. Zwilżył usta kawą i wybrał numer w komórce.

– Cześć... – usłyszał jej przywitanie, po czym w słuchawce zapanowała cisza.

Z góry założył, że szanse na to, że to ona podejmie rozmowę, będą nikłe. Dlatego szczerze się zdziwił, gdy zabrała ponownie głos.

– Davide... Przepraszam cię...

Niemal nie wierzył w to, co słyszał

– Może nie powinnam ci tego mówić, ale stęskniłam się za tobą.

Chciał jej wykrzyknąć do słuchawki: „dlaczego u licha nie powinnaś, kobieto? Móóóóów!”.

– Bardzo chcę cię zobaczyć – udało mu się wyksztusić.

Zamierzał to powiedzieć ciepłym tembrem George’a Clooneya, ale zamiast tego zabrzmiał jak klarnet, do którego dmuchał pijany perkusista.

– Przyjdź tam, gdzie się to stało. Za pół godziny. Możesz? – zaproponowała.

Obliczył w myślach, ile potrzeba mu czasu na napompowanie przepuszczającej powietrze dętki od roweru i przebranie się. Zrezygnował z pompowania.

– Zdążę. Ale czy na pewno chcesz akurat tam? – zapytał. – Może lepiej spotkajmy się przy Baszcie? Stamtąd moglibyśmy pójść wzdłuż murów.

– Nie. Nie cierpię tego miejsca. Jeszcze bardziej niż tego, gdzie mnie... gdzie nas napadli – poprawiła się. – Masz być tam, gdzie ci powiedziałam. Pół godziny.

Rozłączyła się.

Davide poczuł gorycz kawy na dolnej wardze i dławiącą wręcz słodycz nutelli w przetyku. Czymkolwiek żywiła się Armia Czerwona, być może jednak jego ojciec miał rację. Położył monety obok filiżanki i machając energicznie do Diego, wybiegł z baru.

Czterdzieści minut później spóźniony i zziębnięty dobiegł do Palazzo Diamanti. Rower musiał porzucić w połowie drogi, gdy felga przecięła sflaczałą oponę, uniemożliwiając mu dalszą jazdę. Olivia czekała na niego w cieniu bramy. Zbliżając się do niej, zastanawiał się, czy pot, który zabarwił ciemnymi plamami jego nową koszulkę, jest równie zauważalny w zapachu, co w wyglądzie. Dopiero, gdy dziewczyna rzuciła mu się na szyję i ścisnęła go tak mocno, że prawie zabrakło mu tchu, poczuł, jak rozluźniają mu się napięte stresem mięśnie. Choć temperatura powietrza dawno już przekroczyła podziałkę z napisem „gorąco”, dopiero teraz, czując przylgnięte do niego smukłe ciało dziewczyny i roznoszący się wokół słodki zapach jej perfum, odczuł przyjemne ciepło wlewające się mu w żyły. Uspokoił przyspieszony oddech i bez zastanowienia wyszeptał jej do ucha.

– Pragnę cię...

Zamiast udzielić odpowiedzi musnęła jego usta swoimi wilgotnymi wargami i objęła go jeszcze mocniej. Miał ochotę się z nią kochać tu i teraz, nie zważając na ludzi, którzy przechodzili przez bramę w kierunku galerii sztuki znajdującej się

w pałacu. Olivia rozluźniła uścisk, chwyciła go za dłonie i wyprostowała sztywno ręce, sprawiając, że wytworzył się między nimi półmetrowy dystans.

– Hola, ogierze! Nie po to cię tu sprowadziłam. Idziemy na spacer. Oczywiście, o ile nie umrzesz mi w tym upale – roześmiała się głośno i zrozumiał, że jego przeupocona koszulka jednak nie uszła jej uwadze.

Dopiero teraz miał okazję przyjrzeć się jej dokładnie. Nie przedstawiała go zaskakiwać. Zwiewna skromna błękitna sukienka bez dekoltu, którą miała na sobie, ozdobiona była jedynie delikatnym łańcuszkiem, na którym pobłyskiwały małe srebrne gwiazdki. Jej ubiór oraz włosy zaplecione w dwa warkoczyki nadawały jej dziewczęcego wyglądu, który sprawił, że emocje Davide'a w jednym momencie przeszły od dzikiego pożądania do ckliwego rozrzewnienia. Miał ochotę uklęknąć i całować ją po rękach.

– Ej, wszystko dobrze? Co to za mina? – szturchnęła go w bok, a następnie wzięła pod rękę i wyprowadziła z bramy wprost w oślepiający i palący strumień światła lejącego się z nieba.

Przeszli przez skrzyżowanie, które zapewne tylko dzięki wytęsknionej bliskości Olivii przestało kojarzyć się Davide'owi z przerażającymi wydarzeniami sprzed kilku dni.

Minęli opustoszały pałac Prosperi-Sacрати, o którym Davide napisał kiedyś artykuł i wytknął władzom Ferrary zaprzepaszczanie jednego z najokazalszych zabytków miasta. Patrząc na zaryglowaną bramę, znad której spoglądały na niego w smutnym milczeniu kamienne amorki, westchnął i przysiągł sobie, że po zakończeniu historii, w której centrum właśnie się mimowolnie znalazł, wróci do walki o ocalenie tego budynku.

Wrażliwość, którą zaszczepili mu nauczyciele tacy jak Bonardi czy jego mentor Montanari, sprawiała, że nie był w stanie przechodzić obojętnie obok czegoś, co nazywał „marnotrawieniem piękna”. Nie był osobą religijną, ale głęboko wierzył, że na świecie istnieją dwie siły, które leżą na przeciwległych biegunach. Na jednym z nich królowała śmierć, zło i zniszczenie, a na drugim miłość, kreatywność i piękno. Nie miał wątpliwości co do strony, po której chciał stać.

Zerknął kątem oka na Olivię. Jej biały uśmiech kontrastujący z czerwienią idealnie ukształtowanych ust i błękitne śmiejące się oczy, w których odbijało się „zawsze bardziej niebieskie” włoskie niebo, po raz kolejny wydały mu się kwintesencją tego, co w jego mniemaniu było przejawem boskości, ziemskim objawieniem jasnej i dobrej energii wszechświata.

Nie mógł zrozumieć zmienności nastrojów tej dziewczyny. Nie potrafił jej rozgryźć. Na dobrą sprawę zupełnie nie wiedział, czy i w jakim stopniu odwzajemnia jego uczucia i nie miał żadnej pewności co do tego, jak Olivia zachowa się za godzinę, jutro czy pojutrze. Czasem przechodziło mu nawet przez głowę, że gra z nim w jakąś perfidną sadystyczną grę. A jednak widział w niej ten czysty i piękny boski pierwiastek. Całym sobą chciał w niego wierzyć.

Po drodze wstąpili do parku Massari rozpościerającego się obok zabytkowej alei,

którą podążali. W stojącym pośrodku zadrzewionej przestrzeni, otoczonym karuzelami i bawiącymi się dzieciakami kiosku dziewczyna kupiła mu butelkę zimnej wody. Połowę wylał od razu na swoją gotującą się od upału głowę, a resztę łapczywie wypił, patrząc jednocześnie w niemym zachwycie na Olivię. Za plecami dziewczyny, w samym środku parku, skrzyła się w promieniach słońca woda tryskająca z fontanny, jakby żywcem wyjęta z *Tajemniczego ogrodu*. Davide czuł się jak w bajce. Jego nastroju nie zepsuł nawet moment, w którym zrozumiał, co było ostatecznym celem ich wycieczki.

Po powrocie na nagrzaną słońcem kamienną drogę prowadzącą w kierunku murów i kilkuminutowym spacerze skręcili w prawo i weszli w krótką wąską uliczkę. Idąca przodem Olivia popchnęła żelazną furtkę znajdującą się na końcu dróżki i dziennikarz zobaczył przed sobą rozległy plac z kościołem pośrodku, od którego rozchodziły się tworzące niepełne półkole długie korytarze podcieni. Davide znał tę perłę architektury i doceniał wagę miejsca, ale nie czuł się tu komfortowo.

Zgodnie ze swoją filozofią wolał przebywać po stronie życia i światła, tymczasem Olivia przyprowadziła go na najstarszy miejski cmentarz. Przylegająca do murów miejskich i głównej alei prowadzącej do zamku nekropolia o nazwie Certosa, była miejscem ostatniego spoczynku najstarszych i najznamienitszych rodów Ferrary.

Dziennikarz, mimo wewnętrznej awersji do takich miejsc, nie mógł nie przyznać, że ktoś, kto stworzył to miejsce, wyróżniał się doskonałą wrażliwością estety. Pokryty zadbanym trawnikiem plac prowadzący do kościoła był przestronny i mimo roli jaką pełnił, niezwykle przyjemny dla oka. Sama świątynia wydawała się skromna, wręcz niedokończona, a mimo to uspokajała harmonią swoich kształtów. Nim do niej doszli, Olivia szarpnęła chłopaka za rękę i skierowała go w prawo, gdzie znajdowała się loggia na planie kwadratu z małym placykiem pośrodku. Weszli w podcienie otaczające placyk.

Na całym olbrzymim cmentarzu oprócz nich znajdowały się może dwie, trzy osoby. Panowała kompletna cisza. Szli w milczeniu wzdłuż kolumn i wmurowanych w ścianę tablic upamiętniających zmarłych. W miarę posuwania się w głąb zacienionych korytarzy wokół nich robiło się coraz mroczniej i chłodniej. Davide powoli zaczynał żałować, że dał się wyciągnąć na tę wycieczkę, choć z drugiej strony ciągle był ciekaw, dlaczego w ogóle Olivia przyprowadziła go w to miejsce.

– Chodź tutaj, pokażę ci coś niesamowitego! – dziewczyna popchnęła go w stronę kaplic przylegających do krużganków. Nie było tam żywej duszy. Mijane kaplice były w bardzo złym stanie. Odpadające tynki, zagrzybione ściany nadawały temu miejscu wyjątkowo ponury wygląd. Powstrzymując nieprzyjemne odczucia, Davide starał się czytać wszystkie mijane napisy i podziwiać nagrobki wmurowane w ściany. Niektóre z nich były wykonane z niezaprzeczalnym kunsztem.

Na jednej ze ścian wpadło mu w oko nazwisko „Enrico Montanari 1937–2020”. Przystanął zdziwiony i wyciągnął komórkę, aby zrobić zdjęcie dla swojego szefa i zapytać go, czy nagrobek nie należał przypadkiem do jego rodziny. Dwa tysiące dwudziesty. Na wielu mijanych tablicach widział tę datę. Westchnął, przypominając

sobie z trudem rok, który wszyscy starali się wyciąć z pamięci.

Nagle uświadomił sobie, że został sam.

Olivia poszła dalej, nie czekając na niego. Nie słyszał już nawet jej kroków.

Nigdy nie bał się duchów. Po śmierci ukochanej babci, gdy był jeszcze nastolatkiem, założył się nawet sam ze sobą, że jeśli istnieje życie pozagrobowe, jego babcia, dla której był oczkiem w głowie, na pewno go odwiedzi. Zgodnie z tym, co podejrzewał, ale i też ku jego rozczarowaniu, nigdy to nie nastąpiło. Jednak w tym obcym, zaniedbanym, pachnącym starością i grzybem miejscu czuł się wyjątkowo nieprzyjemnie, co potęgowała świadomość, że w ścianach, pod podłogami, dosłownie wszędzie wokół niego były pogrzebane szczątki ludzi.

Głos Olivii wzywający go z daleka teatralnym szeptem przyjął jak wybawienie. Szybkim krokiem skierował się w jego stronę. Przeszedł przez mały placyk wypełniony stłoczonymi grobami i wszedł do kolejnej ciemnej kaplicy.

Kiedy wzrok zaczął się przyzwyczajać do mroku, jego oczom ukazał się widok, który go jednocześnie przeraził i zafascynował.

Na środku pustego pomieszczenia stał marmurowy sarkofag z wyrzeźbioną na nim postacią leżącego mężczyzny owiniętego w prześcieradła. Ta niezwykle realistyczna rzeźba przedstawiała najprawdopodobniej zmarłego w chwili agonii. Ale nie to było najbardziej niepokojące.

Za głową mężczyzny stał anioł.

Wysoki jak dorosły człowiek, z rozpostartymi długimi skrzydłami, pochylał się nad zmarłym i patrzył prosto w jego zastygające oczy. Skrzydlata postać była jednocześnie piękna i przerażająca, gdyż Davide uzmysłowił sobie, że musiał to być anioł śmierci. Na ile przypominał sobie wykłady z angelologii, które były częścią jego edukacji związanej ze sztuką i filozofią, wiedział, że te niematerialne istoty były pozbawione cech płciowych. Przysiągłby jednak, że anioł, którego miał przed sobą, był kobietą. I to niezwykle piękną. Jej twarz była delikatna i zmysłowa. Pod zwiewną suknią widać było zarys piersi. Kontemplację rzeźby przerwał mu głos Olivii, która wynurzyła się z ciemności zza anioła i stanęła obok niego.

– Byłam tu kiedyś z mamą. Zapamiętałam to miejsce i chciałam ci je pokazać. Niesamowite, prawda?

– Tak... – gardło miał tak suche, że stracił prawie zdolność mówienia. – Kto... kto to w ogóle jest? – odkaszlnął wskazując podbródkiem na rzeźbę zmarłego.

– Byliśmy u niego przed chwilą. W parku. To był jego park. On się nazywał Massari, zobacz. – Wyjęła telefon i poświeciła nim pochylając się nad nagrobkiem.

Kiedy jego mózg zarejestrował to, co znajdowało się przed jego oczami, Davide poczuł, jak krew odpływa mu do pięt.

W świetle telefonu dostrzegł wyrzeźbione na szyi anioła niewielkie gwiazdki, niemal identyczne z tymi, które pobłyskiwały na łańcuszku Olivii. Jakby tego było mało, dziewczyna miała sukienkę przypominającą szatę anioła, a włosy obojga były tak samo upięte. Nawet sposób, w jaki Olivia pochylała się z telefonem, był

lustrzanym odbiciem pozy, jaką przybrała postać z posągu.

Davide'owi zakręciło się w głowie. Choć nigdy nie cierpiał na klaustrofobię, zrobiło mu się duszno. Wybiegł z kaplicy, szukając miejsca, do którego docierały pojedyncze promienie słońca. Stał na środku placu i dysząc ciężko pochylił się opierając dłonie na kolanach. Zbierało mu się na wymioty i modlił się w duchu, żeby tylko nie puścić pawia na otaczające go groby.

Olivia wyszła z kaplicy wciąż z telefonem w ręce. Podbiegła do niego i położyła mu dłoń na plecach. Drgnął, ale zaczął się uspokajać.

– Hej, co ci się stało? – pochyliła się i spojrzała mu w oczy poważnie. – Chyba cię nie przestraszyło to miejsce? Oj, bo teraz będzie mi przykro, że cię tu przyprowadziłam... Chodź mój delikatny królewiczu, wyprowadzę cię stąd!

Dał się jej poprowadzić. W tym stanie bez jej pomocy pewnie nie znalazłby wyjścia z plątaniny krużganków i kaplic.

Kiedy ponownie wyszli na otwarty plac przed kościołem, czuł się już dobrze, choć w głowie kotłowała mu się plątanina myśli, których nie potrafił wyrazić słowami.

– Przepraszam – wyjąkał do Olivii. – Wybacz mi, wyszedłem na idiotę. Ja... nie wiem, co mnie ogarnęło. To pierwszy raz. To chyba odwodnienie albo to cholerne gorąco. Nie masz pojęcia, jak mi głupio.

– Nie masz za co przepraszać. Wiesz, na mnie też działa to miejsce. I sama bym tu na pewno nie przyszła – pogładziła go po policzku. – Lepiej ci?

– Tak, wszystko ok – wykrzywił usta w namiastce uśmiechu.

– Bo chciałam ci pokazać coś jeszcze, ale w nowej części cmentarza. Tam jest jasno i czysto! – zaśmiała się. I żadnych aniołów, obiecuję!

– Spoko – chciał za wszelką cenę zatrzeć w jej pamięci swoją chwilę słabości.

– Prowadź... aniele – dodał i spojrzał na nią przenikliwie.

Ruszyli energicznie i omijając z daleka posępne krużganki weszli przestronną alejką do nowoczesnej części nekropolii. Znajdowały się tu prywatne kaplice zbudowane w formie domków. Niektóre z nich były ozdobione rzeźbami i Davide zauważył nawet coś, co przypominało mini piramidę z rzeźbami faraonów. Rozbawiło go to do tego stopnia, że całkiem opuścił go mroczny nastrój.

– Gdzie ty mnie prowadzisz? – zagadnął z niekłamaną ciekawością w głosie.

– Już nigdzie. Jesteśmy na miejscu – odparła dziewczyna zatrzymując się przy jednym z wielu identycznie wyglądających i skromnych w formie kaplic. Dziennikarz zbliżył się i przez zamknięte oszklone drzwi zajrzał do środka. Paliły się tam znicze, stało też kilka kwiatów pozostawionych przez rodzinę zmarłego. Przeczytał napis na ścianie. „Michelangelo Antonioni”. Przypominał sobie, że ten znany i utalentowany artysta urodził się w Ferrarze. Nie wiedział jednak, że był tu również pochowany.

– To mój ulubiony reżyser – powiedziała Olivia. – Jeden z ulubionych. I jest stąd. W tym mieście się wychował. Widziałeś jego *Powiększenie*? – podskoczyła na palcach jak mała dziewczynka na widok baloników.

– No pewnie. Lubię ten film – był dumny, że może jej czymś w końcu

zaimponować.

– A pamiętasz ten najważniejszy moment w parku, kiedy fotograf robi dziewczynie zdjęcia i...

– I przypadkowo, nieświadomie fotografuje scenę morderstwa! – wszedł jej w słowo Davide.

– Tak, dokładnie! Nie wydaje ci się, że tamten park był bardzo podobny do placu na tym cmentarzu?

– Hmm... raczej nie – zaprzeczył – tam było więcej drzew. A poza tym tamten park jest, zdaje się, w Londynie.

Przypomniała mu się rzeźba anioła. Znów poczuł ukłucie niepokoju.

– Olivio – spojrzał jej przenikliwie w oczy – po co ty mi to mówisz? Co my tu w ogóle robimy? Chcesz mi coś powiedzieć?

– Nie. A może tak. Posłuchaj. Powiedz mi, co było najważniejsze w tym filmie? W *Powiększeniu*. Wiesz?

– Żeby.... Żeby patrzeć w głąb kadru?

– Tak – Olivia nagle zrobiła się równie poważna jak on.

Podeszła do niego, objęła dłońmi jego policzki i spojrzała na niego z bliska. Jej błękitne oczy były teraz smutne, jakby trapił ją jakiś głęboko ukrywany problem.

– Musisz zawsze patrzeć poza to, co widzisz na pierwszym planie. Bo nic nigdy nie jest tym, na co wygląda. Rozumiesz? Zrozum to lepiej, zanim komuś stanie się coś złego.

Oderwała dłonie od jego twarzy i obróciła się energicznie.

– Wracamy – rzuciła krótko.

Zdażył ją chwycić za łokieć i przyciągnąć do siebie.

– Chwileczkę. O czym ty w ogóle mówisz?! I co to było z tym aniołem, wyjaśnij mi! Dlaczego ubrałaś się tak samo? Myślisz, że nie zauważyłem? Sukienka, włosy, nawet gwiazdki. Co to za przedstawienie? Chciałaś mnie przerazić? Udało ci się!

– Nic mi się nie udało! Przepraszam cię, jeśli się aż tak wystraszyłeś! Przepraszam – powtórzyła ciszej. – Chciałam tylko... – szukała właściwego słowa. – Chcę, żebyś był czujny, rozumiesz? Ty nie wiesz, z czym igrasz. Nie rozumiesz, że ryzykujesz. To nie jest zabawa, chłopcze! – ostatnie słowa wykrzyczała z oczami wypełnionymi łzami.

Puścił jej łokieć. Zrobiło mu się przykro. Chciał ją objąć, ale odwróciła się i zaczęła iść w kierunku wyjścia.

– Olivia! – zawołał. – Olivia!

Nie reagowała, ale gdy ją dogonił, pozwoliła się objąć ramieniem i zwolniła kroku.

– Posłuchaj – zaczął. – Ja wiem, że są rzeczy, o których mi nie mówisz. Nie wiem, może nie możesz. Ale jestem czujny, wierz mi. Bycie czujnym to część mojego zawodu, pamiętasz? Jeśli jednak jest coś, co możesz mi powiedzieć, naprowadzić mnie, to błagam cię, powiedz mi to. Bo ja się o ciebie też martwię!

Olivia zatrzymała się, otworzyła małą torebkę, którą miała cały czas ze sobą

i wyjęła z niej chusteczkę. Otarła powoli łzy. Zmięła chustkę i wrzuciła ją do torebki, z której wyjęła coś innego i wcisnęła to w dłoń chłopaka. Był to różaniec z symbolem templariuszy, który otrzymała od Marco.

– Daj to twojej eks. Niech to sprawdzą w laboratorium. Dzięki temu powinni ich znaleźć. A oni opowiedzą wam resztę. Ja nie mogę – rzuciła chłodno, po czym wyzwoliła się z objęć i zaczęła zmierzać szybkim krokiem w kierunku furtki.

Zaskoczony Davide schował przedmiot do kieszeni i rzucił się biegiem za dziewczyną. Dzień, który tak miło się zaczął, przybrał nieoczekiwany obrót. Na to jednak w kontaktach z Olivią od pewnego czasu był już przygotowany i gotowy to zaakceptować, skoro taka była cena za odrobinę jej uśmiechu oraz dotyku. Podświadomie wiedział, że zapłaciłby cenę nawet wielokrotnie wyższą.

Doganiając dziewczynę, która była już niemal przy wyjściu, kątem oka przeczytał napis na mijanym nagrobku. „Giovanni Boldini – malarz”. Obok, na znacznie skromniejszym i najwyraźniej niedawno postawionym nagrobku, wisiała mała tabliczka z napisem „Alessandro Bonardi – mecenas sztuki”.

„Nawet po śmierci ma go blisko siebie”, pomyślał Davide zamykając za sobą skrzypiącą bramę.

Przesłuchanie

Porucznik Diana Leone po raz pierwszy pojawiła się w pracy ubrana po cywilnemu.

Zgodnie z regulaminem karabinierów wydział śledczy był jedynym, w którym chodzenie w mundurze było nie tyle nieobowiązkowe, co wręcz zakazane. Również w kwestii uzbrojenia agentom zalecano dyskrecję. Tego ranka Diana zajrzała do rzeczy Giacomo, które ciągle znajdowały się w jej mieszkaniu i znalazła to, czego szukała – niewielką skórzaną kaburę wsuwaną do wewnętrznej części spodni i zapinaną zatrzaskiem na pasku. Pistolet glock model 19 mimo skróconej lufy, co miało polepszyć jego poręczność w stosunku do modelu 17, był jednak wciąż wielkim kawałkiem metalu i wzmocnionego plastiku, a ukryty pod ściśle przylegającą do ciała czarną marynarką uwierał boleśnie prawy bok Diany.

Dziewczyna wpatrywała się w zamknięte drzwi do pokoju przesłuchań. Wiedziała, kto czekał na nią po drugiej stronie. Jej blada twarz i zaciśnięte w wąską kreskę usta były jawnym dowodem wyczerpania psychicznego, ale jednocześnie zdradzały ogromną siłę woli i determinację. Stojący obok Gaudin położył swoją wypielęgowaną dłoń na ramieniu Diany i spojrzał na nią z troską.

– Nie musisz tego robić, ja pójdę tam za ciebie, *no problem!*

Jego miękki głos i francuski akcent w innych okolicznościach zapewne byłby powodem do żartów. Dziewczyna spojrzała jednak na niego zimnym i pozbawionym emocji wzrokiem, wykonała krok do przodu i stanowczym gestem otworzyła drzwi.

Giacomo siedział tyłem do drzwi i patrzył spod spuchniętych powiek w stronę okna. Nie był skuty kajdankami, co było po części zasługą jego kolegów z oddziału, którzy wciąż nie chcieli przyjąć do wiadomości wagi ciężących na nim zarzutów, a po części czysto technicznym problemem wiążącym się z niemożnością dopięcia kajdanek na pokrytych opatrunkami nadgarstkach.

Diana przeszła bokiem i stanęła naprzeciw niego. Jej spokój został zmaćony, gdy zobaczyła opłakany stan, w jakim znajdował się jej były partner.

– Wyglądasz strasznie! – wyrwało się jej.

– Cześć, Di. Ty za to wyglądasz olśniewająco – spuchnięte i poprzerywane krwawymi bruzdami wargi zniekształcały głos Giacomo.

Diana przełknęła ślinę i z wysiłkiem przywołała profesjonalny wyraz twarzy.

– Nie będę robiła długich wstępów. Nie będę ci też tłumaczyła, że kamera za twoimi plecami jest włączona i że ogląda nas pół wydziału. Znasz zasady. Tu, gdzie

stoję, zazwyczaj stałeś ty. I właśnie dlatego pierwsze pytanie jakie mam, jest następujące.

Oparła się o stół, który dzielił ją od Giacomo i zbliżyła się do jego zmasakrowanej twarzy na odległość kilku centymetrów.

– Co ty sobie myślałeś *stronzo?! Figlio di puttana!!!* – wrzasnęła wypuszczając całe powietrze z płuc i czując jednocześnie rodzaj ulgi, jaki przynosił jej ten wybuch gniewu i żalu. – Jakim cholernym prawem robiłeś przez cały ten czas w wała mnie, twoją dziewczynę, twoją koleżankę, twoich przełożonych i wszystkich współpracowników, którzy ci ufali, patrzyli w ciebie jak w święty obrazek?! Jakim prawem?! – trzęsła metalowym stołem, który choć przymocowany do podłogi, drżał na skutek jej furii jakby był modelem wykonanym z kartonu.

Giacomo przetrzymał ten atak. Patrzył jej w oczy ze spokojem i rozbrajającą czułością.

– Di, ja jestem tu z własnej woli – powiedział łagodnie. – Chyba to wiesz, że nie musiałem. Lekarz zabronił mi się ruszać. Mój papug też mi to odradzał, ale tu jestem. A wiesz, dlaczego? – poprawił się na krześle, krzywiąc się z bólu. – Bo ja jestem kurewsko winny, tak. I strasznie, strasznie mi wstyd. I chcę, żebyście na mnie napluli, sponiewierali mnie, poobrzucali mnie błotem i wyzwiskami. Ja na to sobie zasłużyłem. Więc błagam cię kochanie, walnij mnie w mój głupi tępy ryj, proszę cię zrób to, ulży nam obojgu – Giacomo cedził słowa zmęczonym i cichym głosem, nie odrywając wzroku od dziewczyny.

– Ale chcę, żebyś wiedziała jedno. Żebyście wiedzieli – poprawił się, przekrzywiając głowę w stronę kamery stojącej na trójnogu w rogu salki. – Dałem się zrobić w szantaż, bo jestem pieprzonym hazardzistą, to już chyba wiesz. I tak, narobiłem sobie takich długów, że już nie wiedziałem, jak z tego wyjść. I to moja wina i jest mi tak wstyd, że gdybym umiał dorwać tego glocka, który wypycha ci tę zgrabniutką marynarkę, to wypaliłbym sobie bez namysłu w łeb – podniósł zabandażowane nadgarstki i opuszczył je z hukiem na stół. – Ale nigdy, powtarzam, nigdy – w jego głosie po raz pierwszy od początku rozmowy pojawiło się wzruszenie – nie wyniosłem ani z tego miejsca, ani z naszego domu ani jednej ważnej informacji i nie dałem tym gnojom absolutnie niczego, zwodziłem ich tylko i okłamywałem, jak się dało. Ponoć macie moje maile. Czytałaś ich zawartość? Pamiętasz, jak zawsze żartowałem? Że są trzy prawdy: prawda, święta prawda i gówno prawda. Dawałem im tylko tę trzecią. Często wałem ich wyłącznie gównem i to w obfitości. A ponieważ to jednak nie są głupi ludzie, to najwyraźniej w końcu się w tym połapali. Jak myślisz, dlaczego mnie zamknęli i torturowali? Bo nic ze mnie nie umieli wyciągnąć! – skończył, dysząc ciężko.

Diana wyprostowała się i odwróciła się w stronę okna. Ona też oddychała z trudem, modląc się w duchu, aby stojący za weneckim lustrem Gaudin wszedł i przejął jej obowiązki. Uświadomiła sobie, że przyszła tu tak naprawdę tylko po to, żeby spalić Giacomo w ogniu gniewu, który trawił ją od kilku dni, ale nie miała w ogóle pomysłu na to, jak poprowadzić przesłuchanie. W dodatku żaloszny wygląd jej

faceta i jego najwyraźniej szczere słowa wytrąciły jej z ręki jedyny oręż, jaki posiadała. Nie potrafiła go nienawidzić. Było jej go tylko żal.

Wróciła do stołu i usiadła. Nalała wody do plastikowego kubka i powoli, delikatnie przystawiła Giacomo do ust. Wypił łapczywie. Nie patrzył już na nią. Wydawał się zrezygnowany i nieobecny.

– Wierzę ci – zaczęła zmienionym i spokojnym już głosem. – Bardzo chcę ci wierzyć. Stary również. Nikt ci chyba nigdy nie wybaczy tego, co zrobiłeś. Ja ci na pewno nie wybaczę, nie łudź się. Ale twój los nie jest jeszcze przesądzony. Przyszedłeś tu faktycznie z własnej woli. I to działa na twoją korzyść. Daj nam coś jeszcze, to może uda ci się jakoś z tego wywinąć. Póki co, raport nie jest skończony. Może nawet cię nie wywalą – pocieszyła go. – Ale teraz się, kurwa, staraj! – dokończyła sucho.

Giacomo skinął w milczeniu głową.

– Czego jeszcze nie wiecie? Pytaj.

– Jak to się zaczęło? Wszystko, co wiesz o tych ludziach. Kim są i czego konkretnie szukają?

Giacomo wziął głęboki oddech.

– Ja mam tylko dwie słabości, Di. Właściwie trzy. Ciebie, lęk wysokości i hazard.

– Nie mówimy już o mnie – ucięła. – Twoje lęki już mnie też nie interesują. Co z resztą?

– Hazard był częścią mojego życia. Wiesz, tego pod przykryciem. O różne rzeczy się otarłem, o narkotyki, dziwki, cały ten zaszary syf. Gry i zakłady to też była codzienność

– Ach! To wszystko wyjaśnia! To naturalne, że skoro się otarłeś, to musiałeś! Czyli też ćpałeś i rznąłeś jakieś zarżone hivy kurwy? Super, tak się cieszę! – poczuła, jak ogarnia ją ponowna fala złości.

– Diana, nigdy cię nie zdradziłem. Nigdy! Ćpanie... no cóż, raz czy drugi musiałem przy tych koleśkach wciągnąć krechę, ale w ogóle mnie to nie bawiło. Jestem odporny na alkohol i dragi. Z graniem było inaczej. To była moja rozrywka, oderwanie... Ale byłem w tym dobry! Przynajmniej do czasu – westchnął. – A długi generują długi. W tym rynsztoku odsetki rosną z prędkością światła. W końcu mnie przerosły. To zaczęło psuć moją pracę operacyjną. Tamci zaczęli mnie źle traktować. Musiałem robić coraz gorsze roboty. Kazali mi zabić jakiegoś typa. Odmówiłem, zrobił się dym. Związali mnie i chcieli utopić w kanale. Ale nie utopili. Boss podszedł do mnie osobiście w ostatniej chwili, jak już mnie mieli zgasić, z jakimś siwym starszym gościem i powiedział, że mam szczęście, bo mnie wykupili i teraz będę murzynem tego siwego. I to właśnie byli ci niby Francuzi, co przyjechali do Bonardiego. Miałem odrobić mój dług u nich.

– Zaraz. Dlaczego „niby Francuzi”?

– Bo z tych, których widziałem, tylko jeden, Arab czy Algierczyk, mówił po francusku. Ich szef natomiast, ten cały de Montresor, gadał po włosku i to

z akcentem z Wenecji.

– To dziwne – odparła dziewczyna. – Burmistrz i inni świadkowie zeznali coś innego. Czego w ogóle od ciebie chcieli? Kazali ci zabić profesora? Zrobiłeś to?!

– Kurwa! Chyba żartujesz! Po tym, co ci powiedziałem, ciągle myślisz, że mógłbym być cynglem jakichś chujków?! Nic im nie pomogłem! No... – zawahał się – w jednym może tak...

Diana podniosła brwi w zaciekawieniu.

– Ten obraz to ja wyniosłem. Musiałem się jakoś wkupić. Ale nikogo nie zabiłem. I oni raczej też nie. To nie ta liga. Byli całkowicie zaskoczeni, że profesor nagle umarł. Oni chcieli od niego informacji. Szukali jakiegoś supercennego i wielkiego kamienia. Nie pytaj jakiego, bo nie wiem, nie mówili mi wszystkiego. Kazali mi tylko wynieść ten obraz. Zobaczyli go, gdy byli u profesora i coś ich w nim zaciekało. Znajdę go i odzyskam, jeśli mi dacie szansę.

– Nie tak szybko, kolego – pohamowała go Diana. – Na razie nie dałeś mi nic cennego. Ty w ogóle wiesz, co to za ludzie? To są naprawdę jacyś rycerze zakonni?

– A gdzie tam! – gdyby stan ust mu na to pozwalał, parsknąłby śmiechem. – To są zawodowi złodzieje jak dla mnie. Ale tacy z wyższej półki. Specjaliści. Wiesz, Arsène Lupin, białe rękawiczki i te sprawy. Goście się świetnie znają na dziełach sztuki, podążają tropem jakiegoś klejnotu i to wszystko. Może ten kamień faktycznie należał do jakichś templariuszy, ale oni nimi na pewno nie są. Pewnie ktoś im dał cynk o jakimś skarbie albo coś gdzieś przeczytali. I na pewno nie są zabójcami, jestem tego pewien. Nie mają tego czegoś, tego zimna w oczach. Serio, po tylu latach w tym bagnie wyczuwa się takie rzeczy.

– Tak? To powiedz to temu docentowi, którego zaszlachtowali obok celi, w której znaleźli ciebie – zaoponowała Diana.

– No właśnie... – powiedział w zamyśleniu Giacomo. – To jest coś, co mi się nie spina. Ci, którzy mnie porwali, to chyba nie byli ci sami ludzie, których widziałem z de Montresorem. Przyplątali się do mnie dzień później, po tym jak wyniosłem obraz. Sprawiali wrażenie, że o wszystkim wiedzą, więc wziąłem ich za członków tej samej bandy. Dopiero jak mnie kilka dni później zawlekli do tej piwnicy i miałem czas sobie to przemyśleć, to naszły mnie wątpliwości. Po pierwsze, oni akurat na pewno gadali ze sobą po francusku. A po drugie, zachowywali się jakoś inaczej. Byli dużo bardziej brutalni. Jak jacyś pojebani naziści albo najemnicy pozbawieni skrupułów. Zero finezji i kulturki, jaką miał ten siwy, de Montresor. No i nie widziałem z nimi ani de Montresora, ani tego Araba ze szczurzą twarzą, który był najbardziej na mnie zawzięty. Nie wiem, może ten de Montresor wcale nie jest ich szefem? Albo wynajął sobie zawodowych zakapiorów od brudnej roboty, bo nie chciał splamić swoich czystych rączek? Wiem tylko, że to byli inni ludzie i inne metody. Acha i w ogóle nie pytali o kamień.

– Jak to? – zdziwiła się dziewczyna.

– No właśnie nie. Choć też pytali o jakieś dziwne rzeczy.

– O jakie?

– Same dziwactwa. Chcieli, żebym im znalazł jedną rodzinę. Kazali mi sprawdzać w rejestrach, szukać w kronikach i takie tam. Oczywiście nic im nie powiedziałem. Nie mógłbym zresztą nic im powiedzieć, bo ja śladu po tej rodzinie nie znalazłem. Takiego nazwiska nie ma w systemie. Tyle że oni się wściekli i myśleli, że coś ukrywam.

– Zdradzisz mi w końcu łaskawie, co to za nazwisko? – Diana była już zmęczona i zniecierpliwiona.

– Owszem. Borgia – powiedział Giacomo. – Tak, ta Borgia. Ta, o której słyszałaś na lekcjach historii albo widziałaś w serialach w TV. Księżniczka, co nie żyje od wieków, a te świry teraz szukają jej rodziny! I są gotowi za to zabić. Jak długo tu pracuję, nigdy nie spotkałem się z czymś równie idiotycznym.

Diana patrzyła przed siebie pustym wzrokiem. Czuła narastający ból głowy. Templariusze, obrazy, średniowieczne rody, tortury i porwania. Gdyby nie to, że mimo wszystko naprawdę nie chciała, żeby jej facet okrył się niesławą i trafił za kraty, sama przekonywałaby szefa do przekazania tej sprawy w inne ręce. Ale sprawy zaszły za daleko. Była odpowiedzialna za śledztwo i za los Giacomo.

Wstając i kierując się w stronę wyjścia, na moment położyła dłoń na jego ramieniu. Obrócił głowę w jej stronę i chciał coś powiedzieć, ale zniknęła już za drzwiami. Wychodząc, ze zdziwieniem zauważyła, że po drugiej stronie weneckiego lustra nie było nikogo, a stojąca tam kamera była wyłączona.

Davide omal nie minął się z Dianą na schodach komendy. Zamyślony i przejęty tym, co zamierzał jej opowiedzieć, w pierwszej chwili nie poznał swojej byłej dziewczyny. Nie spodziewał się jej tutaj zobaczyć w cywilnym ubraniu. Niemal bez makijażu i niedbale uczesana nie przypominała nienagannej Diany, jaką znał. W ostatniej chwili zastąpił jej drogę, gdy zbiegała energicznie w dół.

– Di! Cześć, co się dzieje?

Zatrzymała się dopiero, gdy chwycił ją za łokieć. Spojrzała na niego półprzytomnie.

– Cześć. Przepraszam, śpieszę się, mam teraz dużo problemów, wybaczone.

– W porządku, ale posłuchaj tylko przez moment. Chciałem ci coś opowiedzieć i przekazać – nieco rozpaczliwie próbował zwrócić jej uwagę. Na próżno. Delikatnie, ale stanowczo wysunęła ramię z jego dłoni.

– Dawidku, kochanie, ja naprawdę nie mam dziś głowy. Muszę złapać mojego nowego partnera, a poprzedniego wyciągnąć z gówna po szyję. To trochę za dużo nawet jak dla mnie, rozumiesz? Zadzwoń do mnie może w weekend, dobrze? Pa! – ścisnęła mu przedramię i pobiegła dalej pozostawiając za sobą smugę zapachu perfum i zdezorientowanego dziennikarza, który zamarł w pół kroku, nie wiedząc co ma robić dalej. W dłoni ścisnął różaniec z medalionem, na którym srebrzył się mały jeździec z krzyżem na tarczy.

Obraz

Tego samego dnia wieczorem właściciel gospody znajdującej się w ciasnym zaułku przylegającym do Teatru Miejskiego na próżno starannie ułożył sztucce przy małym stolczku w rogu sali. Enrico Montanari łamiąc ponad dwudziestoletnią tradycję, nie pojawił się w lokalu.

Niewielki pokój redakcyjny, w którym pracował z takim zapałem, że aż zapomniał o kolacji, był wypełniony do granic możliwości rekwizytami należącymi do minionej epoki. Na ścianach wisiały plakaty zapraszające na koncerty nieżyjących artystów oraz dyplomy otrzymane od instytucji, które od dawna już nie istniały lub zmieniły nazwę. Do zakurzonych książek, od których uginały się półki biblioteczek, od lat nikt nie zaglądał.

Jedynym nowoczesnym elementem wystroju tego przypominającego zagracone muzeum wnętrza był stojący przy biurku komputer.

Montanari siedział wpatrzony w monitor. Jeszcze nie tak dawno temu, szukając potrzebnych mu informacji, biegałby po mieście szukając ekspertów lub wertowałby annały w pobliskiej bibliotece uniwersyteckiej. Dziś wystarczyło mu szybkie łącze internetu. Przystosował się szybko. Musiał, mając na uwadze, że dziennik, którego był szefem i wydawcą, od wielu lat utrzymywał się już niemal wyłącznie z publikacji i reklam online. Papierowe wydanie zostało ograniczone do minimum i wychodziło jeszcze tylko dzięki konserwatywnym przyzwyczajeniom najstarszego i topniejącego z roku na rok pokolenia czytelników.

Użył myszki, aby powiększyć zdjęcie, które oglądał z uwagą od dłuższego czasu. Na monitorze widać było fragment średniowiecznego obrazu, tego samego, który zniknął ze studia profesora Bonardiego po jego śmierci. A raczej po zabójstwie, co do czego redaktor nie miał już żadnych wątpliwości. Co więcej, miał już nawet teorię na temat ewentualnego sprawcy, jednak nie posiadał żadnych dowodów na poparcie swoich tez. Przede wszystkim jednak nie znał motywu i to właśnie zaangażowało jego uwagę do tego stopnia, że od kilku dni tkwił zamknięty w redakcji i ślezczał nad komputerem przeglądając setki stron, archiwalnych wydań gazet i e-książek.

Obraz „Beatrice II d’Este”, na który patrzył, był jednym z pierwszych plików, jakie ściągnął z sieci. Przystudiował go już tak dokładnie, że wydawało mu się, że poznał każdy centymetr jego powierzchni, ale wciąż nie znalazł odpowiedzi na podstawowe pytania. W jaki sposób kradzież portretu była połączona z niepokojącymi wydarzeniami z ostatnich dni? A może przestępstwa nie miały ze sobą związku? Albo były próbą odwrócenia uwagi od klejnotu, którego ponoć szukali przestępcy?

Naczelnny czuł się całkowicie bezradny. Utknął w ślepych zaułku. Rozważania przerwał mu elektroniczny dźwięk wydobywający się z głośników monitora. Na ekranie pojawiło się okienko zakrywając fragment obrazu, który oglądał. Poruszył zniecierpliwioną myszką i zamknął okienko. Dźwięk się powtórzył i okienko pojawiło się ponownie.

– Cholerne reklamy – zaklął pod nosem, ale w tym momencie przeczytał treść uparcie wyskakującego komunikatu: „Otworzysz mi czy mam zacząć się wlamywać?!!!”. Pytanie okraszone było rzędem zezłoszczonych emotek. Obok widniało małe okrągłe zdjęcie przedstawiające Davide’a, który już pół roku temu zainstalował komunikator internetowy na wszystkich redakcyjnych komputerach.

Montanari zdjął okulary do czytania i spojrzał w kierunku drzwi. Podniósł się i poszedł przez pusty i ciemny sekretariat w kierunku domofonu. Podniósł słuchawkę, ale zamiast rzucić tradycyjne „kto tam?”, nacisnął bez słowa guzik otwierający ciężkie metalowe drzwi na dole kamienicy, po czym poczłapał z powrotem do komputera.

Davide pokonał schody dużo szybciej niż zwykle i stanął w drzwiach z załączonym smartfonem w dłoni.

– Miałem już zamiar wchodzić po rynnie! Kiedy się w końcu nauczysz obsługiwać czat? – nie oszczędził szefowi złośliwego pytania. – Wystraszyłem się! – wyjaśnił swoje zdenerwowanie. – Redakcja zamknięta, telefonów nie odbierasz, drzwi nie otwierasz. Cieszę się niezmiernie, że nie podnoszę cię właśnie z podłogi po wylewie, ale chyba powinieneś mi to i owo wyjaśnić? Nie uważasz? Szefie?! – dorzucił z nutką sarkazmu.

– Telefon? – Montanari nie wydawał się zainteresowany tą rozmową. Sięgnął do szuflady, z której wyciągnął komórkę. Spróbował ją uruchomić, po czym wrzucił ją tam, skąd ją wydobyl.

– Rzeczywiście, rozładował się – powiedział, patrząc w monitor.

Davide podszedł do antycznego aparatu ze słuchawką stojącego na biurku obok naczelnego. Postanowił litościwie nie skomentować odłączonej od niego wtyczki. Nigdy nie widział swojego szefa w stanie takiej koncentracji. Albo szaleństwa. Cokolwiek to było, z pewnością miało ważną przyczynę.

Brnąc przez leżące na podłodze kulki pogniecionego papieru, podszedł do okna i podciągnął szczelnie zasłonięte rolety, aby otworzyć okno i wpuścić trochę świeżego powietrza.

– Ta twoja przyjaciółka, sekretarka Alessandro, co ona mówiła o tych niby templariuszach? – ożywił się niespodziewanie Montanari.

– Asystentka – poprawił go Davide. – Olivia. Cattanei.

– Jak? – naczelnny oderwał się od biurka i spojrzał z uwagą na podwładnego.

– Olivia.

– Nie, nie. Nazwisko!

– Cattanei. A co?

– Nic. Dziwne nazwisko. Nigdy nie słyszałem. Ale wydaje mi się znajome. Tak jak ten obraz. Jest w nim coś... Mam milion domysłów i niczego pewnego – westchnął.

Chłopak chwycił krzesło stojące przy drugim biurku i przetoczył je przez pokój, po czym usiadł koło szefa.

– To ten obraz? Ten, co zginął z sypialni Bonardiego?

– Tak.

Montanari przekręcił ekran w jego stronę.

– I to przez niego mamy jaskinię mnicha-eremity w redakcji? Zapomniałem tu kluczy i cały dzień się dobijałem do biura. Dobrze, że dałem radę zredagować wiadomości z prywatnego laptopa – Davide czuł się niekomfortowo, strofując przełożonego.

– Davide, przepraszam cię. Dla mnie to ważniejsze niż ploteczki z miasta.

– Okej, ale reklamodawców takie tłumaczenie raczej by nie przekonało.

– Dziękuję ci za zajęcie się wydaniem – naczelny położył dłoń na przedramieniu chłopaka. – Dobra robota. Czytałem, co napisałeś. Nie myśl, że straciłem całkowicie kontrolę. Wiedziałem, że zrobisz co trzeba. A teraz spójrz tutaj. Co widzisz?

– No ten obraz.

– Liczyłem na bardziej wnikliwą analizę, panie znawco sztuki.

Davide zaczął wiercić się na krześle, jak uczeń wezwany do tablicy.

– Eee... a więc... – wypowiadając te słowa, usłyszał w głowie głos profesora, który pouczał ich: „nigdy nie zaczynajcie wypowiedzi od «a więc!»”

– ...obraz szesnastowiecznego malarza Bartolomeo Veneto, przedstawia błogosławioną Beatrice z rodu d’Este, czyli z rodziny naszych ferraryjskich książąt. Zdaje się, że żyła dużo wcześniej od malarza, a dokładniej w średniowieczu.

– W średniowieczu. Właśnie. Tak jak templariusze – zamyślił się Montanari.

– Yyy... zdaje się, że tak. – Davide postukał w klawiaturę.

– Żyła dokładnie w okresie największych sukcesów zakonu templariuszy – potwierdził, czytając z ekranu. – Ufundowała też zakon żeński w najstarszej części naszego miasta.

– Zbudowała kompleks zakonny w mieście pełnym templariuszy – wszedł mu w słowo naczelny. – Trudno więc przypuszczać, że ich nie znała. Tak, to się robi ciekawe...

– Jak to: „pełnym templariuszy”? – Davide był nieco zaskoczony. Nie słyszał o tym na żadnym z wykładów. A przynajmniej na żadnym, na którym postanowił się pojawić.

– Z tego, co już się dowiedziałem, nasze miasto, podobnie jak okoliczna Modena, Padwa czy Werona, było otoczone komandoriami różnorodnych zakonów rycerskich, w tym także Zakonu Świątyni Salomona, zwanego popularnie templariuszami – Montanari postanowił podzielić się wiedzą, którą nabył dzięki upartemu ślęczeniu w internecie.

– Oni byli dość licznie obecni w całej Italii. Z tym, że Ferrara z jakiegoś powodu miała dla nich szczególne znaczenie. Dość powiedzieć, że nawet naszą katedrę ufundował templariusz, Guglielmo II Adelardi. Jego syn wybudował z kolei komandorię w okolicznym miasteczku, w Mizzanie.

Davide pamiętał tę informację z rozmowy z Olivią, podobnie jak fakt, że była zaprojektowana na wzór jerozolimskiej Kopuły na Skale.

– Do dziś stoi tam okrągły kościół zbudowany przez tajemniczy cech murarzy zwanych komaskami – kontynuował swój mały wykład Montanari. – Komaskowie tworzyli rodzaj sekty, z której parę wieków później narodził się ruch wolnomularzy, znany powszechnie pod nazwą masonów. Komaskowie wybudowali też naszą katedrę. I nie tylko! Budowali w całej Europie budynki i kościoły templariuszy. Nikt inny nie mógł tego robić. Taką mieli między sobą umowę. To, co po sobie pozostawiali, było pełne symboli i zagadek. Nasza katedra też jest ich pełna.

Naczelny rozwinął na ekranie okienko ze zdjęciami ferraryjskiej katedry.

– Tu na przykład widać, że kolumnę przed drzwiami wspiera figura zwana telamonem, przedstawiająca muskularnego mężczyznę z nogami skrzyżowanymi w kształcie litery X. To symbol, którym posługiwali się templariusze. Z boku kościoła natomiast – otworzył inne zdjęcie – widać rząd przedziwnych niesymetrycznych par kolumnienek, które wyglądają jak rodzaj szyfru dwójkowego. Nikt dotąd nie zdołał odczytać tego kodu. A wiedziałeś, że wśród rzeźb nad głównym wejściem katedry można wypatrzeć wizerunki demonów i bestii? A nawet samego Lucyfera! To też wchodziło w zakres symboliki używanej przez templariuszy.

– Coś mi się obiło o uszy – odpowiedział chłopak. – Te podobizny posłużyły papieżowi Klemensowi jako pretekst do rozwiązania zakonu i do spalenia większości jego członków na stosach za herezję.

– No właśnie! To był tylko pretekst! – wszedł mu w słowo Montanari. – Tak naprawdę za rozwiązaniem zakonu stał król Francji, który zadłużył się u bogatych zakonników i pewnego dnia postanowił anulować dług. Zrobił to w dość osobliwy sposób: zabijając jego rycerzy i grabiąc ich majątek. To dlatego, poza kilkoma rzeźbami, nie ma w naszym mieście zbyt wielu pozostałości po templariuszach. Ale zapewne widziałeś kiedyś coś takiego.

Naczelny czerwonym długopisem narysował na jednej z rozrzuconych na biurku faktur równoramienny krzyż, którego każde z ramion zakończonych było krótką poprzeczną belką. Następnie postawił cztery malutkie krzyżyki w polach pomiędzy każdym z ramion krzyża.

Davide popatrzył przez chwilę na rysunek, odebrał długopis z rąk szefa i dopisał pod spodem „Dio lo vuole” – „Bóg tego chce”.

– No pewnie – uśmiechnął się. – Prawie każdy średniowieczny kościół w Ferrarze ma ten symbol nad wejściem. Jest tego tak dużo, że sobie to z ciekawości kiedyś sprawdziłem. To jest herb innego zakonu rycerskiego, bożogrobców. Tyle że bożogrobcy to nie templariusze – dodał tonem mędrca.

– Tak? Jesteś pewien? A wiesz, kto na ziemiach włoskich odziedziczył majątek po

zlikwidowanym zakonie templariuszy?

Naczelny spojrział na niego spojrzeniem, w którym Davide zobaczył daleki odbłask młodzieńczej pasji odkrywania.

– Joannici i bozogrobcy – odpowiedział sam sobie.

– Serio? Czyli większość kościołów w naszym mieście wcześniej należała do... – chłopak zamilkł ze zdziwienia.

– Tak! Do templariuszy! – Montanari ucieszył się jak dziecko z odkrycia, którego dokonał bez ruszania się sprzed komputera.

Davide odchylony do tyłu na krześle w zamyśleniu przeczesał palcami swoje bujne włosy. Nowe spojrzenie na historię własnego miasta rzeczywiście było dla niego pewnym zaskoczeniem, ale nie podzielał entuzjazmu swojego szefa.

– Dobra, super, okazuje się, że ci słynni templariusze strasznie lubili naszą Ferrarę, zapełniali tu radośnie ulice, ładnie się modlili, budowali, strzegli i bronili. Wszystko to bardzo fajne i ciekawe, ale co to ma wspólnego z tym, co się teraz tu dzieje? Po wiekach wrócili odebrać sobie miasto? Chcą nagle przejąć utracone majątki? Serio? To niech się zwrócą do kurii albo coś! A nie kradną, porywają i mordują, przecież to się kupy nie trzyma!

Na wspomnienie starcia z motocyklistą, w młodym dziennikarzu wezbrała gwałtownie złość.

– A Bonardi co im zrobił? Zabrał jakiś święty obrazek? No właśnie, a co z tym obrazem?

Montanari pozamykał niepotrzebne okienka i ponownie wyświetlił na ekranie dzieło Bartolomeo Veneto.

– Im dłużej się w niego wpatruję, tym dziwniejszy mi się wydaje – powiedział powoli. – To, czego dowiedziałem się o tym obrazie, o samej Beatrice i symbolach templariuszy, nie wystarczy, żeby się domyślić, dlaczego akurat ten obraz był dla złodziei aż tak ważny, że nie ukradli żadnego innego. Spośród wszystkich osób, jakie znam, coś więcej mógłby powiedzieć jedynie nasz nieodżałowany Alessandro. Jeśli to malowidło kryje jakieś zagadki lub wskazówki, to tylko on mógł je odkryć. I chyba odkrył, bo nie widzę sensu, dla którego eksponowałby go w centralnym miejscu, jako jedyny renesansowy obraz w całej kolekcji, którą posiadał. On był raczej wielbicielem malarstwa z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Zbierał obrazy artystów z Ferrary: Previatiego, De Nittisa, Boldiniego. Wiem to, bo sam pomogłem mu kiedyś odnaleźć zaginione dzieło tego ostatniego. Malarstwo z wcześniejszych epok w ogóle go nie interesowało. Czy powiesiłby, ot tak, na swojej ścianie ascetyczną mniszkę Beatrice obok zmysłowej „Madame de Florian” Boldiniego? Wątpię. Ten obraz musiał mieć dla niego jakieś inne znaczenie. I to nie tylko finansowe. To się odnosi także do tych, którzy go ukradli po jego śmierci. Sprzedając na nielegalnych aukcjach obrazy Boldiniego, które tam wisiały, mogliby kupić sobie wyspę z pałacem i służbą.

Naczelny przerwał, popijając w zamyśleniu kawopodobny płyn z jednej

z otaczających go niezbyt czystych filiżanek. Skrzywił się z niesmakiem i spojrzął ponownie na ekran.

– Nie jestem na poziomie naszego biednego profesora. Ty też nie, mój drogi. Bez urazy – zwrócił się do podwładnego. – Ale na nasz użytek stworzyłem pewną hipotezę, nazwijmy ją roboczą. Już na pierwszy rzut oka widać, że portret Beatrice jest alegoryczny.

– Tak, ale to cecha wspólna wszystkich obrazów z okresu renesansu, oni zawsze umieszczali symbole odnoszące się do Biblii albo do kultury antyku – wtrącił się Davide.

– Zgadza się – przytaknął Montanari. – Ale my patrzymy na ten portret przez jeszcze jeden filtr. Przez pryzmat symboliki templariuszy, takie przyjęliśmy sobie robocze założenie. – Co ci się rzuca w oczy na tym obrazie, tak przy pierwszym spojrzeniu?

Davide przechylił się przez ramię szefa w stronę ekranu.

– Strasznie dużo tam symetrii – powiedział po chwili namysłu.

– Tak? – Montanari wiedział, że jego podopieczny wkroczył na właściwy trop.

– Tak. Te śmieszne czarne wstążeczki zaczepione na górnej krawędzi bluzki okalającej dekolt i ramiona Beatrice. Niby każda jest nieco inna, ale wszystkie są w równiutkim rzędzie, w takich samych odstępach od siebie. Drzewa, po jednym z każdej strony, w tle za postacią. I te linie...

Davide przytknął palec do ekranu i wodził nim pokazując omawiane detale.

– Tu jest mnóstwo pionowych linii. Te wspomniane drzewa, a do tego pionowe fałdki materiału w górnej części bluzki. Pionowe wzorki na bluzce w jej środkowej części, wokół piersi dokładnie. I te nienaturalnie wręcz, szerokie, złote pionowe ornamenty na czarnej sukni, w którą jest ubrana święta.

– Błogosławiona – odruchowo poprawił go szef.

– Właśnie – potwierdził. – Te grube i długie pionowe ornamenty wyglądają jak...

– Jak? – naczelny nerwowo przebiegał palcami opartymi na myszce, jakby gotów był już na mającą za chwilę paść odpowiedź.

– Jak... jakby jakieś kolumny – dokończył bez namysłu Davide.

Palce starego redaktora poruszyły się na klawiaturze i na ekranie pojawił się inny obraz. Przedstawiał stary medalion lub monetę, na której wybito był kształt budynku z okrągłą kopułą wspartą na kolumnach.

– Podobne do tych? – zapytał.

– Kolumny jak kolumny, ale powiedzmy, że forma całości jest dość podobna – odparł chłopak.

– A wiesz co to jest?

Milczenie.

– Medalion, który ci pokazuję, to jedna z nielicznych i ważniejszych pamiątek, jakie pozostały po templariuszach. Na jego awersie wybito wizerunek świątyni. Nie

byle jakiej. To było *Templum* – siedziba zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa i...

– ...i Świątyni Salomona – wyrecytował chłopak, w którego pamięci wyświetliły się fragmenty jakiegoś zapomnianego wykładu.

– Tak! Taka jest pełna nazwa, jaką tytułowali się templariusze – Montanari znów zaczynał się ekscytować jak dziecko.

– I tam znaleźli Świętego Graala? – młodemu dziennikarzowi udzieliła się radość naczelnego.

– Za dużo *Indiany Jonesa* się naoglądałeś! – zakpił z niego Montanari. – Ale być może niechcący wpadłeś na właściwą wskazówkę, o jakiej ja też pomyślałem. Niekoniecznie Graala, ale coś tam może jednak znaleźli. Na przykład... jakiś klejnot? – zawiesił tajemniczo głos. – Żeby ci pokazać, dlaczego przyszło mi to do głowy, musimy wrócić do obrazu naszej Beatrice. Widziałeś, co ona robi z dłońmi?

– Jedną wskazuje wyraźnie na te ornamenty na sukni, na te niby kolumny, jakby chciała coś pokazać palcami. A w drugiej coś trzyma... – Davide przejął myszkę i powiększył obraz. – Co to jest? Jabłko?

– Tak jakby – przytaknął szef. – Jabłko. Symbol boskości, Edenu, a także królewskiej władzy. Słowem cennego...

– ...skarbu – dopowiedział ponownie Davide.

Wstał i powoli zaczął zbierać sterty brudnych naczyń. W milczeniu skierował się z nimi w stronę małej kuchenki ukrytej za przepierzeniem.

Obaj mężczyźni mieli w głowie natłok myśli. Potrzebowali czasu, aby przetrwać i przeanalizować wszystko, co sobie powiedzieli. Zdecydować, czy popadają właśnie w zbiorową paranoję, czy też są na tropie sensacyjnego odkrycia.

Davide'owi w sprawnym myśleniu przeszkadzała jeszcze jedna rzecz. Był to różaniec z medalikiem, który dostał od Olivii i który spoczywał teraz w tylnej kieszeni jego spodni. Z rozmysłem nie pokazał go szefowi. Choć sumienie obwinało go o egoizm, nie chciał, aby po raz kolejny Montanari podpisał się pod efektami jego pracy. Pod artykułem, który zamierzał napisać po rozwiązaniu tej gigantycznej zagadki, chciał zobaczyć w końcu swoje własne nazwisko.

Naczelnego redaktora także gryzło sumienie. Wiedział, że wkrótce będzie musiał zrobić coś, co w nieuchronny sposób sprawi Davide'owi przykrość.

Gaudin

Znajdujący się sześćdziesiąt kilometrów na wschód od Ferrary nadmorski kurort Lido degli Estensi wydawał się niemal całkowicie opustoszały. Jeszcze kilka lat temu o tej porze roku, kiedy tradycyjnie rozpoczynał się sezon turystyczny, na głównym pasażu przy akompaniamencie pokrzykiwań sprzedawców rozstawiały się liczne i pełne pstrokacizny stragany. Aleja ocieniona rosnącymi wzdłuż niej sosnami pinii i wznoszącymi się po obu jej stronach wysokimi bryłami hoteli zapełniała się powoli wielonarodowymi grupkami turystów, wśród których można było usłyszeć języki rosyjski, polski czy niemiecki.

Miasteczko te lata świetności miało już jednak za sobą. Załamanie się turystyki i ogólnoświatowy kryzys związany z pandemią sprawiły, że większość hoteli straszyla zamkniętymi naглуcho kratami, a na wielu zakurzonych witrynach tętniących kiedyś dziennym i nocnym życiem lokali wisiały fluorescencyjne szyldy z napisem „na sprzedaż”.

Idąca powoli aleją Diana westchnęła cicho. Nie tak zapamiętała to miejsce. Jej życie od lat wypełniała wyłącznie praca. Od dawna nie uczestniczyła już w zbiorowym ferraryjskim rytuale letnich weekendowych wyjazdów nad morze. W starych, dobrych czasach w pogodną niedzielę na szerokich, otoczonych diunami plażach można było natknąć się na sąsiadów i znajomych, którzy spotykali się w jednym z licznych, upstrzonych kolorowymi parasolami nadmorskich kąpielisk, aby relaksować się w tradycyjny włoski sposób, czyli w dużej i radośnie hałaśliwej grupie.

Diana była tu ostatni raz może w czasach liceum, ale takie właśnie było jej wspomnienie z tego miejsca.

Idąc w zamyśleniu przed siebie przez opustoszałe miasteczko, dziewczyna, mimo otaczającej ją nienaturalnej ciszy, odczuła rodzaj ulgi. Może właśnie tego spokoju i uczucia oderwania potrzebowała, gdy wsiadała dziś rano do służbowego auta i drżącymi rękoma odpalała silnik. W ostatniej chwili, dogonił ją jej nowy francuski partner i sympatycznym uśmiechem wywalczył sobie możliwość towarzyszenia jej w podróży bez określonego celu.

Przez całą drogę nie odezwali się do siebie ani razu. Mężczyzna dyskretnie, choć z nieukrywaną troską zerkał na nią tylko co jakiś czas. Nie odezwał się ani słowem, kiedy ich oczom ukazały się tablice wyjazdowe z miasta, ani nawet wtedy, gdy zaparkowała na środku pasażu, ewidentnie łamiąc zakazy. Teraz szedł w ciszy pół kroku za nią, spoglądając to na jej ponętne kształty, to na profil jej twarzy, na której skrzyły się blaski popołudniowego słońca, przedzierającego się jasnymi plamami

przez gąszcz sosnowych gałęzi. Dopiero, gdy w przeblyskach światła dojrzał strużkę leżącą na policzku dziewczyny, zdecydował się na reakcję. Chwytną ją delikatnie za ramię, obrócił do siebie i uśmiechając się szeroko, zaproponował:

– Chodźmy na plażę, chcemy zobaczyć łydki!

Diana przystanąła i spojrzała na niego zdziwiona. Nie od razu zrozumiała wypowiedź kolegi. Nagle dotarło do niej, co powiedział i parsknęła śmiechem. Szybkim ruchem otarła łzę z policzka i zapytała:

– Łydki? Czyje? Moje?

Francuz chyba nie zrozumiał swojego błędu albo był głęboko przekonany, że świetnie włada językiem włoskim.

– A masz jakieś łydki?! Na poważnie? Chcemy zobaczyć!

– Tak, dwie. Chodź za mną... łydkarzu.

Przecięli boczną dróżkę, z pewnym zdziwieniem notując obecność grupy hałaśliwie grillującej w ogródku jednej ze stojących nieopodal willi. Były to pierwsze osoby, jakie napotkali w miasteczku. Być może miejsce to miało przed sobą jednak jakąś przyszłość.

Szeroka plaża była równie pusta jak pasaż, pomijając emeryta stojącego po kolana w wodzie i poławiającego małże oraz biegacza z psem, który próbując nadążyć za swoim panem, wzbijał gejzery wody i igrał radośnie z falami omywającymi linię brzegu. Diana przypomniała sobie, że był dopiero środek tygodnia. Istniało więc prawdopodobieństwo, że w nadchodzącą sobotę na plaży pojawi się nieco więcej ludzi.

Zdjęli buty i brnęli teraz z trudem przez miarki, biały piasek, który parzył ich w stopy. Znad wody zerwał się nagły powiew ciepłego powietrza, który przyniósł ze sobą zapach ryb i morza. Dziewczyna poczuła delikatne ukłucia drobinek piasku na ustach. Domyśliła się, że zaczynał wiać wiosenny wiatr *scirocco*, który przynosił ponad Morzem Śródziemnym czerwone piaski Sahary osiadające potem na karoseriach samochodów nawet bardzo daleko w głąb lądu.

Gdy doszli do brzegu, z ulgą zamoczyła rozgrzane stopy w przyjaźnie chłodnej wodzie. Gaudin podwinął starannie mankiety swoich śnieżnobiałych lnianych i, o dziwo, nie pogniecionych spodni, a następnie zaczął rozpinać koszulę. Widok nagiego torsu nie robił wrażenia na wychowanej w męskim środowisku Dianie. Musiała jednak przyznać, że ciało Francuza było niezwykle ładnie ukształtowane.

„Gdyby tylko nie ten kiczowaty łańcuch z Jezuskiem”, pomyślała.

Złapał jej wzrok, więc spuściła wstydliwie oczy jak mała dziewczynka. Zęby Gaudina w pełnej krasie zaśniły w słońcu. Poczuli przewagę i jako rasowy południowy *macho* zamierzał ją wykorzystać.

– *Oui!* Piękne to morze! – powiedział, przeciągając się i napinając mięśnie. – Ale gdzie te łydki, he? – zapytał i rozejrzał się wokół.

Diana wróciła na brzeg, rzuciła buty w piasek i patrząc mu prosto w oczy, zaczęła rozpinać spodnie. Gdy je zsunęła, oczom zahipnotyzowanego mężczyzny zaczęła się

ukazywać czarna sportowa bielizna i śniade, jędrne nogi dziewczyny.

– Tutaj – odpowiedziała wesoło na jego pytanie.

Stał nieruchomo oszołomiony widokiem, próbując jednocześnie zrozumieć, o co jej chodziło. Gdy jego neurony zaczęły się ze sobą wreszcie komunikować i dotarła do niego jego językowa wpadka, zrobił się czerwony z zakłopotania. Chciał coś powiedzieć, ale Diana ściągnęła szybkim ruchem koszulkę i wbiegła z impetem do morza, przeskakując fale. Stał przez chwilę niezdecydowany, po czym również zdjął koszulkę i wyjął z kieszeni spodni telefon i portfel. Rzucił je na ubrania dziewczyny i jak szalony pobiegł w jej ślad.

Kąpiel podziałała na Dianę jak zastrzyk energii. Ostatnio wszystko szło źle, zarówno w jej życiu zawodowym, jak i prywatnym. Jej konstruowany latami kosztem wielkiego wysiłku stabilny i poukładany świat sypał się jak zamek z piasku. Ale Diana była urodzoną wojowniczką. Kiedy lata temu zapisywała się na wojskową uczelnię, dobrze wiedziała, że jej życie nie będzie usłane różami. W ostatnim czasie otrzymała jednak od losu serię wyjątkowo mocnych ciosów, po których trudno jej było złapać równowagę. Kąpiel w morzu, którą kojarzyła ze szczęśliwie spędzonym dzieciństwem oraz widok przystojnego, pozytywnie do niej nastawionego i sympatycznego mężczyzny sprawiły, że przypomniała sobie, o co walczy. Niezależnie od ogromu zła, z jakim zmagала się codziennie, chciała widzieć świat właśnie takim – słonecznym, pokojowym i pełnym radości.

Dobry nastrój nie opuszczał jej nadal, gdy po wyjściu z morza śmiejąc się i żartując, dobrnęli przez gorący piasek do jedyne go czynnego w okolicy baru.

Gaudin nie odrywał od dziewczyny oczu.

Sposób, w jaki się ubierał i obnosił ze swoją fizycznością, wyraźnie wskazywał na to, że kobiety były dla niego łatwymi zdobyczami. Nieoczekiwanie dla niego samego, po raz pierwszy w życiu spotkał tę jedyną, która sprawiała wrażenie odpornej na jego kipiący testosteronem męski urok. Na początku tym rozczarowany, zaczynał właśnie rozumieć, że uszczypliwości, jakimi raczyła go jego piękna włoska koleżanka, były tak naprawdę wyrazami sympatii. Uczucie niepewności towarzyszące mu od początku znajomości z Dianą powoli zniknęło. Odzyskiwał pewność siebie, a odkąd zobaczył idealnie ukształtowane ciało dziewczyny, nie potrafił myśleć o niczym innym. Nonszalanckim gestem przysunął jej krzesło, aby mogła usiąść przy stoliku wystawionym na zewnątrz baru. Mieli przed sobą piękną panoramę wybrzeża. Diany nie przestawało bawić usługiwane zachowanie Francuza. Musiała przyznać sama przed sobą, że trochę jej to schlebiało. Nie byłaby jednak sobą, gdyby nawet w tej pięknej i pełnej radosnego odprężenia chwili nie myślała o pracy. Postanowiła połączyć przyjemne z pożytecznym.

Po tym jak odszedł kelner, postawiwszy przed nimi dwa kieliszki *sguazzone*, białego wina rozcieńczonego gazowaną wodą, oparła nonszalancko gołą stopę na krześle pomiędzy udami osłupiałego z wrażenia Francuza. Ciesząc się jego miną, jakby nigdy

nic przeszła do poważniejszych tematów.

– Kiedy mi się w końcu pochwalisz, czego dowiedziałeś się w sprawie tego de Montresora? Jakież wieści z Francji? Taki gość to chyba był notowany?

– Yyyy... – młodemu porucznikowi powrót do rzeczywistości najwyraźniej przysporzył problemów, a stopa Diany nie ułatwiała mu tego zadania.

– De Montresor... we Francji nic nie ma o nim. *Rien!* I ja już wiem dlaczego!

– Zamieniam się w słuch.

– Bo on nie przyjechał z Francji – rozłożył ręce. – On jest wasz. *Italiano*.

Diana odłożyła gwałtownie kieliszek. Kropelki wina rozprysły się po stole.

– I teraz mi to mówisz? Człowieku, już dawno bym go sprawdziła, jakbym wiedziała!

– Bądź spokojna, nie denerwuj! Moi ludzie się tym zajęli.

– Jacy znów ludzie, o czym ty gadasz? – Diana zdjęła nogę z krzesła Gaudina i zaczęła poważnie się irytować. – Przecież jesteś tu sam. Czy nie?

– No nie! – Gaudin rozłożył ręce w rozbijającym geście. – *Mon général*, mój szef, on wysłał mi, wysłał za mną dwóch ludzi. Takich moich pomocników. Łączników, rozumiesz?

– No, nie rozumiem właśnie. Chyba ktoś od nas powinien o tym wiedzieć? Nasz stary chociaż wie? Chyba ten twój *général* raczył go poinformować, że wysłała nam następnych gości!

– Yyyyy.... – Gaudin czuł się znów zakłopotany. – Diana, *mon amour*, ja nie wiem. Ja jestem zwykły żołnierz jak ty i robię, co mi mówi *mon général*. Ty wiesz chyba, jak to jest, tak?

– *Mon amour*, to sobie mów do swojej siostry! – zirytowała się Diana. Nienawidziła, gdy wokół niej działo się coś, czego nie mogła kontrolować. Nie mogła jednak rzeczywiście za wszystko winić porucznika. Wypuściła powietrze i włożyła sporo wysiłku, aby jej głos zabrzmiał spokojnie.

– Dobra, mniejsza o to, przepraszam. Czego się więc dowiedzieli ci twoi ludzie?

– *Alors*. No więc tak. Eliot de Montresor to jest dobre nazwisko. Znaczą: prawdziwe. Tylko to „de” to on sobie chyba nakleił, rozumiesz?

– Rozumiesz. Ale do brzegu, człowieku. Po co miałby sobie coś doklejać do nazwiska?

– *Justement!* Właśnie, dlaczego? Żeby było *chic! Aristocratique!* Żeby wszystkie myśli, że on jest *Français!* A teraz ci chcę powiedzieć najfajniejsze! – Gaudin wyszczerzył się, nie zwracając uwagi na naburmuszoną minę Diany. – Wiesz, skąd się wzięło nazwisko Montresor?

– Czekałam, aż mnie oświecisz.

– Ono brzmi po francusku, bo to się wzięło z Francji, to fakt. Tylko, że dawno dawno temu, jak był u nas *empereur* Napoleon! I była ta duża wojna i wojska od Napoleon szły na Rosję. I one szły przez Italię. Było dużo żołnierzy i oni znaleźli tu

dziewczyny. Włoszki dziewczyny. No i te żołnierze do nich mówili cały czas: „mój Skarbie” i „mój Skarbie”, czyli *mon trésor*! Rozumiesz? I jak im potem dzieci zrobili, to poszli dalej do tej Rosji, a te biedne dziewczyny tym dzieciom takie nazwisko po ojcu dawały: „Montresor”! Hahaha!

Porucznik wydawał się szczerze rozbawiony własną opowieścią. Diana nie podzielała jego radości, ale z nosem zatopionym w komórce próbowała nadażyć za jego słowami i choć trochę je zweryfikować.

– No, dziękuję ci za lekcję historii – powiedziała, nie odrywając wzroku od ekranu smartfona – Widzę, że nie od dziś francuskie chłopaki się fajnie tu bawią. Ale do rzeczy. Czytam tu, że we Włoszech są czterysta dwadzieścia dwie rodziny o nazwisku Montresor, najwięcej w Weronie, na północ od Ferrary. Rzeczywiście możliwe, że ten nasz „de” Montresor to Włoch z krwi i kości. Wykorzystał swoje dalekie francuskie pochodzenie, a może i więcej: jakieś informacje odziedziczone po przodkach, którzy złupili Ferrarę w czasach wojen napoleońskich... I teraz przyjechał tu po coś, czego złupić im się nie udało. Dobrze myślę? Dużo jednak wiesz – spojrzała na niego z podziwem. – I wcale nie jesteś taki naiwny, na jakiego wyglądasz. Szkoda tylko, że tak mało się tą całą wiedzą ze mną dzielisz. Mam nadzieję, że od teraz to się zmieni. Więc może wyjaśnisz mi do końca: czy ci twoi ludzie znaleźli już może samego Montresora? – zapytała poważnie.

Gaudin także spoważniał. Przechylił się w stronę dziewczyny i ściszej konspiracyjnie głos oznajmił – Tego *malfaitteur* jeszcze nie znaleźliśmy. Ale jego żonę – tak. I ona teraz nam wszystko powie. Mamy go jak na nożu.

– Na widelcu – poprawiła go bezwiednie Diana. Jej uwagę przykuły ogniki okrucieństwa, jakie zatliły się niespodziewanie w oczach sympatycznego Francuza. Jej dobry nastrój się kończył. Zaczynała znów myśleć o czekających na nią w mieście problemach.

Drogę powrotną do Ferrary odbyli w większości w milczeniu. Gaudin próbował rozładować atmosferę kilkoma średnio udanymi żartami. Zatopiona w myślach Diana nie zareagowała, nawet kiedy porucznik oparł dłoń na jej karku, jakby chciał jej go rozmasować i sprawić, żeby się rozluźniła. Nie zachęciła go, więc po chwili cofnął rękę. Dziewczyna prowadziła dalej bez słowa, ignorując dobrze widoczną erekcję rozsadzającą jego lniane i ciągle wilgotne spodnie.

Ucieczka

Gdyby Olivia miała zliczyć, ilu mężczyzn próbowało kiedykolwiek do niej zagadać na ulicy, w kawiarni czy innym miejscu publicznym, musiałaby się już na wstępie poddać i uznać zadanie za niewykonalne. Poziom niemożliwości wzrósłby niepomiaralnie, gdyby miała nawet w przybliżeniu określić liczbę przedstawicieli płci brzydkiej, którzy obracali się za nią na ulicy, pogwizdywali, wołali czy też trąbili klaksonami. Bycie piękną kobietą przysparzało jej w codziennym życiu więcej kłopotów niż udogodnień i chcąc nie chcąc, musiała się przyzwyczaić do tego, aby ignorować mijanych na ulicy ludzi. Paradoksalnie, ten sam mechanizm obronny, który w sobie wyrobiła, tego akurat wieczoru utrudnił jej zauważenie, że była śledzona i to już od momentu, w którym wyszła z domu przy via delle Vecchie i skierowała się w kierunku Bramy Morskiej znajdującej się w północno-wschodniej części miasta.

Czarne bmw serii 6 z przyciemnianymi szybami ruszyło powoli za dziewczyną, zatrzymując się od czasu do czasu na poboczu, dzięki czemu pozostawało w stałej odległości około dwudziestu metrów za jej plecami. Olivia skręciła w stronę via Savonarola i przechodząc obok okazałego pałacu Casa Romei przystanęła na chwilę, aby zerknąć na komórkę. Toczące się za nią bmw momentalnie schowało się za zaparkowaną na poboczu półciężarówką Piaggio wypełnioną gruzem z remontowanej nieopodal kamienicy. Ruszyło ponownie dopiero, gdy dziewczyna zdecydowanym krokiem weszła w uliczkę prowadzącą wzdłuż parku Pareschi – jednego z pierwszych miejsc, na których wywarł piętno genialny renesansowy architekt Biagio Rossetti.

Nazywany „pierwszym urbanistą świata”, w służbie księcia Ercole d'Este rozbudował miasto, jego parki, pałace i fortyfikacje obronne w taki sposób, że Ferrara stała się pierwszym na świecie miastem zorganizowanym według przemyślanego i zakładającego dalszy rozwój planu urbanistycznego. Anonimowy grafficiarz, który nabazgrał na murze okalającym park napis „Ferrara była kiedyś Nowym Jorkiem”, był z pewnością wandalą, ale za to niepozbawionym ironii i historycznej wiedzy. Bez wizjonerskich rozwiązań Rossettiego nie byłoby ani amerykańskiego Nowego Jorku, ani polskiego Zamościa.

Dziewczyna przekraczała właśnie Corso della Giovecca – główną śródmiejską arterię przecinającą stare miasto. Kierowca bmw zawahał się na chwilę widząc zakazy wjazdu przy wąskich bocznych uliczkach, ale na szczęście dla niego Olivia weszła w szeroką via Mortara, przy której dawno temu stał klasztor świętego Bernardyna ufundowany przez Lukrecję Borgię. Przyspieszyła kroku i kierowca bmw

nie musiał już przystawać na poboczach aż do momentu, kiedy na końcu ulicy wyłonił się zarys murów miejskich i wznoszącej się przy Bramie Morskiej przysadzistej okrągłej baszty zwanej „Torrione”, warownej budowli, będącej kiedyś częścią potężnego systemu obronnego miasta, zaprojektowanego przez Rossettiego.

Wychodząc z za rogu, Olivia nieoczekiwanie minęła się z przejeżdżającym akurat na rowerze Enrico Montanari.

Redaktor trzymał jedną ręką telefon przy uchu i o mało co nie potracił dziewczyny, chcącej szybko przebiec przez jezdnię. W pierwszej chwili jej nie poznał. Ominął ją i pojechał dalej. Po jakimś czasie jednak zwolnił, zatrzymał się, schował telefon do kieszeni i zawrócił. Dogonił ją w okolicy ostatniego skrzyżowania, które dzieliło ją od baszty. Widząc to, kierowca bmw zatrzymał się na przystanku autobusowym po drugiej stronie jezdni. Przyciemniana szyba opuściła się do połowy. W środku ledwo widoczny mężczyzna o arabskich rysach, który najwyraźniej porzucił motocykl na rzecz zapewniającego większą anonimowość pojazdu, wyjął ze schowka okazały tablet i zbliżył jego kamerę do opuszczonej szyby.

Montanari był już za plecami Olivii. Gdy ją zawołał, stanęła wystraszona. Przerazenie na jej twarzy ustąpiło, kiedy rozpoznała dziennikarza. Ten zsiadł z roweru i oparł go o mur kamienicy tuż obok tabliczki „nie opierać rowerów” zawieszanej przy znajdującym się w tym miejscu oddziale niewielkiego banku. Podeszedł do dziewczyny i wyciągnął przed siebie dłonie w uspokajającym geście. Powiedział coś i wskazał na znajdujący się kilka kroków za nimi niewielki bar z wystawionymi na zewnątrz stolikami. Olivia pokręciła przecząco głową i odwróciła się, aby pójść dalej w swoją stronę. Redaktor przeszedł za nią kilka kroków i łagodnym, ale stanowczym gestem chwycił ją za ramię. Wyrwała się z uścisku, ale pozwoliła mu mówić. Wyciągnął telefon i coś jej pokazał. Tym razem miała już definitywnie dosyć. Poczerwieniła na twarzy i odepchnęła telefon. Krzyknęła coś do niego i z furią odwróciła głowę, zamiatając twarz redaktora długimi blond włosami, po czym weszła szybko na osłonecznioną ulicę, kierując się w stronę Torrione.

Mimo jej gwałtownej reakcji, Montanari nie zamierzał odpuszczać. Chwycił za rower, umieścił go na jezdni i znanym już tylko starszemu pokoleniu sposobem wskoczył wpierw na pedał, a potem przekładając nogę nad kołem rozpedzonego już roweru usiadł okrakiem na siodełku. Olivia była już w połowie skrzyżowania.

Obserwujący scenę w bmw rzucił tablet na siedzenie pasażera i ruszył za nią gwałtownie. W tym samym momencie Montanari wziął zbyt szeroko zakręt i tylnym kołem roweru zahaczył przedni zderzak nabierającego prędkości samochodu. Zdażył jeszcze głośno krzyknąć „cazzo!” i runął na ziemię przed autem, które na szczęście wyhamowało.

Dziewczyna usłyszała za sobą hałas i przystanęła zdezorientowana. Wahala się przez moment, ale na widok krwi na czole dziennikarza, który klnąc na czym świat stoi, gramolił się spod pogiętego roweru, zdecydowała się udzielić mu pomocy. Gdy podeszła do redaktora, przez opuszczoną szybę stojącego ciągle obok samochodu dostrzegła znajomą twarz człowieka, który kilka dni wcześniej napadł ją

i Davide'a. Krzyknęła i rzuciła się biegiem w przeciwnym kierunku.

Kierowca błyskawicznie wrzucił wsteczny bieg, obrócił się do tyłu i wycofał auto, które przez kilka metrów ciągnęło za sobą zaklinowany w zderzaku bocykl dziennikarza. Gdy rower w końcu odzepił się od karoserii, mężczyzna wrzucił jedynekę i omijając wstającego z kolan redaktora ruszył pędem za dziewczyną, która była już na skwerku pod basztą.

Auto nie miało możliwości dalszej jazdy w tym miejscu.

Podczas, gdy samochód zatrzymał się z impetem na szczęśliwie pustym o tej porze dnia chodniku, Olivia wspinała się już po metalowych schodach dobudowanych na zewnątrz baszty i prowadzących do znajdującego się w górnej kondygnacji wejścia.

Kierowca wyskoczył z pojazdu i ruszył za nią biegiem. Wbiegając na górę, usłyszał łoskot solidnych metalowych drzwi, które właśnie zatrzaśniwały się za dziewczyną. Mężczyzna dopadł do nich i zaczął się z nimi bezskutecznie szarpać. Na wyświetlaczu elektronicznego zamka pulsowały niewzruszenie słowa „WPISZ KOD”. Zrezygnowany wymierzył drzewom kilka silnych kopniaków. Rozejrzał się wokół. Nad wejściem wisiał szyld z napisem „Jazz Club”. Na umieszczonej poniżej białej tabliczce wielkie drukowane litery oznajmiały: „Otwarte codziennie w godzinach 19:30–2:00”. Było jeszcze za wcześnie. Wokół nie było żywej duszy. Nie mógł tu już nic więcej zdziałać. Zbiegł energicznie ze schodów. Podszedł do auta, które głośnym dźwiękiem alarmowało o otwartych drzwiach kierowcy. Zanim wsiadł, splunął ze złością na ziemię i odjechał, pozostawiając za sobą czarny dym z rury wydechowej.

Po drugiej stronie skrzyżowania Enrico Montanari tamował sobie chusteczką krew ciekącą z czoła. Otaczali go przybiegli z pomocą ludzie. Ktoś oferował butelkę wody, którą dziennikarz w milczeniu odrzucił. Ktoś inny pytał, czy wezwać karetkę. Pokręcił przecząco głową, patrząc w ślad za oddalającym się bmw.

Davide tego dnia postanowił zrobić sobie wolny wieczór. Czuł się przytłoczony informacjami, które zebrał od Diany, Olivii i od naczelnego. Nigdy nie był szczególnie błyskotliwym studentem i nie potrafił się systematycznie uczyć, ale miał świetną intuicję i analityczny umysł. Postanowił więc wyłączyć na chwilę myślenie i pozwolić pracować swojej podświadomości.

Chciał się umówić z Olivią, ale nie odpowiadała na jego telefony ani wiadomości. Schodził właśnie do mieszczącego się na parterze maleńkiego garażu, gdzie ledwo mieścił się jego dopiero co naprawiony rower i zaparkowana na styk czerwona alfa, gdy zadzwonił zdenerwowany Montanari. Davide odstawił rower, którym zamierzał pojechać szukać Olivii i spojrzął na samochód.

Chwilę później, z głośnym rumorem i zwierzęcą mocą podrasowanego silnika zajechał pod Torrione akurat w porę, aby zażegnać przybierającą na sile awanturę między sanitariuszami z karetki i naczelnym, który wyrwał się medykowi, ponieważ nie chciał z nimi jechać do szpitala. Zastawszy szefa w oplakanyim stanie, w potarganej koszuli, pozbawionego stłuczonych w wypadku okularów i z krwią na

twarży, miał ochotę osobiście wepchnąć go do ambulansu. Wiedział jednak, że i tak nic by to nie dało. Zdobywając się na wyżyny spokoju i dyplomacji zdołał przekonać starego redaktora do poddania się na miejscu szybkiemu zabiegowi oczyszczenia i opatrzenia rany, po czym zostawił ratownikom swoje dane oraz numer telefonu i zapewnił ich, że gdyby poszkodowany poczuł się gorzej osobiście zawiezie go na pogotowie.

Gdy karetka odjechała, otworzył drzwiczki pasażera w swoim czerwonym cabrio. Montanari wsiadł, posapując jak zmęczony walką byk. Davide odpalił silnik i skręcił w prawo w stronę dzielnicy San Giorgio, gdzie mieszkał szef. Hałas, jaki powodowała jazda samochodem bez dachu nie sprzyjał wymianie zdań, ale podróż nieco uspokoiła starego dziennikarza.

Zatrzymali się na placu pod kościołem, gdzie kilka tygodni temu odbył się pogrzeb matki Olivii. Davide nacisnął przycisk z napisem „STOP” i dźwięk starego solidnego włoskiego silnika multijet umilkł gwałtownie.

– Więc?! Co tam się dokładnie stało?! – zapytał chłopak, bezskutecznie starając się ukryć ciekawość i niecierpliwość, które trawiły go od momentu, w którym usłyszał, że w incydent była zamieszana Olivia.

Montanari wyciągnął cygaro, zapalił je, oparł głowę na zagłówku samochodu i cedząc powoli słowa, zrelacjonował z reporterską dokładnością przebieg wydarzeń.

Davide poczuł się, jakby spadł na niego stutonowy ciężar. Trzymał mocno kierownicę. Gdyby nie to, ręce drżałyby mu jak narkomanowi na głodzie. Chciał wyrzucić Montanariego z samochodu i pędzić szukać Olivii. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że to bez sensu. Dziewczyna najwyraźniej świadomie uciekła w miejsce, które znała i uznawała za bezpieczne schronienie. Jeśli nie chciała być tam znaleziona, to należało podejrzewać, że metalowe wrota baszty pozostaną zamknięte dla każdego bez wyjątku, w tym także dla niego. Nie był w stanie się do niej dodzwonić. To chyba najbardziej go w tym wszystkim zabolalo. Olivia ignorowała jego wiadomości. A może nie mogła odpisać?

Naczelny spostrzegł, że chłopak nerwowo patrzy na leżący przed nim smartfon. Czytał w swoim podopiecznym jak w otwartej księdze. Wyrzucił niedokończone cygaro i odchylił się na fotelu w jego kierunku.

– Davide, chciałbym ci to powiedzieć jakoś delikatnie. Ale łeb mi pęka i nie potrafię dobrać właściwych słów. Najprościej mówiąc, chciałbym, żebyś wiedział, że ja byłem kiedyś bardzo podobny do ciebie. I wiedz, że ja w twoim wieku też przeżyłem wielką i niemożliwą miłość.

– I dlatego, że ją przeżyłeś, myślisz, że moja też jest niemożliwa?

– Ale skąd! – Montanari czuł podchodzące mu do gardła mdłości. Naprawdę nie miał siły na dyplomację. – Od mojej historii minęło pół wieku. To były inne czasy i inny świat. Ale jedno się nie zmieniło. Tacy naiwni romantycy jak my mamy groźną tendencję do tracenia rozumu dla *femme fatale*, kobiet fatalnych.

– No i co w tym aż takiego groźnego?! – nastroszył się Davide.

– Groźna jest nasza błędna ocena, mój chłopcze – odpowiedział spokojnie Montanari. – Czasami wydaje nam się, że zakochujemy się w jakiejś niezwyklej, fascynującej „kobiecie fatalnej”, a tak naprawdę trafiamy na taką, której „fatalność” ogranicza się do bycia złą. Zamiast doświadczyć niezwykłych przeżyć stajemy się ofiarą jej wyrachowania. Jeśli to zrozumiesz, to w przyszłości może będzie ci o wiele łatwiej znieść różne rozczarowania – dokończył i zaczął gramolić się z samochodu.

Davide od dawna wiedział, że Montanari nie był dobrze nastawiony do Olivii. Puszczając mimo uszu jego złośliwe uwagi na jej temat. Mimo to, być może na skutek ojcowskiego tonu, jaki usłyszał w jego słowach, poczuł, że musi mu w końcu coś powiedzieć.

– Enrico, poczekaj! – zawołał.

Montanari zamarł z ręką na klamce drzwi auta.

– Mam coś dla ciebie. W zasadzie chciałem to najpierw sam sprawdzić, ale... – ugryzł się w język. Nie chciał, by jego nielojalność dotknęła już i tak zmaltretowanego szefa. – Nieważne.

Sięgnął do kieszeni wąskich spodni. Wykonał przy tym niemal akrobatyczną figurę, dzięki której udało mu się w końcu wydobyć różaniec z medalionem.

– Dostałem to od Olivii. A ona od tego, jak mu tam, od Marco.

Montanari wziął medalion i zbliżył go do oczu, aby się mu lepiej przyjrzeć. Gdy zobaczył wytłoczony na nim symbol, z wrażenia zaczął aż szybciej oddychać.

– Od jakiego znowu Marco? I dlaczego dopiero teraz mi to mówisz?!

Davide skulił się w sobie. Odpowiedzi na ostatnie pytanie wolałyby akurat uniknąć.

– Od jednego z tych jej samozwańczych ochroniarzy, pamiętasz? Byli na pogrzebie jej matki, mówiłem ci o tym! Diana też tam była, ale po tym całym zamieszaniu, które się potem wydarzyło, chyba o nich zapomniała. Oni też się uważają za spadkobierców templariuszy. Albo są nimi naprawdę, nie mam pojęcia. Ale skoro oni się o nią tak troszczyli, to pomyślałem, że może ona właśnie do nich uciekła. A ten medalion może pomóc ich znaleźć. I Olivię też, jeśli jest gdzieś z nimi! Udało ci się odszyfrować tamten obraz, to może i z tego coś wyczytasz? Oczywiście pomogę! – zapewnił pośpiesznie, chcąc zatuszować złe wrażenie. – Weź ten medalik i idź teraz odpoczywać, dobrze? Ja wrócę do baszty, a jeśli nie uda mi się tam wejść ani skontaktować z Olivią, to jutro z samego rana pojedę na komisariat i przekonam Dianę, żeby mi pomogła. Potem wrócę, żeby cię podogłądać. Powinieneś być jednak pojechać do szpitala.

To ostatnie zdanie wypowiedział z prawdziwą troską. Od starego dziennikarza dzieliło go ponad jedno pokolenie. Mógłby być nie tylko jego synem, ale nawet wnukiem. Często się nie rozumieli, ale Davide potrzebował kogoś takiego w swoim życiu. Tym bardziej, że na własnego ojca nie mógł już liczyć.

Montanari stał już na ulicy, więc chłopak uruchomił silnik, wrzucił jedynekę i ruszył. Trochę za szybko, ale przecież właśnie po to wymyślono alfę romeo.

Biblioteka

Na komisariacie panował chaos. Karabinierzy, którzy tego ranka przyjechali z innych miast, aby pomóc w śledztwie, stali grupkami w hallu i czekali na odprawę. Rozmawiali ze sobą i żartowali. Najwyraźniej nie odczuwali jeszcze powagi sytuacji. Między nimi co jakiś czas przebiegali miejscowi funkcjonariusze. Ci z kolei mieli stres wypisany na twarzach.

Davide nie musiał już nawet mówić strażnikowi przy drzwiach, do kogo przychodzi. Karabinier wskazał skinieniem głowy przeciwną część sali. Stała tam Diana w towarzystwie starszego, nobliwie wyglądającego oficera. Po dystynkcjach Davide odgadł, że był jej szefem. Zatrzymał się skromnie w odległości kilku kroków czekając, aż skończą rozmawiać, ale dziewczyna zauważyła go i przywołała gestem. Podszedł i przedstawił się oficerowi. Kapitan Cimelli uściśnął mu uprzejmie dłoń, uśmiechając się przy tym szeroko. Był człowiekiem starej daty. Dbał o wizerunek swojego posterunku i wierzył, że należy utrzymywać jak najlepsze kontakty z przedstawicielami prasy. Ludziom w jego wieku całkowicie umykał fakt, że opinia publiczna kształtowała się już w zupełnie innego rodzaju mediach. Dzięki niemu Davide miał jednak nieograniczony dostęp do informacji operacyjnych. Odwzajemnił więc przyjazne spojrzenie i zamierzał właśnie zadać jakieś niebywale mądre pytanie w stylu „jak pan kapitan ocenia wpływ rosnącego wskaźnika przestępczości na rozwój ekonomiczny makroregionu”, gdy do stojących podszedł, jak zwykle modnie ubrany i pachnący drogimi perfumami porucznik Gaudin. Na twarzy miał uśmiech, a w ręku trzymał plastikowy kubeczek wypełniony ciemnym płynem.

– *Excellent! Perfetto!* Nareszcie prawdziwe włoskie espresso! – zachwycał się, podnosząc kubeczek do ust.

Diana i Cimelli spojrzeli na niego ze zgrozą. Wszyscy pracujący w tym miejscu z daleka omijali stojące w kącie sali maszyny, które po wrzuceniu jednoeurowej monety wylewały z siebie lurowaty, kawopodobny płyn. Na ten desperacki krok zdecydowali się jedynie ci nieszczęśnicy, którzy zmuszeni byli do pracy na nocnej zmianie, podczas której prosperujący naprzeciw posterunku bar „U Beppe” był zamknięty na głucho. Słyszając słowa porucznika, nawet Davide parsknął urwanym śmiechem, który szybko i nieudolnie przykrył udawanym atakiem kaszlu. Gaudin nie wydawał się absolutnie zmieszany. Rozanielony uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

– Mam dla was newsa, *bonne nouvelle!* – pogrążał się dalej w niekontrolowanym entuzjazmie. – Jest taki trop w Weronie. Jest żona Montresora, ona go chyba nie lubi i powie mi wszystko, co wie! Teraz tam pojedziemy i zrobimy, żeby mówiła! –

Francuz uśmiechnął się jeszcze szerzej, choć Davide'owi wydało się to fizjologicznie niemożliwe.

– Acha. To super – Diana była coraz bardziej zmęczona jego samouwielbieniem. – Tylko, że ty tam sobie sam pojedziesz *mon ami*, bo ja mam swój własny trop. Niecały miesiąc temu było włamanie do muzeum w Mediolanie i okazało się, że twarz sprawcy zarejestrowana przez kamery bezpieczeństwa mocno przypomina rysopis sprawcy napadu na Olivię i Davide'a. Dlatego właśnie – odwróciła się do chłopaka – pojedziesz tam ze mną.

– Ale ja... – zawahał się dziennikarz – chciałem cię prosić, o coś innego. Olivia zniknęła. Uciekała chyba właśnie przed tym gościem od napadu. Wygląda na to, że ukryła się w baszcie. Tam jest nocny lokal. Nie wiem, kto ją tam wpuścił, bo kiedy tam wchodziła, klub powinien być nieczynny. Może dałabyś radę wypytać właścicieli? Może coś wiedzą? Może pracownicy ją widzieli?

Diana się zamyśliła. Musiała podjąć szybką decyzję. Kustosze muzeum czekał na nią w południe.

– Dobrze, ale zajmiemy się tym po powrocie. Musimy być w Mediolanie za trzy godziny.

Davide przez pierwszą część podróży miał wielką ochotę porozmawiać z Dianą, ale dziewczyna pędziła po trójpasmowej autostradzie A1, zwaną autostradą słońca, z włączonym niebieskim kogutem na dachu i przeprowadzała jednocześnie niekończące się służbowe rozmowy przez radio. Kiedy w końcu skończyła, gdzieś w połowie drogi między Ferrarą a Mediolanem, chłopak marzył już tylko o tym, aby zatrzymała się lub chociaż zwolniła. Wykonując niebezpieczne manewry, wymijając wolniej jadące samochody to lewym, to prawym pasem ani na chwilę nie zdejmowała nogi z pedału gazu. Pozbawiona fabrycznych blokad ograniczających prędkość służbowa giulietta quadrifoglio wyła jak potępiona i gnała ślalomem, przekraczając momentami prędkość dwustu kilometrów na godzinę. Kiedy zjechali w końcu z obwodnicy Mediolanu i samochód zwolnił wjeżdżając do ścisłego centrum, Davide opuścił boczną szybę i rozpaczliwie zaczerpnął tchu, próbując przywołać do porządku podchodzący mu do gardła żołądek.

– Tylko nie pod wiatr! – Diana uśmiechnęła się po raz pierwszy od początku dnia. – Jak tu nabrudzisz, będziesz sprzątała! Nie wiedziałam, że z ciebie taki delikates. Może batonika? – dodała z przekąsem wskazując na leżące w kieszonce torrone.

– Weź, bo... – Davide'owi odbiło się głośno, co sprawiło mu w końcu ulgę.

Gdy chwilę potem samochód zaparkował w końcu na niewielkim placu kilka przecznic za głównym placem i katedrą, chłopak wysiadł, nadal jednak widząc przed oczami czarne mroczyki. Oparł się o karoserię i dopiero gdy zawroty głowy ustąpiły, podniósł głowę i rozejrzał się wokół.

W tym mieście zawsze czuł się jakoś inaczej. Szerokie przestronne ulice Mediolanu i okazałe, wysokie kamienice tworzyły krajobraz zupełnie inny niż ten,

wśród którego wyrósł i do którego był przyzwyczajony. Za każdym razem, gdy tu przyjeżdżał, miał te same skojarzenia. Do głowy przychodziła mu myśl, że tutejszej architekturze dużo bliżej było do Wiednia, Wrocławia czy Warszawy, które w dzieciństwie zwiedził z ojcem niż do większości włoskich miast.

Tym razem budowla, przed którą stał, wydawała mu się znajoma – być może dlatego, że wzniesiono ją ze skromnych czerwonych cegieł. Był to surowy romański kościół. Obok niego, za kutym metalowym płotem stał żółty budynek, a przed nim nieco niższa i z wyglądu niewielka konstrukcja przypominająca wspartą na kolumnach rzymską świątynię. Davide przeczytał napis umieszczony na fryzie pod trójkątnym tympanonem: „Bibliotheca Ambrosiana”. Zajęty podziwianiem architektury ocknął się dopiero, gdy Diana, która szła już w kierunku budynku nacisnęła pilota i samochód, o który wciąż opierał się chłopak, wydał głośny dźwięk uzbrajającego się alarmu.

Gdy ją dogonił, kończyła już rozmawiać przez domofon. Elektryczny zamek w drzwiach zabuczał i weszli do chłodnego przedsionka. Czekał na nich wysoki mężczyzna z kruczoczarnymi włosami i koloratką widoczną pod kołnierzykiem bładoniebieskiej koszuli.

– Alberto Visconti – przedstawił się. – To ja do pani dzwoniłem. Jestem członkiem tak zwanego kolegium doktorów zarządzającego biblioteką i muzeum z ramienia archidiecezji. Moim zadaniem jest dbanie o bezpieczeństwo zbiorów. W ostatnim miesiącu niestety nie wywiązałem się najlepiej z tego zadania – dodał ze smutkiem. – Zaprowadzę teraz państwa do obiektu, o którym będziemy mówić, a potem do mojego biura, gdzie pokażę wam to, co udało mi się ustalić o sprawcach.

Otworzył przed nimi drzwi i weszli do zaskakująco przestronnej sali przykrytej kolebkowym sklepieniem, przypominającym przecięty wzdłuż walec. Wszystkie ściany pomieszczenia były zastawione wysokimi piętrowymi półkami, gęsto wypełnionymi rzędami manuskryptów. Diana i Davide nie potrafili ukryć zdziwienia. Z zewnątrz budynek nie wydawał się tak olbrzymi. A była to dopiero pierwsza z wielu sal należących do kompleksu.

– Ponad czterysta lat gromadzenia manuskryptów i obrazów. To taka nasza mała biblioteka aleksandryjska – Visconti mrugnął do nich okiem i z szelmowskim uśmiechem zapytał – słyszeliście o kodeksie da Vinci? O tym prawdziwym, a nie wymyślonym. Tutaj go znajdziecie. Ale my pójdziemy dalej.

Wyprowadził ich na dziedziniec, z którego wdrapali się do wyłożonej romboidalną posadzką sali. W jej centralnym miejscu pod marmurową amboną schodów znajdowała się fontanna z głową meduzy, od której – jak wyjaśnił im Visconti – wzięła się nazwa komnaty. Pod półokrągłymi łukami w głębi pomieszczenia stały szklane witryny wypełnione dziwacznymi bibelotami. Kiedy duchowny zaprowadził ich do jednej z nich, ujrzeni, że szkło chroniące eksponaty zostało usunięte.

– Ta właśnie witryna stała się celem złodziei – oznajmił ksiądz. Założył aksamitne rękawiczki i ostrożnie zdjął ze szklanej półki przypominający monstrancję stojak, w którym za grubym prostokątnym szkiełkiem oprawionym w zdobioną ramkę

umieszczono kilka długich jasnożółtych włosów.

– Tych włosów było znacznie więcej – powiedział ze smutkiem. – To resztki kosmyka włosów Lukrecji Borgii, nieślubnej córki papieża Rodrigo Borgii, czyli Aleksandra Szóstego. Powinniście coś o niej wiedzieć, jeśli jesteście z Ferrary.

Diana nie była pewna, jakiej udzielić odpowiedzi, ale dziennikarz ją wyręczył.

– Owszem, obilo się nam o uszy – odpowiedział zdawkowo.

– To jedna z niewielu świeckich relikwii na świecie – kontynuował Visconti. – Znalazła się tu tylko dlatego, że ktoś kilka wieków przed nami uznał, że tajemniczy i prawdopodobnie platoniczny romans, jaki połączył poetę i późniejszego kardynała Pietro Brembo oraz piękną Lukrecję Borgię, zasługuje na upamiętnienie na równi z historią Tristana i Izoldy czy Don Kichota i Dulcyniei. W przeciwieństwie do tych ostatnich historia Borgii i Brembo wydarzyła się naprawdę, a dowodem na to są te oto włosy znalezione w jednym z dziewięciu miłosnych listów, jakie ówczesna żona księcia d'Este wysłała do poety. Do jednego z nich, na jego prośbę, włożyła ten właśnie kosmyk. To była bez wątpienia najśłynniejsza dama początku szesnastego wieku. Dzisiaj byśmy powiedzieli, że to była taka prawdziwa *femme fatale* albo celebrytka, którą wyprzedzała jej własna sława.

Davide przełknął głośno ślinę. Przypomniały mu się słowa, które niedawno usłyszał od swojego szefa.

– Tak czy owak – ciągnął ich przewodnik – zachodzę w głowę i wciąż nie potrafię zrozumieć, dlaczego złodzieje dobrali się akurat do tego eksponatu.

Musicie wiedzieć, że nie była to pierwsza próba kradzieży włosów Lukrecji. Pierwszym złodziejem był nie kto inny jak Lord Byron, słynny angielski poeta okresu romantyzmu. Był tak zafascynowany postacią Lukrecji, że przekupił stróża, który wyniósł mu kilka jej włosów. Ale nikt nigdy się nie włamał do tej sali. Złodzieje, aby tu wejść pokonali te same zabezpieczenia, które chronią dzieła Caravaggia czy Leonarda da Vinci, warte o wiele więcej niż włosy Lukrecji Borgii.

– No chyba że kradzieży dokonał jakiś fetyszysta – spróbował zażartować Davide.

– Bardzo profesjonalny fetyszysta – skwitował ksiądz. – Chodźcie ze mną, to wam go pokażę – mówiąc to odłożył relikwiarz i wskazał im gestem schody.

Po chwili siedzieli w wygodnych biurowych fotelach naprzeciw zestawu monitorów w małej klimatyzowanej salce przylegającej do dziedzińca. Duchowny grzebał dłuższą chwilę w plikach komputera, po czym na głównym ekranie pojawił się czarnobiały film nakręcony przez kamery przemysłowe służące do ochrony obiektu. Ubrany na czarno człowiek w kapturze zasłaniającym mu twarz podążył bez przeszkód przez kolejne sale.

– Zobaczcie – komentował Visconti – jak uważa, żeby nie pokazać twarzy! Jakby dokładnie wiedział, gdzie są kamery! Nie muszę wam też chyba mówić, że alarm certyfikowany przez renomowaną szwajcarską firmę milczał jak zaklęty. Taki to był magik – westchnął.

W końcu przestępca pojawił się w Sali Meduzy. Używając jakiegoś narzędzia,

narysował coś w rodzaju litery X na środku witryny, po czym wyjął pistolet o dziwnym kształcie z olbrzymim, równie dziwnie wyglądającym tłumikiem, wycelował w miejsce, gdzie przecinały się ramiona iksa i wystrzelił. Witryna posypała się w drobny mak.

– Użył diamentowego ostrza, tradycyjnego narzędzia włamywaczy – wyjaśnił ksiądz. Szyba była jednak tak gruba, że nigdy by jej nie przeciął. Najpierw ją więc osłabił. I w najbardziej krytycznym miejscu spowodował jej eksplozję siłą pocisku.

W dalszej części zapisu z kamer widać było, jak mężczyzna otwiera relikwiarz, zabiera część kosmyka i zamyka go ostrożnie w próbówce wyciągniętej z plecaka.

– Teraz będzie najlepsze, patrzcie! – zapowiedział podekscytowany duchowny.

Kolejne ujęcia ukazywały w zasadzie tylko plecy przestępcy, który uciekając po własnych śladach przedostawał się do wyjścia. Nagle, bez widomego powodu mężczyzna obrócił się, ukazując całą twarz do kamery umieszczonej o jakieś półtora metra za nim.

Ksiądz zastopował film. Rysy twarzy z tej odległości były niemal idealnie rozpoznawalne.

– Proszę. Mamy go! Tyle że policja powiedziała nam, że tej twarzy nie ma w rejestrze... – westchnął Visconti.

– W moim rejestrze on jest – powiedział Davide. Poczł jak krew napłynęła mu do głowy. Instynktownie zacisnął pięści. Obrócił się do Diany.

– To on. To ten bydlak z motoru.

Dianie najwyraźniej to nie wystarczyło. Zwróciła się do księdza.

– Okej, mamy twarz, to już coś. Proszę, żeby ksiądz przekopował nam ten film – podała mu breloczek z nośnikiem pamięci. – Ale... jak to się stało, że ten gość tak strasznie uważał, żeby się nie odwrócić i nagle jak jakiś ostatni dyletant pokazuje się do kamery? – zadała frapujące ją pytanie.

Visconti uśmiechnął się tajemniczo.

– Też mnie to ciekawiło. Cofałem ten film i oglądałem go w kółko. Mam też ujęcie z drugiego kąta pomieszczenia. I zobaczcie, co znalazłem.

Uruchomił inny plik i we właściwym momencie spowolnił prędkość odtwarzania. Wodząc palcem po ekranie, wskazał im pewien szczegół.

– Patrzcie, co się dzieje na tej półce tuż za plecami złodzieja.

Na spowolnionym filmie zobaczyli, jak ostatnia stojąca na półce książka przechyła się i spada na podłogę.

– Przestraszył się! – zakrzyknął niemal ucieszony ksiądz. – Usłyszał za sobą hałas i się mimowolnie obrócił, zapominając o kamerach!

– Ale jak to? – Diana wydawała się nie przekonana. – Macie tu duchy czy co?

– Raczej przeciąg – Visconti wzruszył ramionami. – Ale któż to wie? Wiecie, co to była za książka? Osobiście podnosiłem ją następnego dnia z podłogi.

– I jaka to była książka? – Davide był szczerze zaintrygowany.

– Leży przed wami. Tam na biurku.

Podeszli do zawalonego papierzyskami stołu. Na górze dokumentów leżał gruby, oprawiony w skórę manuskrypt.

– „Rymy” – przeczytał Davide. – Autor: Pietro Brembo.

W pomieszczeniu zapadła głucha cisza.

Pościg

W drodze powrotnej Diana prowadziła dużo spokojniej. Nie spieszyło się jej już nigdzie. Pamiętała też o żołądku Davide'a, który wsiadając do samochodu, wysłał jej błagalne spojrzenie.

Przeciskając się przez zatłoczoną o tej porze dnia obwodnicę Mediolanu, zadzwoniła do Gaudina, streszczając mu przebieg wizyty w muzeum. Słuchał z zaciekawieniem. Sam niestety nie mógł pochwalić się podobnymi sukcesami. Burknął tylko coś o „fałszywym tropie” i się rozłączył.

Gdy wjechali na autostradę, warunki do jazdy nie okazały się lepsze. Na trzech pasach jezdni zamknięci w pojazdach podążających za sobą zderzak w zderzak, niczym ryby w olbrzymiej ławicy, toczyli się powoli do przodu przedstawiciele wszystkich klas społecznych: biznesmeni w błyszczących limuzynach, kierowcy przypominających długie pociągi tirów, robotnicy w rozklekotanych furgonach wypełnionych sprzętem. Co jakiś czas jakaś niezdyscyplinowana rybka w szybszym i zwinniejszym samochodzie próbowała karkołomnym slalomem wyprzedzić innych, powodując jedynie zamieszanie i jeszcze większe spowolnienie całej ławicy. Północne Włochy były jednym z silników napędowych Europy, olbrzymią pracującą stale fabryką stanowiącą o sukcesie trzeciej największej gospodarki unijnej. W świadomości Europejczyków wciąż pokutował mit o leniwych, trwoniących czas i pieniądze Włochach. Trójpasmowa autostrada, która nie potrafiła zaspokoić potrzeb olbrzymiej masy pracujących od świtu do zmierzchu ludzi, była ewidentnym dowodem na błąd w tym rozumowaniu.

Davide nie patrzył przez okno samochodu. Przez całą drogę wzrok miał utkwiony w telefonie, a myśli ciężkie od zmartwień o Olivię. Obok nieodebranych połączeń, jakie do niej wykonał, widniała już dwucyfrowa liczba. Zaczynał się naprawdę bać. Ludzie, z którymi mieli do czynienia, nie żartowali, a dziewczyna była z jakiegoś powodu w centrum ich zainteresowania.

Kiedy dotarli w końcu do Ferrary, czuł się tak zmęczony, jakby przerzucił tonę węgla. Diana też nie wyglądała najlepiej. Obiecała, że spróbuje skontaktować się z właścicielami jazz klubu w baszcie, po czym pożegnała się i wbiegła do komisariatu.

Davide stał przez chwilę oparty o czerwoną karoserię swojej alfy, która czekała na niego wiernie na parkingu.

Roboczy dzień powoli się kończył. Mieszkańcy miasta, którzy zdążyli już wrócić z pracy, wychodzili właśnie na spacer lub spotkać się ze znajomymi na popołudniowym *aperitivo*. Chłopak odetchnął głęboko i nonszalancko wskoczył do

kabrioletu bez otwierania drzwiczek.

Tym razem ruszył powoli. Postanowił się przewietrzyć i zahaczyć o basztę w drodze powrotnej do domu. Kiedy dojechał na miejsce, krążył przez chwilę, szukając wolnego miejsca parkingowego. Obok broniącej niegdyś wjazdu do miasta baszty zaczynała się ścieżka prowadząca na mury zazwyczaj oblegana przez spacerowiczów i amatorów joggingu. Na szczęście jeden ze spoconych biegaczy miał już dosyć sportu i wycofywał właśnie swoją lśniąca terenówkę. Davide zaparkował na jego miejscu.

Zgodnie z przypuszczeniami drzwi jazz clubu były ciągle zamknięte. Spojrzał na zegarek. Była dopiero osiemnasta i do otwarcia lokalu pozostało półtorej godziny. Nie chciał tu tyle tkwić, mógł przecież wrócić później. Postanowił jednak rozejrzeć się wokół, z nadzieją, że znajdzie jakieś okienko, przez które będzie można zajrzeć do środka. Szybko uświadomił sobie jednak, że Biagio Rossetti był nie tylko dobrym architektem, ale i sprawnym konstruktorem umocnień. Okienka owszem były, ale znajdowały się na najwyższej kondygnacji, dokąd nikt z poziomu parteru nie mógł mieć dostępu.

Wracając do samochodu, przypomniał sobie nagle słowa Olivii, która powiedziała mu kiedyś, że nie cierpi tego miejsca.

„Dziwne, że szukając schronienia, uciekła właśnie tam”, pomyślał.

Mijał właśnie małą fontannę znajdującą się u stóp wieży tuż obok ścieżki prowadzącej w górę na mury i naprzeciw drzwi do szaletów publicznych umiejscowionych w jednym ze starych schronów przeciwlotniczych. Kątem oka zauważył postać stojącą o kilka kroków od niego. Mężczyzna odznaczał się nietypowym jak na to miejsce ubiorem. Stał obok fontanny, do której ustawiła się kolejka zmęczonych biegaczy w dresach. Był ubrany w skórzaną czarną kurtkę i czapkę bejsbolówkę, która ocieniała mu twarz i wpatrywał się w wejście do jazz clubu, jednocześnie sprawdzając coś na telefonie. Nie tylko fakt, że nie wyglądał ani na biegacza, ani na wielbiciela zabytków, zwrócił uwagę dziennikarza. Sylwetka i ciemna karnacja mężczyzny wydała mu się nagle uderzająco znajoma.

Bez namysłu podszedł do Araba i czując nagle uderzenie adrenaliny, złapał go za poły kurtki i wysyczał mu w twarz:

– Tyyyyy!!!....

Mężczyzna był zupełnie zaskoczony, ale najwyraźniej rozpoznał Davide'a. Szybkim ruchem strzepnął jego ręce z kurtki.

– *Va te faire foutre!* – krzyknął, co było zapewne niezbyt miłym zaproszeniem do wykonania aktu autoerotyzmu. Davide nie dawał jednak za wygraną. Ponownie chwycił go za ubranie. Tym razem reakcją był niezwykle silny cios, jaki chłopak otrzymał w żołądek. Zgięty w pół i lekko zamroczony słyszał okrzyki ludzi, jakie towarzyszyły oddalającemu się szybko w stronę parkingu Arabowi. Ktoś podszedł, chcąc zapytać, czy wszystko w porządku, ale Davide, któremu udało się odzyskać oddech, rzucił się w pogoń za uciekającym mężczyzną.

Kiedy dopadł do swojej alfy, śniadoskóry mężczyzna odjeżdżał już czarnym bmw.

Było już oczywiste, że nie przyjechał tu sam, bo wskoczył na miejsce pasażera.

Tym razem Davide nie bawił się w finezję. Wrzucił wsteczny i spod auta posypał się grad małych kamyczków lecących wprost w zgromadzonych przy fontannie ludzi. Znowu rozległy się słowa oburzenia, ale oba auta rozpędzały się już na drodze prowadzącej do wyjazdu z miasta.

Ferrara mimo upływu stuleci wciąż nie utraciła swojego średniowiecznego charakteru. Tak jak przed wiekami, w niewielkiej odległości od murów okalających historyczne centrum zabudowa przechodziła z miejskiej w wiejską. Po pokonaniu kilku rond i ulic przy wtórze klaksonów aut, którym przecięli drogę, oba pędzące samochody znalazły się na szosie prowadzącej na rubieżę prowincji, w kierunku Bolonii. Minęli zrujnowane średniowieczne wieże graniczne stojące wśród pól i strzegące kiedyś terytoriów między dwoma wrogo nastawionymi do siebie miastami. Na horyzoncie pojawiły się oświetlone słońcem białe skały północnych Apeninów z górującym nad nimi szczytem Monte Cimone.

Wiejski krajobraz z przełomu wiosny i lata, pełen intensywnych kolorów, kwitnących kwiatów i owoców wprost zapraszał do spokojnej, relaksacyjnej przejażdżki. Ścigające się samochody jednak nie zwalniały. Na długiej, prostej drodze rozpędziły się niemal do stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę i Davide ze smutkiem musiał przyznać, że jego szybka, ale niemłoda już alfa 159 spider nie była w stanie dogonić nowszej beemwicy. Na dodatek, prowadząc w tak szaleńczym tempie, nie był w stanie dosięgnąć telefonu, który spadł za fotel pasażera. Kiedy przy kolejnej próbie auto zakolebało się niebezpiecznie, ryzykując wypadnięcie z drogi i wylądowanie w głębokim rowie przy drodze, zrezygnował i uruchomił zestaw głośnomówiący połączony bezprzewodowo z telefonem. W każdym innym samochodzie rozmowa za pomocą zestawu byłaby bezpieczna i bezproblemowa. On pędził jednak autem pozbawionym dachu. Próba połączenia z Dianą spełzła więc na niczym. Porucznik Gaudin, którego numer dostał na zebraniu w komisariacie na szczęście odebrał, ale biorąc pod uwagę hałas i słabą znajomość języka, jaką dysponował Francuz, nie mógł mieć pewności, czy go w ogóle zrozumiał.

W głośnikach samochodu słychać było właśnie Gaudina drącego się: „Ale gdzie ty jesteś?!”, gdy nad samochodem pojawił się olbrzymi cień i niewyobrażalny hałas całkowicie uniemożliwił dalsze prowadzenie rozmowy. Wzdłuż drogi na wysokości około dwustu metrów lecąc skrzydło w skrzydło obok siebie, przeleciały lotem koszącym dwa wojskowe myśliwce Eurofighter. Wyleciały prawdopodobnie z pobliskiej bazy lotniczej NATO i nie był to pierwszy raz, kiedy piloci urządzali sobie podobne nielegalne loty na niskich wysokościach. Kiedyś o mało nie zrzucili ojca Davide’a z drogi. Dziennikarz chciał z tego powodu zrobić olbrzymią aferę, ale ojciec wychowany na filmie *Top Gun* nie wydawał się poruszony incydentem. Co więcej, wydawał się wręcz zachwycony spotkaniem z odrzutowcami.

Davide’owi daleko było do zachwyty i kiedy uderzenie powietrza spowodowane przelotem myśliwców mało nie zerwało mu włosów z głowy, chwycił mocno za kierownicę i starając się utrzymać tor jazdy, postanowił chwilowo zapomnieć

o dzwonieniu po pomoc i samemu dogonić przestępców. Pamiętał tę drogę i wiedział, że w pewnym momencie zrobi się bardzo kręta, co dawało mu pewną szansę na dognanie do bmw.

Zjechali z trasy szybkiego ruchu i wpadli na węższą drogę w okolicy miasteczka San Agostino słynnego z produkcji ceramiki oraz z tego, że było epicentrum potężnego trzęsienia ziemi w 2012 roku. Nie do końca wyremontowana od tamtego czasu jezdnia zaczynała się robić wyboista. W dodatku, aby ominąć pola, wytyczono ją z ostrymi zakrętami to w jedną, to w drugą stronę.

Na tę szansę czekał Davide. Choć jego pojazd miał tak samo niskie zawieszenie jak bmw i na coraz większych wybojach oba auta sypały iskry spod płyt podłogowych, to alfa miała jedną znaczącą przewagę: sportowe wielowahaczowe zawieszenie przedniej osi, które trzymało samochód przyklejony do drogi nawet podczas pokonywania zakrętów przy dużej prędkości. Rzeczywiście, po kilku kilometrach krętej drogi dystans do bmw skrócił się do paru metrów i Davide siedział już niemal na zderzaku uciekającym mężczyznom. Obawiał się, że w tej sytuacji użyją broni, ale najwyraźniej jej nie mieli albo nie czuli się jeszcze aż tak zagrożeni.

Znał ten odcinek drogi niemal na pamięć. Jeździł tędy kiedyś do swojej pierwszej pracy w małym wydawnictwie znajdującym się na obrzeżach prowincji. Postanowił wykorzystać przewagę, jaką dawała mu znajomość terenu i możliwości auta.

Przypomniawszy sobie, że za następnym zakrętem znajdowała się restauracja „Schronisko artystów”. Do sal tego zbudowanego przy zdesakralizowanym kościele lokalu o ekscentrycznych nazwach Niebo, Piekło i Czyściec zapraszał dawno temu swoje pierwsze dziewczyny. „Schronisko” stało na ostatnim zakręcie, po którym droga wpadała do miasteczka, gdzie mieściła się historyczna siedziba firmy Lamborghini. Był to ostatni moment na niebezpieczny manewr, który zaplanował.

Zredukował bieg. Silnik zawył, ale dostał dodatkowej mocy. Z przeciwka nic nie nadjeżdżało. Tuż przed zakrętem Davide wcisnął pedał gazu do podłogi. Alfa zadrżała, kumulując w sobie moc jak wulkan przed wybuchem. Turbina weszła na najwyższe obroty i auto gwałtownie przyspieszyło, wyprzedzając po wewnętrznej stronie bmw z uciekającymi mężczyznami. Przez krótki moment jechali obok siebie, ale beemwica ratując się przed wypadnięciem z zakrętu, zaczęła napierać na prawy bok samochodu Davide’a. Chłopak zrozumiał, że za chwilę zostanie zepchnięty z drogi.

W tej właśnie chwili przypomniał sobie, dlaczego jeżdżąc tędy zawsze ścinał ten zakręt, wjeżdżając na przeciwległy pas ruchu, dokładnie tak, jak robił to teraz. Na prawym, zgodnym z kierunkiem jazdy pasie, gdzie znajdowało się teraz bmw, ziała w asfalcie głęboka wyrwa. Była to pamiątka po trzęsieniu ziemi, a może po jakiejś powodzi, tak czy owak dziura stała się elementem krajobrazu, a służby drogowe ograniczyły się jedynie do wsadzenia do niej plastikowego słupka, który miał ostrzegać kierowców o przeszkodzie.

Słupek właśnie leciał pięknym wysokim łukiem ponad poboczem drogi.

Zaraz za nim leciało urwane koło bmw. Duma niemieckiej motoryzacji zaczęła wykręcać dzikie piruety, sypiąc wokół iskrami i odłamkami. W końcu nastąpiło

nieuniknione. Któreś z kół wpadło w kolejną dziurę i zablokowany w ten sposób pojazd z olbrzymią siłą wyleciał ponad drogę, kręcąc się wokół własnej osi. Spadł i zatrzymał się na przydrożnym słupie, łamiąc się wpół. W tym samym czasie Davide, który hamując przejechał kilkadziesiąt następnych metrów, z całych sił walczył o utrzymanie się na drodze. Kiedy wiedział już, że nie będzie to możliwe, celowo zjechał z jezdni, akurat na czas, aby uniknąć zderzenia ze zbliżającym się betonowym przesłaniem mostku rozciągniętym nad kanałem, do którego i tak by wpadł.

Efekt uderzenia w wał miękkiej na szczęście ziemi był przerażający. Urwana kłapa bagażnika przeleciała chłopakowi nad głowę. Gdyby leciała niżej, odcięłaby mu głowę. Jednocześnie poczuł szarpnięcie i zobaczył zbliżającą się biel poduszki powietrznej kierowcy, po czym stracił przytomność po raz pierwszy.

Drugi raz utracił ją chwilę po tym, gdy po bliżej nieokreślonym czasie otworzył oczy i zaczął gramolić się z częściowo zgniecionego, dymiącego samochodu. Wytoczył się na jezdnię, na której ciągle nie pojawiało się żadne inne auto. Był w szoku i nie wiedział do końca, co się stało, ale najwyraźniej, poza zdartą skórą i bólem karku, nic mu nie było. Przeszedł kilka kroków w stronę wraku drugiego samochodu, gdy nagle zdołało mu się słabo.

Upadł na jezdnię. Leżąc na plecach, nierozumiejącymi oczami obserwował przez chwilę krzyż na kościele-restauracji, po czym odwrócił się na brzuch i uniósł na łokciach. Pamięć zaczynała mu wracać. Chciał zacząć się obmacywać, aby sprawdzić, czy na pewno nic mu nie jest i w tym momencie jego wzrok padł na fragmenty ludzkiego ciała leżące na ulicy. Żołądek podszedł mu do gardła. Odwrócił wzrok i dostrzegł napis „Czyściec”. Gdzieś w głębokich czeluściach świadomości poruszyła go czarna ironia tej scenerii. Chciał się zaśmiać, ale z jego gardła wydobył się tylko charkot.

– O kurwa – zdążył jeszcze zakląć, po czym odleciał w ciemność.

Gdy się ocknął, zobaczył nad sobą kobietę. Prawdopodobnie była atrakcyjna i młoda, ale nie mógł być tego całkiem pewien, ponieważ jej twarz zasłaniała maseczka chirurgiczna. Odzwyczaił się już od widoku maseczek i wcale za nimi nie tęsknił. Uniósł głowę i zauważył, że kobieta była ubrana w strój ratowniczkii medycznej. Za jej plecami ujrzał trzy zaparkowane wzdłuż jezdni ambulanse i tłumek ludzi. Ratowniczka założyła mu sprawnie kołnierz na szyję i kazała się położyć. Davide zobaczył, że pochyła się nad nim inna, tym razem męska postać.

– Całe szczęście, że Diana wiedziała, co to były te hałasy od samolotów! – porucznik Gaudin zaprezentował pełne uzębienie swoich obydwu szczęk. Ratowniczka podniosła oczy i bezwiednie puściła puls Davide’a. Był niemal pewien, że zza maseczki dało się słyszeć ciche westchnienie zachwyty. Jak zwykle nie zwracając uwagi na otoczenie, Gaudin kontynuował entuzjastyczny monolog.

– Di powiedziała, że to z lotniska, więc wysłaliśmy helikopter, żeby cię szukał. I zaraz za nim my autami! – Francuz gestami rąk rekompensował braki w słownictwie.

– Gdzie Diana? – Davide zdołał wydobyć z siebie słaby głos. – I co z tamtymi?

Porucznik odchylił się do tyłu.

– Yyyy.... Z tych dwóch tylko jeden został, tylko nie całkiem. To znaczy nie cały – poprawił się. A drugi *bandit*, ten co kierował auto, to z niego nic nie będzie. On jest całkiem *kapputt* – ręce Gaudina wykonały gest wyzymania prania zakończonego mikro-eksplozją. Ty byś tego nie chciał widzieć, *mon garçon*. I ja też nie. Dlatego tam Diana poszła. O! Już tu wraca! – ucieszył się.

Nad Davidem pochyliła się kolejna głowa. A właściwie wtuliła się w niego z taką niekontrolowaną czułością, że nawet przez ortopedyczny kołnierz poczuł, jak przesuwają mu się kręgi.

– Ajj! – syknął z bólu. – Powoli, Di!

– Ile razy jeszcze mam cię odwiedzać w szpitalu, co?! – powiedziała do niego z wyrzutem.

– Wcale się tam nie wybieram! – zaprotestował.

– Zabieramy pana na tomograf. I niech się pan cieszy, że nie ma pan żadnych widocznych obrażeń zewnętrznych – wtrąciła się oschle ratowniczką.

Davide przypomniał sobie nogę leżącą na ulicy i zacisnął zęby. Czuł, że adrenalina zaczynała buzować mu w żyłach. Oddychał głęboko, aby ponownie nie zemdleć.

– Posłuchaj – Diana nachyliła się, aby móc mówić mu wprost do ucha. – Dobrze, że droga była pusta i nie zgłosili się żadni świadkowie. Takie pościgi możesz sobie urządzać w Hollywood, ale nie tutaj. Masz cholerne szczęście, że ja i Gaudin przyjechaliśmy jako pierwsi. Zrobimy tak, żeby cię nie ciągali po sądach za spowodowanie śmiertelnego wypadku: przygotuję ci protokół do podpisania, ale musisz się liczyć z mandatem i zawieszeniem prawa jazdy. Coś ci musimy wlepić, bo ci z drogówki by nam tego inaczej nie puścili. No i jest jeszcze ten Arab – westchnęła. – Mocno go pokiereszowało. Biegać to on już nigdy nie będzie. Jak się w końcu obudzi, to pewnie będzie chciał zrzucić winę na ciebie. Ale mamy na niego tyle haków, że każdy adwokat mu to odradzi. Bądź spokojny, ja to poprowadzę. A ty, Dawidku, jesteś głupi, ale cudowny! – uśmiechnęła się do niego. – Właśnie za to cię kiedyś pokochałam. Że wbrew pozorom masz jednak jaja w tych za wąskich spodniach! – zaśmiała się i przetarła zawilgotniałe oczy. – Leż teraz spokojnie, pojedę z tobą na pogotowie i poczekam, gdyby chcieli cię wypisać. Gaudina poprosiłam, żeby jechał w karetce z Arabem. Nigdy nic nie wiadomo...

Podniosła się z kolan i pozwoliła ratownikom przełożyć Davide'a na nosze, które następnie wsunęto ostrożnie do ambulansu.

Dziewczyna oddaliła się do swojego samochodu. Ratownicy wskoczyli do karetki. Gdy tylne drzwi zasuwwały się za nimi z łoskotem, ratowniczką wbijała już igłę kroplówki w przedramię chłopaka. Usłyszał wycie syreny i kiedy auto ruszyło, pozwolił sobie na kolejne omdlenie.

Kilka godzin później Diana przywitała go za drzwiami ambulatorium, które

opuszczał po badaniach. Wieziony na wózku przez pielęgniarkę zamachał triumfalnie kartami wypisu. Dziewczyna była zmęczona długim oczekiwaniem, ale rozpromieniła się na jego widok. Gdy przejmowała wózek, na którym siedział, spojrzenia Diany i pielęgniarki spotkały się na chwilę. Oczy tej ostatniej zrobiły się okrągłe, gdy rozpoznała funkcjonariuszkę. Spuściła wzrok i wycofała się szybko, jakby bała się, że Diana znów każe jej się wynosić.

Na zewnątrz było już ciemno. Na rozległym parkingu słychać było śpiew cykad. Nagrzane powietrze zmieszane z zapachem kwiatów i świeżo skoszonych traw sprawiło chłopakowi nieoczekiwaną przyjemność. Uczucie błogości rozeszło się po jego ciele. Po raz drugi na przestrzeni tygodnia nasza go refleksja, że życie docenia się dopiero wtedy, gdy otarło się o jego utratę. Ostrożnie zszedł z wózka i rozciągnął stawy. Był bardzo obolały, ale nie doznał nawet najmniejszego złamania.

Kiedy powoli gramolił się do samochodu Diany, zauważył poważny wyraz, jaki malował się na jej twarzy. – Araba dowieźli tu martwego – odpowiedziała na jego pytające spojrzenie. – Dostał zapaści w karetce. Nie wiem, jak Gaudin to zrobił, ale zanim się to stało, zdołał z niego wydobyć, gdzie ukrywa się de Montresor.

Szczotka

W pokoju Davide'a panował półmrok, ale wąski strumień światła padający z uchylonych okiennic dobrze oświetlał stół, na którym stała karafka z wodą, dwie szklanki i kilka pudełek otwartych opakowań środków przeciwbólowych.

Enrico Montanari sięgnął po jedną z tabletek i skrzywił się, patrząc na jej wyjątkowo nieprzystępny kształt.

– Dla kogo oni je robią? Dla koni? Ludzie nie mają takiego wielkiego przetyku – westchnął i wcisnął sobie lek do gardła, popijając go wodą.

– Tja... – siedzący po drugiej stronie stołu Davide usiłował się zaśmiać, co nie wyszło mu najlepiej z winy kołnierza ortopedycznego, który ścisnął mu szyję. Na szczęście jego tabletką okazała się mniejsza.

– Twoje zdrowie! – podniósł szklankę w stronę szefa i popił.

– Tak więc Arab ukradł, zapewne na polecenie de Montresora, kosmyk włosów Lukrecji Borgii z muzeum w Mediolanie. A później napadł na Olivię i zrobił to samo. Dalej masz wątpliwości, czy twoja ukochana jest najważniejszą częścią całej układanki? – zapytał retorycznie naczelny reasumując rozmowę, którą prowadzili już od pół godziny. – Zakładam, że ciągle nie masz z nią kontaktu?

Chłopak pokręcił przecząco głową i skrzywił się z bólu wywołanego tym nieostrożnym gestem.

– Jakbyś jeszcze nie był przekonany, to popatrz na to...

Montanari sięgnął do wewnętrznej kieszeni wytartej wojskowej kurtki i wyjął medalion Olivii. Położył go na stole. Davide pochylił się nad nim i zmarszczył czoło ze zdziwienia. Medalik został odpięty od bransoletki. Wyglądał na popsuty, bo teraz składał się z dwóch osobnych części. Najdziwniejsze jednak było to, co znajdowało się w jego wnętrzu. Chłopak zwrócił zdziwione spojrzenie w stronę szefa.

– Ja pier.... nadajnik!!! – wyrwało mu się.

– Nie znam się, ale wydaje mi się, że raczej odbiornik niż nadajnik – poprawił go naczelny. – Ten medalik od razu mi się wydał podejrzany. Jakoś mi nie wyglądał na oryginał... Na dodatek stukając w niego, usłyszałem pusty dźwięk. Wziąłem więc lupę i obejrzałem go sobie z bliska. Potem włożyłem mały śrubokrętek w szczelinę, którą wypatrzyłem w bocznej krawędzi, no i się otworzył! Zobacz, w środku jest karta SIM, taka jak w telefonie. Ona służy do namierzania tego urządzenia, ale nie za pośrednictwem satelity, jak to się dzieje w przypadku GPS-u, tylko za pomocą przekaźników telefonii komórkowej. Po prostu anteny wysyłają sygnał do karty SIM,

jakby do niej „dzwoniły” i odbierają w odpowiedzi jej współrzędne. Wiem, jak to działa, bo mam podobną zabawkę przyczepioną do roweru. Po tym, jak mi ich kilka ukradli, postanowiłem zastawić pułapkę na następnego złodzieja i kupiłem sobie taki gadżet. Do jego obsługi wystarczy zwykły smartfon.

Wyjął swój telefon i pokazał chłopakowi aplikację z mapką, na której w pewnym miejscu pulsował mały biały punkcik. Davide przypatrzył się uważnie. Tym miejscem była kamienica, w której mieszkał. Rower zapewne stał na ulicy przed drzwiami wejściowymi.

Miał ochotę zapytać, po jakiego diabła pilnować pociętego po ostatnim wypadku, starego zardzewiałego grata, ale odpuścił. Mieli ważniejsze sprawy do omówienia.

– Czyli Olivia była cały czas śledzona za pomocą tego urządzenia? – zapytał.

– Tak podejrzewam – odparł Montanari. – Jednak fakt, że oddała go tobie, wskazuje na to, że nie domyślała się, czym jest ten medalion. Albo właśnie wiedziała i nie chciała, aby ci ludzie ją śledzili. Na te pytania dostaniemy odpowiedź, jak już ją znajdą i aresztują.

– Aresztują?! – Davide, aż podskoczył na krześle. – A niby za co?!

– Przesłuchają! Przejęzyczyłem się, wybaczone – poprawił się naczelny. Przeklinał się w myślach za tę nieostrożność. Nie chciał mówić chłopakowi zbyt wiele. Wolał, aby ten miał głowę wolną od trosk i mógł się skupić na dziennikarskim śledztwie, dzięki któremu, tego był pewien, ich nazwiska pojawią się wkrótce we wszystkich ogólnokrajowych dziennikach.

– Może nawet zaproszą nas do telewizji? – pomyślał i poczuł nagle, że wzywa go natura oraz chora prostata. Przeprosił chłopaka, podniósł się z krzesła i wszedł do łazienki.

Załatwiając potrzebę, co z biegiem lat zajmowało mu niestety coraz więcej czasu, wodził wzrokiem wokół siebie, obserwując typowy bałagan w typowej łazience trzydziestokilkuletniego singla. W pewnym momencie jego wzrok padł na przedmioty, które zdecydowanie nie pasowały do otoczenia.

Na półeczce przy kabinie prysznicowej leżała otwarta kosmetyczka, z której wystawała szminka, pasta do zębów i szczotka do włosów. Mimo, że nie miał okularów, dostrzegł zawinięte na szypułkach szczotki złote nitki długich blond włosów. Przez chwilę bił się z własnymi myślami, ale zwyciężyło w nim ugruntowane wieloletnią praktyką dziennikarską przekonanie, że każdą nadarzącą się okazję należy bezwzględnie wykorzystać.

Wrócił do Davide’a i z nieco zmieszaną miną pożegnał się z nim, pozostawiając na stole rozłożony na części medalion, po czym szybko wyszedł. Gdy wybiegał z kamienicy na ulicę, na jego czole lśniły kropelki potu. W schowanej w kieszeni dłoni ścisnął kurczowo ukradzioną z łazienki szczotkę.

Głuchy łomot postawił na nogi niemal wszystkich mieszkańców zabytkowego

domu przy placu Ludovico Ariosto. Było już grubo po dwudziestej trzeciej, kiedy Montanari, zniecierpliwiony bezskutecznym naciskaniem guzika domofonu postanowił zmierzyć się z wielkimi wrotami zagradzającymi mu wejście do mieszkania jego przyjaciela, patologa sądowego Giuseppe Manzoni.

– Oszalałeś, człowieku?! Przestań walić w te drzwi, Bóg cię chyba opuścił i Najświętsza Panienska! – z małego okienka umieszczonego tuż pod sklepieniem arkad dał się słyszeć głos jakiejś starszej pani. – *Maià!!!!* – zakłęła w ferraryjskim dialekcie.

– Przepraszam najmocniej za hałasy – odpowiedział najgrzeczniej jak potrafił naczelny. – Ja do Beppe, to mój znajomy, ma tu gabinet. To dość pilne, proszę pani – próbował się usprawiedliwić.

– *Dottore* o tej porze zwykle gra w karty w Brindisi. Niech pan tam idzie. No niech pan już idzie! – powtórzyła skrzeczącym głosem staruszka.

– Dziękuję, *signora!* – odkrzyknął jej już z siodełka roweru, na którym oddalał się w stronę katedry.

Jak każdy ferraryjczyk doskonale wiedział, o jaki lokal chodziło. „Al Brindisi” była najstarszą na świecie, czynną nieprzerwanie od dnia założenia do chwili obecnej, winiarnią. Pierwsze zapiski na jej temat pochodziły z początku piętnastego wieku. Gdyby cofnął się w czasie do tamtej epoki, musiałby dopłynąć na miejsce łódką, bo miasto było wówczas poprzecinane siecią rzek i kanałów. Teraz na szczęście wystarczył mu rower. Po krótkiej przejażdżce oparł go latarnię, przypiął grubym łańcuchem, po czym wszedł w wąską uliczkę przylegającą do bocznej ściany duomo.

W nozdrza uderzył go zapach piwa i przekąsek serwowanych w znajdujących się tu restauracjach. W pierwszym z brzegu pubie królowali hałaśliwi i niesforni studenci, którzy siadali z kubkami złocistego płynu na murku katedry, skąd co chwilę przeganiali ich kelnerzy. Większość znajdujących się w uliczce lokali i sklepów było własnością archidiecezji. Narażanie się biskupowi mogło się dla nich źle skończyć.

Montanari przedarł się przez tłumek rozbawionych studentów i doszedł w końcu do charakterystycznego szyldu z gotyckim napisem. Nie mógł się powstrzymać przed zerknięciem do środka winiarni. Tuż za drzwiami, na drewnianym stojaku leżały rzędy butelek. Osadzona na nich gruba warstwa kurzu upodabniała je do muzealnych eksponatów.

Zbliżył się do grupki starszych panów tłoczących się przy jednym ze stolików wystawionych na zewnątrz. Trzeba było przyznać, że byli nie mniej hałaśliwi od studentów, a powodem, który wzbudzał ich emocje była kończąca się właśnie partia briscoli. Nagle, prawdopodobnie po ostatnim odkryciu kart, wybuchł zbiorowy okrzyk. – *Maiaaaaaall!* – usłyszał po raz drugi tego wieczoru. Grupka starszych brzuchatych panów rozproszyła się, dyskutując między sobą. Naczelny rozpoznał przyjaciela siedzącego samotnie przy zaśmieconym porozrzucanymi kartami stole. Jego mina wyrażała wściekłość.

– Ej, Beppe! – krzyknął do niego. Ten spojrział na redaktora smutnym wzrokiem.

– *Porca troia!* – zaklął ordynarnie – Trzeci raz z rzędu przegrałem! Jak pech to pech,

przeklęty świat!

Montanari gestem przywołał kelnera i zamówił butelkę sangiovese wraz z tacą wędlin i serów. Po chwili, przy posprzątanym i zastawionym już stole nalewał ciemnoczerwony płyn do kieliszka znajomego. Potrzebował go właśnie takiego. Pijanego i rozmownego.

– Beppe, ile lat się znamy, co? – zagaił.

– Hehe, no co ty Monta? Już cię demencja dopadła, stary byku? Po co pytasz? Mów lepiej, o co chodzi, już ja cię dobrze znam!

Patologa trudno było upić. Naczelný postanowił więc przejść od razu do konkretów.

– Dobra. Mam sprawę.

– No widzisz? Wiedziałem. Nawijaj, zamieniam się w słuch – medyk dokonywał właśnie sekcji szynki parmeńskiej za pomocą noża i widelca.

– Chciałbym cię prosić o skierowanie do laboratorium pewnej próbki. Konkretnie mi chodzi o dyskretne badania DNA. Takie, że tak powiem... z lekkim obejściem procedur. Wiem, że ty jedyny w mieście masz dojścia, znasz osoby i tak dalej. Tylko ty mi możesz pomóc.

Zachowanie patologa nieoczekiwanie się zmieniło. Odłożył sztućce i spojrział czujnie na dziennikarza.

– Żeby je porównać do czego?

– Co do czego?

– Do czego chcesz porównać DNA, które mam ci zbadać?

Montanari zasępił się.

– Jeszcze nie mam do czego – powiedział. Ale zacznij mi badać to DNA, a ja jakoś skombinuję materiał porównawczy. Jak tyko uda mi się pojechać do Mediolanu...

– O nie! Tylko nie to! – przerwał mu gwałtownie Beppe.

– Co proszę?

– *Cazzo!* – patolog zaczerwienił się ze złości. – Nie mów mi tylko, że chodzi o włosy!

Montanari otworzył usta ze zdziwienia.

– A ty skąd wiesz, że o włosy? – zapytał zaskoczony.

– *Oh merda*, stary, nie, nie i nie! Ja nie chcę mieć nic z tym wspólnego! – lekarz zerwał papierową serwetkę wetkniętą za kołnierzyk koszuli, zmiażdżył ją i rzucił wściekle na stół. Zaczął się podnosić z krzesła.

– Chwila, chwila, Beppe, spokój, o co chodzi?! Skąd ty w ogóle wiesz o włosach? Co się dzieje? Powiesz mi czy nie?! – Montanari chwycił przyjaciela za przedramię chcąc go zatrzymać. Osoby z sąsiednich stolików przerwały rozmowy i zaczęły im się przyglądać. Patolog strzepnął dłoń naczelnego, wyprostował się i zaczął się zbierać do odejścia.

– Nie i lepiej nie pytaj! Jedni już pytali i nie byli ani trochę mili! Przywieźli mi jakieś kłaki, nie wiem czyje. I nie chce wiedzieć! Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Kocham cię, Monta, ale z tym ci nie pomogę i sam się w to też nie mieszaj, bo to śmierdzi trupem na kilometr! To jest moja przyjacielska rada! – skończył, oddalając się od naczelnego, który nie odpuszczał i wołał za nim.

– Ale kto to był?! I zrobiłeś im te badania? Zrobiłeś?!

Słyszając to pytanie, Beppe nieoczekiwanie się zatrzymał. Z widocznym wahaniem odwrócił się na chwilę do przyjaciela i już nieco spokojniejszym tonem odpowiedział – Nie. Ci idioci nie wiedzieli, że włosy muszą mieć cebulki. Bez nich nie da się zrobić tych badań.

Kiedy patolog zniknął pomiędzy pijanymi studentami, Montanari postawił kołnierz swojej wojskowej kurtki, wyjął z kieszeni pięćdziesiąt euro i zostawił je na stole przyciskając banknot ciężką popielniczką. Przygarbił się i poczłapał w stronę roweru. Szczotka w kieszeni ciążyła mu niemiłosiernie.

Montresor

Gdyby jakiś zabłąkany turysta wszedł na ferraryjską starówkę przez boczną Bramę Świętego Piotra i uliczką nazwaną tym samym imieniem kontynuował swój spacer w stronę rynku, gdzieś w połowie drogi na pewno przystanąłby zaskoczony neonowym napisem „MIGNON” widniejącym na narożniku starego romańskiego kościółka. Na murze świątyni należałoby się raczej spodziewać krzyża lub jakiejś świętej rzeźby. Jednak ktoś, kto umieścił ów neon na ścianie budynku, miał ku temu powód, a francuskie pochodzenie słowa i jego znaczenie kojarzące się z fizycznym pięknem bynajmniej nie były przypadkowe.

Zbudowany około dziesiątego wieku kościół San Pietro był pierwszą świątynią powstałą w tej części miasta, zwaną *castrum bisantino*. Emerytowani legionieści cesarstwa bizantyjskiego, którzy przybyli tu z niedalekiej Rawenny, osiedlili się na poprzecinanym odnogami rzeki Pad terenie. Zbudowali warowny zamek, a w jego centralnej części bazylikę poświęconą najważniejszemu z apostołów. Świątynia była przez wieki jednym z ważniejszych miejsc kultu w rozbudowującym się mieście. Dopiero nadejście wojsk Napoleona zmieniło porządek rzeczy. Polityka cesarza Francji była równie przemyślana, co bezwzględna, szczególnie dla duchowieństwa. Większość ferraryjskich kościołów i zakonów splądrowano i zbezczeszczono. Nie oszczędzono też kościoła Świętego Piotra, który przeznaczono na magazyny, a potem na salę taneczną. Przez wieki zdesakralizowany budynek popadał w ruinę. Odnowiony dopiero po drugiej wojnie światowej stał się salą kinową. Jednak nie była jaką. Nowi właściciele otworzyli tu kino porno, które przez wiele lat z powodzeniem służyło wielbicielom erotyki w stylu *vintage*.

Tego letniego wieczoru w okolicy kina dało się zauważyć nietypowy ruch. Uliczka San Pietro, mimo że prowadziła w kierunku centrum, nie należała do szczególnie uczęszczanych. Samo kino również nie przyciągało już ani widzów, ani zaciekawionych turystów, gdyż pozostawało zamknięte od czasów niesławnej pandemii i od dłuższego czasu przeprowadzano w nim remont. Okoliczni mieszkańcy wielokrotnie skarżyli się władzom na ciągle, słyszalne nawet w nocy hałasy dochodzące z wnętrza budynku. Co dziwniejsze, choć urzędnikom nie udało się odnaleźć właścicieli kina, rumory niespodziewanie umilkły i dzielnica znów stała się cicha i spokojna.

Tego dnia postronnego widza musiałyby zdziwić pojawienie się kilku dużych samochodów, które zaparkowały na skraju uliczki oznaczonej zakazem wjazdu.

Drzwiczki jednego z SUV-ów otworzyły się i o ziemię oparła się stopa odziana

w mokasyn. Porucznik Jacques Gaudin wysiadając z auta poprawił odruchowo pistolet SIG sauer ukryty pod klapą białej marynarki. Nie odrywając wzroku od wejścia do kina podszedł do niego zdecydowanym krokiem. Spróbował zajrzeć do środka przez oszklone drzwi, ale zamalowane przez budowlańców szyby skutecznie mu to uniemożliwiły. Nacisnął klamkę, ale drzwi były zamknięte na głucho. Oddalił się o trzy kroki od budynku, zerknął w boczną uliczkę, po czym zwrócił się twarzą w kierunku zaparkowanych aut i skinął głową.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na wyludnionej dotąd uliczce zaroilo się od ludzi. Z zaparkowanych aut wypadło dwunastu mężczyzn uzbrojonych w krótkolufowe karabinki beretta M12. Na ich czarnych kamizelkach kuloodpornych widniały duże białe napisy „Carabinieri”. Ustawieni w szyku szturmowym, w dwóch osobnych grupach ruszyli w stronę drzwi kina „Mignon”.

Z bocznej uliczki wynurzyło się jeszcze dwóch ubranych po cywilnemu mężczyzn. Jeden z nich, niski, barczysty, w garniturze – ze swoją łysiną i złotymi okularami sprawiał wrażenie jakby był dyrektorem banku. Drugi, długowłosy i młodszy, mimo że dorównywał łysemu poziomem elegancji, wyglądał raczej na jego usłużnego asystenta. Obaj mężczyźni podeszli bez słowa do porucznika i stanęli po jego bokach. Nie przypominali z wyglądu policjantów, ale gest dłoni trzymany pod połami marynarek wskazywał na to, że i oni byli częścią uzbrojonej grupy, która zaraz miała wkroczyć do budynku dawnego kościoła.

Z końca jednego z rzędów, w których karabinierzy czekali już po obu stronach wejścia, odłączył się postawny mężczyzna z ciężkim taranem. Nabrał rozpędu i z impetem uderzył nim w metalowe drzwi. Rozległ się huk tłuczonych szyb i odgłos dartego metalu. Karabinier odskoczył do tyłu rzucając na ziemię niepotrzebny już taran i sięgnął po pistolet. W tym czasie jego koledzy wbiegali już w głąb pomieszczenia przechodząc po leżących na ziemi wyważonych drzwiach. Porucznik Gaudin poprzedzony swoją dwuosobową gwardią przyboczną wszedł do budynku jako ostatni.

Przez kilka chwil pozornie nic się nie działo. Okoliczne ulice zostały pablokowane przez policję, więc w pobliżu kina nie było żywej duszy. Z budynku na zewnątrz początkowo przedostawały się okrzyki karabinierów, którzy przekazywali sobie informacje i rozkazy, ale i te odgłosy po chwili ucichły. Najwyraźniej grupa szturmowców przemieściła się już w stronę pomieszczeń znajdujących się dalej od wejścia. Zapanowała kompletna cisza. Letni wiatr targał co jakiś czas markizami w oknach przylegającej do kina kamienicy. Wieczór zdawał się otulać miasto spokojnym oddechem przynoszącym odpoczynek od miejskiego zgiełku.

Po około ośmiu minutach niczym niezmałconego spokoju, z głębi budynku rozległ się przeraźliwy krzyk.

– Nie! Niiieee!

Padł strzał. Po chwili drugi. Znow zapanowała cisza. Z wnętrza kina, lekko kulejąc wyszedł powoli człowiek. Był nim Eliot de Montresor. Właściwie był to cień osoby, którą nie tak dawno temu Olivia opisywała jako „eleganckiego pana po

sześćdziesiątce”. Zarośnięty, w brudnych ubraniach, przypominał raczej szczura, który wydostał się z kanału. Idąc coraz wolniej, wyszedł na środek ulicy. Stał niezdecydowany, jakby zastanawiał się, dokąd pójść. Obrócił się w stronę, która prowadziła do rynku, po czym padł bezwładnie na ziemię. Spod leżącego ciała zaczęła wypływać krew, która powoli formowała rosnącą ciemnoczerwoną plamę.

W zniszczonych futrynach kina „Mignon” pojawił się porucznik Gaudin. Miał bladą twarz i zaciśnięte usta. Nie przypominał już sympatycznego Don Juana. Jego wykrzywione oblicze było niemal przerażające. W dłoni trzymał dymiący jeszcze pistolet. Zza pleców porucznika wychylił się grubas w okularach. On też trzymał broń. Nagle z wnętrza budynku dało się słyszeć okrzyki. Potrącając Gaudina, na ulicę wypadł dowódca karabinierów. Przez chwilę stał zdezorientowany, po czym podbiegł do leżącego Montresora i przyłożył palce do jego szyi. Wstał, odpiął swój kask i energicznym krokiem podszedł do Gaudina. Zatrzymał się trzydzieści centymetrów od jego twarzy i ze wściekłością wykrzyczał w jego kierunku:

– Coś ty, kurwa, zrobił?!

Gaudin ani drgnął. Kipiący ze złości karabinier wyraźnie szykował się do fizycznej konfrontacji, ale w ostatniej chwili odciągnęli go jego podwładni, którzy zaczęli właśnie wybiegać z budynku. Zablokowany przez swoich ludzi oficer nie przestawał rzucać inwektyw w stronę Francuza. Dopiero, gdy nieco ochłonął, podszedł do jednego z zaparkowanych wozów, aby złożyć meldunek przez radio.

Nie minęło nawet piętnaście minut i na pustej ulicy zaroilo się od samochodów różnych służb. Pierwszy ambulans odwiózł ciało zabitego przestępcy. Do drugiego wsiedli sprawiający wrażenie dopiero co uwolnionych zakładników dwaj starsi panowie, którzy bladzi i przestraszeni zostali wyprowadzeni z kina przez ratowników medycznych. Następnie zwinęła się ekipa szturmowa karabinierów.

Na ulicy przed kościołem pozostało tylko czterech zabezpieczających teren policjantów oraz Gaudin i jego świta. Miotający piorunami z oczu dowódca karabinierów odmówił im transportu.

Nie musieli jednak czekać zbyt długo na podwózkę. Zza zakrętu ulicy wyłoniła się czarna alfa romeo stelvio i z piskiem opon zatrzymała się tuż przed wejściem do kościoła. Tylne drzwi się otworzyły i wyszedł z nich umundurowany karabinier, który gestem dłoni zaprosił Francuzów do środka. Gaudin skrzywił się na widok kapitana Emiliano Cimelli, który z kamiennym obliczem patrzył na niego z wnętrza samochodu.

W każdy inny dzień o tej porze w komendzie głównej karabinierów nie byłoby już nikogo poza dyżurnymi. Po akcji w kinie „Mignon” budynek komendy tętnił życiem, które momentami przybierało formę ledwo kontrolowanego chaosu.

Porucznik Gaudin zamknął za sobą drzwi, odcinając gabinet komendanta od rozbrzmiewających wokół telefonów, podniesionych głosów i hałasów, jakie powodowali biegający korytarzami karabinierzy, którzy wnosili materiały dowodowe

znalezione w pomieszczeniach kina. Francuz usiadł ciężko na fotelu. Jego twarz wyrażała rezygnację skazańca siadającego na krześle elektrycznym. Obok, z równie posępnymi minami, siedzieli już jego dwaj pomocnicy.

Kapitan Cimelli popatrzył na nich zza biurka zimnym wzrokiem, który wyrażał dezaprobatę i pogardę.

– Postaram się być zwięzły i rzeczowy, panie poruczniku Gaudin – rozpoczął, cedząc słowa przez zęby. – Pominę milczeniem fakt, że nie poinformowałem pan o tym, że na terenie miasta przebywają i działają na pana polecenie dwaj pana podkomendni. To mogę jeszcze uznać za drobne nieporozumienie. Ale musi pan wiedzieć – Cimelli zacisnął prawą dłoń w pięść – że w naszym kraju, niezależnie od tego, co pan o nim myśli, jesteśmy cywilizowani i nigdy, powtarzam, nigdy nie strzelamy ludziom w plecy! – głos kapitana się podniósł, a ostatniemu słowu towarzyszyło uderzenie pięścią w biurko.

– Nie wiem – kontynuował zdenerwowany kapitan – jak pana wyszkolono i jakie przepisy obowiązują we Francji, ale to, co pan dziś zrobił, my tutaj określamy słowami „rażące pogwałcenie zasad użycia siły” i oddajemy za to pod sąd. Czy jakimś cudem ma pan cokolwiek na swoje usprawiedliwienie?! – przechylił się w stronę Gaudina, świdrując go wściekłym wzrokiem.

Francuz poprawił się nerwowo na krześle.

– *Mon capitaine...* – wydukał. – mnie jest przykro, bardzo przykro! – spojrzał na rozmówcę wzrokiem chłopca przyłapanego na kradzieży cukierków. – On mnie wyszedł w bok. Eeee – nie potrafił dobrać właściwych słów. – On mi wyszedł z boku, z takiej jakby kryjówki. Ja byłem *surpris!*

– *Surpris?! Kurwa, człowieku, zastrześliś bezbronnego, który nie stawiał oporu! I to dwoma strzałami. Dwoma!* – kapitan wyczerpał zasób kurtuazji. – Dowodzący akcją porucznik Mantovani zeznał, że słyszał, jak on się darł, prawdopodobnie się poddawał, a ty i tak go kropnąłeś! Kto ty, kurwa, jesteś? Oficer czy jakiś zasrany kowboj?!

– Yyy... ja go nie rozumiałem, *mon capitaine!* On wyszedł na mnie nagle, krzyczał, pchnął mnie na ścianę, a ja miałem pistolet i buuum! *Explosé!* – Gaudin tłumaczył z przejęciem, pomagając sobie zamaszystymi gestami – On wyglądał na *furieux*, on wariat, kompletny wariat! Ja się musiałem obronić! A *lieutenant* Mantovani miał sprawdzić każdą salę, on powiedział, że jest okej i wszystko *clear*, tam nie miało być nikogo, to też jest jego *faute!* – próbował zrzucić choć część winy na dowódcę grupy szturmowej.

Kapitan ukrył twarz w dłoniach. Miał serdecznie dosyć Francuza i marzył tylko o tym, żeby nie widzieć go już nigdy więcej. Niestety, gdy po chwili odjął dłonie od oczu, Gaudin ciągle siedział naprzeciw i wpatrywał się w niego przeprasającym, cielejącym wzrokiem.

– Poruczniku Gaudin – powiedział zgaszonym głosem. – Gdyby to ode mnie zależało, wyleciałby pan ze służby zdegradowany i z zarzutami. Nie tylko zastrześlił pan z zimną krwią człowieka, ale i pozbawił nas pan ostatniego świadka

w prowadzonych przez nas trudnych i powiązanych ze sobą śledztwach. Dzięki pana... – Cimelli szukał przez chwilę właściwych słów – porażającej bezmyślności i totalnemu brakowi profesjonalizmu nie możemy przesłuchać jedyne go człowieka, który najpewniej miał coś wspólnego ze śmiercią profesora Bonardiego. Zabił pan ostatnią osobę, która mogła wiedzieć, gdzie przebywa zaginiona Olivia Cattanei. Już się od nikogo nie dowiemy, czego ta banda chciała od Bonardiego, od tej Cattanei i co się w ogóle wyprawia w tym cholernym mieście!!! – kapitan z trudem łapał dech.

– Jak dla mnie, Gaudin, jest pan nie tylko łajdakiem, bezmyślnym pozbawionym elementarnej etyki bałwanem, ale i kompletną chodzącą katastrofą. Niestety, nie mogę podjąć względem pana jedynie słusznej decyzji, na jaką pan w pełni zasłużył – tym razem dla odmiany Cimelli stuknął długopisem w skoroszyt leżący przed nim na biurku. – Z jakiegoś niewytłumaczalnego dla mnie powodu – ciągnął dalej zrezygnowanym tonem – moim zwierzchnikom bardzo zależy na jak najlepszych stosunkach z francuską Żandarmerią Narodową i nalegają, abym nie składał na pana doniesienia. Dlatego i tylko dlatego – zaakcentował dwa ostatnie słowa Cimelli – pana komendant nie zostanie o niczym powiadomiony i nie zostaną panu postawione zarzuty. Nie zajmuje się pan już jednak żadną sprawą i ma pan jeden dzień na spakowanie walizek i zniknięcie na zawsze z mojego miasta. Ale zanim to nastąpi... – Cimelli sięgnął do skoroszytu i wyjął kartkę, którą podsunął porucznikowi – jestem zmuszony przedstawić panu pisemną pochwałę za schwytanie groźnego przestępcy, uwolnienie właścicieli kina przetrzymywanych jako zakładnicy i odzyskanie cennych zabytków – głos kapitana wyrażał znużenie i zniechęcenie.

Oczy porucznika zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. Siedzący po jego lewej stronie łysy Francuz uśmiechnął się pod nosem. Gaudin chciał coś powiedzieć, ale Cimelli przerwał mu brutalnie.

– Niech pan nic nie mówi. Nie chcę pana słuchać. Proszę zabrać swoich kolegów i nie pokazywać się tu więcej. Jutro ma pan wylot do Nicei. I jeszcze jedno – macie zakaz kontaktowania się z moimi ludźmi i podejmowania jakichkolwiek działań na moim terenie. Na temat waszego pobytu tutaj obowiązuje tajemnica służbowa. Macie ban na wszystko, z fejsbukami, twitterami i tym podobnymi łącznie! Idźcie już sobie – Cimelli zdjął okulary i ostentacyjnie odwrócił się w stronę okna, jakby dalsze patrzenie na Francuzów sprawiało mu zbyt dużo wysiłku. Kiedy trzej mężczyźni zmierzali w stronę drzwi, kapitanowi coś się jeszcze przypomniało.

– Gaudin! Zapomniałem panu powiedzieć, że bilet na lot powrotny będzie tylko jeden. Tych pana dwóch błaznów oficjalnie tu nie ma. Jak dla mnie mogą wrócić do Francji piechotą. To już nie mój problem.

Gaudin skinął głową i po cichu zamknął za sobą drzwi. Nie chciał dodatkowo prowokować starego komendanta. I tak poszło mu lepiej, niż się spodziewał.

Druga szansa

Pozbawione moskitier okna w sali odpraw były otwarte na oścież, toteż chmary ciem, muszek i komarów wdzierały się z ciemności nocy do jasno oświetlonego pomieszczenia, aby zaatakować z furią lampy i zakończyć swój żywot w rozgrzanych kloszach jarzeniówek.

Zaspana Diana siedziała na jednym z krzeseł stłoczonych w głębi sali. Obserwowała rosnącą górę przedmiotów, które wnosili i składali na stołach funkcjonariusze ubrani w mundury karabinierów, czarne kamizelki szturmowców i jasne kombinezony laborantów. Na stołach piętrzyły się stosy papierów, laptopy, ubrania, pokryte kurzem i gruzem łopaty i kilofy, mapy, a nawet mała walizeczka do teatralnej charakteryzacji, zawierająca sztuczne wąsy, peruki i zestaw do makijażu. Wszystkie te przedmioty odnalezione podczas zakończonej kilka godzin temu akcji w kinie były teraz składane i katalogowane w salce odpraw, którą przerobiono na prowizoryczny magazyn.

Diana wstała z krzesła i podeszła, aby przyjrzeć się jednemu z przedmiotów, który przyciągnął jej uwagę. Sięgnęła do pudełka z lateksowymi rękawiczkami, ubrała jedną z nich i podniosła w stronę światła zaopatrzony w rękojeść podłużny kawałek metalu zakończony wielką puszką.

Rozpoznała tę rzecz. Widziała ją na filmie z kamery w mediolańskim muzeum. Uśmiechnęła się do siebie. Już wtedy zauważyła, że pistolet, którego użył włamywacz, aby rozbić pancerną witrynę chroniącą relikwiarz z włosami Lukrecji Borgii, był dość nietypowy. Teraz miała dowód rzeczowy na to, że się nie myliła. Pistolet był topornie wykonanym, pozbawionym magazynka, samopalem. Do komory nabojoyej wchodził jeden pocisk, kalibru 9 mm parabellum. Toporna drewniana rękojeść była zniszczona i porysowana. Wszystko wskazywało na to, że samopał wykonano domowymi metodami i to dawno temu, być może jeszcze w czasach drugiej wojny światowej. Zapewne służył jakiemuś partyzantowi, który nie miał możliwości zdobycia prawdziwej broni. Najciekawszy był jednak tłumik. Ten akurat pochodził z czasów jak najbardziej współczesnych, ale podobnie jak broń został wykonany metodą rzemieślniczą. Do lufy samopału przyspawano bowiem samochodowy filtr paliwa. Metalowa puszka filtra, choć szersza od prawdziwego tłumika, miała jednak podobny do niego, podłużny kształt. Znajdujące się w puszcze warstwy gęstego papieru służące do zatrzymywania zanieczyszczeń pływających w paliwie, były w stanie wytłumić sto sześćdziesiąt decybeli produkowanych podczas eksplozji naboju pistoletowego.

– Sprytne – pomyślała Diana i odłożyła pistolet. Wbrew pozorom, to nie osobliwość

tego przedmiotu zastanawiała ją najbardziej. Znacznie ciekawsze było pytanie, dlaczego bezwzględni i groźni przestępcy, którzy według dotychczasowych ustaleń śledztwa byli podejrzani o morderstwa, tortury, kradzież i porwania, nie posiadali ze sobą ani jednej sztuki prawdziwej broni palnej. Trudno było zrozumieć, dlaczego Montresor i jego ludzie posłużyli się czymś tak kompletnie amatorskim, jak ten wyglądający na znaleziony w piwnicy dziadka samopał z przyspawanym filtrem.

Dalsze rozmyślania przerwało jej głośne chrząknięcie. Obróciła się i goszczące na jej twarzy skupienie w jednej chwili zamieniło się w osłupienie. W drzwiach salki konferencyjnej stali kapitan Cimelli i Giacomo. Komendant położył dłoń na ramieniu podwładnego i delikatnie popchnął go w kierunku dziewczyny.

– Oddaję ci go. Podleczonego i w dobrym stanie. Ta akcja w kinie obróciła wszystko do góry nogami – wyjaśnił, widząc zaskoczenie w oczach Diany. – Gaudin, to trzeba mu przyznać, skutecznie namierzył de Montresora, ale na koniec okazał się impertynenckim debilem. A nasz Giacomo, co stwierdzam z ulgą, no cóż... wyszło na to, że jest w zasadzie niewinny. Jego wersję potwierdziły pierwsze oględziny danych z laptopa Montresora. Znaleźliśmy jego zapiski i maile. Wszystko wskazuje na to, że nasz zły porucznik dobrze wykonał swoją pracę operacyjną, a szantaż, którego padł ofiarą, wykorzystał na swoją i na naszą korzyść. Udając skorumpowanego agenta, wodził za nos przestępców i przekazywał im fałszywe informacje. Gdyby nie Giacomo, być może znaleźliby już to, czego szukali.

– Osobiście wolałbym jednak – kapitan zwrócił się bezpośrednio do porucznika – żebyś na drugi raz informował mnie o takich ważnych i skomplikowanych operacjach jak ta. Szczególnie jeśli giną w ich trakcie cenne przedmioty i ludzie. Infiltrację i współudział dzieli bardzo wątła granica. I wiem, co mówię, bo ja też kiedyś robiłem twoją robotę. Ode mnie się więc przeprosin nie doczekasz, ale cieszę się, że mogę ci oddać odznakę – skończył przemowę i odszedł korytarzem do swojego biura.

Giacomo patrzył bez słowa na Dianę. Na jego twarzy malował się stres i zakłopotanie. Wążący sto kilo, umięśniony i wytrenowany na komandosa mężczyzna, stał na środku wypełnionej materiałami dowodowymi sali i ścisnął sobie dłonie w geście podobnym do zawstydzonej dziewczynki, która wykręca róg sukienki.

– Weź, chłopie, nie stój tak... – Diana przerwała tę żalospną scenę i podeszła, aby mocno go objąć. Wypuścił z siebie powietrze, jakby jej gest sprawił mu niewyobrażalną ulgę.

– Di, ja... – nie wiedział, co powiedzieć.

– Daj spokój. Wyjaśnione jest, no nie? Wracasz do służby, więc spoko. Cieszę się. Nie będę przynajmniej sama z tym całym syfem.

– Ale... – porucznik ciągle czuł się niepewnie. – Wiesz przecież, że stary to specjalnie ponaciągał, nie? I to mocno. Żebyś wyszedł na niewinnego. Di, ja ci przysięgam. Ja się już naprawdę w żadne hazardy nigdy nie dam wciągnąć, ja...

Dziewczyna wysunęła się z jego objęć. Wążyła w sobie to, co chciała mu

powiedzieć. Złapała go za rękę i spojrzała mu głęboko w oczy.

– Uwielbiam cię, facet. Może nawet jeszcze Kocham, chociaż w tej chwili tego akurat nie wiem. Potrzebuję cię tu w pracy jak cholera, bo śmierć Montresora więcej gmatwa, niż rozwiązuje. Cieszę się, nie masz pojęcia jak bardzo, że nie siedzisz w mamrze i że wreszcie będę miała cię tu przy boku zamiast tego wypacykowanego erotomana z importu. Ale jeśli chodzi o twoje nałogi, to ja ci na słowo na pewno nie uwierzę. Nie licz na to. Żadnemu nałogowcowi bym nie uwierzyła, a tym bardziej takiemu, którego znam tak dobrze, jak ciebie. Dlatego zrobimy tak – puściła go i oparła się o stojący za nią stół. – Zaczniemy razem pracować. Już teraz, bo czas nagli. Szukamy tej zaginionej panienki od Davide’a. Zamieszkać możesz na razie tu w komendzie, w koszarach zawsze znajdzie się miejsce dla singla. I jak będziesz chciał, ale musisz bardzo sam tego chcieć, zapiszesz się na terapię. Osobiście pomogę ci znaleźć specjalistów. I dopiero, jak zobaczę, że to robisz, a wiem, że cię to przeraża bardziej niż wycelowany w ciebie pistolet, bo ja cię znam, Kochany mój misiu, to dopiero wtedy może, i to jest wielkie „może”, pozwolę ci się zaprosić na randkę, żeby pogadać o dalszej przyszłości. To jak, umowa stoi?

Jej wzrok był stanowczy i zdecydowany. Porucznik był bez szans. Znał niezłomny charakter Diany. Ona nie negocjowała. Po prostu stawiała swoje warunki.

– Stoi – potwierdził suchymi ustami.

– No i dobrze – dziewczyna rozluźniła się i pochyliła nad wypełnionym stertą rzeczy leżących na stole. – A teraz idź, znajdź sobie jakąś kwatere, a ja pojedę po twoje ciuchy, żebyś wyglądał jak człowiek. A potem siądziemy razem przy tych gratach i spróbujemy wyciągnąć kilka wniosków.

Giacomo nie odważył się do niej podejść i pocałować jej w policzek, choć miał na to olbrzymią chęć. Mimo wszystko przepełniała go wdzięczność. Wiedział doskonale, że każda inna kobieta wysłałaby go do wszystkich diabłów. Ale nie Diana. Dałby się dla niej zabić bez mrugnięcia okiem. Wyprostował się i wyszedł zamaszystym wojskowym krokiem. Teraz był gotów do walki z całym światem.

Odosobnienie

Złote pukle włosów Olivii sływały z odrapanej pryczy, na której leżała dziewczyna. Brakowało im dosłownie pół centymetra do osiągnięcia brudnej i niemożliwie zakurzonej podłogi. Ich właścicielce skulonej na boku w pozycji embrionalnej wydawało się to być zupełnie obojętne. Pozbawione okien pomieszczenie, w którym znajdowało się łóżko, miało około dwóch metrów szerokości i czterech długości. Panujący w nim półmrok rozświetlała smętnie zwisająca stara wolframowa żarówka zwisająca z kabla przeciągniętego wzdłuż niskiego pomalowanego na zielono sufitu, który przypominał kształtem wnętrze beczki. Na tej niewielkiej przestrzeni oprócz łóżka znajdowała się jedynie mała metalowa szafka, z której zdążył odpaść już prawie cały lakier, stojąca obok pocięta emaliowana miska oraz brudna porcelanowa umywalka z obitym narożnikiem i nieszczelnym mosiężnym kranem, z którego rytmicznie wypływały krople wody o brudno-rdzawym kolorze. Jedynym nowym i czystym elementem wystroju tego przygnębiającego wnętrza był lśniący bielą świeżej pościeli materac, na którym leżała Olivia. Dziewczyna nie spała, ale jej oczy były zamknięte, jak gdyby nie chciała dopuścić do siebie widoku, który ją otaczał. Zaciśnięte razem dłonie trzymała blisko ust, które poruszały się rytmicznie. Wydawało się, jakby rozmawiała z kimś w myślach albo żarliwie się modliła. Ledwo słyszalne słowa, które wypowiadała, nie przypominały języka włoskiego, a raczej mieszanek łaciny, greki czy nawet hiszpańskiego.

Nagle gdzieś obok rozległy się kroki. Usta Olivii zastygły. Rozległ się szczepek zamka lub rygla i masywne metalowe drzwi pomieszczenia otworzyły się na oścież, wydając nieprzyjemny zgrzyt. Twarz stojącego w nich wysokiego barczystego mężczyzny była niewidoczna, ponieważ światło z korytarza padało na niego od tyłu, ale dziewczyna dostrzegła, że trzyma on w ręku tacę, na której stał talerz z gorącym posiłkiem i plastikowa butelka z wodą. Mężczyzna podszedł do łóżka i położył na nim tacę.

– Zjedz coś, proszę... Nie możesz nic nie jeść – powiedział miękko i zaskakująco łagodnym głosem zupełnie niepasującym do jego postury i otaczającej ich scenerii. Dziewczyna spojrzała na niego bez słowa. Mężczyzna westchnął i po chwili wahania, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, wyszedł na korytarz domykając za sobą ciężkie drzwi.

Olivia odczekała, aż zamilknie odgłos jego oddalających się kroków i podniosła się na łokciach. Delikatnie i z wyraźną dbałością odłożyła na szafkę przedmiot, który kurczowo ścisnęła dotąd w dłoniach. Usiadła i przyciągnęła do siebie tacę z jedzeniem. Pod kranem nabrzmiwała właśnie kolejna kropla wody. Nim spadła, światło odbijające się od leżącego na szafce pierścienia z wielkim czerwonym

kamieniem upodobniło ją do gęstej kropli krwi.

Borgia

Giacomo trzymał fason. Konsekwentnie ignorował spojrzenia kolegów stłoczonych w zagraconej do granic możliwości salce spotkań. Szelest przyciszonych i niewyraźnych głosów, który słyszał za sobą, podpowiadał mu, że jego powrót do służby wywołał na komendzie dalekie od entuzjazmu uczucia. Nie dziwiło go to. Koleżeńska solidarność kończyła się tam, gdzie złamane zostały zasady wzajemnej lojalności, a porucznikowi zarzucono najcięższe pod tym względem przewinienie: zdradę. Pozornie wszystko zostało wyjaśnione, ale mur nieskrywanej nieufności skutecznie oddzielił go od reszty zespołu. Nie przejmował się tym. Był samotnym wilkiem, od zawsze działał w pojedynkę. Instynkt stada był mu obcy. Zdawał sobie sprawę, że nie poprawiało to jego sytuacji, ale było mu to całkowicie obojętne. Czuł się szczęśliwy. Mógł znów tu być i nie zależało mu na niczym innym. Nie przeszkadzały mu ani złośliwości, ani nawet ciężka i wszechogarniająca woń źle wywietrzonego pomieszczenia. Uśmiechnął się do jedynej życzliwej mu osoby, która weszła właśnie do sali. Diana odpowiedziała mu mrugnięciem i od razu skierowała swoje kroki w stronę okna, które otworzyła na całą szerokość.

– O żesz... Nie czujecie tego smrodu?

Jej pytanie nie doczekało się odpowiedzi. Do pomieszczenia wszedł kapitan Cimelli. Głosy powoli ucichały. Dowódca przeszedł od razu do rzeczy.

– Witam. Mam nadzieję, że trochę się wypalicie, bo tempa niestety zwolnić nie możemy. Krótkie podsumowanie. Jak widzicie, porucznik Masini wrócił do służby. Nie życzę sobie na posterunku żadnych konfliktów z tego powodu. Jak chcecie, to wyjaśnijcie sobie wszystko po służbie. Tutaj macie współpracować. Do tematu wracać już nie będę. Dalej... – kapitan zerknął do swoich notatek – porucznik Gaudin został oficjalnie wydal... oddelegowany i już go tu nie zobaczymy. Nie uczestniczy już w śledztwach i nie wolno mu bez mojej wiedzy udzielać jakichkolwiek informacji również mailowo czy telefonicznie. Mam nadzieję, że to jest jasne. Dalej...

Kolejne słowa komendanta zostały zagłuszone przez głośny dzwonek telefonu. Zażenowany podniósł wzrok na Dianę, która przepychała się w stronę drzwi z komórką w ręku.

– Przepraszam, to bardzo ważne. Zaraz wracam – rzuciła usprawiedliwiająco i wyszła na korytarz.

Kapitan przełknął ślinę. Postanowił tego nie komentować. Od dawna myślał o swoich podkomendnych jako o niesfornych dzieciach.

– Jeśli chodzi o znalezione we wczorajszej akcji dowody – wskazał brodą na stos

klamotów – część została już wstępnie przejrzana. Najciekawsza jak dotąd okazała się skrzynka mailowa z laptopa. Laptop nie był nawet zabezpieczony hasłem, ale niestety maile są niekompletne. Informatycy poinformowali mnie, że część poczty została pobrana na telefon de Montresora, a telefonu niestety nie znaleźliśmy. Tak czy owak, z odczytanych treści wynika kilka wniosków. Po pierwsze, wiemy już na pewno, że de Montresor i jego banda nie należeli do żadnego zakonu. Ich papiery zaświadczające, jakoby mieli być pełnomocnikami i spadkobiercami templariuszy, są fałszywe. Wiemy też, że szukali czegoś, co do wyżej wymienionego zakonu ponoć należało i tym czymś jest, uwaga, jakiś bardzo cenny kamień. W wiadomościach, jakie sobie przekazywali, twierdzili, że to najstarszy i najcenniejszy klejnot świata, nazywany... zaraz... – Cimelli zaszeleścił trzymanymi w rękach kartkami – „gemma gemmarum”, czyli w tłumaczeniu z łaciny „klejnot klejnotów”. Mamy tu nawet jego opis, choć nie wiadomo, na ile wiarygodny – dowódca rozdał obecnym wydruki z fragmentami maili dotyczącymi kamienia.

– Tak jak ja – kontynuował po chwili Cimelli – tak i wy na pewno na tyle mocno stąpacie po ziemi, żeby nie wierzyć na słowo w byle bajeczki i dostrzegacie, że na pierwszy rzut oka historia z kamykiem wydaje się dość nieprawdopodobna. Ale pamiętajmy, że w całym kraju dosłownie śpimy na wykopaliskach i nawet całkiem niedawno mieliśmy tu bandę wykopującą na polach jak najbardziej realne i bezcenne skarby Etrusków. Nie widzę więc powodu, żeby nie wierzyć w kolejny cenny kamień, niezależnie od jego nazwy i pochodzenia. Czy on należał do jakichś dawnych rycerzy, czy nie i czy naprawdę jest tak wielki i cenny, jak tu napisano, to jest jeszcze do sprawdzenia, ale pozostaje faktem, że ludzie de Montresora zadali sobie naprawdę wiele trudu, żeby przyjechać do naszego miasta i rozkręcić tu zakrojone na szeroką skalę poszukiwania. Szkoda tylko, że nikt z nich niczego więcej już nam o tym nie powie... – westchnął z zalem.

– Tak czy owak roboczo przyjmujemy, że klejnot rzeczywiście istnieje i że to on właśnie jest powodem całego zamieszania. Z odczytanych plików dowiedzieliśmy się, że historia kamienia była przekazywana od pokoleń w rodzinie de Montresora, którego daleki przodek był żołnierzem napoleońskim stacjonującym w Ferrarze.

– Raczej plądrującym Ferrarę!

Redaktor Enrico Montanari, który stanął właśnie w drzwiach, nie mógł się powstrzymać od wygłoszenia komentarza. Zażenowany nietaktem swojego szefa Davide, schował się za jego plecami.

Diana, która wprowadziła dziennikarzy na odprawę, podeszła do komendanta.

– Przepraszam, panie kapitanie, ale oni tu przyszli z czymś bardzo ważnym.

Resztę zdania wypowiedziała cicho wprost do ucha przełożonego. Cimelli spojrział uważnie na nowo przybyłych.

– W takim razie możecie panowie poczekać do końca odprawy. Później z wami porozmawiam. Tylko z łaski swojej, proszę mi już nie przerywać.

Montanari nie wydawał się być przejęty skierowaną do niego uwagą.

– Jak mówiłem, de Montresor dowiedział się o kamieniu z opowieści rodzinnych –

wrócił do przerwanej wypowiedzi kapitan. – Z jego komputera wyciągnęliśmy skany starych listów pisanych po francusku. Znajdziecie je na końcu wydruków. Ze wstępnego tłumaczenia listów wynika, że w czasach wojen napoleońskich kilku francuskich żołnierzy przebywających w Ferrarze, usłyszało od miejscowych plotki mówiące o wyjątkowo cennym kamieniu, który podobno był w tamtych czasach przechowywany w naszym mieście. Według tej legendy, kamień miał się tu znaleźć jako łup wojenny przywieziony z jednej z krucjat przez rycerzy zakonu templariuszy. Pewnie właśnie dlatego de Montresor sfalszował dokumenty, w których powołał się właśnie na ten zakon. Tą teorię potwierdzają też mapy, jakie znaleźliśmy na komputerze. Zaznaczono na nich kilka świątyń. W jednej z nich złapaliśmy de Montresora. Bandyci otworzyli wszystkie stare krypty i próbowali kopać nawet pod nimi. Dzięki nim wydział archeologii naszego uniwersytetu będzie miał teraz zajęcie na długie lata, ale oni sami chyba nie znaleźli tego, czego szukali. My tego kamyka w każdym razie wśród tego bałaganu nie znaleźliśmy. I oni raczej też nie, bo tam w tych kryptach ani korytarzach absolutnie niczego nie było. Kościół już dawno został opróżniony i to jeszcze w czasach przedwojennych. A dlaczego szukali akurat tam, tego nie wiadomo. Pewnie mieli zamiar szukać także w innych kościołach, które sobie zaznaczyli.

– Hyym... – tym razem Davide kaszlnął znacząco. – Można? – zapytał nieśmiało.

– Jeśli na temat, to tak – odpowiedział Cimelli.

– Nie wiem dokładnie, co panowie znaleźli na tych mapach – zaczął niepewnie Davide – ale my z redaktorem Montanarim już wcześniej słyszeliśmy o templariuszach w związku z tą sprawą i sobie pewne rzeczy posprawdzaliśmy. Mogę państwu potwierdzić, że zarówno budynek kina „Mignon”, jak i kilka innych kościołów w naszym mieście to rzeczywiście był kiedyś majątek należący do zakonu templariuszy. Chętnie zrobię listę i założę się, że pokryje się ona z zaznaczonymi na mapie kościołami.

– A tak, proszę bardzo, proszę mi przedstawić taką listę – ucieszył się kapitan. – Przynajmniej ten wątek nam się potwierdzi. Tyle że tych wątków jest więcej i większość ciągle jest niejasna – Cimelli znów spoważniał.

– Na przykład – zaczął wymieniać – metody działania tej grupy przestępczej zupełnie nie pasują do brutalnego morderstwa popełnionego w podziemiach zamku na pracowniku uniwersyteckim, docencie Rossim. Nie tylko metody nie pasują. Na chusteczce znalezionej w miejscu jego zabójstwa, ujawniono ślady genetyczne najprawdopodobniej należące do sprawcy. Tyle że z pewnością nie należą do nikogo z bandy de Montresora. Ich materiału genetycznego akurat mamy pod dostatkiem – westchnął. – I chociaż bardzo bym chciał zamknąć tę sprawę, nie mogę im przypisać mordu Rossiego ani porwania i torturowania naszego kolegi. Brak dowodów, a nawet poszlak niestety. Wiele wskazuje na to, że banda de Montresora nie jest jedyną grupą, która czegoś szuka w naszym mieście. Potwierdza to też sam porucznik Masini. On również twierdzi, że to byli inni ludzie.

Giacomo przytaknął skinieniem głowy.

– No właśnie – kapitan w zamyśleniu zaczął skubać się po brodzie. – I to już w ogóle komplikuje nam sytuację. Tym bardziej, że do tego dochodzą kolejne niejasne wątki. Nie wiemy ciągle, po co człowiek de Montresora włamał się do muzeum w Mediolanie i dlaczego ukradł przechowywane tam włosy Lukrecji Borgii. Nie mamy tu żadnej przekonującej hipotezy, choć wiemy, że Borgia była związana z naszym miastem i że ludzie, którzy zabili Rossiego, właśnie o to nazwisko wypytawali naszego porucznika. Brak też odpowiedzi na pytanie, dlaczego kilkakrotnie próbowano porwać Olivię Cattanei, asystentkę profesora Bonardiego, który umarł niedługo po wizycie de Montresora. Na dodatek, mimo wyeliminowania bandy de Montresora, Cattanei zniknęła bez śladu. Dziewczyna albo już nie żyje, albo dopadł ją ktoś inny, albo się z jakiegoś powodu ukrywa. Bardzo możliwe, że ona wie o czymś, co ma związek z profesorem albo poszukiwanym przez bandytów kamieniem. À propos Bonardiego – kapitanowi coś się przypomniało – mamy jeszcze to!

Podszedł w stronę dowodów rzeczowych i wrócił z oprawionym w złote ramy obrazem, który postawił na stole, tak aby wszyscy obecni mogli go zobaczyć.

– Żeby nie było, że ponosimy tylko same klęski – uśmiechnął się nieoczekiwanie. – Podczas wczorajszej akcji odnaleźliśmy obraz „Beatrice II d’Este” skradziony niedawno z willi Belgusto – spojrzął na zgromadzonych dumnym wzrokiem.

Giacomo na wszelki wypadek wbił wzrok w ścianę, ale kapitan na szczęście nie wspomniał o jego niechlubnym współudziale w zniknięciu tego dzieła sztuki.

– Odnalezienie obrazu to dobra wiadomość – kontynuował szef – chociaż ciągle nie możemy zrozumieć, po co go ukradziono. Czy to miało związek z kamieniem? Dlaczego ograniczono się tylko do tego obrazu? Być może tylko zaginiona Cattanei mogłaby nas w tym temacie oświecić, bo, i to jest kolejny dziwny zbieg okoliczności znaleźliśmy kilka jej zdjęć w komputerze de Montresora! Tylko że jakieś stare chyba – dodał kapitan. – Najwyraźniej ta tajemnicza panna wyglądała kiedyś odrobinę inaczej.

Podszedł do laptopa rozłożonego na biurku i po kilku wykonanych kliknięciach odwrócił go ekranem w stronę sali.

Davide poczuł, jakby gdzieś w tyle jego głowy zaczęły bić dzwony.

Na ekranie widniało zdjęcie Olivii, zrobione zapewne do jakiegoś dokumentu. Rozpoznanie jej nie nastęczało mu żadnych trudności. Wszystko się zgadzało, poza jednym szczegółem. Dziewczyna na zdjęciu miała kruczoczarne, długie, lekko kręcone włosy. Właśnie dlatego nie pamiętał jej ze studiów. Nie była wtedy blondynką. Teraz, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przypomniał ją sobie – piękną, nieśmiałą ciemnowłosą dziewczynę, która nie trzymała się z grupą i prawie z nikim nie rozmawiała.

Stojący obok Enrico Montanari wpatrywał się w zdjęcie z takim samym wyrazem ośłupienia. On akurat nie mógł pamiętać Olivii z jej studenckich lat. Powód jego zdziwienia był zupełnie inny. Stojący tuż za laptopem portret Beatrice d’Este tak dalece przypominał Olivię, że gdyby nie średniowieczne ubrania księżnej, mógłby się

założyć, że zdjęcia dziewczyny i namalowany obraz przedstawiają tę samą osobę. Zaskoczenie, jakie malowało się na twarzy redaktora, było spowodowane nie tylko tym zdumiewającym podobieństwem. Kiedy wcześniej analizował ten obraz pod kątem symboliki templariuszy, dokonał jeszcze jednego odkrycia, którym nie zdążył się jeszcze podzielić ze swoim podwładnym.

– Davide! – szturchnął chłopaka łokciem.

– Hm? – mruknął ten w zamyśleniu.

– Davide! – tym razem kuksaniec był silniejszy.

– Kogo przedstawia ten odnaleziony obraz? – zapytał scenicznym szeptem, nie chcąc znów przeszkodzić kapitanowi, który kończył właśnie odprawę.

– Jak to: kogo? – odparł tak samo ściszym głosem dziennikarz. – Przecież już o nim gadaliśmy. Beatrice, księżną d'Este.

– A wiesz, kto pozował do tego obrazu? – zapytał redaktor z tajemniczym uśmiechem.

– No chyba ta księżna właśnie?

Montanari pokręcił głową z politowaniem.

– Przecież ci mówiłem, że obraz namalowano długo po jej śmierci.

Davide'owi zrobił się z czoła pytajnik.

– No to kto? Modelka jakaś?

– Lukrecja Borgia we własnej osobie.

Chłopak spojrział z niedowierzaniem na swojego szefa. Montanari zamilkł. W jego głowie kawałki układanki dopasowywały się powoli w zupełnie nieprawdopodobną całość. Olivia – śmierć profesora, Borgia – trucicielka mężów. Kamień pochodzący z Francji i francuski zakon templariuszy. Układanka była wciąż niekompletna, ale po raz drugi utwierdził się w przekonaniu, że wszystko kręciło się wokół zaginionej dziewczyny.

Dwadzieścia minut później kapitan Cimelli doszedł do tego samego wniosku.

Trzymał w rękach medalik-nadajnik, z którym przyszli do niego dwaj dziennikarze.

– Mnie się ta cała Cattanei od początku wydawała podejrzana – powiedział.

Davide chciał zaprotestować, ale ugryzł się w język. W tej chwili najważniejsze było wszczęcie poszukiwań Olivii. Wierzył, że gdy tylko się odnajdzie, sama wszystko wyjaśni. Przecież nie mogła być niczemu winna. Czuł to każdą komórką ciała. Ale trzeba ją było jak najszybciej odszukać, a tylko służby miały wystarczające środki, żeby tego dokonać.

– Cóż, nie mam pojęcia, czy ktoś ją porwał, czy się sama ukrywa, ale zgadzam się z redaktorem Montanari, że Cattanei wie najwięcej o całej tej historii – stwierdził kapitan. Podjął szybką decyzję. Odwrócił się do przysłuchujących się rozmowie Diany

i Giacomo.

– Poruczniku, zdaje się, że będziesz miał szansę podnieść swoje notowania w oczach kolegów. Znalezienie tej dziewczyny całej i zdrowej to teraz nasz nowy priorytet.

Giacomo podszedł do biurka, przy którym siedział Cimelli. Ten wsypał mu do ręki rozłożony na części medalion.

– Weź naszych techników, skontaktujcie się z operatorami, którzy obsługują tę kartę SIM, może znajdzie się sposób, żeby dojść do tego, kto i skąd łączy się z tym urządzeniem.

– Di – zwrócił się do podkomendnej. – Jak tylko technicy namierzą sygnał, zmontuj niewielką ekipę interwencyjną i jedźcie na wskazane miejsce dyskretnie je sprawdzić. Wierzę, że ty jedna nie będziesz się kierować testosteronem i nie dopuścisz do tego, żeby zabito kolejnych podejrzanych. Nie chcę tu już żadnych strzelanin, zrozumiano?

Kwiaty

Mimo że dzień chylił się ku końcowi, skwar był wciąż odczuwalny. Na placu Ariosto w oczekiwaniu na atrakcje, jakie obiecywał rozpoczynający się wiosenny wieczór, powoli gromadziła się młodzież. Rozkrzyczane grupki licealistów i studentów grały w piłkę, wylegiwały się na trawniku lub popijały drinki w cieniu drzew okalających owalny plac.

Po drugiej stronie ulicy w przyjemnym chłodzie podcieni przy kawiarnianym stoliku siedziało dwóch mężczyzn. Pomiedzy nimi, obok opróżnionych filiżanek po kawie i karafki wciąż jeszcze wypełnionej białym winem, leżał zasuszony biały kwiat. Mężczyznami byli Davide i Enrico Montanari, a kwiat nazywał się *Narcissus poeticus*.

– Jak? – zapytał Davide.

– Narcyz – powtórzył naczelny patrząc chłopakowi przenikliwie w oczy.

– No i co? Co z tym kwiatem? – zapytał Davide z roztargnieniem. Nie miał czasu na rozmowy o błahostkach. Jego umysł był skoncentrowany na poszukiwaniach Olivii i nie pragnął teraz niczego innego, jak biegać po mieście z karabinierami namierzającymi sygnał dochodzący do odbiornika w medalionie.

– Z kwiatami raczej. Davide! Ich tam było z czterysta sztuk! Trzysta osiemdziesiąt trzy dokładnie – Montanari miał na myśli rośliny znajdujące się w sypialni profesora Bonardi w dniu jego śmierci. Musiał w końcu powiedzieć chłopakowi prawdę o swoim odkryciu, ale Davide nie ułatwiał mu tego nieprzyjemnego zadania.

– No i? – skrzywił się dziennikarz. – Ci Francuzi kupili je przecież na jego urodziny. Chcieli się popisać i zamydlić profesorowi oczy. Żeby mu potem świsnąć ten obraz.

– No właśnie tu jest problem – odparł naczelny. – To wcale nie oni je kupili.

– No jak to? Przecież na komendzie mówili....

– Mówili. Bo rzeczywiście de Montresor i spółka kupili jakieś kwiaty. Jeden wazon. Dwadzieścia trzy sztuki.

– A reszta? – Davide w końcu zainteresował się rozmową.

– No właśnie – pospieszył mu z odpowiedzią Montanari. – Poszedłem za tropem pewnej myśli i dowiedziałem się najpierw od stróża, a potem od kwiaciarki, kto dokładnie zamówił te dodatkowe kwiaty. Tym kimś była... twoja Olivia. Majątek na nie wydała.

Davide popatrzył na rozmówcę nierozumiejącym wzrokiem.

– Ona? No cóż, to faktycznie dziwne... Ta ilość jest dość szokująca, ale biorąc pod uwagę, że to był jej pracodawca i mentor... W sumie, to ja go też lubiłem, chociaż

mnie niezłe tępił na egzaminach. Ale Olivia była przecież kujonką, oni na pewno dobrze ze sobą żyli. W sensie pracodawcy i pracownicy oczywiście! – dodał szybko, zmieszany. Przez chwilę mignęła mu przez głowę niechciana wizja, w której jego ukochana i profesor uprawiali namiętny seks na skrzypiącym łóżku z baldachimem. Szybko odrzucił ją od siebie.

– Tak czy owak, to chyba nie grzech, że chciała uhonorować go taką ilością kwiatów, no nie? – zapytał retorycznie.

– To ciekawe, że wspominasz o grzechu – odparł ostrożnie Montanari. – Zaraz dojdę i do tego. Nie wydaje ci się dziwne, że Olivia nikomu ani słowem nie wspomniała o tym, że to ona kupiła te kwiaty? Powiedziała, że to od Francuzów.

– To ze skromności pewnie albo z roztargnienia. Wszyscy byliśmy nieco w szoku, to wyglądało przecież na zabójstwo – przypomniał chłopak.

– Davide.

– No co?

– Bo to było zabójstwo. Z premedytacją. I ja niestety wiem, kto go dokonał.

– Kto?

– Olivia...

Przez chwilę przy kawiarnianym stoliku panowało milczenie. Davide poczuł uderzenie gorąca, a potem zimny pot spływający mu po karku.

– Nie no! To już jest przesada. Ja nie mogę! Co to za pierdolenie? Kurwa! – zaczął wybuchać.

Po polskich rodzicach nie odziedziczył wprawdzie, wrodzonej u każdego Włocha, zdolności do wyrażania uczuć gestami, ale jego irytacja wzrosła tak gwałtownie, że zaczął machać rękoma jak opętany, wykrzykując przy tym blasfemie. Nieznane innym kulturom mieszanie imion Boga, Madonny i świętych z obelżywymi przekleństwami było dowodem na całkowitą utratę kontroli.

– Spokojnie. Spokojnie! Dostyc już! – powtarzał Montanari, próbując opanować nieprzytomnego ze złości podwładnego. Cisza!!! – krzyknął w końcu, waląc w stół. Zabrzęczały podskakujące filiżanki i kieliszki. Głowy zgromadzonych wokół ludzi obróciły się w ich kierunku. Davide zwiotczał. Skulił się w sobie i osiadł głęboko na krześle w milczeniu. Coś, co od dawna nie dawało mu spokoju, pękło w nim i eksplodowało. Bał się tej chwili, bo i on przeczuwał, że Olivia nie była z nim do końca szczerą. Jego najczarniejsze myśli zaczęły przybierać realne kształty. I to znacznie gorsze, niż się spodziewał.

– Davide – naczelny ścisnął go za przedramię. – Nie mówię tego wszystkiego, żeby się nad tobą znęcać. Domyślałem się już od dawna, ale musiałem nabrać pewności. Teraz ją mam. I nigdy nie będzie na to dobrego momentu, ale ty po prostu musisz to wiedzieć i już!

– Jak? – zapytał krótko Davide.

– Co jak? Acha. No cóż... Za pomocą tego kwiatu. A raczej kwiatów. Koniecznie musiało być ich dużo.

Davide patrzył tępo na redaktora.

– Narcyze są roślinami trującymi – zaczął wyjaśniać Montanari. – Zawarty w nich alkaloid o nazwie likorina jest silnie toksyczny. Ta substancja ma w naturze odstraszać roślinożerne zwierzęta. I robi to niestety skutecznie. Tak bardzo, że może spowodować kłopoty. W przypadku ludzi kończy się zazwyczaj na zwykłym bólu głowy albo na mdłościach. Ale już w przypadku osób z problemami oddechowymi ryzyko wzrasta wielokrotnie. A w takiej ilości, jaka znajdowała się w tamtym pokoju... Bonardi cierpiał na astmę i szereg alergii. Mało kto o tym wiedział, ale ja znałem profesora od lat i kiedyś byłem nawet świadkiem jednego z jego ataków duszności. W zasadzie można go było zabić orzeszkami albo krewetkami, ale to byłoby dość proste do wykrycia. A kwiaty, które dostał na urodziny... Toksyna szybko wyparowała z płuc zmarłego, a śledczy nie przywiązali wagi do drażniącego zapachu w pokoju, gdzie go znaleziono.

– Ale może to jednak przypadek? – Davide rozpaczliwie szukał furtki, przez którą mógłby uciec z koszmaru, który materializował się na jego oczach.

– Oczywiście, że brałem i to pod uwagę. Dobrze wiesz, że nie darzę Olivii taką sympatią jak ty, ale nie oskarżałbym jej bezpodstawnie. Za dużo tych dziwnych przypadków. Łącznie z zamkniętymi szczelnie w ciepłą wiosenną noc oknami. Na dodatek stróż wyznał mi, że wchodząc rano do pokoju, gdzie zastał martwego już profesora, natknął się na zrolowany koc, którego używali, żeby zatykać szparę pod drzwiami i zapobiegać w ten sposób przeciągom.

– Skoro go używali... – zaczął Davide.

– Tak, ale zimą – przerwał mu szef. – Nigdy w maju! Ktoś to zrobił celowo, żeby odciąć dopływ świeżego powietrza. I tym kimś mogła być tylko Olivia.

– Ale dlaczego...? Do cholery, dlaczego?! – nie mógł się pogodzić dziennikarz.

– Tego nie wiem... To jest kolejna zagadka. A wszystkie są związane z kobietą, która jest dla każdego z nas, zamieszanych w tę historię, kimś zupełnie innym. I która zapadła się pod ziemię.

Popatrzył na zdruzgotanego chłopaka.

– Chcę, żebyś wiedział, że jest mi naprawdę przykro – spojrzał na niego z nieukrywaną czułością. – Za nic nie chciałbym cię skrzywdzić. Ale myślę, że, choć to wygląda inaczej, to właśnie przed tą krzywdą cię teraz chronię. Mimo wszystko, mogę się jednak w tym wszystkim mylić... Dlatego obiecuję ci, że na razie nikomu tego nie zgłoszę. Niech się najpierw znajdzie ta twoja dziewczyna. Może wtedy znajdą się też odpowiedzi na wszystkie inne pytania? A potem sam będziesz mógł zdecydować, co z tą wiedzą zrobić. Ja rezygnuję z pisania o tej sprawie. I w ogóle rezygnuję. Dla mnie to koniec. Czegokolwiek bym teraz nie zrobił, to albo złamię dziennikarską etykę, albo tobie serce. Nie chcę ani jednego, ani drugiego. Davide! – ścisnął go mocno jego przedramię. – Odchodzę na wcześniejszą emeryturę. Jak dojdiesz do siebie, zacznę przekazywać ci obowiązki naczelnego. Jesteś jedynym kandydatem na to stanowisko. I najlepszym, jakiego mógłbym kiedykolwiek znaleźć.

Chłopak nie odezwał się już ani słowem. Dał się odprowadzić do domu i zapadł się

w łóżko jak mumia wkładana do sarkofagu. Montanari zanim zamknął za sobą drzwi jego mieszkania, położył na szafce w przedpokoju szczotkę, na której wciąż złożyły się włosy Olivii.

Zbiegł na dół i skierował się w stronę winiarni Brindisi. Miał niepohamowaną chęć, aby się upić. Gdy poprzednim razem zabierał szczotkę z domu Davide, miał tylko wyrzuty sumienia. Teraz czuł się jak ostatnia szmata.

Baszta

Na widok podjeżdżającego samochodu Giacomo zdusił peta w donicy stojącej obok wejścia do komendy. Nie ulegał łatwo emocjom, ale napięcie mięśni, jakie odczuwał, było dobitnym dowodem na to, jak bardzo czekał na tę chwilę. Myślał tylko o tym, żeby znów wejść do czynnej akcji. Kierowała nim nie tyle chęć zrehabilitowania się w oczach kolegów, co raczej niewypowiedziane na głos marzenie, żeby dopaść drani i obić porządnie kilka mord. Wyjął telefon i przyłożył do ucha.

– Di, są już chłopaki z RIS. Zbieraj ekipę i schodźcie.

Podszedł do auta, z którego zaczęli się już gramolić dwaj mężczyźni w mundurach z naszywkami jednostki technicznej.

– Czolem, panowie, na kawę zapraszam potem, a teraz się nam spieszy, mamy sporo do zrobienia – bezceremonialnie zablokował drogę kierowcy, który spojrzał na niego zrezygnowany i z miną męczennika wsunął się z powrotem do kabiny. Giacomo obszedł samochód i wgramolił się na tylne siedzenie pozostawiając otwarte drzwi. Do prawdziwie upalnych letnich temperatur było jeszcze daleko, ale słońce przechodziło powoli z trybu miłego wiosennego ciepła do letniej funkcji bezlitosnego grzania bez umiaru. We wnętrzu samochodu unosiła się mieszanka zapachów o spektrum obejmującym woń potu, papierosów, samochodowego pachnidła i męskich perfum.

– Dobra, to mówcie, co macie – zagał Giacomo.

Siedzący na miejscu pasażera spec od teleinformatyki nawet nie otworzył oczu. Opierając głowę na zagłówku, odpowiedział sennym głosem:

– Sygnał mamy. Ale słaby. Może ich namierzemy, może nie, ale możemy spróbować.

Giacomo skierował pytające spojrzenie na kierowcę, który okazał się nieco bardziej rozmowny.

– Urządzenie w medalionie miało w środku zwyczajną kartę SIM, taką, jaka jest w każdym smartfonie – powiedział. – Przy współpracy operatora i po skorzystaniu z *backdoora* w *firmware*'rze, odkryliśmy numer IMEI urządzenia, które automatycznie kontaktuje się, a w zasadzie dzwoni co kilkanaście minut na tę kartę SIM, pobierając z medalionu współrzędne pozycji. Szkopuł w tym, że urządzenie, które dzwoni do medalika, nie posiada odbiornika sygnału satelitarnego. Ludzie, którzy użyli tego systemu, zadbali o to, żeby nie dało się ich łatwo namierzyć. Korzystają ze starego typu telefonu albo zablokowali sygnał GPS. Albo w ogóle nie korzystają z normalnego telefonu, tylko mają specjalny sprzęt przeznaczony do tej operacji. Ale numer IMEI

daje nam szansę. I to znacznie większą, niż gdyby komunikowali się przez internet. Musimy tylko wykorzystać starą dobrą metodę triangulacji – wskazał na niewielką antenę stojącą na panelu pod przednią szybą. Antena przypominała parabolę satelitarną, ale miała bardziej prostokątny kształt i była wykonana z metalowej siatki. Wychodzące z niej kable były podpięte do migającej ledami skrzynki wmontowanej w miejscu, gdzie zazwyczaj znajduje się samochodowe radio.

– No. I bardzo fajnie. – Giacomo nie wyglądał na przekonanego. – A teraz można jaśniej? – zapytał.

– To jest nowocześniejsza wersja systemu, który działał już w czasie drugiej wojny światowej i był używany przez Niemców do wykrywania radiostacji ruchu oporu na okupowanych terenach – wtrącił się drugi specjalista, wciąż nie otwierając oczu i nie unosząc głowy z oparcia fotela. – Wtedy potrzebowano aż trzech wozów do radiolokacji ustawionych wobec siebie tak, by tworzyły trójkąt. Każdy z nich odbierał śledzony sygnał, kreślono na mapie linie wychodzące z trzech wozów w stronę źródła sygnału i tam, gdzie linie się przecinały, szukano radiostacji.

– Dokładnie! – przerwał mu z entuzjazmem kierowca. – A dziś mamy ułatwione zadanie, bo w mieście i poza nim jest coraz więcej anten przekaźnikowych telefonii komórkowej, internetu i tak dalej. Nasze mobilne urządzenie kontaktuje się z trzema najbliższymi antenami, pobiera od nich ślady sygnału, jaki wysyła urządzenie nadawcze, którego szukamy, a oprogramowanie analizuje dane i nanosi na mapę satelitarną punkt przecięcia się linii pochodzenia sygnału oznaczający dokładną lokalizację nadajnika.

Giacomo dalej nie do końca rozumiał, ale nie zdążył zadać kolejnego pytania, bo z budynku komendy wybiegła Diana i trzech uzbrojonych po zęby karabinierów z grupy szturmowej. Rozległ się krótki dźwięk alarmu i w stojącym nieopodal nieoznakowanym czarnym jeepie zamrugały światła pozycyjne. Dziewczyna poprawiając jedną ręką rynecznik składający się z kamizelki kuloodpornej, kajdanek, broni przybocznej i krótkofalówki spojrzała w stronę Giacomo, a drugą dłonią zakręciła w powietrzu młynek.

– Dobra, panowie! – Giacomo wciągnął nogi do kabiny i zatrzasnął z impetem drzwi. – Się jedzie! Załączcie to radyjko i zaczynamy. My prowadzimy, ekipa jedzie za nami. W drogę!

Pasażer wreszcie wykazał oznaki aktywności. Poprawił się na fotelu, założył okulary słoneczne i pstryknął kilka przełączników w urządzeniu przypiętym do anteny.

– Mamy szczęście, urządzenie nadawcze właśnie wykonało połączenie, więc mamy pierwszy namiar.

Auta ruszyły w ślad za sygnałem.

Poruszając się odcinkami i przystając w oczekiwaniu na następne połączenie i poprawkę współrzędnych, samochody przedzierając się przez gęstniejący ruch miejski, nieuchronnie zbliżały się do lokalizacji, którą Diana i Giacomo już wcześniej uznali za najbardziej prawdopodobną: do Bramy Morskiej i stojącej obok baszty

Torrione, gdzie ostatni raz widziano Olivię. Niestety, gdy tylko rozległy plac dawnej bramy będący obecnie dużym skrzyżowaniem pojawił się w zasięgu wzroku, technik obrócił się w stronę Giacomo i zdejmując ciemne ray-bany, oznajmił:

– Przykro mi, ale to jest wszystko, co możemy zrobić.

Giacomo spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Jak to wszystko? A adres?

– Jaki adres? – zdumiał się technik. – Neeee, to tak nie działa! – uśmiechnął się z przekąsem jak nauczyciel do tępego ucznia. – Ten sprzęt nie podaje adresu, tylko przybliży nas najbardziej jak tylko można do źródła sygnału. A my mamy pecha, bo ten sygnał robi się słaby. Mogę ewentualnie zadzwonić do operatora i zapytać się, czy akurat nie robią jakichś remontów na pobliskich masztach antenowych, no ale i tak nam to nic nie da. Przykro mi, ale dziś bliżej do tego sygnału nie podejmiemy – wsunął okulary z powrotem na nos i oparł się znów na zagłówek, uznając sprawę za zakończoną.

– *Cazzo* – podsumował krótko Giacomo i wysiadł z auta. Podszedł do jeepa i przez otwarte okienko wytłumaczył sytuację dowodzącej akcją Dianie. Zapadła konsternacja. Każde z nich kierowało się innymi motywacjami, ale ani Diana, ani Giacomo nie byli skłonni rezygnować. Postanowili zaufać intuicji. Dziewczyna odesłała samochód z technikami. Zaparkowali jeepa pod Torrione. Aby nie wzbudzać sensacji wśród licznych o tej porze przechodniów i spacerowiczów, grupa szturmowa pozostała w samochodzie w pełnej gotowości do interwencji. Diana zdjęła kamizelkę kuloodporną, odpięła pas z kaburą i przełożyła pistolet za pasek od spodni. Z odznaką na wierzchu i komunikatorem w ręku skierowała się w stronę baszty. Giacomo korzystając z tego, że zasłaniał go wielki jeep, dyskretnie przeładował broń, przykrył ją T-shirtem, po czym odwrócił się i pobiegł za Dianą.

– Wiesz, co tam się wyprawia w nocy, no nie? – zapytał ją, gdy wspinali się po metalowych schodkach w stronę wejścia.

– Koncerty jazzowe – odparła bez namysłu dziewczyna.

– Tja, koncerty! – prychnął Giacomo. – Dupczyć się tu przychodzą! To znaczy spotykać się, a gdzie to robią, to ja już nie wiem.

– Co ty opowiadasz? – Diana aż przystanąła ze zdziwienia. – Byłam tu. I to kilka razy. Nikt się tu nie dupczył, bzdury gadasz. Głodnemu chleb na myśli – dodała nieco złośliwie.

– Nie gadam bzdur, mnie by się moi kapusie bali okłamać – odburknął jej partner obrażonym głosem.

Trafiła w czuły punkt. Poza akcją nie było na świecie rzeczy, której brakowało mu bardziej niż seksu z Dianą.

– Miałem cynki z różnych stron, że bogaci znudzeni prawnicy, biznesmeni i tak dalej, przychodzili tu na eleganckie koncerty, żeby wyszukiwać ładne, młode i chętne panienki. No i znajdowali. Niektóre łąsiły się na kasę, inne podniecało oddawanie się dobrze ustawionym staruchom. Ponoć w drugą stronę też to działało. Zamknąłem

kiedys takiego małego *gigolo*, który zarabiał jako *toy-boy* na mieście. Mówił, że słyszał, że właściciel tego lokalu pomagał w nawiązaniu kontaktu między zainteresowanymi stronami. Ale ostatecznych dowodów nie miałem. Wyglądało to na dobrowolne schadzki, a nie na stręczycielstwo, więc szef odpuścił tę sprawę. Ale powiem ci... i jest mi na serio przykro z powodu twojego Dawidka, ale ta cała Olivia idealnie by pasowała na taką, co szuka bogatego *sugar daddy*.

Diana spojrzała na niego z odrazą.

– Wiesz co? Znajdźmy ją najpierw, dobra? Najlepiej żywą. A potem się będziemy martwić, czy ona się puszcza za pieniądze, czy za darmo, okej?

Mówiąc to, nacisnęła klamkę. Drzwi były zamknięte, co nie było niczym dziwnym, gdyż lokal powinien być jeszcze nieczynny. Jednak ku ich zdziwieniu po chwili usłyszeli sygnał ekлекtycznego zamka i w półotwartych drzwiach ukazała się głowa należąca do młodego chłopaka.

– A! A wy nie z dostawą? – zdziwił się.

– Nie, my z wizytą – Giacomo przystawił mu do oczu odznakę. – Karabinierzy, wydział kryminalny – z łatwością odsunął przestraszonego chłopaka i wepchał się do przedsionka. Diana wsunęła się za nim.

– No, ładnie tutaj – rozejrzał się po pustym wnętrzu. Pomieszczenie o nieotynkowanych ceglanych ścianach miało kształt rotundy. Największy efekt wywoływała stojąca pośrodku okazała kolumna, od której promienieście rozchodziły się po suficie drewniane belki podtrzymujące dach. Konstrukcja ta przypominała wielki, piękny i kunsztownie wykonany drewniany parasol. Wokół całej okrągłej sali rozciągało się dodatkowe otwarte piętro tworzące rodzaj balkonu, z którego widzowie mieli idealny widok na scenę znajdującą się poniżej. Z głównego poziomu można także było zejść w dół stromymi i wąskimi schodkami do sali restauracyjnej, zaplecza i toalet.

Na Dianie widok wnętrza baszty nie robił już tak wielkiego wrażenia. Bywała tu na koncertach z poprzednim chłopakiem, co skrętnie pominęła, gdy wspominała o tym Giacomo. Ostatnim razem przyszła tu służbowo tuż po zaginięciu Olivii, jednak było tu wtedy mnóstwo gości i właściciel nie miał dla niej czasu. Oświadczył jednak, że nie znał zaginionej i nigdy jej nie widział. Nie było podstaw do przeszukania lokalu.

– No i co się tu wyprawia, co?! – Giacomo czuł, że może łatwo zdominować chłopaka, który najwyraźniej był tu sam, a to stawiało go w słabej pozycji i zwiększało możliwość wyciągnięcia od niego informacji.

– Ale co, proszę pana? – chłopak rzeczywiście wydawał się całkowicie zdezorientowany.

– Jajco! – odparł Giacomo napierając na niego ciałem i zmuszając do postąpienia kroku w tył. – Nazwisko? – szczerką.

– Minigozzi. Stefano. Ja nic nie zrobiłem, proszę pana, naprawdę. To musi być jakaś pomyłka! – chłopak zaczął nerwowo szukać dokumentów, mimo że wcale nie został o nie poproszony.

– To się okaże – parł dalej Giacomo. – Jest tu ktoś jeszcze? Gdzie właściciel?

– Na razie sam jeszcze jestem. A tata jest w Bolonii, załatwia towar, bo się spóźniają z dostawą, a dziś mamy koncert i będą ważni goście.

– Acha, znam ja tych gości. Orgietka się szykuje, co?

Nawet Giacomo poczuł, że przesadził. Diana spojrzała na niego z wyrzutem. Szybko zmienił temat. Wyjął zdjęcie Olivii i podsunął Stefano pod nos.

– Ona też przyjdzie? Jako gość czy jako obsługa tych gości?

Syn właściciela zbaraniał.

– Ja nie wiem, o co pan... o czym pan mówi, naprawdę, przysięgam. Ta tutaj to już ze dwa lata tu nie pracuje. Serio, dawno już jej nie widziałem. Jak jej tam było? Nawet już nie pamiętam, ja wtedy dopiero zaczynałem tu pomagać. Zaraz... Livia, nie, Olivia chyba.

– Czekaj – teraz Giacomo wydawał się zaskoczony. – To ona tu pracowała? Kelnereczka, lux panienka do towarzystwa, co?

– Niiieee, ale skąd, no co pan! – młody Mingozi aż się ucieszył się, że w końcu może okazać się pomocny. – Ona tu pracowała przy renowacji. Ona i kilku innych takich młodych. Zatrudniał ich uniwersytet. Wydział sztuki i archeologii. Długo tu dłubali. Ponad rok. Strasznie nam przeszkadzali w pracy. Nasłała nam tu urzędników, kazali różne rzeczy pozmieniać, a potem ci z archeologii robili jakieś wykopki w piwnicach. Ojciec zabronił nam tam wchodzić. A my tam mieliśmy wcześniej taki wygodny magazyn...

Giacomo strzelił oczami w stronę Diany. Zrozumieli się bez słów. Diana podniosła krótkofalówkę do ust.

– Mirco, wychodźcie, ale nie na ostro. Nie róbcie cyrku i bez długiej broni. Chcę tylko, żebyście zabezpieczyli mi wejście. Nikt tu nie może wejść ani wyjść bez mojej wiedzy. I zadzwoń do centrali, niech przyślą wszystkich wolnych z dyżuru do pomocy w przeszukiwaniu budynku. Ja zawiadomię kogoś z RIS, ale to dopiero, jak coś znajdziemy. Krótkofalówka zaszczekała w odpowiedzi – „Zrozumiałem, obstawiamy wejście”.

Syn właściciela stał, jak skamieniały.

– Ale jak to, proszę pani, ale tak bez nakazu? My mamy koncert przecież – zaczął prawie płakać.

– Chłopcze, zaginęła osoba, mamy poważne przesłanki, że znajduje się w tym budynku, działamy w stanie wyższej konieczności. Nakaz nie jest potrzebny. Ale zadzwoń do taty. Chętnie sobie z nim pogadam i zapytam go jeszcze raz, czy zna tę dziewczynę – włączył jej się tryb bezlitosnego gliny.

Nie musieli się zastanawiać, od czego zacząć. Od razu pobiegli do piwnicy.

Po upływie sześciu godzin wewnątrz Torrione było najbardziej nieprzygotowaną do koncertu salą na świecie.

Wśród dodatkowo rozstawionych na stojakach halogenowych świateł przebiegali w tę i z powrotem karabinierzy w cywilu i w mundurach. Szukali śladów krwi i zabronionych substancji, robili zdjęcia, wynosili komputery i dokumenty. Najważniejsza część rewizji odbywała się jednak w lochach, poniżej sali restauracyjnej.

Właściciel, a właściwie dzierżawca lokalu, Nicoló Mingozzi stał z miną zbitego psa naprzeciw drzwi, które właśnie otwierali palnikiem dwaj karabinierzy w kombinezonach. Drzwi były ukryte za przepierzeniem z karton gipsu, które rozsuwało się za pomocą elektrycznego mechanizmu uruchamianego ukrytym w ścianie guzikiem.

– Niech państwo tego nie robią, błagam – wycharczał łkającym głosem. – Jak syn się dowie... jak ja mu spojrzę w oczy!

– Trzeba było wcześniej myśleć – odpowiedziała zimno Diana. – Byłam tu, pytałam. Miałeś jeszcze szansę. Teraz się módl, żeby ona jeszcze żyła.

– To nie tak! – Mingozzi chciał się wytłumaczyć, ale uwaga wszystkich przeniosła się na drzwi, które wreszcie puściły. Giacomo sięgnął odruchowo do broni. Jeden z karabinierów kopnął mocno drzwi, które odskoczyły do wewnątrz. Zaświeciły latarki. Gdy opadł kurz, oczom zebranych ukazała się mała komnata. Pośrodku, wypełniając niemal całą wolną przestrzeń, stało wielkie łóżko, a naprzeciw niego wyłączona kamera na trójnogu. Z metalowej kratownicy łoża zwisały skórzane paski zakończone obręczami spełniającymi zapewne funkcję kajdanek. W pomieszczeniu nikogo nie było. Giacomo nie wytrzymał. Podbiegł do właściciela i przyparł go do ściany tak mocno, że tynk posypał się cienką stróżką ze średniowiecznego sklepienia.

– Gdzie ona jest, *figlio di puttana*?! – wrzasnął, czerwieniejąc na twarzy jak flaga Chin w promieniach zachodzącego słońca. Potrząsnął Mingozzim z siłą stutonowego dźwigu. Jeszcze jedno tak mocne szarpnięcie i głowa właściciela niechybnie rozbiłaby się o ścianę. Diana przypomniała sobie słowa szefa sprzed akcji. Nie potrzebowali następnego trupa. Potrzebowali kogoś, kto wreszcie zacznie mówić.

– Zostaw go! – doskoczyła do Giacomo – Już! To rozkaz!

Nogi ledwo przytomnego właściciela przestały majtać w powietrzu. Giacomo odstawił go na ziemię jak zepsutą kukielkę. Mingozzi potarzał w amoku bladymi ustami:

– Ja nie wiem, ja nie wiem, nie wiem, nic nie wiem.

– Dość cyrku. Pakujcie go na dołek. Włos mu z głowy ma nie spaść! – Diana wydawała rozkazy.

Jeden z umundurowanych karabinierów chwycił mocno aresztowanego, który chwiejnym krokiem zaczął wspinać się schodkami w stronę wyjścia.

– Chcę mieć jak najszybciej zapis z tej kamery. I wszystkie komputery dokładnie przeszukane. Ten zwyrol na pewno gdzieś zapisywał filmiki, które tu kręcił – rzuciła w stronę ludzi w kombinezonach, którzy już zaczęli demontować kamerę.

Na zewnątrz było już ciemno. Przed wieżą stała grupka rozczarowanych gości, do których właśnie docierała wiadomość o odwołaniu koncertu.

Karabinierzy kończyli pakowanie zarekwirowanego sprzętu. Diana oparła się o policyjny samochód. Głowa pulsowała jej rozpoczynającą się migreną. Czuła zmęczenie i gorycz. Nie mogła sobie darować, że uwierzyła właścicielowi za pierwszym razem, kiedy przyszła go wypytować. Gdyby tylko postarała się wtedy o nakaz rewizji, na pewno znaleziono by Olivię. Może wciąż żywą. Podszedł do niej Giacomo. Chciał ją przytulić, ale czuł się niezręcznie.

– Daj fajkę – rzuciła w jego kierunku.

Spojrzał na nią zdziwiony, ale posłusznie podsunął jej papierosa. Zaciągnęła się głęboko, jakby to był czysty tlen. Poczuła, jak miękną jej nogi. Odrzuciła papierosa i zsunęła się plecami po karoserii samochodu. Porucznik przykucnął obok niej. Delikatnie objął ją ramieniem. Nie zaprotestowała. Otworzył jej drzwiczki do jeepa, a gdy wgramoliła się do środka i oparła ciężką głowę o szybę, przykrył ją swoją kurtką.

Chwilę później jechali pędem na komendę. Zanim tam dotarli, usłyszeli w policyjnym radio głos centralisty.

– Do wszystkich jednostek. Włamanie do kaplicy Estensi w zakonie Corpus Domini. Na miejscu jest już firma ochroniarska oraz został wezwany ambulans do poszkodowanej. Jest tam też jakiś świadek, ale nie naoczny, bo pojawił się tam dopiero po zdarzeniu. Kto tam może podjechać? Proszę o zgłoszenie!

Diana nie miała już siły, ale poczucie obowiązku było silniejsze.

– Jesteśmy najbliżej – powiedziała cicho do Giacomo. Temu ostatniemu wciąż było mało adrenaliny.

– Mirco, zawijaj rogala, wstąpimy po drodze do siostrzyczek.

Kaplica Estensi

– Anno! Słyszysz mnie?! Anno! Wszystko będzie dobrze!

Enrico Montanari klęczał na marmurowej posadzce pośrodku gęstej czerwonej kałuży. Zasychająca krew posklejała czarne, lekko siwiejące włosy na czole kobiety, którą podtrzymywał unosząc delikatnie jej głowę nad zimną podłogą. Także czarno-biały zakonny habit, w który ubrana była kobieta, był upstrzony ciemnoczerwonymi plamami. Stojący obok dwaj mężczyźni w mundurach prywatnej firmy ochroniarskiej, którzy jako pierwsi przybyli na miejsce, już wcześniej próbowali opatrzeć jej ranę, ale krwawienie było tak silne, że przeżycie kobiety zależało wyłącznie od szybkiego pojawienia się profesjonalnej pomocy medycznej. Zakonnica nagle się ocknęła. Spojrzała pięknymi brązowymi oczami na starego redaktora i jej twarz rozpoznała się, jakby zobaczyła anioła.

– Mój słodki chłopcze – powiedziała.

Dziennikarz nie zdążył odpowiedzieć, gdyż w przedsionku rozległy się podniesione głosy i do kaplicy, w której się znajdowali, wbiegła młoda dziewczyna w jaskrawym kombinezonie ratownika medycznego. Podczas, gdy jej dwaj koledzy próbowali zmieścić się w wąskim wejściu z noszami na kółkach, klęczała już obok rannej i dokonywała oględzin. Zakonnica jęknęła cicho. Spojrzała jeszcze raz na redaktora i powoli zamknęła powieki.

– Dobra robota, ale mogą już panowie odejść, proszę zrobić nam miejsce, będziemy przygotowywać ranną do przewozu – zwróciła się do mężczyzn.

Montanari zaczął się niechętnie podnosić z klęczek. Po chwili ratownicy unieruchomili kobietę na noszach, które podnieśli na rozkładanym wózku i zaczęli go pchać w stronę drzwi. Dziennikarz ruszył za sanitariuszami.

– Zaraz, chwila! Proszę poczekać, zaraz będą tu karabinierzy, trzeba złożyć zeznania! – krzyknął za nim jeden z ochroniarzy. Naczelny nawet się nie odwrócił.

– Niech pan chociaż powie, dlaczego kazała po pana dzwonić? Jest pan krewnym? – zawołał drugi mężczyzna, ale sylwetka dziennikarza zniknęła już za drzwiami.

Na via Pergolato zebrał się spory tłumek gapiów zaalarmowanych przyjazdem karetki i hałasami, które były rzadkością na spokojnej uliczce, przy której znajdował się klasztor klarysek Corpus Domini. Klasztor szczycił się sześćsetletnią historią i znaczącym wkładem w historię Kościoła. Tam właśnie rozpoczęła nowicjat i dokonywała cudów jedna z ważniejszych włoskich świętych, Katarzyna de Vigri.

Jako jeden z ważniejszych punktów na mapie zabytków klasztor był jednocześnie jednym z najbardziej odizolowanych i niedostępnych miejsc w mieście. Nic więc dziwnego, że samochód karabinierów zmylił drogę i zatrzymał się przy zamkniętym na głucho kościele w bocznej uliczce przylegającej do klasztoru. Giacomo, który wysiadł z wozu jako pierwszy, odnalazł w końcu właściwe wejście w skromnej ceglanej kamieniczce za rogiem tylko dzięki pomocy zebranych na ulicy ludzi. Diana odesłała zmęczonych karabinierów z grupy szturmowej, którzy odjechali jeepem w stronę komendy i podążając za Giacomo przepchnęła się przez tłumek ciekawskich, po czym weszła przez uchylone drzwi do przedsionka. Było ciemno, więc ledwo dojrzeli drobną sylwetkę sędziwej siostry czekającej na nich w korytarzu.

– Dobry wieczór, siostrzo. Karabinierzy z komendy głównej w Ferrarze, mieliśmy tu wezwanie! – powiedziała Diana starając się, aby jej głos zabrzmiał łagodnie, a jednocześnie wystarczająco głośno, by stara zakonnica usłyszała jej słowa.

– Nie trzeba krzyczeć! – fuknęła zakonnica. – Niech się zachowują cicho, tu jest dom Pana – upomniała ich skrzeczącym głosem.

Rzeczywiście, choć nie widzieli dobrze w półmroku, po przekroczeniu progu poczuli, że znajdują się w niezwykłym miejscu, jak gdyby weszli w przestrzeń znajdującą się w innym wymiarze. Zrobiło się całkowicie cicho. Powietrze pachniało kadzidłem i woskowanym drewnem. Ich kroki rozbrzmiewały echem, gdy furtianka prowadziła ich do właściwego pomieszczenia. Kiedy przeszli przez duże drzwi, przez jakiś czas musieli przyzwyczajać oczy do silnego oświetlenia. Choć w głębi było widać skromy ołtarz, sala nie wyglądała na kaplicę, a raczej na pokój zebrań. Jej prawdziwe przeznaczenie zdradzały wąskie, rzeźbione krzesła przypominające trony i ustawione jeden przy drugim wzdłuż obu ścian pomieszczenia. Diana widziała już coś podobnego w kilku kościołach, które zwiedziła.

Obróciła się do siostry, którą dopiero teraz zobaczyła w pełnym świetle. Zakonnica o dziwo nie była ani trochę stara, choć rzeczywiście bardzo drobna. Obrzucała ich właśnie nieufnym spojrzeniem.

– To pomieszczenie, czy to jest...? – Diana nie zdążyła dokończyć pytania.

– Sala chóru – przerwała jej bezceremonialnie siostra zakonna. – A to nie jest wizyta z przewodnikiem. Tu się stała straszna tragedia, a wy dopiero teraz przyjeżdżacie. Musicie ich złapać! Szybko!

Podreptała drobnym, ale zdecydowanym krokiem w stronę ołtarza. Stali tam ciągle dwaj ochroniarze, którzy przestępowali nerwowo z nogi na nogę. Widać było, że chcieliby już przekazać sprawę policji i pójść w końcu do domu.

Diana i Giacomo podeszli bliżej. Spojrzeli na częściowo zaschniętą plamę krwi na posadzce. Obok niej znajdowały się rzędy marmurowych tablic wmurowanych w podłogę.

Jedna z tablic, umieszczona najbliżej ołtarza, była wyraźnie uszkodzona i częściowo zapadła się do w głąb do znajdującej się poniżej poziomu podłogi krypty.

– No to co się tu w końcu stało? I gdzie ten świadek? – Giacomo zwrócił się do ochroniarzy.

– Bandyci napadli na siostrę Annę w Domu Bożym i zbezczeszili miejsce wiecznego spoczynku księżnej! To się stało! – krzyknęła zakonnica nie pozwalając dojść ochroniarzom do głosu. Jej chudy palec wskazywał oskarżycielsko dziurę w podłodze.

– Księżnej... Tak, rozumiem, proszę pani... siostry – poprawił się Giacomo. – Ale pozwoli siostra, że porozmawiamy z tymi panami najpierw.

– A proszę, rozmawiajcie. Tylko bandytów złapcie! Jak można święte miejsce tak zbezczeszcić! I gdzie była wtedy policja?! – Zakonnica zacisnęła usta i przyjęła urażoną pozę.

Diana postanowiła przejąć inicjatywę.

– Panowie – zwróciła się ponownie do mężczyzn. – Krótko i rzeczowo, jak to było?

– No więc – zaczął jeden z nich – po godzinie dwudziestej dostaliśmy telefon, zgłoszenie od tu obecnej siostry Floriany, że jest włamanie i że jest jedna siostra ranna i po dziesięciu minutach już tu byliśmy. Wezwaliśmy ambulans i zawiadomiliśmy policję.

– To siostra wezwała firmę ochroniarską? Dlaczego nie policję od razu albo karabinierów? – zdziwiła się Diana.

– A bo wy to tak szybko przyjeżdżacie przecież! – odburknęła siostra Floriana.

– Nie no, proszę zrozumieć – drugi z mężczyzn chciał najwyraźniej wziąć w obronę siostrę Florianę – ta sala i kościół są pod opieką urzędu miasta. My mamy z miastem kontrakt na ochronę, a siostry mają nasz numer u siebie i jak coś się dzieje, to mają powiedziane, żeby do nas dzwonić. No i tak faktycznie zrobiły.

– Okej, rozumiem, – skinęła pojednawczo głową Diana – ale to siostra była pierwsza na miejscu, tak? Widziała siostra kogoś?

– Nikogo, poza biedną siostrą Anną. Leżała na podłodze, o tam! Jęczała strasznie, a krew z niej tryskała jak z ran Pana Jezusa! – przeżegnała się. – Ona jest naszą męczenniczką, chciała bronić tych grobów własną pierśią i, proszę, co ją spotkało! Bezbożnicy już nawet zmarłych nie uszanują!

– Ale mówiła coś? Wskazała sprawców? – dopytywała Diana.

– A gdzie ona mówiła. Była ledwo przytomna. Dopiero jak przyszedł ten jej redaktorek, to coś tam zaczęła mówić, ale zaraz potem ją zawieźli do szpitala.

– Jaki znów redaktorek? – zdziwił się Giacomo. – To tu ktoś jeszcze był? Media też siostra wezwała?

– Jakie media? Gdzie media? – obruszyła się furtianka. – To ten stary redaktor z „Giornale Pomeridiano”, on tak dobrze o nas pisze. Siostra przełożona pozwala mu tutaj czasami przychodzić. A ona mało komu pozwala. Zresztą według reguły nie wolno – dodała oskarżająco.

– Montanari? – Diana spojrzała zdziwiona na Giacomo. – Czego on tu szukał? Pewnie sensacji?

– Nie, chyba nie – wtrącił się ochroniarz. – Ta siostra, która została ranna, jak się ocknęła na chwilę, to bardzo nas prosiła, żebyśmy po tego pana zadzwonili. Ona

znała jego numer telefonu na pamięć. I powiedziała, że on tu na pewno przyjdzie. No i przyszedł, bardzo szybko przyszedł.

– I gdzie on teraz jest? – spytał Giacomo.

– No, pojechał z ranną do szpitala.

– A jeszcze nawet do grobu nie patrzyliście! A przecież tam mogli wszystko zniszczyć bandyci jedni! – siostra Floriana najwyraźniej czuła się ignorowana.

– Jak proszę siostry? – uśmiechnął się półgębkiem Giacomo stojąc nad uszkodzoną płytą. – Przecież tu nikt nie da rady wejść.

Rzeczywiście, płyta nagrobna, uderzona jakimś ciężkim narzędziem, być może tym samym, którym zadano cios siostrze Annie, była tylko częściowo zniszczona. Marmurowy nagrobek złamał się w jednym z rogów i część, która wpadła w dół do krypty, odkryła wąski otwór. Jego rozmiary były jednak zbyt małe, aby jakikolwiek dorosły człowiek, mógł się przez niego przecisnąć.

– Ja bym dała radę! – oznajmiła triumfującym głosem Floriana.

Diana odrzuciła nagłą i niechcianą wizję, która pojawiła się w jej głowie i w której wrzucała opryskliwą siostrę w dół przez dziurę. – Mój kolega ma rację. Tam nikt nie zdążył wejść. Poszkodowana najwyraźniej usłyszała hałas, weszła do sali i nakryła włamywacza, który się wystraszył i niestety napadł na nią, zanim uciekł – oznajmiła.

– Ja tam nie wiem, jak było. Ale to jest wasz święty obowiązek. Musicie sprawdzić kryptę! I to już! – syknęła siostra Floriana, znów wymachując kostycznym palcem.

Diana spojrzała zrezygnowana na Giacomo. Ten sięgnął do paska i odpiął z niego latarkę. Ukłękął nad krawędzią płyty. Diana chciała podejść z drugiej strony, ale siostra Floriana, niemal ją odpychając, zajęła jej miejsce. Pochyliła się nad otworem i wysuwając z ciekawości język, starała się coś dojrzeć w silnym świetle latarki. Zapanowało milczenie. Promień światła wpuszczony do krypty, do której nie zaglądano od kilkuset lat, omiatał powoli wnętrze pokryte kurzem i pajęczynami. Trudno było tam cokolwiek dostrzec. Dopiero po dłuższej chwili Giacomo zrozumiał, że podłużny, przypominający skrzynię przedmiot, który wyłaniał się z ciemności, prawdopodobnie był drewnianą trumną. Był, ponieważ ząb czasu był bezlitosny i trumna już dawno rozpadła się ze starości. W tumultie stworzonym przez kurz i zdeformowaną zniszczoną skrzynię trudno było wyłoić jakikolwiek rozpoznawalny kształt. Tylko w jednym momencie Giacomo wydawało się, że w świetle latarki zabłyśły na chwile złote nitki włosów lub jakiegoś rozpadającego się materiału.

– Tylko tyle zostało z naszej księżnej... – westchnęła Floriana płaczliwym głosem.

– Ale jakiej w końcu księżnej? – wyrwało się Dianie.

Siostra Floriana, odwróciła wzrok od czeluści i obrzuciła dziewczynę spojrzeniem, w którym zawarła całą pogardę, jaką odczuwała do ignorancji świeckiego świata wiodącego swój marny żywot po drugiej stronie klasztornych murów.

– Jak to: jakiej? – burknęła, wskazując brodą zniszczony nagrobek.

Diana przyjrzała się lepiej napisom na płycie. U góry widniał nieznany jej lekko

zatarty herb szlachecki. Spośród łacińskich słów umieszczonych poniżej wyłowiła nazwę rodu Estensi. Dolny róg tablicy był odłamany, ale na krawędzi otworu udało jej się dojrzeć pierwsze litery nazwiska. „Lucretie Borg...”.

Giacomo wstał z kolan i odwrócił się do Diany. Spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Po raz kolejny w ciągu kilkunastu ostatnich dni usłyszeli to samo nazwisko. I z pewnością nie mógł to być przypadek.

Pomyłka

Czwartek od wczesnego poranka zapowiadał się wyjątkowo upalnie. Davide rzucił z siebie skołtunione prześcieradło i nago pomaszerował do łazienki, rozsuwając po drodze okiennice i otwierając na oścież okno. Słońce i gwar ulicy wdarły się do pokoju. Głosy witających się i rozmawiających ludzi przeplatały się z dochodzącym z oddali metalicznym szczękiem żaluzji podnoszonych przez sklepikarzy. Ktoś nic sobie nie robiąc z piekielnego łoskotu, jaki powodowało tłukące się szkło, wyrzucił do kosza butelki pozostawione w nocy przez niesforną młodzież. Co jakiś czas cały ten harmider zagłuszał dźwięk przejeżdżającej pod oknem niewielkiej ciężarówki dostawczej Ape. W oddali rozdzwoniły się kościelne dzwony. Centrum miasta zdecydowanie nie było miejscem dla tych, którzy lubili długo spać.

Jak co rano Davide wyciągnął maszynkę do golenia i zaczął pieczołowicie odbudowywać swój pomięty wizerunek. Przypomniawszy sobie, że w ciągu tych niewielu poranków, jakie spędzili razem, Olivia zdążyła nawet nadać nazwę jego porannemu rytuałowi. „Oho, Dawidek dwa zero w toku!”, przywołał z pamięci jej szczebiotliwy głos. Wróciło do niego wspomnienie, w którym wypychała go nagim biodrem sprzed lustra i zabierała się do czesania swoich długich złotych włosów. Jego wzrok padł na puste miejsce na półeczce pod lustrem. Zastygł. Odłożył maszynkę i zaczął się rozglądać wokół. Zajrzał na pralkę, do szafki za lustrem, a nawet do kosza na bieliznę. Wyszedł szybkim krokiem z łazienki. Zlustrował stół, a potem wszystkie półki i szafki w malutkim salonie. Już prawie biegł do sypialni, gdy na szafce na buty stojącej przy drzwiach wejściowych wypatrzył to, czego szukał. Westchnął, szybkim ruchem zgarnął szczotkę Olivii i wrócił z nią do łazienki. Chciał ją odłożyć na miejsce, gdy naszły go mdłości. Nie od razu rozpoznał, czym była nadchodząca fala emocji. Dopiero, gdy poczuł, jak zaciska mu się gardło i zaczynają go piec oczy, poddał się, zjechał na kolana i ściskając kurczowo szczotkę, pozwolił, by spod zaciśniętych powiek popłynęły mu łzy. Miał dość. Dość tego zaczynającego się dnia bez Olivii. Dość myślenia o dniu, w którym powróci, a on będzie musiał ją zapytać, czy zabiła profesora. Był w potrzasku. Tak bardzo jej pragnął i tak mocno bał się momentu, kiedy to pragnienie się spełni. Jediną pewnością było to przerażające uczucie braku, które pożerało go od środka. Nie mógł wiedzieć, że ten dzień zabierze mu jeszcze więcej.

Puk. Puk. Stukanie palcami po blacie. Diana nienawidziła nerwowego tikującego szefa. Dźwięk paznokci uderzających rytmicznie w blat biurka sprawiał, że zaczynały

ją boleć zęby. Poziom jej stresu wzrósł, kiedy uzmysłowiła sobie, że siedziała na tym samym krześle, na którym zaledwie kilka dni temu jej, były już, francuski kolega wysłuchiwał reprimendy, po której zniknął bez pożegnania. Dziś czarne chmury zebrały się nad nią, a huragan, który miał się rozpętać, mógł wywiać ją z komendy w ślad za Gaudinem.

Od wczesnego poranka, gdy tylko przekroczyła progi budynku, intuicyjnie czuła, że kroilo się coś niedobrego, ale zaspana i zmęczona po wczorajszym zwiedzaniu baszt i krypt, nie przywiązała większej wagi do szeptów kolegów, które słyszała za sobą, kiedy szła korytarzem do biura. Dopiero, gdy usiadła i odebrała wściekle wydzwaniający na biurku telefon, zrozumiała, że ten dzień nie będzie należał do miłych.

– Porucznik Leone, proszę natychmiast do mnie! – usłyszała w słuchawce oschły głos kapitana Cimelli. Żadnego „Di” czy „Diano”, a przecież, gdy byli sam na sam, szef nigdy nie zwracał się do niej po nazwisku.

Teraz, w jego gabinecie czekała z rosnącą irytacją na to, co miało na nią spaść. Giacomo siedział obok niej w milczeniu. Był już w środku, kiedy weszła i przywitał ją niewyraźnym emocji wzrokiem. Może nie wyczuwał napięcia, choć znając go postawiłaby raczej na to, że świetnie się maskował. Kapitan nie śpieszył się z rozpoczęciem rozmowy, ale jego oczy ciskały pioruny. Kiedy w końcu wydając charakterystyczny dźwięk powitania, uruchomił się system w laptopie stojącym na biurku, Cimelli przerwał milczenie.

– Mój *dream team*. – Spojrzał na nich i pokiwał głową. – Moje jastrzębie, sokoły, gończe charty, które chwyciły trop. Żeby jeszcze tylko, kurwa, właściwy.

Diana nie przypominała sobie, żeby jej przełożony kiedykolwiek pozwolił sobie na przekleństwa w jej obecności. To również nie wróżyło najlepiej.

– Wpadliście wczoraj do tego klubu jazzowego jak granat do sracza – cedził przez zęby Cimelli. – A gównu niestety obryzgało mnie i całą komendę.

– Nie rozumiem... – wyrwało się Dianie.

– Właśnie widzę! – przerwał jej kapitan. – Że oboje nic zeście nie zrozumieli, ale za to z pośpiesznym działaniem nie mieliście problemu.

Obrócił laptopa w ich stronę. Na ekranie leciał film, najwyraźniej nakręcony amatorską kamerą. Punkt widzenia obiektywu się nie zmieniał, co wskazywało na to, że kamera musiała stać na statywie i nie była obsługiwana przez operatora. Film przedstawiał kopulującą parę w średnim wieku. Niezbyt atrakcyjna, tęgawa kobieta, miała na twarzy wenecką maskę. Jej ręce były unieruchomione paskami przytwierdzonymi do ramy łóżka. Mężczyzna miał na głowie lateksową maskę. Właśnie pochylał się nad rozsuniętymi udami kobiety wypinając w stronę obiektywu swoją bladą i gęsto owłosioną tylną część ciała.

Zanim Diana odwróciła od ekranu swój zniesmaczony wzrok, zdołała rozpoznać pomieszczenie, w którym odbywała się scena. Była tam wczoraj wraz z Giacomo.

– Przedstawiam wam, moi drodzy, panią Sabrinę Ferrari – powiedział kapitan

sarkastycznym tonem. – Żonę właściciela jazz klubu, pana Nicoló Mingozzi, którego wdzięki możecie podziwiać na pierwszym planie.

– To był cholerny samobój!!! – wrzasnął zamykając laptopa z trzaskiem. – Nie dość, że wkroczyliście tam bez nakazu, jak jacyś Navy Seals po terrorystów, to jeszcze wasz trop okazał się kompletną pomyłką! – Gniew szefa sięgał kulminacji. – Chłopina lubi to robić w średniowiecznych kazamatach ubrany w gumową czapeczkę. Oto cała jego wina, a wy rozpieprzyliście mu lokal i zrobiliście z niego przestępcę. I to w obecności jego ledwo pełnoletniego syna!

Giacomo siedział nieporuszony. Twarz Diany poczerwieniała ze wstydu. W jej przypadku była to pierwsza tak poważna wpadka i na pewno nie mogła przysłużyć się jej karierze.

– Panie kapitanie – zaczęła, przetykając ślinę. – Porozmawiam z nim, wyjaśnię, on może zrozumie, tu chodziło przecież o życie ludzkie...

– I zapłacisz mu z własnej kieszeni dziesięć tysięcy za odwołany koncert?! – sapnęła purpurowy ze złości Cimelli.

Diana zapadła się w krzesło zrezygnowana. Była już gotowa pójść i pakować swoje rzeczy z biura.

– Na szczęście – powiedział kapitan nieco spokojniejszym tonem – na wasze wielkie i cholerne szczęście, na taśmach było coś jeszcze.

Giacomo ożywił się nagle.

– Orgietki? – wypalił.

Kapitan postanowił zignorować to błyskotliwe pytanie.

– Okazało się, że pan Mingozzi nie był jedynym amatorem seksu w zakurzonej piwnicy. Uzyczal tego pomieszczenia swoim znajomym. Adwokatom, lekarzom. W zaufaniu powiem wam, że nawet jednemu ważnemu politykowi, którego wszyscy znamy. I nie wszyscy panowie zabawiali się tam z własnymi żonami. I to zmienia postać rzeczy i waszą pozycję. Skrócę to do minimum, żeby was już nie dręczyć. Mingozzi łaskawie zgodził się nie wnosić skargi, w zamian za odzyskanie taśm, sprzętu i niewpisywanie niczego do akt.

Kapitan wstał i podszedł do nich bliżej.

– Mam ochotę wystawić wam piękne nagany, ale wiem, że działaliście pod presją próbując odnaleźć tę dziewczynę. Dlatego pozwolę wam działać dalej, ale dołożę wam presji. Pamiętajcie, jak mówiłem, że chłopcy z wydziału ochrony zabytków z Bolonii przebierają nóżkami, żeby odebrać nam sprawę? Awanturę z jazz klubem da się jakoś wyciszyć, ale przeoranie byłego kościoła przez bandę Montresora, a teraz do tego zniszczenia kaplicy Estensi, już nie. Dostałem telefony. Są robione różne naciski. Wprawdzie udało nam się odzyskać obraz skradziony z willi profesora, ale to tylko na chwilę oddaliło od nas te sępy z Bolonii. Mówiąc krótko, macie czas do przyszłego tygodnia, żeby zamknąć tę sprawę. W poniedziałek, najpóźniej we wtorek kwestie dzieł sztuki przejmie ekipa z ochrony zabytków, a zabójstwami i zaginięciem młodej Cattanei zajmie się antymafia, bo politycy z regionu widzą w tym, co się u nas dzieje,

akty terroryzmu. Przykro mi – kapitan odwrócił się do nich plecami i spojrział w stronę okna. Dał im do zrozumienia, że nie ma im nic więcej do powiedzenia.

Diana stała już w wejściu, kiedy coś jej się przypomniało.

– Kapitanie... Ten Mingozzi. Dlaczego nam powiedział, że nigdy nie widział Olivii?

Kapitan wzruszył ramionami.

– Młoda piękna dziewczyna i stary erotoman. Już raczej się nie dowiemy, jakie jej robił propozycje i na które się nie zgodziła, wnioskując z jej nieobecności na taśmach. A może odkryła to pomieszczenie i go szantażowała? Nie mam pojęcia. Znajdźcie ją, to sama ją zapytasz.

Za drzwiami biura szefa Giacomo chwycił Dianę mocno za rękę. Jego stoicki spokój zniknął bez śladu,

– Di, mowy nie ma! Nie mogą nam tego odebrać! – wbił w nią stanowczy wzrok.

Wiedziała, co to dla niego oznaczało. W przypadku przejęcia sprawy obcy funkcjonariusze zaczęliby grzebać w jego grzeszkach. I z pewnością nie mogłby liczyć na łagodne potraktowanie.

– Borgia – powiedziała patrząc mu w oczy. – To nasz jedyny trop, bo nie mamy już nic innego. I ten nieszczęsny medalion. Dzwonić do techników, niech znowu spróbują namierzyć sygnał, a ja znajdę kogoś, kto nam opowie o tej całej Borgii. Może nam coś zaświta. Acha i podjedź do tej rannej siostry zakonnej, mogłaby nam dać rysopis sprawcy.

Giacomo pobiegł wykonywać polecenia. Schodząc do biura, poczuła wibrację w kieszeni. Na ekranie komórki pojawiła się informacja o dziesięciu nieodebranych połączeniach. Wszystkie zostały wykonane z numeru redaktora Montanari. Przyłożyła telefon do ucha. Teraz z kolei on nie odpowiadał. Wystukała wiadomość i wysłała. Stała w miejscu i zawróciła do kącika, w którym stał ekspres do kawy. Westchnęła i wzięła do ręki plastikowy kubeczek. Wiedziała, że dziś, jak nigdy, będzie potrzebować dużej dawki kofeiny, a na delektowanie się prawdziwą kawą w barze na pewno nie znajdzie już czasu.

Casa Romei

Popołudniowa burza zaskoczyła wszystkich. Niebo, przepełnione wilgocią, która odparowała z pól i kanałów, w ciągu kilkudziesięciu minut zasnuło się szarością i po krótkiej chwili na chodniki, budynki i jezdnie zaczęły spadać drobne, ale liczne krople ciepłego deszczu. W powietrzu dał się poczuć charakterystyczny zapach ziemi i wilgotnego kurzu. Zagrzmiało gdzieś w oddali. Opady przybrały na intensywności. Stare, żeliwne rynny zaczęły wypływać coraz większe ilości wody. Spadające krople wściekle bębniły o gliniane dachówki, a drzewa zaczęły się uginać pod ciężarem ulewnego deszczu. Temperatura szybko spadła o kilka stopni. Davide postawił kołnierz marynarki i schronił się w portalu zdobiącym wejście do okazałego pałacu z czerwonej cegły. Budynek był wysoki, a mimo tego nieliczne, zwieńczone ostrołukami okna znajdowały się wyłącznie na wysokości wyższej kondygnacji, co upodabniało pałac do obronnej fortecy. Dziennikarz wyciągnął papierosa z nienapoczętej paczki i wsadził go sobie do ust. Był to jego pierwszy papieros od dobrych dziesięciu lat. Zaciągnął się. Poczul niesmak i dyskomfort, ale gryzący dym, który wypełnił jego płuca, był przynajmniej czymś innym od goryczy i smutku zżerających go od środka.

Samochód, który gwałtownie zatrzymał się w kałuży przed wejściem obryzgał brudną wodą jego spodnie. Było mu wszystko jedno. Z auta wyskoczyła Diana, zręcznie przeskoczyła kałużę i dopadła do bramy, osłaniając sobie dłonią włosy, jakby ten bezużyteczny gest mógł rzeczywiście powstrzymać ją od przemoczenia. Giacomo, który przybiegł w ślad za nią, nawet nie próbował się bronić przed ulewą. Cienka koszulka przylgnęła mu do ciała eksponując jego doskonale wyrzeźbione mięśnie. Spojrzał na Davide'a równie zdziwionym wzrokiem, jakim lustrowała go właśnie Diana. Przemoczony, blady i nieogolony dziennikarz nie mógłby raczej uchodzić za ikonę stylu.

– Co to? Wraca znowu moda na palenie? – zakpił Giacomo, mając na myśli także Dianę. – A może wam od razu krechę skombinuję, co? – zwrócił się do obojga. – Wejdziemy czy będziemy tu tak fajnie mokli przy fajeczce?

Diana delikatnym ruchem dłoni wyjęła papierosa z ust dziennikarza i wyrzuciła go do kałuży.

– Dawidku, kochanie, martwiłam się o ciebie – powiedziała miękko. Giacomo, ignorując dalszy ciąg rozmowy, pchnął ciężkie okute drzwi i wszedł do przedsionka.

Nie chcąc dalej stać na deszczu, wśliznęli się za nim. Przy blado oświetlonym kontuarze siedziały dwie recepcjonistki. Starsza, z siwymi włosami, porządkowała

foldery reklamowe i mapki dla turystów. Młodsza patrzyła na nich badawczo. Miała około czterdziestu lat i była klasycznym przykładem kobiety, która, gdyby tylko poświęciła nieco więcej uwagi swoim ubraniom, fryzurze i makijażowi, mogłaby przyćmić urodą niejedną, nawet młodszą od siebie piękność. Najwyraźniej jednak dbanie o styl nie znajdowało się na liście jej priorytetów. Workowaty sweter z czarnej wełny deformował jej kobiece kształty. Jej ciemne, kontrastujące z bladą cerą oczy obserwowały gości przez grube szkła okularów, oprawionych w masywne i nietwarzowe oprawki. Gdy jej spojrzenie przypadkowo padło na mokry T-shirt Giacomo, opuściła szybko wzrok jak zawstydzona nastolatka. W końcu, być może identyfikując się podświadomie z niechlujnym wyglądem Davide'a, zwróciła się właśnie do niego:

– Dobry wieczór, witam w Casa Romei, czy państwo przyszli zwiedzać? Mamy otwarte jeszcze tylko przez godzinę – ostrzegła, odsłaniając w zarezerwowanym dla turystów uśmiechu nierówne, ale ładne białe zęby.

Davide odchrząknął.

– Dobry wieczór. Przyszliśmy tu na spotkanie. Tak naprawdę, miał z nami jeszcze być mój szef, Enrico Montanari, redaktor naczelny „Il Giornale Pomeridiano”, ale najwyraźniej się spóźni. To on nas tutaj umówił z panią eee... Emanuela Govoni, przewodniczką. Czy wiedzą panie, gdzie moglibyśmy ją znaleźć? – zapytał.

– Enrico nigdy nie należał do punktualnych – starsza z kobiet odłożyła foldery i podeszła do kontuaru. – Na wykłady wiecznie wchodził w połowie. Nie wiem, jak on został naczelnym, chyba dzięki zdolniejszym kolegom, takim jak Bonardi, panie świeć nad jego duszą. To mnie państwo szukacie. A to moja siostrzenica, Sara Rossi.

Trójka przybyłych spojrzała po sobie. Diana postanowiła przejąć inicjatywę.

– Miło mi, jestem Diana Leone. Nie wiem, czy pan Montanari wspomniał, ale przyszliśmy tu służbowo. Ja i porucznik Masini jesteśmy karabinierami, prowadzimy sprawę kryminalną, która łączy się z kradzieżami dzieł sztuki. Zależy nam na szybkim odnalezieniu pomocnych informacji, ponieważ niestety w sprawie tej zdarzyły się także morderstwa. Boimy się, że może być ich więcej.

– Wiem o sprawie, w zarysie oczywiście. Enrico to i owo mi opowiadał – głos starszej pani stał się poważny. – O morderstwach też niestety wiemy – westchnęła ciężko. – Moja siostrzenica jest córką docenta Alberto Rossi, który zginął w lochach zamku kilka dni temu.

Zapadła niezręczna cisza. Zaniedbany wygląd młodszej z recepcjonistek objawiał się teraz w nieco innym świetle. Sara pierwsza przerwała milczenie.

– Tym chętniej oprowadzę państwa i odpowiem na wszystkie pytania – mówiąc to, wyszła zza kontuaru. Teraz dopiero zauważyli, że poruszała się lekko przechylona na bok, zapewne na skutek jakiejś wady kręgosłupa. Zrobiło im się jeszcze bardziej głupio.

– Idiopatyczne zapalenie stawów – powiedziała Sara. – Miałam pecha, kiedyś to była choroba źle diagnozowana i nieleczona. Urodziłam się jakieś dziesięć lat za wcześnie – zażartowała. – Proszę za mną i gwarantuję wam, że zmęczycie się

bardziej ode mnie – mrugnęła do Davide’a. Odwzajemnił się jej bladym uśmiechem. Zaimponował mu chart ducha tej kobiety. W jednej chwili jego własne problemy wydały mu się nieco mniej poważne.

– A pan jest...? – Sara przyjrzała mu się badawczo.

– Yyy... – zaciął się. – Przepraszam, Davide Dobravski, nie przedstawiłem się wcześniej, dziś mam taki dzień, że...

– Ach, więc jednak to pan. Tak właśnie myślałam – przerwała mu. – Pana charakterystyczne nazwisko obilo mi się o uszy na uczelni. Bo studiował pan na naszym uniwersytecie, prawda?

– Tak – odpowiedział zdziwiony. – To my się znamy?

Jej ciepły i niezwykle przyjemny w brzmieniu śmiech odbił się echem po kruzgankach podwórka, na które wyszli.

– Znalibyśmy się być może, gdyby pan odklejał czasem wzrok od pięknych koleżanek, które jak sobie przypominam, wiecznie pana otaczały. Ja byłam wtedy asystentką na drugim roku. Nieważne. Mamy mało czasu, zamierzam wrócić na kolację do domu, a państwo? Co szczególnie interesuje was w Casa Romei?

Davide zamyślił się właśnie nad tym, ile jeszcze pięknych kobiet przeoczył na studiach. Mimo tego zrozumiał, że pytanie, choć sformułowane w liczbie mnogiej, było skierowane do niego.

– Saro, mogę tak do pani mówić, skoro się prawie znamy?

Skinęła głową.

– Więc Saro... w tej hmm... tragicznej kryminalnej sprawie co jakiś czas pojawia się nazwisko Lukrecji Borgii – Davide w końcu zdołał przejść do sedna. – W necie jest o niej całe mnóstwo informacji, są nawet filmy i seriale, ale to za mało, żeby nam pomóc wyjaśnić, dlaczego bandyci podążali śladami nieżyjącej od pięciuset lat księżniczki. Nie wiemy też, co mogło ją łączyć z zakonem templariuszy, który też już od wieków nie istnieje, a jego nazwa również przewija się w śledztwie. Enrico, mój szef, zwrócił naszą uwagę na to, że ona, to znaczy Borgia, podobno spędzała dużo czasu właśnie w tym pałacu. Na dodatek jest to miejsce odległe zaledwie o kilkadziesiąt metrów od kaplicy, gdzie została pochowana i do której dopiero co próbowano się włamać. Dlatego właśnie tu przyszliśmy. Może jesteś w stanie podpowiedzieć nam, czego mogliby szukać przestępcy? Może w Casa Romei jest coś cennego? Były tu jakieś włamanie w ostatnim czasie? A może znasz jakieś legendy związane z tym miejscem?

Szli pod podcieniami wokół kwadratowego dziedzińca, na środku którego znajdowała się kamienna studnia. Ulewa ustała chwilę wcześniej, kiedy wychodzili z przedsionka. Teraz nieśmiałe promyki słońca zaczynały przedzierać się przez chmury. Jeden z nich padł na niezwykle figury geometryczne widniejące na jednym z murów. Koncentrycznie umieszczone kręgi przypominały planety.

Sara namyślała się, co odpowiedzieć na lawinę zadanych jej pytań.

– Z tego, co mi wiadomo, nic stąd nie zginęło. Nie było też włamań, chyba nigdy,

a przynajmniej odkąd sięgam pamięcią. Nie potrafię wam powiedzieć, czego mogli szukać przestępcy.

Weszli kamiennymi schodami na piętro i zaczęli przechodzić przez sale. Pomieszczenia były surowe i prawie całkowicie puste. Jedynymi elementami, które przyciągały wzrok, były niezwykle zdobione sufity i naścienne freski przedstawiające mityczne postacie.

– Co do jednego mogę was zapewnić: te mury wiele widziały i skrywają na pewno niejedną tajemnicę – kontynuowała Sara. – Pałac został wybudowany przez średniowiecznego magnata Romei około 1442 roku. Dziś byśmy powiedzieli o nim, że był biznesmenem i mecenasem sztuki. Stąd te wszystkie freski i zdobienia. Przyjrzyjcie się im dobrze, a ja opowiem wam, dlaczego są niezwykle.

Weszli do niewielkiej salki, w której centralnej części stał wmurowany w ścianę kominek. Zniszczone i nie do końca odrestaurowane malunki na otaczających ich ścianach przedstawiały kobiety stojące w różnych pozach.

– Dwanaście – policzył w myślach Davide. – Tyle co apostołów – narzuciło mu się skojarzenie.

– To są Sybille – wyjaśniła Sara. – Starożytne wyrocznie, taka żeńska wersja proroków. A sala, w której się znajdujemy to Sala Sybilli i jest ona jednym z wielu przykładów na to, jak pełnym tajemnic jest to miejsce i całe nasze miasto. Każdego, kto chciałby poznać historię Ferrary, głębiej niż to, co opisują foldery dla turystów, najpierw przyprowadziłabym tutaj.

Giacomo ziewnął. Był ostatnią osobą, która chciałaby poznać głębiej historię Ferrary. Jak nikt poznał to miasto od podszewki i mógł zapewnić wszystkich obecnych, że nie była to przyjemna wiedza.

W przeciwieństwie do niego Diana i Davide słuchali przewodniczki z zainteresowaniem. Ciągłe nie wiedzieli jednak, co jakieś ozdoby na ścianach mają wspólnego z Lukrecją Borgią i z przestępcami, których szukali.

– A dlaczego akurat te Sybille są takie ważne? – zapytał rzeczowo dziennikarz, starając się nie okazać zniecierpliwienia w głosie.

Sara spojrzała na nich uważnie.

– Bo są dowodem na dwoistość i dysonans, który charakteryzuje całe to miasto, a także Lukrecję, o której szukacie informacji.

– Dwoistość i dysonans?! Że co? Co to ma niby znaczyć? – Diana nie była taką dyplomatką jak Davide i z trudem powstrzymała się przed wpleceniem w swoje pytanie dosadnego przekleństwa.

Sarze, jak każdemu pracownikowi naukowemu, z trudem przychodziło pogodzenie się z faktem, że nie wszyscy na świecie posiadli specjalistyczną wiedzę na poziomie uniwersyteckim.

– Nie mamy zbyt wiele czasu na wykłady z historii – westchnęła zastanawiając się nad tym, jak wytłumaczyć im coś, co sama uważała za oczywiste. – Posłużę się więc pewnymi skrótami – zaczęła opowieść. – Wyobraźcie sobie, że w naszym mieście,

a także w życiorysie Lukrecji Borgii, która tu mieszkała, nic nie jest takie, jakim się wydaje. Istnieje to, co powierzchowne, i to, co ukryte. *Sacrum* i *profanum*. Grzech i świętość. Światło i cień. Chrześcijaństwo i herezja. Sybille, które tu widzicie – wskazała na freski – to symbole czysto pogańskie. Powtarzam: pogańskie, feministyczne i namalowane w okresie, kiedy panowała dominacja surowej paternalistycznej nauki Kościoła. W tamtych czasach nikt jeszcze nie ośmielał się malować pogańskich symboli. A tutaj, nieoczekiwanie posłużyły dla potrzeb chrześcijańskiej alegorii. Albo tak to przynajmniej wytłumaczono klaryskom z Corpus Domini, które otrzymały ten pałac w darowiźnie po śmierci właściciela. Dzięki temu freski nie zostały zamalowane i przetrwały do naszych czasów. A Lukrecja Borgia, nieślubna córka papieża Aleksandra VI? Jak może wiecie, nie była wzorem bogobojnej małżonki. Powiedziałabym raczej, że była osobą o wątpliwej moralności. Jeśli czytaliście o niej, to pewnie słyszeliście o plotkach, które przedstawiają ją jako trucicielkę mężów i sugerują jej kazirodcze związki z bratem, a nawet ojcem. Ale to przecież ta sama Borgia, która tutaj, dokładnie w tym pałacu modliła się szczerze i żarliwie i służyła biednym obywatelom miasta, fundując im hojne i bardzo realne zapomogi. A jednocześnie za plecami swojego męża flirtowała z księciem Gonzagą, z powodu czego zabito tu człowieka. Czy to nie jest idealny przykład dwoistości i dysonansu?

– Zabito tu kogoś? – zainteresowała się Diana.

– Di! W średniowieczu!!! No proszę cię! Mumii nie ścigamy! – Giacomo wyglądał na zdesperowanego. Diana zmroziła go wzrokiem.

– Tak, obok pałacu zamordowano Ercole Strozzi, znanego poetę i zaufanego dworzanina Borgii. Legenda głosi, że był gońcem, który nosił jej tajne listy do kochanków – wyjaśniła cierpliwie Sara.

– I coś jeszcze tu się stało? – w Dianie obudził się duch śledczego. – I tej Borgii coś udowodniono?

– Niczego jej nie „udowodniono” – uśmiechnęła się przewodniczka. – Większość złych rzeczy, o które pomawiali ją historycy, zapewne były tylko plotkami. Wiadomo jedynie, że pod koniec swojego życia została uznana niemal za świętą i że pochowano ją w zakonnej kaplicy. Jednak do dziś uważa się ją za osobę niejednoznaczną. Pełną sprzeczności. Dwoistości. Sekretów. Nawet listy pisała szyfrem. Ona była dokładnie taka, jak całe to miasto. Szukacie tajemnic? – Sara rozwarła ramiona w teatralnym geście. – To musicie zrozumieć, że tajemnice leżą w Ferrarze pod każdym kamieniem. Chcecie kilka przykładów? – zapytała retorycznie. – Czy przysłoby wam do głowy, że w naszej katedrze, w najważniejszym kościele w mieście, został pochowany jeden z największych heretyków swoich czasów i, mało tego, traktowano go jak świętego? A czy wiecie, że w Ferrarze powstała jedyna w swoim rodzaju Biblia księcia Borsa d’Este, zdobiona pogańskimi rysunkami i symbolami magicznymi? Czy słyszeliście kiedykolwiek, że samo miasto zostało rozbudowane przez architekta Rossetiego na podstawie wzorów wytyczonych przez alchemistę Pellegrino Prisciani? To byli dworzanie Lukrecji Borgii, jej znajomi, a stworzony przez nich i oparty

o astrologię plan rozbudowy miasta jest równie tajemniczy jak rozkład egipskich piramid. A obilo wam się o uszy, co to jest żydowska sztuka tajemna – kabała? No to powiem wam, że właśnie w naszym mieście działali jej najwięksi znawcy, tacy jak Giovanni della Mirandola. Pod względem historii kultury, to najbardziej niezwykle miasto Europy, zapewniam was. Nie najstarsze, nie najbogatsze, największe czy najbardziej okazałe. Ale najbardziej tajemnicze, nietypowe, a w czasach późnego średniowiecza najbardziej postępowe. Jeśli Grecja była miejscem narodzin nauki, Rzym – prawa, a Florencja – bankowości, to Ferrara była bez wątpienia kolebką renesansowej myśli i miejscem, w którym spotkały się najbardziej starożytne i odległe od siebie filozofie. Dzisiejsza kultura nie istniałaby w takiej postaci, jaką znamy, bez tego spotkania. Nie byłoby medycyny, farmakologii, nie byłoby wiedzy o gwiazdach, planowania przestrzennego ani nawet gry w karty.

– No dobrze. Mnóstwo ciekawych informacji i jesteście pod prawdziwym wrażeniem. Ale... jak miałyby nam to pomóc? – teraz już nawet Davide’a rozboleła głowa.

– Konkretnie, to jaki to ma związek z osobą Lukrecji Borgii? Dlaczego ktoś mógłby chcieć iść jej tropem właśnie teraz, po kilku wiekach? – sprecyzowała pytanie Diana.

Sara zamyśliła się.

– Ktoś, kto szuka spuścizny po Borgii, może mieć dwa cele. Albo szuka jakiejś tajemnej wiedzy, jaką, dzięki swoim znajomościom, mogła posiadać, albo... Sara wyjęła telefon i zaczęła czegoś szukać. Po dłuższej chwili oderwała wzrok od ekranu i spojrzała na nich triumfalnie.

– Czterysta trzydzieści pięć! – oznajmiła.

– Co? – zdziwili się niemal chórem.

– Czterysta trzydzieści pięć drogocennych kamieni, które Lukrecja Borgia w 1501 roku przywiozła ze sobą jako posag ślubny od jej ojca papieża Aleksandra VI! Jeśli kiedyś widzieliście obrazy przedstawiające Borgia, to może rzuciło wam się w oczy, że na każdym z nich ma na sobie różne okazałe klejnoty: pierścionki, naszyjniki, bransoletki, diademy. Słyszała z tego, że nosiła drogie błyskotki. *Nota bene* to właśnie te kamienie sprzedawała później, aby pomagać biednym. Do dziś zachowały się kroniki z zaślubin Lukrecji z księciem Alfonso d’Este. To był taki spory celebrycki *event* tamtych czasów. W kronikach jest bardzo szczegółowy spis klejnotów. To, czego w nim nie ma... – zamyśliła się znowu. – O ile sobie przypominam, w kręgach akademickich, pomiędzy moim tatą, profesorem Bonardi a kilkoma innymi starymi profesorami krążyła pewna legenda, która mówiła o jakimś szczególnie cennym klejnocie Borgii. Ten arcyklejnot, dostała według tej opowieści od ojca, papieża, a znalazł się on w rękach Kościoła, bo kilka wieków wcześniej przywieźli go z Ziemi Świętej krzyżowcy z zakonu rycerskiego.

– Z jakiego zakonu rycerskiego? – Davide’a coś tknęło.

– Jak to z jakiego? – Sara uśmiechnęła się porozumiewawczo. – Był tylko jeden zakon, którego majątek zarekwirował papież.

– Templariusze – odpowiedział sam sobie Davide.

Kilka minut później, żegnając się z Sarą, Davide przytulił ją mocno. Zdziwiła się tym przyływem czułości, ale przyjęła jego gest z radością. Kiedy byli już za drzwiami, Diana uszczypnęła chłopaka w ramię.

– Jak tam, królewiczu, masz nową księżniczkę?

– Ja nie mam już żadnej księżniczki, moja droga – spojrzał na nią poważnie. – Wokół mnie krążą tylko anioły. Raz złe, a raz dobre. Dziś trafiłem na dobrego.

– Taa... Anioły i dysonanse, bzdury totalne. Jak dla mnie to jedna wielka strata czasu – wtrącił się Giacomo otwierając samochód. – Ale słuchajcie – zamarł z ręką na klamce – a redaktor? Może on jeden by coś z tej paplaniny zrozumiał? Ej, chyba ci szef się zgubił, młody! – rzucił w stronę dziennikarza.

Diana odruchowo sprawdziła telefon. Żadnej wiadomości. Davide także pokręcił przecząco głową.

– Znajdzie się – powiedział uspokajająco. – On się zawsze znajduje.

Godzinę i siedemnaście minut wcześniej Enrico Montanari zapinał rower w stojaku przy via Savonarola. Powoli zbierało się na deszcz, ale do Casa Romei miał dosłownie minutę drogi. Na spotkanie przyjechał przed czasem, więc był pewien, że nie tylko zdąży przed ulewą, ale zdoła uciąć sobie pogawędkę z dawno niewidzianą przyjaciółką ze studenckich lat. Ema bywała zrzędliva, ale łączyła ich wspólna pasja do historii i czerwonego wina. Potrzebował oderwania od trosk i niepokojów. To nie były dla niego łatwe dni. Przeszedł na drugą stronę jezdni i stał już na rogu pałacu, gdy zadzwoniła komórka.

Wyświetlił się numer szpitala. Z obawą przyłożył telefon do ucha. Męski głos w krótkich i rzeczowych słowach oznajmił mu wiadomość, której za żadne skarby nie chciałby usłyszeć. Zakończył rozmowę i oparł się o ścianę. Oczy zaszyły mu mgłą, gardło zacisnęło mu się w węzeł. Teraz był już naprawdę sam na świecie.

Z odrętwienia wyrwało go uczucie bycia obserwowanym. Odwrócił się. Jego oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia na widok mężczyzny, który stał tuż obok. Nie tylko osoba, której nie spodziewał się zobaczyć wywołała jego zdziwienie. Na szyi mężczyzny zauważył ozdobę, którą po raz pierwszy miał okazję widzieć z tak bliskiej odległości i wreszcie ją rozpoznał.

– A więc to ty... – wyszeptał pobladłymi ustami.

Zszokowany dopiero co otrzymaną wiadomością, pojawieniem się mężczyzny i dokonaniem właśnie odkryciem wzniosł oczy ku niebu, jakby chciał odnaleźć tego, który z taką złośliwością sobie z nim igrał.

Zamiast tego jego oczy napotkały tabliczkę wmurowaną w ścianę pałacu.

„W nocnej zasadzce, w tym miejscu zginął zasztyletowany Ercole di Tito Strozzi, sławny poeta i filolog. 1508”.

W ręce mężczyzny błysnął metaliczny przedmiot. Stary redaktor zamknął oczy.

Na ratunek

Piątek przywitał Ferrarę piękną słoneczną pogodą. Po wczorajszym zachmurzeniu i ulewie nie pozostało ani śladu. Mimo wczesnej godziny, słońce zaczynało już bezlitośnie przypiekać.

Za Davidem zamknęły się zasuwane, oszklone drzwi hospicjum, w którym od ponad roku leżał jego ojciec. Po tym, jak pięć lat temu z powodu szybko postępującego raka zmarła jego mama, miał już tylko jego, a właściwie tylko jego ciało, gdyż umysł opuścił tatę Davide'a już dawno temu. Wizyty w hospicjum stały się jednak dla młodego dziennikarza ważnym rytuałem, który rzadko zaniedbywał.

Tego dnia jego odwiedziny u ojca miały nieoczekiwany przebieg. Zaczęło się od tego, że podsłuchał jedną z rozmów pomiędzy personelem. Zaintrygowany próbował dopytać o szczegóły znajomą pielęgniarkę, która opiekowała się jego ojcem i żywiła do chłopaka nieskrywaną sympatię. Zapewne tylko dzięki temu udało mu się uzyskać zastrzeżone informacje, które wprawiły go w niemałe zaskoczenie. Po wyjściu z budynku wciąż próbował przetrwać to, czego się dowiedział. Jego dłoń sięgnęła odruchowo do kieszeni i niczego tam nie znalazła. Przypomniawszy sobie, że gdy wczoraj wracali samochodem z Casa Romei, Diana zmusiła go do wyrzucenia paczki papierosów przez uchylone okno pojazdu. Zrobił to i zaraz potem zażartował, że powinna go ukarać mandatem za zaśmiecanie ulicy. W odpowiedzi ścisnęła mocno jego zmarzniętą rękę, ściągając na nich oboje zawistne spojrzenie prowadzącego samochód Giacomo. Dzięki temu drobnemu gestowi z jej strony Davide po raz kolejny przypomniał sobie, jak wiele zawdzięczał tej dziewczynie. Nie zmieniało to jednak faktu, że nie miał papierosów. Westchnął i sięgnął po telefon. Odszukał numer Diany i wystukał szybko wiadomość: „Zakonnica napadnięta w krypcie Estensi, to podobno siostra Enrico Montanari. Zmarła wczoraj wieczorem, nie odzyskawszy przytomności. Enrico nigdzie nie ma, nie odpowiada na telefony. Idę do redakcji”. Nacisnął „wyślij” i ruszył przed siebie.

Hospicjum znajdowało się w połowie Corso della Giovecca, jednej z historycznych osi miasta zaprojektowanych przez Biagio Rossettiego. Z tego miejsca Davide miał zaledwie kilka minut do rynku, a stamtąd kolejnych parę metrów do redakcji znajdującej się na początku via San Romano. Mijając monumentalną bryłę otoczonego fosą zamku Estensi poczuł, że stróżki potu zaczynają spływać mu po plecach. Spojrzał na rozpaloną porannym słońcem, groźną twarz mnicha Savonaroli i przypomniał mu się wykład Sary o dwoistym charakterze miasta. Rzeczywiście, nigdy nie mógł zrozumieć, co pchnęło tego pobożnego zakonnika do tak radykalnych czynów, jakie popełnił i w konsekwencji których zginął spalony na stosie. Dopiero

dzięki wykładowi Sary dla Davide'a stało się jasne, że pojawienie się tak niejednoznacznej postaci jak ten mnich-rewolucjonista, przeciwnik gromadzenia dóbr materialnych, który niemal obalił rządy możnowładców, było możliwe tylko w Ferrarze – w miejscu, które nie podporządkowywało się obowiązującym regułom.

Ile jeszcze tajemnic skrywało to miasto? Dałby wiele, aby znać odpowiedź przynajmniej na tę, która była dla niego najważniejsza. Mimo złości, jaką odczuwał, ogromnie tęsknił za Olivią.

Skręcił do baru Nazionale i zamówił gęstą aromatyczną kawę, do której wrzucił podwójną ilość cukru. Musiał wprowadzić swój umysł na najwyższe obroty.

Gdy wyszedł z kawiarni, uderzyło go poczucie niecodziennej pustki. Był piątek, dzień roboczy i miasto powinno tętnić życiem, ale o dziwo, wydawało się całkowicie wyludnione. Może rosnący upał, a być może czysty przypadek sprawiły, że w tym momencie w zasięgu wzroku Davide'a nie było ani jednego przechodnia, pojazdu, a nawet przelatującego ptaka. Panował zupełny bezruch. Przez chwilę szukał w pamięci skojarzenia z czymś, co w tym nietypowym widoku wydało mu się zaskakująco bliskie i znajome. Zapadał się coraz głębiej w strumień myśli i wspomnień, aż odczuł rodzaj emocjonalnego *deja vú*, gdy oczami wyobraźni ujrzał obraz wiszący w salonie w mieszkaniu jego rodziców. Jako dzieciak wpatrywał się w niego godzinami. Była to reprodukcja obrazu namalowanego przez Giorgio de Chirico, malarza z ubiegłego wieku. Dzieło przedstawiało surrealistyczny pejzaż rynku w Ferrarze: puste przestrzenie nasłonecznionego placu przykrytego bezmiernym ogromem nieba i wielkie bryły renesansowych pałaców i posągów. Przed ponad stu laty de Chirico zapewne stanął tu, gdzie stał teraz Davide i uwiecznił na swoim płótnie to wciągające, jak wahadło hipnotyzera, zawieszone ponad czasem i przestrzenią metafizyczne piękno pozbawionej śladu życia architektury.

Intensywny smak kawy, jaki pozostał mu na podniebieniu, przywołał go do rzeczywistości. Wzdrygnął się jak ktoś, kto obudził się z dziwnego snu i ruszył w stronę redakcji.

Kilka chwil później siedział już przed otwartym laptopem swojego szefa i bezskutecznie próbował wpisać hasło otwierające dostęp do plików. Montanari wychowany przed erą informatyki z pewnością nie użył niczego skomplikowanego, a jednak żadna konfiguracja imienia, nazwiska, daty urodzenia czy nazwy gazety nie odblokowywała komputera. Zniechęcony Davide zamknął laptopa i rozejrzał się po pustej redakcji. Panował w niej taki jak zawsze bałagan i trudno było określić, czy między wczorajszym a dzisiejszym dniem naczelny zaszczylił biuro swoją obecnością. Nie było też sensu dzwonić do sekretarki, bo ta, zatrudniona na zlecenie, w tych dniach nie przychodziła do biura. Po kolejnej próbie dodzwonienia się na komórkę i wysłuchaniu głosu Enrico odtwarzanego przez automatyczną sekretarkę, Davide'owi skończyły się pomysły. Spędzał ze starym redaktorem większość czasu, zawdzięczał mu wszystko, czego nauczył się o dziennikarstwie, a jednak musiał przyznać, że prawie go nie znał. Do dzisiaj nie wiedział nawet, że jego szef miał siostrę. Zaczął przeszukiwać szuflady biurka, mając nadzieję, że znajdzie w nich

zapasowe klucze do mieszkania Montanariego. Oficjalne zgłoszenie zaginięcia i przeszukanie miejsca zamieszkania redaktora było następnym krokiem do wykonania. Davide'a niepokoił jednak upływ czasu. Enrico mógł leżeć w swoim pokoju nieprzytomny albo, nie daj Boże, umierający. Chłopak chciał dotrzeć do niego przed uruchomieniem powolnej maszyny służb.

Kluczy niestety nigdzie nie było. W trakcie poszukiwań wzrok Davide'a przyciągnęła sterta papierzyśk leżąca na biurku. Były to wydruki, nad którymi prawdopodobnie pracował ostatnio naczelny. Przeczytał pierwszy nagłówek: „Wielcy mistrzowie zakonu templariuszy”. Jego oczy prześliznęły się przez długą tabelę wypełnioną nazwiskami i datami. Niektóre nazwiska były zaznaczone żółtym markerem, a obok pierwszego z nich, Hugues de Payns, widniała odręczna notatka: „Ugo dei Pagani???” oraz adres „via Scienze, na rogu z via delle Volte” i wielki czerwony wykrzyknik. Obok innego nazwiska na dole listy widniała kolejna adnotacja, ale zanim chłopak zdążył się jej przyjrzeć, telefon w jego kieszeni zawibrował i panującą w pomieszczeniu ciszę zmącił dźwięk dzwonka. Przyłożył telefon do ucha i usłyszał entuzjastyczny głos Diany.

– Dawidku, mamy wiarygodne namiary na Olivię, jedziemy na akcję! Pomyślałam, że chciałbyś wiedzieć. Nie mogę cię zabrać, bo będą szychy z komendy, a po ostatniej wizycie w baszcie patrzą nam na ręce. Ale dam ci znać! Trzymaj kciuki, pa! – rozłączyła się nie dając mu czasu na odpowiedź.

Serce zabiło mu mocniej. Miał nadzieję, że Olivia zostanie odnaleziona cała i zdrowa. Bał się też o Dianę. W ostatnim czasie zginęło lub zaginęło zbyt wiele osób. Templariusze, złodzieje czy oszuści, nieistotne, ci ludzie byli zdeterminowani i pozbawieni skrupułów. Aby nie popaść znów w czarnowidztwo, postanowił zająć czymś głowę. Zgarnął papiery z biurka, zgiął je i wsadził do tylnej kieszeni jeansów. Wstał i skierował się do drzwi. Postanowił, że pójdzie do mieszkania Enrico i zajrzy do środka, choćby miał wspinać się po rynnie.

Diana z trudem powstrzymywała uśmiech. Atmosfera była napięta, jak zwykle przed potencjalnie niebezpieczną akcją, ale kapitan Cimelli wciśnięty w za ciasną kamizelkę kuloodporną, która odstawała mu na zaokrąglonym brzuchu, wyglądał jak ubrany na czarno papa smerf.

– Czyli sygnał jest tym razem precyzyjny? – upewnił się jeszcze raz komendant. Nie mógł sobie pozwolić na kolejną nieudaną akcję i następną awanturę z właścicielem omyłkowo przeszukanej nieruchomości. To tłumaczyło jego obecność w samochodzie grupy szturmowej. Podobnie jak podczas przeszukania baszty uzbrojeni szturmowcy mieli za zadanie jedynie zabezpieczać wejście. On, Diana i Giacomo mieli natomiast wejść do wskazanego budynku.

– Technicy gwarantują, że zamiar jest wiarygodny – zapewniła go całkowicie już poważna Diana. – W tych dniach uruchomiono obok nową stację przekaźnikową, która wzmocniła sygnał i pozwoliła na wyznaczenie dokładnych współrzędnych.

Ustalili adres i twierdzą, że to pewniak. Ulica Aniołów 4.

– Znowu jakichś aniołów, no ja pierdziele... – parsknął siedzący obok Giacomo.

– No taki adres jest, co ja na to mogę? – skarciła go wzrokiem Diana.

Zatopiony w myślach kapitan nie wtrącał się do rozmowy. Ożywił się dopiero, gdy zobaczył, dokąd prowadzi ich jadący przed nimi samochód, w którym znajdowali się technicy z urządzeniem namierzającym.

– Co jest, żarty jakieś?! Przecież oni znowu jadą do baszty! – krzyknął, widząc wyłaniającą się zza zakrętu sylwetkę okrągłej wieży.

W tym momencie samochód techników zwolnił i skręcił w wąską alejkę ciągnącą się równoległe do murów obronnych. Aleję od murów i baszty oddzielał wysoki wał ziemny, który znajdował się teraz po ich prawej stronie. Z auta widzieli spacerujących po nasypie ludzi. Basztę zostawili za sobą. Po przejechaniu kilku metrów technicy zatrzymali się. Cimelli spojrzał w lewo w stronę nowoczesnych willi wybudowanych po drugiej stronie alejki. Masywne ogrodzenia czyniły z nich prawdziwą twierdzę. Kapitan nabrał wątpliwości, czy tak mała liczba funkcjonariuszy wystarczy, aby siłowo dostać się na teren posesji, gdyby nie zostali wpuszczeni dobrowolnie przez właściciela. Ścisnął w ręce teczkę z nakazem rewizji podpisanym przez prokuratora i zabierał się już do wychodzenia z auta, gdy z krótkofalówki przyłączonej do jego kamizelki rozległ się skrzeczący głos należący do technika.

– Potwierdzam cel, ulica Aniołów 4. Cel znajduje się po waszej prawej stronie. Powtarzam, cel na prawo.

Ekipa w samochodzie zamarła. Wszyscy po kolei przenieśli wzrok na drugą stronę ulicy. Tuż obok drzwiczek auta zobaczyli betonowy portal przypominający olbrzymią rurę kanalizacyjną wyższą od dorosłego człowieka. Rura zaczynała się jakieś pół metra od wału, dochodziła do niego i niknęła w nasypie. Wejście do niej było zabezpieczone starymi drewnianymi drzwiami, z których odchodziła łuszcząca się farba. Na drzwiach wisiał łańcuch i porzewiała kłódka. Na betonowym kołnierzu otaczającym drzwi przyczepiono blaszkę z numerem, identyczną jak te, którymi oznacza się numery domów mieszkalnych. Na blaszce widniała liczba 4.

– Co to, kurwa, jest?! – kapitan po raz drugi od niepamiętnych czasów zaklął w obecności Diany.

– I co to, kurwa, jest? – powtórzył Giacomo do krótkofalówki.

– Ulica Aniołów 4 – zaskrzeczało radio w odpowiedzi. – Eeeee, kolega mówi, że to chyba stary bunkier przeciwlotniczy z czasów wojny.

– Nadajemy bunkrom numery? – Cimelli nie mógł otrząsnąć się ze zdziwienia.

Giacomo nie czekał na rozkaz. Otworzył drzwiczki auta i podszedł do kłódki. Wziął ją do ręki. Nie wyglądała solidnie, podobnie jak łańcuch i spróchniałe drewno wrót. Spojrzał pytająco na kapitana, wrócił do auta, po czym z rozbiegu wymierzył potężnego kopniaka w sam środek drzwi. Metalowy łańcuch spadł na ziemię, a drzwi z łoskotem otworzyły się do środka. Giacomo stał już skulony w pozycji bojowej,

z pistoletem wyciągniętym przed siebie. Diana dotknęła jego ramienia, sygnalizując gotowość do akcji. Cimelli włączył za ich plecami olbrzymią latarkę i podniósł ją do góry, aby oświetlić korytarz, który zobaczyli przed sobą. Ostrożnie postawili pierwszy krok do przodu.

Olivia siedziała skulona za łóżkiem w swojej celi. Do piersi przyciskała kurczowo kamień. Drżała z przerażenia, którego nie potrafiła powstrzymać. Brudne i nieuczesane włosy opadały jej na oczy. Nie przeszkadzało jej to. Wolałaby nie widzieć tego, kto stanął po drugiej stronie metalowych drzwi. Chwilę wcześniej z korytarza dobiegały przerażające hałasy, huki i krzyki ludzi. Nagle wszystko ucichło. Teraz słyszała tylko własny przyspieszony oddech i kapanie wody z nieszczelnego kranu. I ten szelest za drzwiami, którego bała się najbardziej.

„A więc to się tak skończy”, pomyślała, „mamo, mamusiu co ja zrobiłam? Co myśmy zrobiły? Teraz czeka mnie kara”. Z oczu popłynęły jej łzy. Skuliła się. Nie chciała widzieć, nie chciała już niczego czuć. Nie podniosła wzroku, kiedy drzwi się otworzyły, ani gdy usłyszała zbliżające się do niej kroki.

„Nie ma mnie tu, ja nie istnieję”, powtarzała w myślach jak mantrę.

– O ja pierdołę – usłyszała męski głos tuż nad swoją głową.

– Tu jest! Tutaj! Znalazłem ją! – głos skierowany był teraz w drugą stronę.

Po chwili usłyszała kroki innych osób i następny, tym razem kobiecy głos mówiący do niej miękko, niemal czule – Kochana, już jest wszystko dobrze, znaleźliśmy cię. Wszystko w porządku. Olivio, złotko, spójrz na mnie, to ja Diana, przyjaciółka Davide’a, pamiętasz mnie?

Miękka dłoń gładziła ją po włosach. Słyszając znajome imiona odważyła się podnieść wzrok. Niewiele zobaczyła przez łzy. Jakieś silne ręce uniosły ją do góry. Kroki odbiły się echem w korytarzu. Jak przez mgłę zobaczyła zbliżającą się plamę białego światła. Poczula zapach trawy.

– Kochanie, wszystko będzie dobrze, już nikt nie robi ci krzywdy. Mamy tych porywaczy, co cię tu trzymali.

– Jakich porywaczy? – zapytała słabym głosem. – Przecież mnie nikt nie trzymał.

Templariusze

Giacomo świerzbiły ręce. Świadomość, że sala przesłuchań była monitorowana, stanowiła jedyną barierę, jaka powstrzymywała go przed rzuceniem się na przykutego do stołu mężczyznę i rozerwaniem go na strzępy.

Barczysty olbrzym sprawił im mnóstwo problemów po tym, jak weszli do bunkra. Kiedy wysadzili metalowe drzwi zagradzające im drogę do pomieszczenia znajdującego się w głębi korytarza, jego czterech kolegów leżało już potulnie na ziemi z rękami założonymi za głowę. Wielkolud jednak nie zamierzał się poddać. Nie reagował na komendy i nie wystraszył go nawet strzał ostrzegawczy. Mamrocząc jakieś zdania po łacinie, z gołymi pięściami, ruszył jak rozwścieczony niedźwiedź wprost na karabinierów. Chyba tylko fakt, że został oślepiony granatem hukowym, który odpalili przed wejściem, uratował idącego na czele grupy Giacomo przed wprasowaniem w ścianę. Wielkie jak hutnicze młoty pięści olbrzyma przelatywały mu nad głową z prędkością, jakiej nie powstydziliby się zawodowy bokser. Jeden z ciosów zaledwie go musnął, a mimo to karabinier poleciał bezwładnie na przeciwną ścianę jakby był workiem ziemniaków. Dopiero użycie paralizatora, który zapobiegliwie wziął ze sobą brzydzący się rozlewem krwi kapitan Cimelli, spowolniło ruchy wielkoluda na tyle, że Diana z trudem zdołała założyć mu kajdanki, a później skrępować jego wierzgające nogi plastikowymi paskami zaciskowymi.

Giacomo na wspomnienie wydarzeń w bunkrze pogładził się po obolałej szczęce.

– Słuchaj no, pajacu, jesteś w gównie po uszy – rzucił w stronę skutego olbrzyma. – Za kradzież, porwanie i stawianie czynnego oporu funkcjonariuszowi dostaniesz parę latek. No chyba, że zaczniesz gadać, to coś ci tam może odpuszczą. Oczywiście, o ile nie przylepią ci też morderstwa z zamku. Tak czy owak, ja bym się na twoim miejscu zastanowił.

– Po co porwaliście Olivię Cattanei? Gdzie zajumaliście ten kamyk? Dla kogo wy w ogóle pracujecie? Sami byście tego wszystkiego nie zaplanowali, nie wyglądacie na specjalnie rozbudowanych – powtórzył po raz kolejny pytania wskazując głową na zapakowany w folię dowód rzeczowy.

Kamień wzbudził na posterunku niemałą sensację. Nikt z nich nie widział na własne oczy tak wielkiego klejnotu. Wezwany na oględziny jubiler długo przecierał oczy ze zdumienia. Obiecał skonsultować się z kolegami, ponieważ nie był go w stanie wycenić ani powiedzieć z czyjej kolekcji mógł pochodzić. Właściwie, mimo ponad trzydziestoletniego doświadczenia w zawodzie, nie mógł nawet odpowiedzieć na najprostsze pytanie: czym w istocie był ten klejnot, ponieważ wykazywał cechy

rubinu i diamentu jednocześnie, a, co jeszcze bardziej komplikowało sprawy, jego środek zdawał się wypełniony jakąś gęstą cieczą. Pozbawione śladów jakiegokolwiek obróbki, obłe kształty kamienia upodabniały go do niezwykłego, emitującego czerwony blask, nie do końca zastygłego bursztynu.

Olbrzym nie od razu odpowiedział na zadane mu pytania. Popatrzył na Giacomo wielkimi szarymi oczami i wyrecytował:

– „Nie domagaj się, abym Ci go pokazał. Jego wskazuje się nie palcem, a duszą”.

Giacomo po raz pierwszy usłyszał jego głos.

– No proszę, ty jednak umiesz mówić! Żeby tylko jeszcze z sensem. Co to za brednie?

– To nie brednie. Święty Augustyn, proszę pana – odpowiedział spokojnie wielkolud.

– To ty taki bogobojny jesteś? Ładnie – zakpił Giacomo. – I to jest w porządku, żeby taki boży rycerz kradł, porywał i zabijał?

– Nikogo nie porwałem ani nie zabiłem i niczego nie ukradłem. Służę tylko Panu mojemu i do śmierci służyć będę – głos mężczyzny znów zabrzmiał jak wyuczona recytacja. Giacomo westchnął. W kieszeni zawibrował mu telefon. Zgarnął folię z klejnotem ze stołu, wystukał kod na elektronicznym zamku i wyszedł na korytarz. Dzwoniła do niego Diana, która pojechała na pogotowie wraz z Olivią.

– No hej! Słuchaj. Ja nie wiem, czy my tych kolesi nie będziemy musieli wypuścić – usłyszał jej zaaferowany głos.

– Sorry Di, ale ty chyba na głowę upadłaś. Niby czemu? I jak tam w ogóle ta dziewczyna? – nie lubił Olivii, ale widok zmaltretowanej kobiety wywołał w nim mieszaną tkliwość i skrajną wściekłość na porywaczy.

– Dobrze. Niedożywiona tylko i w szoku – odpowiedziała Diana. – Potrzymają ją tu chwilę na obserwacji, do rana powinna stąd wyjść. No, ale właśnie. Jest przytomna i się upiera, że ona tam weszła sama do tego bunkra i że ci goście ją chronili, a nie porwali.

– Ja pieprzę! Oni ją zastraszyli pewnie albo od ciemności pomieszało jej się w tej blond główce! Wrócę zaraz do tego gnoja i tak go ścisnę za jaja, że mu święty Augustyn będzie musiał okłady robić!

– Jaki Augustyn? – Diana nie rozumiała o co mu chodzi.

– Nieważne, za nic ich nie wypuszczę, niech stary załatwia kwity od prokuratora, jeszcze całkiem mnie nie powaliło, żeby kryminalistów... – nie dokończył tyrady, gdyż za drzwiami pokoju przesłuchań rozległ się głuchy łoskot.

– Czekaj, oddzwonię! – Giacomo rozłączył rozmowę i rzucił się do drzwi. W zdenerwowaniu źle wpisał kod i drzwi się nie otworzyły. Klnąc na czym świat stoi, powtórzył sekwencję liczb na klawiaturze zamka i po chwili wpadł jak bomba do pokoju.

Wielkolud siedział na swoim miejscu i patrzył na niego z tym samym stoickim spokojem. Z nosa wypływały mu dwie strugi krwi, które zdążyły już przemoczyć mu

koszulę na piersiach. Na metalowym stole, do którego był przykuty, widniała napisana krwią długa liczba. Kiedy Giacomo otrząsnął się z szoku, jaki wywołał w nim ten widok, ze zdziwieniem rozpoznał pierwsze cyfry. „0532”. Był to numer kierunkowy Ferrary. Mężczyzna najwyraźniej złamał sobie nos, aby napisać nim numer telefonu na stole. Giacomo wyciągnął komórkę i zaczął wybijać cyfry na klawiaturze.

– Ty zjebie! – spojrzał na przesłuchiwanego. – Przecież mogłeś mi to po prostu podyktować!

Davide stał przed zamkniętymi drzwiami szpitalnego pokoju i nie mógł się zdecydować, czy nacisnąć klamkę. Zdawał sobie sprawę z tego, że jego wahanie było całkowicie nieracjonalne albo wręcz idiotyczne, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę ogrom wysiłku, jaki kosztowało go przekonanie pielęgniarek w recepcji, że jest narzeczonym Olivii Cattanei i że absolutnie powinien dostać pozwolenie na odwiedzenie jej, mimo że oficjalnie nie był do tego uprawniony. Teraz stojąc przed drzwiami pomyślał, że widok jej czystych błękitnych oczu na zawsze będzie mu się już kojarzył ze spojrzeniem bezwzględnej morderczyni, która z Bóg wie jakiego powodu wysłała na tamten świat profesora Bonardiego. To był ciężar, którego nie był w stanie udźwignąć. Tylko kilka metrów dzieliło go od kobiety, za którą jeszcze niedawno poszedłby do samego piekła. Nieoczekiwanie piekło wypełzło i stanęło mu na drodze, śmiejąc mu się szyderczo w twarz. Z ciężkim sercem zdjął rękę z klamki i obrócił się na pięcie. W tym samym momencie zza rogu wyłoniła się Diana z dwoma kubkami kawy, które niosła w rękach.

– Davide! – ucieszyła się. – Przepraszam cię strasznie, miałam mnóstwo na głowie. Giacomo ci powiedział, że ona tu jest?

Skinął milcząco głową.

– I co? Pogadaliście sobie? Zostaniesz? Przyniosę jeszcze jedną kawę.

Wzruszył ramionami.

– Yyyy... nie. Nie mogę, muszę iść. Przepraszam.

Nie patrząc przyjaciółce w oczy, obrócił się i odszedł w stronę windy.

Diana zastygła patrząc, jak się oddala. Jej twarz przybrała poważny wyraz. Pomagając sobie łokciem, weszła do pokoju. Olivia leżała w takiej pozycji, w jakiej ją zostawiła.

– Był tu ktoś? – zapytała, bezceremonialnie przerywając jej drzemkę.

– Co? – Olivia otwarła oczy. – Kto? Nikt tu nie wchodził. Chyba że kiedy spałam.

Diana podeszła do łóżka i podała dziewczynie kawę, po czym usiadła na krześle stojącym koło łóżka i podniosła swój kubek do ust. Skrzywiła się. „Cazzo, kawa z automatu”, westchnęła w myślach.

– Więc powiedz mi jeszcze raz – zwróciła się do Olivii. – Skąd się wziął ten kamień, kim są ci ludzie i jak się znalazłaś w bunkrze?

– Ja panów zapewniam i przysięgam na Matkę Przenajświętszą, że to są porządne chłopaki!

Don Cristoforo miał w palcach swój kapłański beret. Miał siedemdziesiąt pięć lat, ale ten gest upodobnił go w oczach kapitana Cimelli do małego chłopca, który usprawiedliwiał psikus swoich kompanów przed surowym nauczycielem. Skojarzenie było tym mocniejsze, że za plecami księdza siedziało pięć przykutych do krzeseł postaci z opuszczonymi głowami.

Zgromadzenie wszystkich podejrzanych w jednym pomieszczeniu było naruszeniem procedur, ale odkąd Giacomo wykręcił napisany krwią na stole numer i usłyszał w słuchawce głos don Cristoforo, sprawy przybrały nieoczekiwany obrót.

Don Cristoforo był w lokalnej społeczności postacią znaną, lubianą i powszechnie szanowaną. Szanowaną tak bardzo, że nawet kiedy oficjalnie przyznał się do posiadania dziecka spłodzonego z jedną z parafianek, biskup po krótkiej przerwie przywrócił księdza do posługi, zabierając mu jedynie stanowisko proboszcza. Kapłan z zapałem wrócił więc do tego, co robił najlepiej: do pomagania sierotom, emigrantom i bezdomnym. Po telefonie Giacomo natychmiast pojawił się na posterunku i poprosił o przyprowadzenie wszystkich zatrzymanych „porywaczy” schwytych w bunkrze. Rozpoznał ich od razu i ze łzami w oczach zaczął błagać kapitana oraz wciąż nieufnego Giacomo o ich uwolnienie.

– Panowie, oni muchy by nie skrzywdzili! No może Marco to gagatek jest największy, przyznaję, trochę klapsów by mu nie zaszkodziło, ale to jest chłopak ze złotym sercem!

Gagatek ze złotym sercem miał grubo ponad czterdzieści lat i siwe włosy, co nie przeszkadzało kapłanowi mówić o nim jak o rodzonym synu.

– Rozumie jednak ksiądz, że samo dobre słowo nie wystarczy, żeby oczyścić podejrzanych z zarzutów. A one są poważne: od morderstwa, kradzieży, przez porwanie, aż po pobicie funkcjonariusza na służbie – odpowiedział ważąc słowa kapitan Cimelli.

– Ach tam poważne! – sapnął don Cristoforo. – Synku – zwrócił się do kapitana, który był niemal jego rówieśnikiem – a ile razy ja tu przychodziłem ręcząc za moich huncwotów. I co? Nigdy żaden tu drugi raz nie trafił! A to i narkomany były, i złodziejaszki różne. Jak ja poręczę, to jakby Pan Jezus poręczył, już wy to dobrze przecież wiecie. A te tutaj to dobre chłopaki są wszystkie. Oni nie zabili nikogo! Sprawdźcie sobie ich odciski, geny, czy co wy tam zwykle sprawdzacie, to sami się przekonacie. Kamienia też nie ukradli ani nie porwali tej panienki, tylko jej bronili jako dobrzy chrześcijanie i rycerze Chrystusa.

– No, no właśnie, właśnie – wszedł mu w słowo Giacomo. – Co to za ściema... – odchrząknął – co to za historia z tymi rycerzami? Duzi chłopcy się bawią w grupę rekonstrukcyjną? To przebieranki? Takie jak na Palio, tak?

– Ależ absolutnie żadne przebieranki! – obruszył się ksiądz. – To prawda, ja na

początku też nie za bardzo byłem przekonany, ale Marco i Antonio, a znam ich dobre dwadzieścia lat, to są dobrzy ludzie, więc czemu miałem ich nie posłuchać? – wzruszył ramionami. – A oni do mnie przyszli jakieś pięć czy sześć lat temu z książkami i z drukami różnymi z internetów. I tam było napisane, że ten sławny zakon rycerzy, co to o nim filmy nawet robili i mówili, że to heretycy byli i za to ich spalili na stosach, no więc w tych dokumentach stało napisane, że tak naprawdę ten zakon nigdy nie został potępiony przez żadnego papieża ani klątwy nie było żadnej, ani nic! Oni ich wtedy, znaczy w średniowieczu, pozabijali tylko dlatego, że się królom narazili, szczególnie temu francuskiemu. A że papież wtedy słaby był i wiele do gadania nie miał, no to się zgodził... Ale nigdy ich nie wyklął! Okazało się, że jak byśmy to dziś powiedzieli, to było nielegalne rozwiązanie. No i Marco mi mówi: „don, a jakbyśmy my ten zakon zawiązali na nowo, a don by nam pomógł, to może i sam papież by się zgodził i oddał jakieś majątki, co to wtedy tym templariuszom odebrali i dali innym zakonom? I my byśmy dzięki tym odzyskanym majątkom mogli dzieło dona powiększyć, sierocińce nowe pootwierać, emigrantów, co się nie mają gdzie podziąć z ulicy, pościągać, żeby narkomanami nie zostali”. No więc tak mnie mój Marco przekonywał, aż przekonał, a jak przekonał, to ja od razu do Watykanu pojechałem. Do papieża mnie wprawdzie nie puścili ani majątków nie oddali, ale glejt z pieczęcią od Franciszka dostałem. No i żeśmy zakon zawiązali na nowo. Legalnie całkowicie! Wszystko mamy w papierach, pokazać mogę. No i tak nasz Marco został wielkim mistrzem. Pierwszym po ponad siedmiuset latach. No i wszystko byłoby dobrze, gdyby się ten oszust nie pojawił, ten Francuz farbowany, szatan wcielony.

Giacomo i kapitan wymienili porozumiewawcze spojrzenie.

– Jak się nazywał ten Francuz, proszę księdza? Może ksiądz coś więcej o nim opowiedzieć – poprosił spokojnie Cimelli.

– A mogę i chętnie opowiem – zgodził się duchowny. – Tym bardziej, że to on jest wszystkiemu winny i to przez tego łobuza teraz moi chłopcy tu siedzą. No więc, od czego tu zacząć – zastanowił się. – Po zgodzie Watykanu i po oficjalnej reaktywacji zakonu zaczęliśmy od wykupienia kilku budynków będących kiedyś własnością templariuszy. Chcieliśmy je odnowić, założyć tam biura i stworzyć nową noclegownię dla bezdomnych.

– Zaraz, momencik – wtrącił się Giacomo. – Przecież mówił ksiądz, że Watykan nie zgodził się na zwrot zarekwirowanego majątku?

– A i owszem nie zgodził się – potwierdził don Cristoforo. – Majątku nie oddali, bo to by było zbyt skomplikowane. Kiedy rozwiązano zakon templariuszy w czternastym wieku, część należących do nich nieruchomości, a było ich mnóstwo, przeszła na własność króla Francji. No w sumie taki był jego cel, zdaje się. Ale we Włoszech król nie rządził. Tutaj były ziemie papieskie i papież zdecydował, żeby te wszystkie kościoły i budynki templariuszy zabrał sobie inny zakon – bożogrobców. A panowie się w Ferrarze nie urodzili, przepraszam?

– Nie, ale mieszkamy tu długo... A dlaczego ksiądz pyta? – kapitan Cimelli odpowiedział pytaniem na pytanie.

– A no tak myślałem, że wy nie stąd – don przytaknął sam sobie. – Ale do kościoła czasem chodzicie? Takie czerwone krzyże nad wejściem kiedyś widzieliście może? – nie przestawał dopytywać duchowny.

Odpowiedzią było milczenie. Obaj karabinierzy wychowani w katolickich rodzinach wstydzieli się przyznać przed księdzem, że od lat nie uczestniczyli w żadnej mszy.

– No, nieważne – westchnął zrezygowany ksiądz. – Jak kiedyś zajrzycie do kościoła w starej części miasta, a gwarantuję wam, że żadna krzywda wam się nie stanie, to zauważycie na pewno te czerwone krzyże bożogrobców. I będziecie już wiedzieć, że to wszystko należało kiedyś do templariuszy. Ale to było ponad siedemset lat temu. Pewnie się domyślacie, że bożogrobcy i joannici, którzy się potem też tymi kościołami i budynkami zajęli, nie za bardzo by byli chętni, żeby to wszystko oddawać? No więc nasz obecny papież, nie chcąc wojny między zakonnikami wywoływać, wymyślił inny sposób. Kazał nam założyć fundację, no bo w końcu mamy dwudziesty pierwszy wiek. No i ta fundacja statutowo oprócz pomocy biednym zajmuje się wykupywaniem nieruchomości na cele charytatywne. A że wiele tych kościołów, co kiedyś należały do bożogrobców zostało zdesakralizowanych albo popadło w ruinę na skutek kataklizmów i braku wiernych, to nam się udało już kilka budynków odzyskać.

– A ten Francuz? Mówił coś don o jakimś Francuzie? – niecierpliwa natura Giacomo znów nie pozwoliła mu doczekać końca opowiadania księdza.

– A już mówię – duchowny pokiwał głową. – Bo właśnie wtedy, jakżeśmy ruszyli z tą fundacją, to się przypalał ten niby spadkobierca templariuszy.

– De Montresor? – Cimelli wypowiedział na głos to, co wraz z Giacomo podejrzewali, odkąd tylko duchowny po raz pierwszy wspomniął o Francuzie.

– Tak, właśnie o niego chodzi. I szkoda wielka, że dopiero dziś się dowiedziałem, że już go dawno dopadliście! Niepotrzebnie oni w tym bunkrze tyle siedzieli... – westchnął don Cristoforo. – Ależ to łobuz był! Jak on nam krwi napsuł! – ksiądz poczerwieniał ze złości na samo wspomnienie. – Przyszedł do nas do biura fundacji jakiś rok temu. Pokazał dokumenty, że to niby był z rodziny jakiegoś rycerza zakonnego i że mu się też część tego majątku należy. Początkowo go z Marco wyśmialiśmy. Od razu wyczuliśmy, że on chciał od nas wyciągnąć pieniądze, ale potem zamydlił nam oczy tym klejnotem i grobem Paganiego. I się daliśmy w to wciągnąć. No, ale to akurat kłamstwa nie były.

– Zaraz, grobem kogo?! – przeraził się kapitan. Liczba ofiar związanych z tą sprawą była dla niego już i tak nazbyt długa.

– Ugo dei Pagani, założyciel i pierwszy wielki mistrz zakonu templariuszy.

Cimelli uniósł pytająco brew.

– No, ja też nie wiedziałem, że ktoś taki znaczny jest pogrzebany w Ferrarze – zareagował ksiądz. – Tym bardziej, że studiując dokumenty przed reaktywacją Zakonu poznaliśmy nieco inną historię. W historycznych zapiskach ten pierwszy wielki mistrz nazywał się Hugues de Payns i miał być Francuzem. Nic mowy nie było

o Ferrarze.

– No dobrze, ale co ten cały Ugo ma wspólnego z tą historią? – zapytał nieco spokojniejszym tonem Cimelli. Nieboszczycy sprzed wieków na szczęście nie wchodzili w zakres jego kompetencji.

– Był świętym mężem i należy mu się rycerski pochówek wraz ze wszystkim, co do niego należało – odezwał się nieoczekiwanie Marco siedzący za ich plecami.

– Ciebie nikt o nic nie pytał zje... rycerzu! – Giacomo o mało nie zaklął przy księdzu.

– Spokojnie – mrugnął do niego Cimelli. – Ostatecznie to nowy wielki mistrz templariuszy. Zaprosimy mistrza do siebie, skoro wreszcie zdecydował się mówić!

Gestem nakazał Giacomo rozkucie i przyprowadzenie więźnia. Po chwili wielkolud posłusznie usiadł obok księdza.

– No więc? – ponaglił duchownego Giacomo. – Dowiemy się wreszcie reszty historii?

Don Cristoforo wysłał swojemu podopiecznemu zachęcające spojrzenie.

– Opowiedz im chłopcze, jak to było dalej – powiedział.

– Ugo dei Pagani to ta sama osoba co Hugues de Payns, tak nam ten Francuz powiedział – Marco zaczął swoją opowieść. – I że mamy tu w Ferrarze grób pierwszego wielkiego mistrza i wcale o tym nie wiemy. I mało tego, powiedział jeszcze, że z tego grobu skradziono coś, co powinno do niego wrócić, inaczej dusza mistrza nigdy nie zazna spokoju.

– Tak! Klejnot proszę księdza – za ich plecami odezwał się głos Diany, która dopiero co wróciła ze szpitala. Przysunęła sobie krzesło i usiadła obok kapitana.

– Wiem to od Olivii – wyjaśniła Diana w odpowiedzi na pytające spojrzenie swojego szefa. – Opowiedziała mi swoją wersję historii. Z chęcią się przekonam, czy panowie mi ją potwierdzą. – Wiem już, że de Montresor zaproponował wam wspólne szukanie grobu wielkiego mistrza i klejnotu, który, jak obiecał, powróci tam, skąd go zabrano. Czy tak? – dziewczyna zwróciła się do Marco.

– Zgadza się, panienko – rzucił ten w odpowiedzi. Diana niemal nie parsknęła śmiechem. Odkąd skończyła osiemnaście lat i założyła mundur kadetki, nikt jej już tak nie nazywał.

– Ten oszust miał na wszystko dowody – ciągnął dalej olbrzym. Pokazał nam stare dokumenty, mapy, drzewa genealogiczne. Część była oryginalna a część to były wydruki z internetu. Opowiedział nam, że Ugo dei Pagani był Włochem i pochodził z Ferrary, jak cała jego rodzina. Był krzyżowcem i wrócił z Ziemi Świętej jako pierwszy mistrz nowego zakonu templariuszy, który tam został założony. Przywiózł ze sobą dużo cennych rzeczy. Papirusy, stare księgi. I jeden wielki klejnot znaleziony podobno w siedzibie zakonu w Jerozolimie. A tą siedzibą była dawna Świątynia Salomona, najstarsza świątynia Żydów, naszych starszych braci w wierze – zaakcentował nabożnym tonem.

– I wyście mu tak uwierzyli? Bo wam jakieś wydruki pokazał? – zapytała

provokacyjnie Diana.

– Proszę pani – wtrącił się don Cristoforo. Ja mam siedemdziesiąt pięć lat. Całe życie pracuję ze złodziejaskami i oszustami. Oczywiście, że mu nie uwierzyłem. Ale historia była intrygująca. I gdyby było w niej ziarno prawdy... Cóż, to by nam ułatwiło pracę. Papież spojrzalby na nas jeszcze bardziej przychylnym okiem, gdybyśmy mieli tu grób tak ważnej osoby. Nie mówiąc o relikwii pochodzącej ze świętego miejsca.

– Tjaaa... i dzięki temu zaczęłyby się pielgrzymki, dewocjalia, odpusty, te sprawy? – nie wytrzymał Giacomo. – Niezły pomysł na biznes – zdążył dodać, zanim kapitan spiorunował go wzrokiem.

– Więc w końcu de Montresor was przekonał? – zapytał szybko księdza, próbując odwrócić jego uwagę od aroganckiego zachowania Giacomo.

– Nie, nie od razu... Ale zaczęliśmy się dowiadywać – ksiądz wrócił do przerwanej opowieści. – Wiedzą państwo, Kościół posiada bardzo bogate i uporządkowane archiwa, do których często nawet nie mają dostępu, hmm, ludzie świeccy.

Diana przypomniała sobie wizytę w bibliotece w Mediolanie.

– No więc – ciągnął dalej ksiądz – pofatygowałem się tu i tam, skorzystałem z moich znajomości i dowiedziałem się, że rodzina de Pagani rzeczywiście mieszkała w tym mieście i to przy głównej ulicy w centrum. Wszyscy wielokrotnie przechodziliśmy pod ich domem. Najmniej dowiedziałem się o klejnocie. Ale tę historię potwierdziła nam inna osoba, którą chyba państwo już poznaliście, bo usłyszałem jej imię.

– Olivia – powiedziała bardziej do siebie niż do duchownego Diana.

– Tak, Olivia Cattanei, w jedenastym pokoleniu prawnuczka Lukrecji Borgii, księżnej d'Este.

Po słowach księdza w pomieszczeniu zapanowała cisza.

– Tej Lukrecji Borgii z rozwalonej krypty?! – chciał się upewnić Giacomo.

– Tak, proszę pana – potwierdził don Cristoforo. – Tej samej. I proszę nie pytać, czy jej uwierzyłem na słowo. Mówią, że ja poczciwy jestem. Ale nie, że głupi. Sprawdziłem ją w kościelnych dokumentach. Zresztą, tak naprawdę nie trzeba było nawet sprawdzać, wystarczyło zobaczyć któryś z portretów księżnej. Uderzające podobieństwo. Aż dziwne po tylu pokoleniach.

– Panienska sama się do nas zgłosiła z kamieniem – wtrącił się Marco. Po raz pierwszy w jego głosie zabrzmiały emocje. Sprawiał wrażenie osoby, która za wszelką cenę chce, aby uwierzono w jej dobre intencje. – Powiedziała, że jej praprababka Borgia, dostała ten kamień w posagu od ojca. A jej ojciec był papieżem, nazywał się Aleksander VI. Niestety, w tamtych czasach nie wszyscy kapłani przestrzegali ślubów czystości... – dodał wyjaśniająco. Nagle jego wzrok padł na siedzącego obok don Cristoforo i zamarł, czerwieniejąc jednocześnie na twarzy. Ksiądz nie wydawał się wcale zażenowany uwagą o złamanym ślubach.

– Ten papież to zwykły hultaj był, awanturnik i bezbożnik, proszę państwa, nie oszukujmy się – powiedział duchowny dziarskim głosem. – Ale kochał swoją córkę

Lukrecję nad życie. I dał jej w posagu najcenniejsze świecidełko, jakie miał w skarbcu. Tylko że nie wiedział, że ten klejnot właśnie z Ferrary pochodził, z grobu pierwszego templariusza, skąd został zabrany przez innego papieża dwieście lat wcześniej, kiedy zlikwidowano zakon. Ale, jak widzicie, pan Bóg chciał najwyraźniej, żeby sprawiedliwości stało się zadość i sprawił tak, że klejnot do Ferrary wrócił. Tyle, że niestety do Paganiego już nie. Lukrecja Borgia długo nie wiedziała, czyj był ten kamyk, a jak się dowiedziała, to zaczęła szukać templariuszy. Podobno nawet na portretach, które jej malowano eksponowała specjalnie ten kamień albo symbole zakonu. Ale nikt się do niej nie zgłosił, więc zarządziła, żeby po jej śmierci ten kamień wrócił do grobu Paganiego. Tylko że, jak wiecie, ludzie są chciwi. Kamień najwyraźniej jednak do grobu nie poszedł, a przez kolejne wieki dużo ludzi przez niego zginęło, wielu od wiary odeszło, ponoć i jakieś czary i opętania były przez niego spowodowane. Tak nam powiedziała panienska Olivia, która po śmierci swojej matki poprzysięgła kamień oddać. Ale jak tu oddać, gdy templariuszy już nie było, a grobu Paganiego nikt od wieków nie umiał już wskazać? – zapytał don retorycznie.

– I wtedy nas znalazła – wszedł mu w słowo Marco. – Normalnie, wygoogłała nas, bo założyłem stronę zakonu w internecie. I fanpage, i instagrama nawet – wymieniał z wyraźną dumą.

– No tak, bo mamy dwudziesty pierwszy wiek, rozumiem – podsumował Cimelli nieco zbywającym tonem. – Ale co do tego ma nasz Francuz, de Montresor? Bardzo nas to ciekawi.

– Ach, i to jest najgorsza część tej całej sprawy – westchnął ksiądz. Jak się ten okropnik o Olivii dowiedział i o tym kamieniu, to jakby w niego sam diabeł wstąpił. Powiedział, że on w to nie wierzy, że to pewnie falsyfikat, bo oryginał, według niego, powinien spoczywać w grobie Paganiego i że on koniecznie chce zobaczyć i ją, i ten kamień. Bardzo niemiły i niegrzeczny się zrobił. Jasne się stało, że on ten klejnot chciał dla siebie i dla swojej bandy. Pewnie by zwiął, jakby go dostał. A panienska jak do nas przyszła, to błagała na wszystkie świętości, żeby nikomu nie mówić, że ona nikogo nie chce widzieć, ani nikomu tego kamienia nie będzie pokazywać. Powiedziała, że ten klejnot nam da, jak jej przysięgniemy, że będziemy jej pilnować, bo już wtedy wydawało się jej, że ktoś ją śledzi.

– I przysięgliście? – zapytała Diana.

– Ja poprzysięgłem. W imieniu zakonu i dla dobra jego – potwierdził Marco z emfazą.

– No to jakim cudem de Montresor się dowiedział? – dociekała dalej Diana.

– Tego wtedy nie wiedzieliśmy – odpowiedział jej ksiądz. Dopiero potem znaleźliśmy w biurze takie małe mikrofoniki, jak to one... – zastanowił się.

– Pluskwy! – podrzucił mu wielkolud.

– Tak, pluskwy – ucieszył się don. – Jak je znaleźliśmy, to już wiedzieliśmy, że to zły człowiek, bo się okazało, że on Olivię próbował porwać. Pewnie chciał się upewnić, czy ona rzeczywiście mogła mieć ten kamień. Gdyby nie Marco, to nie wiadomo, co by jej zrobił – powiedział wyraźnie dumny z wychowanka. – Widzicie, że to dobry

człowiek jest i waleczny!

Giacomo dotknął odruchowo swojej szczęki. Dalej go niemiłosiernie bolała.

– I co, potem sami jej pluskwy zamontowaliście? Cwanel! – zaśmiał się szyderczo.

– Tylko po to, żeby jej pilnować! – obruszył się Marco. Mieliśmy pełne ręce roboty, pilnowaliśmy panienki, patrolowaliśmy kościoły, bo baliśmy się, że ten bezbożnik będzie szukał grobu mistrza i dewastował krypty. Odkąd przestaliśmy się z nim dzielić informacjami, on zaczął działać na oślep. No i sami się też baliśmy, bo jeden z ludzi Montresora, taki Saracen, Arab, groził nam i księdzu śmiercią.

– I w końcu uciekliście do bunkra? – podpowiedział Cimelli.

– Tak, jak zrobiło się naprawdę gorąco i usłyszeliśmy o zabitym profesorze, doradziłem Marco i chłopakom, żeby tam przez chwilę dla bezpieczeństwa posiedzieli. I panienska Olivia tam przysłała. Sama z własnej woli. A bunkry też kupiliśmy! – dodał zadowolony ksiądz – To dobra kryjówka, nikt by tam ich nie szukał.

Zapadła cisza. Cimelli nie mógł zdecydować, czy potraktować to wszystko jako fantastyczne rojenia, czy przyjąć drogę rozwagi i dyplomacji. Znał starego duchownego od lat. Kilkukrotnie korzystał z jego pomocy. Ksiądz był osobą godną zaufania, twardo stąpającą po ziemi i nie było powodu, żeby mu nie wierzyć.

– I co ja mam z wami zrobić? – pozwolił sobie na nieprofesjonalne pytanie w obecności podejrzanych.

– Uwolnić, panie kapitanie, uwolnić! – don Cristoforo ścisnął go mocno za przedramię i spojrzał mu w oczy. We wzroku starego kapłana kapitan dostrzegł młodzieńcze iskierki niezłomnej wiary w ludzi.

– Jak wy to teraz mówicie, „karma wraca” – przekonywał don. – Zobaczycie, że dobrze zrobicie, puszczając moich gagatków wolno.

– Żeby to było takie proste, proszę księdza... – Cimelli podrapał się po siwej skroni. – Wyniki porównawcze DNA ze śladami w zamku będę miał za chwilę. Zobaczymy, co pokażą. Jeśli porwania Cattanei faktycznie nie było, to i na napaść na funkcjonariusza będziemy mogli przymknąć oko. Bunkry należą, jak rozumiem do waszej fundacji, więc i tu przestępstwa nie było. Uwolnić może i będę mógł warunkowo. Ale pozostaje kwestia kamienia. To jest dzieło sztuki o nieocenionej wartości. Pani Olivia będzie musiała udowodnić, że kamień należy do niej.

– Kamień należy do zakonu! – powiedział stanowczym głosem Marco. – Przekazała nam go! – zwinął wielką jak bochen chleba dłoń w pięść. Giacomo na wszelki wypadek cofnął się o krok.

– To dodatkowo komplikuje sprawę. Potrzebny będzie też akt darowizny – westchnął kapitan. – Kamień zostanie tutaj, aż zbada go specjalna komisja z urzędu i do momentu przedstawienia wiarygodnych dokumentów własności – zdecydował.

– Panie kapitanie – ksiądz ponownie złapał karabiniera za ramię. – Ja pana bardzo proszę o wielką, olbrzymią przysługę.

Kapitan przewrócił oczami. Miał już dość tych ludzi i sprawy, którą chciał czym

prędzej zamknąć.

– Wszystko się dobrze skończyło – powiedział duchowny. – Złoczyńców złapaliście, choć żałuję, że się krew polała. Nawet ten łotr de Montresor zasługiwał na przebaczenie. Do kamienia nikt pretensji nie zgłasza. I nie zgłosi, bo gwarantuję panu, że panienska Olivia prawdę mówi. Nikt do wczoraj nie miał nawet pojęcia o tym klejnocie. Więc błagam pana kapitana o jedną rzecz. Niech nam pan na razie tylko wypożyczy ten kamień. Na jeden dzień, może być w asyście policji. Bo widzi pan... myśmy ten grób Paganiego rzeczywiście znaleźli. Zdziwi się pan gdzie! – uśmiechnął się tajemniczo. – I chcemy tam zawieźć ten jego klejnot i uroczyste poświęcić i celebrować moment bożej sprawiedliwości. Chodzi tylko o symbol, ale ważny i pobożny. Żeby nieboszczyk spoczywał w pokoju, a Pan Bóg zobaczył, że dokonała się sprawiedliwość!

Kapitan wznosił oczy ku niebu. Pomyślał o domku nad morzem i o zbliżającej się emeryturze. Za cenę spokoju, był gotów zgodzić się na wszystko.

Testament

Mimo wolnej soboty, Davide od wczesnego rana urzędował w redakcji dziennika. Laserowa drukarka wypluwała z siebie kopie ogłoszenia z wizerunkiem Enrico Montanari, a Davide ze słuchawkami w uszach, jednocześnie tworzył post na portalu społecznościowym i prowadził rozmowę z kolejną instytucją zajmującą się poszukiwaniem zaginionych osób.

– Tak, proszę pana, będę wdzięczny za każdą pomoc. Na początek proszę o udostępnienie posta, jaki panu zaraz wyślę, macie olbrzymi zasięg, dzięki temu może znajdą się jacyś świadkowie lub osoby posiadające jakiegokolwiek informacje. Wiadomo, że liczy się czas, szczególnie jeśli doszłoby do wylewu lub innego zdarzenia, które mogłoby spowodować u zaginionego amnezję lub utratę poczucia orientacji. A taka hipoteza jest jedną z dwóch sugerowanych przez policję. Oni niestety najwyraźniej nie spieszą się z reakcją, sam pan wie, jak te procedury wyglądają. Nie, proszę pana, na tym etapie z powodu braku dowodów prokurator nie zlecił śledztwa w sprawie kryminalnej. Jaka jest druga hipoteza? Ano taka, że niby mój szef się załamał po śmierci jedynej krewnej i popełnił samobójstwo. Podejrzewają, że mógł rzucić się do rzeki, wysłali tam nurków. Powiem panu szczerze, że dla mnie to jest bujda na resorach, Enrico nigdy by się na siebie nie targnął, a poza tym jest to facet, który w życiu by nie zostawił redakcji ani tych wszystkich niedokończonych spraw. To bałaganiarz, ale zawodowo to jest człowiek bezbłędny, nie ma opcji, żeby zostawił coś w połowie roboty. Proszę pana, jak on by się chciał zabić, to wszystko by szczegółowo zaplanował, zostawił dyspozycje, list pożegnalny i tak dalej. Także ja w to nie wierzę absolutnie. Tak, sprawdziłem jego mieszkanie, szuflady, wszystko. Rzeczy leżą, jakby wyszedł na chwilę i żadnych listów nigdzie nie ma. Komórki też. Tak, dzwoniłem, ale jest nieaktywna. Ostatnie logowanie pochodzi z miejsca, gdzie mieliśmy się spotkać, potem się wyładowała lub została wyłączona. Tylko do jego komputera się dostać nie mogę, ale to kwestia czasu. Tak? No dobrze, cieszę się... No to będziemy w kontakcie, dziękuję serdecznie jeszcze raz, wasza pomoc jest nieoceniona, do usłyszenia!

Davide nacisnął przycisk na słuchawce i rozłączył rozmowę. Wyjął słuchawki z uszu i rzucił je obok telefonu leżącego przed nim na biurku. Wstał, aby dołożyć papieru do drukarki, kiedy telefon zawibrował. Wziął go do ręki. Jego twarz stężała. Wiadomość od Olivii była ostatnią, na którą czekał i na którą chciałby w tej chwili odpowiadać. Jednak ciekawość wzięła górę.

„Nie zasługuję na więcej niż chwila Twojej uwagi” – przeczytał początek – „ale wierzę, że chwila, o którą cię proszę, będzie cenna także dla ciebie i że każdy

zasługuje na ostatnią szansę. Daj mi ją, a w zamian otrzymasz informacje, których tak usilnie poszukiwałeś. Bądź w południe tam, gdzie Piekło spotyka się z Rajem. Wybacz, ale nie mogłam się powstrzymać przed ostatnią zagadką. Rozwiąż ją, a dowiesz się wszystkiego. O.C.”.

Davide pomyślał, że jeszcze nigdy nie dostał od Olivii wiadomości pozbawionej jakiegokolwiek emotikonki. Drugą rzeczą, jaka przyszła mu do głowy, było spostrzeżenie, że dziewczyna mimo tak krótkiej znajomości doskonale go poznała i dobrze wiedziała, jak rozbudzić jego zainteresowanie.

Podszedł do komputera i wystukał w wyszukiwarce „ulica Piekło, Ferrara”. Zdziwił się, gdy program nie przedstawił żadnego pasującego rezultatu. Wśród bliskoznacznych podpowiedzi przeczytał natomiast: „ulica Raj, Ferrara”. Przytknął palec do ekranu, aby prześledzić przebieg tej ulicy na mapce. Droga nie krzyżowała się z żadną inną ulicą lub placem, które miałyby w nazewnictwie cokolwiek wspólnego z przybytkiem szatana. Postanowił jednak zaryzykować. W ostateczności mógł przecież zadzwonić do Olivii i poprosić ją, aby skończyła z tą dziecinadą. Miał jeszcze dużo czasu.

Podszedł do zagraconego biurka swojego szefa. Usiadł na jego miękkim skórzanym fotelu i przymknął oczy.

– Stary mądralo! I co byś zrobił na moim miejscu? – zapytał w myślach. – Ogarnął byś to ogóle? Przeżyłeś chociaż raz taką miłość, przy której wszystko inne wydaje się gównem warte? Czy zawsze byłeś taki zarąbiście racjonalny i pełen mądrych rad? Żebyś tylko wiedział, jak mi ich teraz brakuje... Gdy otworzył oczy, jego wzrok padł na ramkę z fotografią niemal całkowicie przysłoniętą papierzyskami. Wziął ją do ręki. Przedstawiała jego i Enrico objętych i świętujących razem jego zwycięstwo w kategorii indywidualnej żonglerki flagami w Palio w 2016 roku. Był to rok, w którym rozpoczął pracę w redakcji. Zaczął przesuwając papiery w poszukiwaniu innych fotografii. Nie znalazł ich. Jego zdjęcie było jedyną pamiątką, jaką Enrico trzymał na biurku. Zamyślił się.

Tknięty przecuciem włączył komputer szefa. Gdy laptop się uruchomił i poprosił o hasło, wpisał: „Davide Dobravski”. Komputer odmówił dostępu. Podrapał się w głowę i spróbował jeszcze raz wpisując tylko słowo „Davide”.

Na odblokowanym ekranie pojawił się pulpit, na którym widniał równy szereg opatrzonych dziwnymi tytułami katalogów: „Walizeczka Boldiniego”, „Kontrreformacja”, „Modigliani”, „Zakazane madrygały” – przeczytał je na głos. Nazwy innych teczek brzmiały nieco bardziej znajomo: „Templariusze”, „Portrety Lukrecji Borgii”. Tylko jedna była ułożona z dala od innych. Montanari umieścił ją na samym środku ekranu. Nosila tytuł „Dla Davide’a”. Zaciekawiony kliknął, aby zobaczyć zawartość. Wśród kilkunastu plików, które sądząc po tytułach były aktami własności i arkuszami finansowymi, odnalazł jeden zatytułowany po prostu „przeczytaj mnie”.

Po jego otwarciu na ekranie pojawił się jednostronicowy tekst.

Chłopcze, jeśli czytasz ten list, to mamy do czynienia z dwiema możliwościami. Jestem teraz

na Hawajach i popijam drink z palemką, ciesząc się zasłużoną emeryturą albo spoczywam w metalowej urnie wmurowanej w rodzinny grobowiec na Certozie (błagam, nie chowaj mnie na parterze, słyszałem, że z pięterka jest lepszy widok!). Niezależnie od tego, co przydarzyło mi się jako pierwsze, chcę Cię poinformować, że z dniem pierwszego lipca bieżącego roku przejmujesz cały ten bałagan na własność. Nie zazdrozczę, ale gratuluję. Poniżej znajdziesz numer do mojego adwokata, który przekaże Ci większościowy pakiet udziałów w spółce wydawniczej, wyjaśni różne ważne sprawy i z pewnością zażąda za tę usługę jakiejś okrągłej sumki. Nie daj się mu ograć. Zapłaciłem mu z góry. Życzę powodzenia, panie nowy Naczelny,

Enrico

P. S. 1

Nie dzwoń do mnie. Na Hawajach będę wiecznie pijany, a w urnie nie ma zasięgu.

P. S. 2

Chcę, żebyś wiedział, że byłem dumny z Ciebie za każdym razem, gdy zwyciężałeś w zawodach lub gdy przynosiłeś mi swoje, przyznaję, niekiepsko napisane artykuły. Uwielbiałem, gdy przychodziłeś do redakcji późnym wieczorem tylko po to, żeby zobaczyć, czy żyję i umyć moje brudne szklanki. Zdradzę Ci sekret: nie myłem ich specjalnie, bo chciałem żebyś przychodził. Byłeś dla mnie jak syn, którego nigdy nie miałem.

P. S. 3

Wiem, że jesteś dalej z Olivią. I dobrze. Nie słuchaj starego dziada, który kończy życie sam jak palec, bo kiedyś nie zrobił tego, co powinieneś zrobić Ty: postuchać swojego serca.

Na tym list się urywał. Davide przetarł oczy, które nie wiadomo dlaczego zaszyły mu mgłą.

Kamień

Czterdzieści pięć minut później zziębnięty i spocony biegł pod drewnianymi podporami stropów w podcieniach starego rycerskiego pałacu rodziny Del Sale. Za pałacem skręcił w prawo w ulicę Romiti i od razu wpadł w strumień ostrego słonecznego światła. Zwolnił kroku i sięgnął po chusteczkę, aby przetrzeć spocone czoło. Był już prawie na miejscu. Uniósł okulary słoneczne i zlustrował uliczkę. Zza rogu jednej z kamieniczek wystawało nagie opalone kolano. Rozpoznałby je na końcu świata. Bezproduktywnym gestem poprawił i tak przepoczoną i pomiętą koszulę, uspokoił oddech i statecznym krokiem podszedł w stronę kolana. Jego właścicielka wysunęła się z cienia. Davide poczuł ukłucie w sercu. Widok Olivii za każdym razem powodował w nim reakcje, przed którą nie potrafił się obronić. – Chryste, te oczy powinny być opatentowanym wzornikiem błękitu – pomyślał.

– Co tam mamrociesz? – spytała Olivia.

– Yyy przepraszam za spóźnienie, zaczytałem się w czymś ważnym – wybełkotał.

– Okej, nie komentuję – powiedziała dziewczyna i ku jego zaskoczeniu wsunęła mu rękę pod łokieć.

– Kochanie, pozwól mi, może to ostatni raz... – spojrzała na niego czule.

– A co, wyjeżdżasz? – zapytał zaskoczony jej gestem, słowami i własną reakcją. Planował być zimny i nieprzystępny. Ostatecznie rozmawiał przecież z morderczynią.

– Jeszcze nie wiem. Wiem tylko, że po tym, co dziś ci powiem, być może nigdy już nie będziesz mnie chciał widzieć.

Zanim znów zobaczył jej oczy, tak właśnie myślał. Teraz nie był już tego taki pewien.

– A opowiesz mi coś o kwiatach? O takich trujących konkretnie, bo słyszałem, że kultywujesz pewne tradycje rodzinne w tym względzie? – powiedział suchymi ustami.

– Wiem, że już wiesz – jej głos zdrzął ze wzruszenia. Ten temat wywoływał także jej emocje. Albo tak świetnie udawała.

– Rozmawiał ze mną Montanari. Zanim się ukryłam w bunkrze – kontynuowała próbując opanować emocje. – Przekonywał mnie, że bym zgłosiła się na policję. Może powinnam go była posłuchać.

– Może powinnaś – zeszytniał na dźwięk nazwiska swojego szefa.

– I może to zrobię – powiedziała. – Ale wpierw myślę, że jestem ci winna kilka słów.

Nie tylko tobie-Davide'owi. Ale też tobie-dziennikarzowi. Tylko, że nie wiem, czy ty to kiedykolwiek będziesz mógł opublikować.

– Dlaczego?

– Bo nikt ci nie uwierzy.

Przeszli już kilka kroków w głąb ulicy. Przed nimi rozciągał się niewielki plac, którego jedyną ozdobą była łukowata brama w ładnym ceglany murze otaczającym podwórze starego domu. Na stojącej obok kamieniczce widniała tabliczka z napisem „Via Paradiso” – „Ulica Raj”.

– A gdzie Piekło? – wyrwało się chłopakowi.

– Przyszliśmy właśnie ulicą Piekielną – uśmiechnęła się blado.

– E-e! – zaprzeczył. To była ulica Romiti. Dawniej Burdelowa – przeczytał objaśnienie z tabliczki przywieszzonej przy bramie. Zaśmiał się w myślach z nazwy. Nietrudno było się domyślić, jaki przybytek się tu kiedyś znajdował.

– Też. Ale jeszcze wcześniej ulica Piekielna – upierała się dziewczyna. – I nie ściągnęłam cię tu przypadkiem. Ta sceneria jest dobrym tłem do początku opowieści. Żebyś wiedział w jakich okolicznościach w Ferrarze pojawiła się *gemma gemmarum*.

– Co? – wyrwało mu się.

– Klejnot nad klejnotami – wyjaśniła. – Kamień, którego w czasach, gdy ulica Romiti nosiła nazwę Piekielnej, poszukiwał cały świat. I który twój beztroski kolega karabinier mi odebrał, włożył do foliowego woreczka i pewnie nosi sobie teraz w kieszeni – westchnęła.

– No dobrze. Muszę ci się do czegoś przyznać – Davide przystanął. – Nie chciałem cię więcej widzieć, bo... Cóż, to, co zrobiłaś z Bonardim napawa mnie strachem i obrzydzeniem. Ale twoje oczy... – przejęczył się – ...twoja opowieść robi się naprawdę interesująca. Nie zostawię tak tego. Chcę wiedzieć wszystko. Diana dała mi posłuchać nagrania z przesłuchania twoich kolegów rycerzy. Teraz dam ci szansę, żebyś mi opowiedziała swoją wersję. Ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Nic przede mną już nie będziesz ukrywać. Łącznie z tym najgorszym. Bez owijania w bawełnę. I dasz mi autoryzację do publikacji. Nawet jeśli to cię będzie kosztować, hmm... konsekwencje – zdziwił się, że tak trudno było mu wypowiedzieć ostatnie zdanie.

Olivia przytaknęła z poważną miną.

– Zgadzam się. Od dawna chciałam to z siebie zrzucić. Myślę, że ktoś w mojej rodzinie w końcu powinien odpowiedzieć za czyny popełniane przez kolejne pokolenia. I przerwać ten przeklęty krąg. Przyszłam tu w tym celu. Posłuchaj więc.

Wzięła go ponownie pod rękę i poprowadziła dalej przechodząc na zacienioną stronę uliczki.

– Tę ulicę nazwano Piekielną nie bez powodu. To była dzielnica, w której w trzynastym wieku mieszkali heretycy. A konkretnie katarowie. Ich przywódcą tu w Ferrarze był Ermanno Pungilupò.

– Ten, którego pochowano w ferraryjskiej katedrze? – wszedł jej w słowo Davide, któremu przypomniał się wykład Sary w Casa dei Romei.

– Brawo! Czyli jednak coś tam pamiętasz – Olivia spojrzała na niego zaskoczona. – Tyle że biedny Ermanno długo sobie w tej katedrze nie pospoczywał – dodała. – Inkwizytorzy spostrzegli się, że wróg papieża i bluźnierczy heretyk stał się obiektem kultu, wykopali więc nieboszczyka, spalili go i wrzucili popioły do Padu. Tak się wtedy walczyło z przeciwnikami ideologicznymi – wzruszyła ramionami. – Nawet ulicy, gdzie mieszkał, nie zostawiono w spokoju. Dostała przydomek Piekielnej.

Weszli na ulicę Saraceno, która prowadziła do rynku. Wokół nich zrobiło się tłocznie. Olivia kontynuowała historię przekrzykując zgiełk.

– Katarowie stworzyli swoją teologię, czerpiąc ze starej, rozprzestrzeniającej się równolegle do katolicyzmu ezoterycznej wiedzy, zwanej gnozą. Uważali się za chrześcijan, ale nie spinało im się, że dobry i idealny Bóg mógł stworzyć tak podły i paskudny świat. Wykombinowali więc, że starotestamentowy bóg, którego czcili Żydzi – Jahwe, zwany przez gnostyków Demirugiem, Szatanem albo *Rex mundi* – był jedynie gorszą kopią prawdziwego Boga, nieobecnego w naszym świecie, a sam materialny świat powstał na skutek błędu popełnionego przez ostatniego z „eonów”, czyli emanacji Dobrego Boga. I tu cię może zaskoczę. To wcielenie lepszego Boga, ten najważniejszy z aniołów był rodzaju żeńskiego – uśmiechnęła się kącikiem ust.

– Yyy... czyli świat został stworzony przez kobietę? – szczerze zdziwił się Davide.

– Według gnostyków tak. Znane jest nawet imię tej nieszczęsnej boskiej anielicy, która spowodowała całe to zamieszanie. Ale o tym opowiem ci kiedy indziej. Tak czy owak, stało się coś, co w idealnym uniwersum stać się nie powinno. Demirug stworzył ludzi, którzy na wieki pozostali uwięzieni we władaniu tego złego boga. Ale, i tu uważaj, jak to w każdej opowieści od zarania dziejów, zawsze jest jakiś *easter egg*.

– Że co? – Davide nie znał tego pojęcia.

– Co ty, nie mów, że w gierki nie grałeś? – aż przystanęła zdziwiona.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– No, gratuluję – zaśmiała się. – Jesteś moim pierwszym facetem, którego nie mogłabym zabrać na „Lucca Comics”.

– Gdzie?

– Nie pogrążaj się, błagam – tym razem powiedziała już poważnie. – „Lucca Comics” to największy włoski zjazd miłośników fantasy, cosplayów, komiksów i gier. Gdzie ty się wychowałeś? Ach, ci Polacy – znów zrobiła się pogodna. – Wyjaśniam: *easter egg* to taka specjalnie umieszczona przez programistów sztuczka w grze. Po rozwiązaniu jakiejś zagadki albo wpisaniu tajnego kodu, otwiera się nowy ukryty poziom albo specjalna niespodzianka w grze. No więc u katarów było w zasadzie tak samo. Według nich istniał sposób, żeby wrócić do dobrego Boga i stać się znów częścią duchowego świata. Trzeba było tylko pozbyć się wszystkiego, co materialne i zmysłowe i przeżyć „gnozę”, czyli oświecenie. To była ta ich „sztuczka”. Stąd się wzięli tacy katarscy święci jak Pungiluppo. Pościli, powstrzymywali się do seksu

i prokreacji. I od posiadania. Rozumiesz, że to musiało się wydawać szczególnie niebezpieczne dla książąt i kleru?

– Savonarola – Davide bezwiednie wypowiedział skojarzenie, które przyszło mu do głowy.

– Brawo mistrzu! – pochwaliła go znów Olivia. – Savonarola wprawdzie nie był katarzem i przeciwko Jahwe nic nie miał, ale się tu urodził, w tym środowisku, w tej kulturze. Teologia katarów była mu dokładnie znana i na pewno wpłynęła na to, co głosił. Dlatego został zniszczony, dokładnie tak jak oni. Ale wróćmy do *easter egg*. Było też i drugie.

– Ale gdzie?

– W teologii katarów – powiedziała karcąco. – Według legendy, która przywędrowała do Europy wraz z krzyżowcami powracającymi z krucjat, istniała jeszcze inna sztuczka umożliwiająca powrót do dobrego Boga. Sposób, który nie wymagał przestrzegania ścisłych postów i powstrzymywania się od seksu. Tą sztuczką była... alchemia. A konkretnie specjalny kamień. Boski klejnot, starszy od ludzi i zawierający w sobie boską cząstkę niematerialnego, lepszego świata, którego jesteście marnym odbiciem.

– *Gemma gemmarum!* – domyślił się Davide.

– Tak. Znany też pod nazwą kamienia filozoficznego.

Weszli na rynek. Przygotowania do mającej się odbyć następnego dnia uroczystości zamknięcia Palio były w całej pełni. W rogach rynku w powietrze leciały flagi rzucane przez ćwiczących przed pokazem zbandieratorów. Robotnicy na podnośniku zawieszali transparenty i kolorowe ozdoby. Policja miejska wyznaczała ścieżki dla pochodu, którym miały przejść przebrane w średniowieczne stroje kontry. Z oddali było słycać werble i trąbki ćwiczących muzyków. Po rynku spacerowało coraz więcej gapiów i turystów, którzy zaczęli się zjeżdżać do miasta, aby wziąć udział w jutrzejszej uroczystości.

Przez głowę Davide'owi przebiegały myśli. To, co słyszał o kamieniu filozoficznym, nie miało wiele wspólnego z faktami. Były to raczej powtarzane przez wieki legendy o magii, do której klucza poszukiwali alchemicy.

– To taki kamyk, co w rękach alchemików miał zamieniać wszystko w złoto? – zapytał.

– Oj, nie wszystko, kochany – zaprzeczyła żywo Olivia. – Możesz sobie myśleć o alchemikach, co chcesz, ale oni mimo wszystko podchodzili do swojego fachu bardzo naukowo i metodycznie. Byli jednocześnie filozofami, znawcami prastarych żydowskich, greckich i egipskich nauk oraz nowoczesnymi, jak na tamte czasy, naukowcami eksperymentującymi w dziedzinach chemii, fizyki i medycyny. Może masz w głowie wizerunek alchemika z siwą brodą, podobnego trochę do Gandalfa z bajki. Co do brody, to się może nie mylisz, ale zamiast porównywać alchemików do czarnoksiężników, nazwałabym ich raczej ówczesnymi „badaczami z CERN”, czyli wizjonerami mającymi odwagę i przygotowanie pozwalające na sięganie poza horyzont dostępnej wiedzy. No i ci ludzie właśnie – ciągnęła dalej gestykułując

żywo – stworzyli teoretyczny, ale bardzo precyzyjny model tego filozoficznego kamienia. Miał on być czymś, co zawierało w sobie boski element i mam tu oczywiście na myśli tego dobrego, najwyższego Boga. Ten teoretyczny kamień miał mieć cechy materialne i niematerialne jednocześnie, czyli patrząc na niego nie znaleźlibyśmy sposobu, żeby przypisać go do grupy konkretnych minerałów ani do żadnej materii, jaką znamy. I spośród wielu jego zastosowań jedno z nich miało służyć zamienianiu metali nieszlachetnych, takich jak ołów czy rtęć, w metale szlachetne: złoto lub srebro. Celowo zaznaczam, że kamień miał wiele zastosowań. Bo miał mieć i ciekawsze, takie jak uzdrawianie czy zapewnianie życia wiecznego swojemu właścicielowi. Z tego też powodu niektórzy uważali, że kamieniem filozoficznym był sam... – przystanęła przed wejściem do katedry i wskazała palcem na widoczne w oddali światelko tabernakulum – ...Jezus Chrystus.

– Mówisz o tym z takim przekonaniem, że mógłbym pomyśleć, że sama w to wierzysz. Tylko nie wiem, w którą wersję. Tę z Jezusem? – zapytał Davide prowokacyjnym tonem.

– Daj mi dokończyć, to się dowiesz – uśmiechnęła się. – Tymczasem, jak widzisz, ktokolwiek by w średniowieczu o tym nie myślał, czy był to katar, czy katolik, wszyscy dostrzegali w kamieniu jakiś boski element. Ale nie tylko w samym kamieniu. Równie ważny był jego posiadacz. Aby udała się cudowna przemiana materii zwana transmutacją, posiadacz kamienia musiał być osobą nieskalaną duchowo, czystą i dobrą.

– A jeśli by nią nie był? – zainteresował się Davide, którego wciągnęła już nieco zabawa w wymyślanie reguł magicznego świata. Przypominało mu to zabawy w karciane gry *role-playing*, które uwielbiał w dzieciństwie.

– No właśnie – pokiwała głową Olivia. – I tu zaczynał się problem. Alchemicy mieli w tym względzie zdania podzielone. Większość uważała, że w takiej sytuacji kamień byłby bezużyteczny. Zwyczajnie by nie zadziałał. Inni natomiast obawiali się, że kamień mógł doprowadzić cię do tego drugiego boga.

– Szatana? – zapytał z ironią w głosie.

– Ja bym się z tego jednak nie śmiała – jej głos zrobił się poważny. – I wolę tę drugą nazwę. Demirug brzmi dla mnie nieco lepiej.

– Ale wciąż mało naukowo – wytknęła jej Davide.

– Chcesz nauki, panie naukowcu? – ścisnęła go za łokieć. – To dobrze się składa, bo mówisz o tym akurat w miejscu, gdzie twój rodak uzyskał dyplom na Uniwersytecie Ferraryjskim – wskazała głową na dobrze znaną Davide’owi tabliczkę upamiętniającą Mikołaja Kopernika, zawieszoną na ścianie sąsiadującego z katedrą pałacu biskupiego.

– A wiesz może, kto był nauczycielem Kopernika? – zapytała. – Nazywał się Domenico Novara – odpowiedziała sama sobie. – I był astrologiem oraz wyznawcą neoplatonizmu: filozofii, która leżała także u podstaw gnostycyzmu i alchemii. Tak, to właśnie wyśmiewane przez ciebie dociekania ludzi, których dziś nie nazwałbyś naukowcami, zainspirowały Kopernika. Astrologi przewidzieli heliocentryczny

model naszego układu planet. Wielką zasługą twojego rodaka było natomiast to, że w to uwierzył i naukowo udowodnił. Do nauki jeszcze wrócimy. Teraz chcę ci opowiedzieć o najważniejszym. O samym kamieniu i o tym, skąd miała go moja praprababka.

Dziewczyna pociągnęła dziennikarza w stronę zamku. Aby do niego podejść, musieli przepuścić barwny korowód zbandieratorów w rajtuzach i towarzyszących im muzyków. Magia tej chwili była niepowtarzalna i Davide znów poczuł się przeniesiony w czasie. Kiedy oddaliły się dźwięki werbli, przeszli na drugą stronę kamiennej ulicy, gdzie mogli bez przeszkód kontynuować rozmowę.

– Kiedyś powiedziałaś mi, że kamień przywiózł do Ferrary ten francuski rycerz, jak mu tam, Pierre de Bayard i dał go Lukrecji Borgii. Rozumiem, że to była pierwsza ze ściem, jakie mi powiedziałaś dla zamydlenia mi oczu? – wypalił szczerze chłopak. Chwilowo nie czuł się w obowiązku bycia miłym dla Olivii. To ona była mu winna wyjaśnienia.

– Ja... chciałam wtedy twojej pomocy, ale nie ufałam ci na tyle, żeby ci od razu mówić o wszystkim – próbowała się wytłumaczyć. – Musiałam jakoś cię zaciekawić. Czy pomógłbyś mi, gdybyś znał od początku całą prawdę? Całą, łącznie z Bonardim? Czy od razu pobiegłbyś donieść na mnie tej swojej Dianie?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, podeszła bliżej zamku i zgrabnym ruchem podniosła się na rękach, aby usiąść na wysokim murku oddzielającym fosę od chodnika. Miał teraz jej opalone zgrabne uda na wysokości swoich rąk. Nagły podmuch wiatru odłonił jej koronkową bieliznę. Zakryła ją szybko, ale nie dość szybko, żeby pozbawić Davide'a widoku, którego wspomnienia nie mógł się teraz pozbyć przed oczu.

– Halo, ziemia do Davide'a! – zawołała z kpiarskim spojrzeniem. – Mam mówić dalej?

– Oczywiście – wyjąkał.

– Nie okłamałam cię wtedy tak całkiem. De Bayard odgrywa w tej historii ważną rolę. Ale kamień znalazł się w Ferrarze za sprawą innego rycerza. Przywiózł go ze Świątyni Salomona w Jerozolimie Ugo dei Pagani, pierwszy mistrz templariuszy.

– Czyli było tak, jak mówił Marco.

– Tak, dokładnie tak – przytaknęła. – Pagani zmarł w 1136 roku i został pogrzebany w kościele przylegającym do jego rodzinnego domu na via delle Scienze.

Davide przywołał w pamięci topografię Ferrary, ale nie mógł sobie przypomnieć żadnego kościoła w tej okolicy. Zauważyła jego konsternację.

– Spokojnie, jeśli wszystko pójdzie dobrze, niedługo zobaczysz to miejsce. Tymczasem wróćmy do Paganiego.

Zeskoczyła z murka i zaczęła iść w stronę zamkniętego kościoła znajdującego się na placu zamkowym, gdzie otrzymał od niej pierwszą wiadomość, napisaną szminką na gazecie.

– Kościół San Giuliano – wskazała ręką. – Tu wybrani giermkowie książąt d'Este

składali rycerską przysięgę. Przez chwilę Marco i jego dzielna drużyna myśleli, że właśnie tutaj pogrzebano Paganiego. Dlatego go kupili. I dlatego mogliśmy się tam schować, gdy nas śledziłeś – mrugnęła do niego łobuzersko.

– Dlaczego tak szukali tego grobu, skoro wiedzieli, że kamienia tam nie było? – Davide tym razem nie dał się zbić z tropu.

– Bo chcieli mu go oddać. Paganieniu. I ja też chciałam. Ale po kolei – wzięła głęboki oddech, by kontynuować opowieść.

– W 1312 roku papież Klemens V rozwiązał zakon templariuszy. Olbrzymi majątek zakonu został skonfiskowany. Ten los podzieliła też *gemma gemmarum*, która wedle woli Paganiego, miała na wieki spocząć wraz z nim w jego sarkofagu z dala od niepowołanych i nieczystych rąk. Ale po rozwiązaniu zakonu nie było już nikogo, kto strzegłby jego woli. Sarkofag otwarto. Bezcenny kamień zatrzymał sobie sam papież i to właśnie w skarbcu papieskim przeleżał kolejne kilkadziesiąt lat, skąd, dzięki hojności papieża Aleksandra VI, wrócił do Ferrary na palcu niczego nieświadomej Lukrecji. Ferrara w tamtych czasach jednak, jak już sobie powiedzieliśmy, była miejscem specyficznym. Potomkowie katarów, Żydzi-kabaliści, astrologowie i alchemicy szukający przez lata właśnie tego kamienia, wszyscy ci ludzie kręcący się wokół książęcego dworu, nie mogli nie zauważyć olbrzymiego klejnotu o niezwyklej kształcie i kolorze, tak chętnie eksponowanego przez Lukrecję. W tym czasie jej ojciec i protektor, papież Aleksander VI już nie żył, a na tronie Piotrowym zasiadł wielki wróg rodu Borgiów, papież Juliusz II z rodu della Rovere. Gdy szpiedzy donieśli mu o kamieniu, zapragnął go odzyskać. Zawiązał Świętą Ligę w Cambrai – strategiczne przymierze wojsk papieskich i wciągnął w nią męża Lukrecji, księcia Alfonso d'Este obiecując mu pomoc w pokonaniu Wenecji. Namówił do tej pomocy również króla Francji, który przystąpił do Ligi i przysłał do Ferrary swoje wojska. Jak myślisz, pod wodzą kogo? – zapytała zniecierpliwiona Olivia, chcąc sprawdzić czujność Davide'a. Temu ostatniemu widok pięknych ud wyparował już nieco z głowy.

– Pierre'a de Bayarda, rycerza bez strachu i skazy? – popisał się wyjątkowym refleksem dziennikarz.

– Brawo! Właśnie jego. De Bayard był oczarowany urodą Lukrecji. Był jednak zbyt honorowy, aby romansować z zamężną kobietą. Takich oporów nie miał Franciszek II Gonzaga, władca pobliskiej Mantui, który dowiedziawszy się o kamieniu postanowił się wkraść w łaski księżniczki i słał do niej jeden miłosny list za drugim. Listy te w tajemnicy przed Alfonsem d'Este przynosili zaufani dworzanie Lukrecji, Ercole Strozzi i poeta Pietro Brembo. Księżna początkowo dała się omamić. Wciągnęła się w listowny romans i zgodziła się na przewiezienie klejnotu w miejsce, gdzie Gonzaga mógłby go zobaczyć. Wysłała z kamieniem Ercole Strozzi. Ten jednak nie zdążył na dobre wyruszyć z pałacu Borgii. Za rogiem Casa Romei padł ofiarą morderstwa. Kamień przepadł. Wtedy Pietro Brembo, przyjaciel Strozzi, zakochany po uszy w swojej pani postanowił działać. Chciał przede wszystkim dowiedzieć się, dlaczego kamień był aż tak cenny, że interesował się nim tak bogaty i wpływowy człowiek jak Gonzaga. W tym celu zasięgnął wiedzy u jedynych ludzi

nauki jakich znał – u mistrza kabały, alchemisty Giovanni Picco i nadwornego astrologa Pellegrino Priscianiego. Prawda o kamieniu wstrząsnęła nim do głębi. Opowiedział wszystko Lukrecji. Był to początek jej duchowej przemiany z frywolnej trzpiotki w mądrą i czyniącą dobro patronkę ubogich. Tymczasem jednak kamienia nie było. Zrozpaczona Lukrecja poprosiła o pomoc de Bayarda. Ten dał jej rycerskie słowo honoru, że odzyska dla niej klejnot. W Ferrarze rozkwitał już wtedy renesans, a na świecie dokonywały się wielkie zmiany w strategii wojennej. Rozpoczynała się era broni palnej i dominacji najemnych wojsk, złożonych głównie z pospólstwa. Wyobraź sobie w tym kontekście, jak wielką wagę miało słowo honoru dane przez ostatniego europejskiego rycerza wciąż wiernego staremu średniowiecznemu kodeksowi! Jego słowo było święte i nieodwołalne. I rzeczywiście, poskutkowało licznymi podjazdami i krwawymi bitwami. W konsekwencji doprowadziło to do wyrzucenia Ferrary i Francji ze Świętej Ligi. Niedawni sojusznicy stanęli przeciwko sobie. W jedną z zasadzek, którą zastawili Alfonso wraz z de Bayardem o mało nie wpadł sam papież Juliusz II. Udało mu się ująć z życiem, ale de Bayard przechwycił jego skarbiec, a w nim...

– Skradziony kamień? – dokończył Davide patrząc z podziwem na niestrudzenie opowiadającą Olivię. – Skąd ty to wszystko wiesz? – zapytał.

– Byłam pilną uczennicą – uśmiechnęła się. – A poza tym, to historia przekazywana przez kobiety w mojej rodzinie z pokolenia na pokolenie. Chcesz poznać jej dalszy ciąg?

– Dobrze, ale pozwól, że coś dla ciebie zrobię. – Davide zatrzymał się przed jednym ze straganów, które rozstawiały się właśnie pod zamkiem i kupił butelkę wody, którą wręczył dziewczynie.

– Od tego mówienia chyba zaschło ci w ustach?

Nie odpowiedziała. Odkręciła niebieską nakrętkę i łapczywie przechyliła głowę wraz z butelką. Długie złote włosy delikatnie poruszone wiatrem, opadały jej na ramiona. W promieniach słońca wyglądała jak modelka kręcąca spot reklamowy. Davide znów się zdekoncentrował.

Podążyła mu opróżnioną do połowy butelkę.

– Pij, bo się odwodnisz i nie doczekasz do końca mojej opowieści – zaśmiała się do niego.

Doszli do zielonego pasażu za zamkiem. Davide usłyszał znajomy język. W tym małym parku lubiły przesiadywać opiekunki ze wschodu zajmujące się starszymi osobami.

– Jak mówiłam, kamień się odnalazł. De Bayard i książę Alfonso przypłacili to papieską ekskomuniką, a odmieniona duchowo Lukrecja Borgia, poznawszy w końcu prawdziwe pochodzenie i moc klejnotu, postanowiła oddać go właścicielom. Widziałeś obraz „Beatrice II d’Este” skradziony z willi Bonardiego? Borgia za pomocą ukrytych w nim symboli wysłała wiadomość do spadkobierców templariuszy. Problem w tym, że ich nie odnalazła. Kościół, gdzie pochowano Paganiego, znajdował się już wtedy w opłakanym stanie, w dodatku w samym centrum żydowskiego getta,

a po grobie pierwszego wielkiego mistrza ani po samych templariuszach nie było już śladu. Lukrecja postanowiła więc spłacić dług wobec Boga w inny sposób. Zajęła się dobroczynnością. Klejnot zaś wedle jej woli miał spocząć z nią po jej śmierci na terenie zakonu klarysek.

– To dlatego się tam włamano? Tam też ktoś szukał kamienia?

– Pewnie tak – potwierdziła Olivia. – Zrobił to ktoś, kto wciąż nie wie, że kamień mam ja. Albo nie jest tego pewien. I co gorsze, nie mógł to być nikt z bandy de Montresora, skoro tego włamania dokonano już po ich... zlikwidowaniu.

– Mnie też to nie umknęło – Davide pokiwał głową w zamyśleniu. – Może de Montresor miał jeszcze jakichś wspólników, o których nie wiemy. Niestety karabinierzy najwyraźniej chcą zamknąć ten temat. Odtrąbili już sukces i nie chcą do tego wracać – westchnął. – I nawet nie wiem, czy szukają Enrico.

– Tym bardziej trzeba to załatwić tak, jak należy. I to jak najszybciej – powiedziała z przekonaniem Olivia. – A ty wtedy będziesz się mógł skupić na szukaniu swojego szefa.

– Co masz na myśli mówiąc „załatwić tak, jak należy”?

– Dowiesz się, a teraz słuchaj – ucięła.

– Dobra. Czyli nie pogrzebali jej z klejnotem? – odparował. Chciał jak najszybciej przejść do faktów związanych ze śmiercią Bonardiego.

– Domyślny jesteś. Jak to zwykle bywa, ludzka chciwość jest silniejsza od przestrzegania reguł i zasad. Kamień ponownie zniknął z grobu mojej antenatki. Tym razem na wiele wieków.

– O! – wyrwało mu się ze zdziwienia. – A więc kobiety w twojej rodzinie nie przekazywały go sobie przez wieki wraz z tą opowieścią?

– Nie.

– To skąd go masz? – zatrzymał się tym razem naprawdę zaskoczony. Przeszli już kilka przecznic od zamku i znaleźli się u stóp wysokiej barokowej fasady kościoła San Domenico. Świątynia dopiero co została oddana do użytku po długiej renowacji mającej usunąć szkody wyrządzone przez silne trzęsienie ziemi w 2012 roku. Grupki turystów zaglądały do środka z ciekawością.

– Stąd – machnęła ręką w kierunku kościoła. – No, może niezupełnie – zreflektowała się. – Stąd miał go profesor Bonardi. A ja od niego... – zawiesiła głos na widok miny Davide’a.

Chłopak zacisnął wargi i odwrócił wzrok. Stała frontem do niego i zmusiła go do spojrzenia na siebie.

– Zanim skążesz mnie w myślach na karę śmierci i ognie piekielne, proszę cię o to, żebyś wysłuchał mnie do końca. Możesz to dla mnie zrobić?

Skinął głową.

Wzięła go za rękę. Poddał się i pozwolił prowadzić. Wspięli się na wysokie schody prowadzące w stronę wejścia do świątyni.

– Co wiesz o tym kościele? – zagadnęła Olivia.

– Tu urzędowała Święta Inkwizycja? – spróbował odgadnąć, co miała na myśli.

– Nie tylko urzędowała, ale i działała. I to bardzo energicznie. Według precyzyjnych danych przechowywanych w Bibliotece Ariostejskiej inkwizytorzy skazali tu na śmierć osiemset pięćdziesiąt trzy osoby. Spalono ich lub ścięto w miejscu, w którym właśnie stoisz.

Davide mimowolnie skierował wzrok na ziemię. Nowoczesne płytki chodnikowe nie przypominały w niczym miejsca okrutnej kaźni setek ludzi. Tuż koło nich przebiegło roześmiane dziecko goniące gołębie.

– Nie opowiadam ci tego wszystkiego bez powodu – ciągnęła dalej Olivia. – Jedną z osób, którą inkwizytorzy tu zgładzili, był mag i alchemik o imieniu Benato. Niedługo po tym, jak został spalony na stosie, przez Ferrarę przetoczyło się niesłychanie silne trzęsienie ziemi, rujnując większość budynków w mieście. Stało się to w roku 1570, pięćdziesiąt jeden lat po śmierci Lukrecji Borgii i zaginięciu kamienia.

– Co ty sugerujesz. Jakies czary-mary? – Davide’owi włączył się tryb kpiarza.

– Ja nic nie sugeruję, panie mądry – fuknęła Olivia urażonym tonem. – No, dobra – zreflektowała się – przyznaję, że to brzmi nieprawdopodobnie. Ale to nie ja powiązałam spalenie Benato z kataklizmem, który nawiedził miasto. Ja tylko mówię, że w Ferrarze tak to wtedy odczytano, przypisując związek tym dwóm wydarzeniom. Dziwnych wydarzeń było znacznie więcej.

Zaczęły się praktycznie zaraz po śmierci Lukrecji.

W 1526 roku w Ferrarze wydano książkę „Triumpho di Fortuna” zawierającą przepowiednie Sigismondo Fanti, nauczyciela słynnego Nostradamusa. Przepowiednie z punktu widzenia współczesnej wiedzy były tak celne i dalekowzroczone, że nie można sobie tego wytłumaczyć w żaden racjonalny sposób. Przewidział na przykład śmierć księżnej Diany czy elekcję Bergoglio na papieża.

Davide nie potrafił już powstrzymać śmiechu, za co został ukarany silnym kuksańcem.

– Przygotuj sobie większy zapas kpin, bo zaraz zobaczysz coś ciekawego.

Pociągnęła go schodami w dół, a następnie wzdłuż południowej ściany kościoła, aż do bocznego wejścia. Davide przypomniał sobie, że rodzice przyprowadzili go tu, gdy był mały, ale nie pamiętał dokładnie, dlaczego.

– Po twojej minie widzę, że nigdy tu nie byłeś?

Nic nie odpowiedział, więc zadała następne pytanie.

– Widzisz tu coś dziwnego?

Wzruszył ramionami.

– Stare drzwi. Chyba nieużywane od dawna.

– Zgadza się, bardzo stare – przytaknęła. – Pochodzą jeszcze sprzed gruntownej przebudowy, której dokonano w osiemnastym wieku. Ze starego kościoła pozostała

tylko ta część, przed którą stoimy i stara dzwonnica. Ale zobacz dokładniej przy drzwiach.

Rozejrzał się bez entuzjazmu. Ilość informacji i nieprawdopodobnych historii zaczynała go już przytłaczać. Nagle dostrzegł jednak szczegół, który sprawił, że jego zainteresowanie powróciło. Na postumencie podtrzymującym kolumnę przy drzwiach widniał odcisnięty ślad przypominający te, pozostawione przez nieuważnych robotników, którzy weszli w zasychający beton podczas stawiania nowego budynku. Kościół zbudowano jednak z twardego kamienia, a ślad, na który patrzył nie przypominał niczego, co mógłby pozostawić człowiek. Przypominał raczej....

– Patrzysz właśnie na kopyto diabła – Olivia wypowiedziała na głos odpowiedź.

Roześmiał się.

– No, weź! – spojrział na nią z ironicznym uśmiechem.

– Spodziewałam się bardziej kreatywnej kpiny – odparowała. – No dobra, zapewne to tylko bajeczka wymyślona na potrzeby zabobonnych wiernych. Tyle, że wiąże się z kolejnym magiem i z moim kamieniem. Teraz w końcu się dowiesz, w jaki sposób się odnalazł. To piękne kopytko odcisnął według legendy diabeł goniący maga Chiozzino. Bartolomeo Chiozzi, bo tak się naprawdę nazywał, urodził się pod koniec osiemnastego wieku. Był człowiekiem nauki, inżynierem. Mieszkał w okolicy tego kościoła i podobno parał się również alchemią. Musisz wiedzieć, że od czasów średniowiecza alchemia zmieniła całkowicie swoje oblicze i stała się częścią prawdziwej nauki.

– Chyba żartujesz – zaproponował ponownie dziennikarz. – Jakiej? Chyba bajkopisarstwa.

– Nie, mądralo. Na przykład medycyny – tym razem Olivia zrobiła kpiarską minę. – A wszystko miało swój początek dokładnie w tych ezoterycznych ideach, o których wcześniej mówiliśmy. W gnostycyzmie, kabale i alchemii. Od czternastego wieku różne światłe umysły próbowały powiązać filozofię i magię z nauką. Należeli oni do tajnego stowarzyszenia zwanego Różokrzyżem. Różokrzyżowcy to była taka alchemia 2.0. Dobrze wykształceni ludzie, którzy to wymyślili, uznali, że alchemiczna transmutacja, czyli przemiana czegoś nieszlachetnego w coś doskonałego, może się odbywać także w innych dziedzinach życia i ludzkiej twórczości. W sztuce może na przykład zamienić kamień w idealną, boską rzeźbę. Albo z kakofonii dźwięków stworzyć operę, która poruszy do głębi ludzkie dusze. W medycynie może zamienić rosnące na polach rośliny w remedium na najgorsze choroby. Tą właśnie drogą poszedł Paracelsus, który studiował w Ferrarze w czasach Lukrecji Borgii i którego uważa się za pierwszego współczesnego farmakologa. A potem byli Galileusz, Mozart, Goethe, Nostradamus, Viktor Hugo... To nazwiska znanych różokrzyżowców. Teraz już wierzysz, że magię można połączyć z nauką?

– Raczej filozofię. Albo ideologię – racjonalny umysł Davide'a nie dawał za wygraną. – Chyba nie wierzysz, że ci ludzie siedzieli z jakimś magicznym kamieniem i coś tam zaklinali? Oni byli po prostu genialni i tyle!

– Geniusz bez dobrych intencji i silnej wiary w to, co się robi, może nie wystarczyć. Może ta wiara jest niezbędna, żeby ten geniusz się ujawnił? I może kamień albo jakiś inny silny symbol niektórym osobom w tym pomaga? – zapytała bardziej siebie niż jego.

Davide pokręcił głową nieprzekonany.

– Co z tym magiem i kopytem, powiesz mi wreszcie? – ponaglił dziewczynę.

– I z kamieniem – uzupełniła jego pytanie. – Wiele wskazuje na to, że Bartolomeo Chiozzi, podejrzewany o związki z czarną magią wszedł w jego posiadanie, podobnie jak przed nim mag Benato. I również jego potęga kamienia przerosła. Albo po prostu nie miał czystej duszy i moc klejnotu obróciła się przeciwko niemu? Tak czy owak, tu właśnie, w kościele dominikanów, do którego oszalały Chiozzi próbował uciec przed demonem, kamień się odnalazł. W 2012 roku, po czterystu pięćdziesięciu latach, Ferrarę nawiedziło kolejne potężne trzęsienie ziemi.

Davide poczuł mrowienie na karku. Była to trauma, której nigdy nie przewyciężył. Pamiętał doskonale ewakuację w środku nocy i koczowanie z przerażonymi rodzicami na plaży, z daleka od zagrożonego miasta.

– Też tu wtedy byłam – powiedziała miękko Olivia gładząc go po dłoni. – W tym okropnym roku zawałił się dach kościoła inkwizytorów. A dokładniej dzwonnica, najstarszy fragment budowli, zapadła się i przebiła dach. Do renowacji wezwano najśłynniejszego eksperta od sztuki.

– Profesora Bonardiego – domyślił się Davide.

– Tak, właśnie jego. Któż inny mógłby tak dobrze zadbać o ferraryjski zabytek o nieocenionej wartości? Profesor nie był jednak specjalistą od renowacji. Został koordynatorem odbudowy. Na swoją prawą rękę wybrał młodego wówczas adiunkta specjalizujący się w epoce średniowiecza, Alberto Rossiego.

Davide przypomniał sobie Sarę i jej ojca zamordowanego w lochach zamku.

– Tego Rossiego? – upewnił się.

Olivia skinęła głową.

– Obaj panowie podczas pierwszej inspekcji znaleźli wśród gruzów leżących na posadzce kościoła niewielkie zawiniątko. Była to stara, oprawiona w skórę księga zapisana hieroglifami i dziwnymi symbolami. Bonardi wziął ją, aby ją odczytać. Nie udało mu się to, ale w grubej okładce księgi odnalazł coś cennego.

– Kamień.

– Tak, kamień. I tutaj znów zaczyna się opowieść o złych ludzkich instynktach.

Davide nadstawił uszu. Doszli do tej części opowieści, na którą czekał najbardziej i której najmocniej się obawiał.

– Bonardi nie ujawnił nikomu znaleziska – ciągnęła dalej Olivia. – Było to przyczyną kłótni między nim i Rossim. Nie jest do końca jasne, dlaczego tak postąpił. Może spowodowała to zwykła chciwość albo chęć samodzielnego podpisania się pod wielkim odkryciem. Ja, mając doświadczenie kilkuletniej pracy z profesorem, przychyliłabym się do innej hipotezy. Według mnie Bonardi odkrył, czym był

w istocie ten kamień i postanowił ukryć go przed ludźmi w obawie, że znów zostanie źle wykorzystany. Mnie też o nim nie powiedział. Sama na niego trafiłam przez zupełny przypadek katalogując zbiory profesora. Byłam wstrząśnięta, bo wiedziałam dokładnie, co znalazłam. Moja matka opisała mi ten przedmiot wystarczająco szczegółowo. Nie mogłam się mylić.

Zamilkła na chwilę. Przez jej delikatną twarz przechodziły dreszcze emocji. Podbródek drżał jej jak małej dziewczynce.

Zaułkami i skrótami doszli do dzielnicy, w której mieszkał Davide. Pod średniowiecznym ostrołukiem na wybrukowanej kostką *via delle Volte* Olivia ze swoją bladą rozmazaną łzami twarzą nie wyglądała już jak topowa modelka. Przypominała raczej pokutującą mniszkę. Albo strąconego z raju anioła. Widok łamał mu serce. Wziął ją w ramiona. Poczul drżenie jej drobnego ciała.

– Już dobrze – wyszeptał. – Po prostu opowiedz mi resztę. Jestem gotów. I niczego to już nie zmieni... w moich uczuciach do ciebie – dokończył dziwiąc się własnej szczerości.

Odchyliła głowę i spojrzała mu w oczy załzawionym wzrokiem.

– Ja tego nie chciałam, przysięgam ci – powiedziała z przekonaniem. Odetchnęła i rozluźniła uścisk. Po chwili była gotowa do dalszej opowieści. Powolnym krokiem ruszyli dalej.

– Wiedziałam dobrze czym był kamień, który znalazłam u Bonardiego. Jak już mówiłam, kobiety w mojej rodzinie od pokoleń przekazywały sobie opowieść o Lukrecji i o *gemma gemmarum*. Opowiedziałam matce o wszystkim. Może to był mój pierwszy błąd. Widzisz, moja mama była naprawdę wielką dewotką. Wierzyła w Boga całą duszą i z całym przekonaniem. Na swój sposób, bo jej wiara... nie była konwencjonalna. Szanowałam ją za to, choć nie podzielałam ani jej wiary, ani tego całego halo z tym kamieniem.

– W jakim sensie „tego całego halo”?

– No, bo to nie ja chciałam zabrać ten kamień Bonardiemu. To moja matka się uparła – skrzywiła się znów na samo wspomnienie. – Ona głęboko wierzyła, że my musimy oddać ten kamień właścicielowi. Powiedziała, że historia musi się zamknąć, a przekleństwo rodziny na tym skończyć.

– Jakie przekleństwo? – zainteresował się.

– To długa historia – pokręciła głową. – Powiedzmy, że mamy długą tradycję popadania w kłopoty. Chyba nie było od pokoleń spełnionej i szczęśliwej kobiety w naszym rodzie – westchnęła. – Mojego ojca nawet nie znam. Nieważne. To twierdzenia mojej mamy, a nie moje. Ale tak długo suszyła mi głowę, że mnie przekonała. Zaczęłam się do tego przygotowywać. Niestety nie miałam już dostępu do kamienia. Bonardi chyba się domyślił, że go zobaczyłam i przeniósł go do szafki, którą miał przy łóżku. Matka nauczyła mnie więc, jak w prosty sposób spowodować u kogoś głęboki sen. Wystarczyły do tego...

– Kwiaty – wyrwało mu się.

– Nie. Kwiaty to była improwizacja. Do tego źle wykonana. Właściwym sposobem miały być krople ziołowe przygotowane przez moją matkę według dawnej rodzinnej receptury. Miałam to zrobić na spokojnie, w dogodnym momencie. Ale wtedy pojawiła się banda Montresora. Przyjechali do Willi Bonardiego. Żeby się przypodobać, przywieźli mnóstwo kwiatów na jego urodziny. Jednocześnie zaczęli wypytwać o kamień, jakby wiedzieli, że on tam jest. Zobaczyli też obraz „Beatrice II d’Este” na ścianie i ten niby Francuz zaczął się na mnie gapić tak, jakby się czegoś domyślał. Wpadłam w panikę, bo Bonardi, w swojej naiwności zaproponował im nocleg w swojej Willi. Bałam się, że oni już wszystko wiedzą i że do rana tego klejnotu nie będzie. Kropli nasennych jeszcze nie miałam. Zadzwoiłam do matki. Zapytała mnie, jakie oni kwiaty przywieźli. Powiedziałam, że narcyze. Ucieszyła się i kazała mi ich jeszcze więcej zamówić, uszczelnić pokój i wejść nad ranem po kamień. Zrobiłam tak, jak mi powiedziała. Kwiaty przywieziono. Profesor położył się wcześniej spać. To był już stary i schorowany człowiek. Wyrzesałam przez okno i zobaczyłam, że Montresor i te jego podejrzanе zakapiory ładują się do auta. Zapytałam, o co chodzi, a on do mnie, że jednak zmienili plany, że dziękują za gościnę, ale wracają do miasta. Odetchnęłam z ulgą. Chyba jednak nie wiedzieli, gdzie był kamień. Ale plan z kwiatami był już w realizacji. Postanowiłam to wykorzystać. O trzeciej nad ranem zakradłam się do sypialni. Kiedy otworzyłam drzwi, zapach kwiatów był tak intensywny, że sama zaczęłam się dusić. Chyba za dużo ich dokupiłam... – Olivia odwróciła głowę. Jej drobne ramiona znów zdrząły w niemy szlochu.

– Davide, ja tego nie chciałam! Przysięgam! – odwróciła twarz ku niemu. Makijaż rozmazał się jej już całkowicie.

– Już dobrze, już to rozumiem – powiedział uspokajającym tonem. Nie potrafił się jednak powstrzymać przed zadaniem pytania.

– Ale kamień jednak wzięłaś.

– Dla matki. Zrobiłam to dla niej...!

Weszli na placyk przed kinem „Apollo”. Kątem oka odszukał okno mieszkania Diany, jakby spodziewał się, że ją tam zobaczy.

– Ale matka nie chciała oddać kamienia? – zapytał.

– Och, oczywiście, że chciała go oddać! – prawie krzyknęła. – Davide, ona była całkowicie przekonana, że te wszystkie nieszczęścia, to wina tego przeklętego klejnotu! Łącznie ze śmiercią Bonardiego. Oczywiście nie przyjmowała do wiadomości, że to my byliśmy wszystkiemu winne. Zmusiła mnie, żebym poszukała kogoś, komu będzie można przekazać klejnot. Wzięłam komputer, wystukałam „templariusze” i tak znalazłam Marco i jego „rycerzy”. Tyle, że już wtedy czułam się zagrożona. Z jednej strony śledził mnie Montresor, z drugiej bałam się policji.

– Dlatego mnie zaczepiłaś?

– Nie, głuptasie. Nie tylko dlatego. Równie dobrze mogłam zwrócić się do twojego szefa, który jest na dodatek bardziej ogarnięty od ciebie.

– No to, dlaczego? – zapytał nieco dotknięty.

– Bo byłam w tobie zakochana od pierwszego roku studiów – zarumieniła się jak nastolatka. – Nie zwracałeś na mnie uwagi, więc nie wiesz. Ale to już nieważne – dodała poważnym głosem.

– Nieważne? – teraz poczuł się niemal obrażony.

– Dawidku, kochanie, jesteś dla mnie kimś, kim nie był dla mnie nikt inny. I nikt inny nie będzie. Ale teraz krąg musi się zamknąć, historia zakończyć, a moja pokuta dokonać.

– Zgłosisz się na policję? Nie, nie musisz, nie rób tego, posłuchaj! – Teraz on stracił nad sobą kontrolę. Ścisnął mocno jej dłonie.

– Ciiii! – uspokoila go. Wokół nich było coraz więcej ludzi. Przed kinem „Apollo” gromadził się tłumek w oczekiwaniu na otwarcie kasy biletowej. – Nie powiedziałam, że zgłoszę się na policję, głuptasie.

– Więc co zamierzasz?

– Zobaczysz. A teraz muszę cię tu zostawić, mam jeszcze coś do załatwienia. Jutro się tu spotkamy i wszystko będzie jasne – dodała tajemniczo.

– Tu? W tym samym miejscu? – próbował się upewnić.

– Tam – wskazała podbródkiem w stronę kina. Kino „Apollo”, sala numer cztery, godzina szesnasta. Będziesz? – uśmiechnęła się.

– No pewnie. A co to za film?

– Takiego jeszcze nie widziałeś w tym kinie – mrugnęła do niego. – Twoi przyjaciele karabinierzy też zostali zaproszeni – dodała. Nieoczekiwanie przyciągnęła go do siebie i zatopiła ciepły język w jego ustach. Świat zawirował mu przed oczami, nogi ugięły mu się w kolanach. Gdy chwilę potem tanecznym krokiem zniknęła za rogiem, wciąż czuł słodki smak poziomek pozostawiony przez nią na jego wargach.

Tego wieczoru Davide nie zjadł nawet kolacji. Czuł się jak narkoman, któremu wstrzyknięto czystą heroinę wprost do aorty. Położył się i próbował zasnąć, ale nie potrafił. Kręciło mu się w głowie. Jedyłą rzeczą, jaką czuł, było pragnienie. W drodze do lodówki potknął się o własne spodnie leżące na ziemi. Schylił się i podniósł z ziemi kartkę, która wysunęła się z kieszeni. Był to wydruk, który znalazł na biurku Enrico w redakcji. Nalał sobie zimnej wody i wrócił do łóżka ze szklanką i kartką w drugiej ręce. Rzucił okiem na skompletowany przez szefa spis wielkich mistrzów templariuszy. Jego wzrok padł na zakreślone na czerwono nazwisko blisko końca listy. Obok niego widniał narysowany długopisem gryf stojący na tylnych łapach. Przeczytał nazwisko i jego serce zabiło żywiej. Znał je. Przeczytał jeszcze raz.

Według wydruku, jednym z ostatnich mistrzów zakonu był niejaki Thibaud Gaudin. Gryf najpewniej był jego rodzowym herbem.

Wstał i zaczął chodzić nerwowo po pokoju. Po zrobieniu kilku okrążeń, sięgnął po komórkę i wybrał numer do Diany. Odpowiedziała mu automatyczna sekretarka.

Giacomo również nie odpowiadał. Jedyne, co mógł zrobić, to zostawić wiadomość. Wystukał treść:

– „Mam coś bardzo ważnego. Spotkajmy się pod Savonarolą o...” – przerwał, aby się zastanowić. Musiał doliczyć czas na wybór właściwego ubioru na późniejsze spotkanie z Olivią w kinie „Apollo”. – „...o piętnastej” – dokończył smsa i wysłał go do Diany.

Zamknął szczelnie okiennice, zgasił światło i położył się do łóżka. Rozedrgane nerwy nie dawały mu spokoju. Myśli tłoczyły się i przepychały między sobą w jego głowie. Zza okna dobiegała muzyka i podniesione głosy. Mijały minuty, godziny. Bezskuteczne próby zaśnięcia zaczęły przypominać torturę.

Wstał i włączył lampkę przy nocnym stoliku. Zaczął grzebać w szufladzie i po chwili wyjął z niej małą buteleczkę. Nalewając silne krople nasenne do szklanki wyobraził sobie Olivię pochylającą się nad nagim martwym ciałem profesora. Odrzucił szybko ten obraz. Wypił krople, wsadził sobie korki do uszu, aby odciąć się od wszelkich hałasów, zgasił lampkę i opadł ciężko na poduszki.

Krypta

Telefon wibrował od dłuższego czasu. W kompletnej ciemności, obrócony ekranem do dołu, emitował jedynie blady krąg światła, który zbliżał się powoli do krawędzi mebla. Gdy światło telefonu oświetliło bok szafki, komórka runęła na podłogę.

Wyrwany z głębokiego snu Davide usiadł gwałtownie na łóżku próbując uspokoić kołatanie serca. Załączył światło i zdezorientowany rozejrzał się dookoła. Wydłubał zatyczki z uszu i chciał sprawdzić godzinę, ale jego ręka nie odnalazła telefonu. Wstał, podszedł do okna i pchnął skrzydła okiennic. Pokój zatonał w blasku słońca. Przymknął oczy jak wampir zaskoczony morderczym dla niego światłem. Schylił się, aby zebrać telefon z podłogi i zaklął. Całkowicie rozbity ekran nie pozwalał nawet na uruchomienie urządzenia. Wrócił do okna, wychylił się z niego do połowy i krzyknął do przechodzącego uliczką chłopaka.

– Ej! Która godzina?

Dwudziestolatek zadarł ze zdziwieniem głowę do góry. Gdy dostrzegł nagi tors i nieogoloną twarz Davide'a, wyszczerzył zęby.

– Uuuuu! Nocka była ostra, przyjacielu? Dochodzi trzecia – roześmiał się i poszedł dalej.

Davide w panice rzucił się w stronę szafy. Nie było już czasu na dobieranie ubrań. Przewłócił przez głowę pierwszą koszulkę, jaka wpadła mu w ręce i dopinając w biegu spodnie spadł do łazienki. Nawet w największym pośpiechu nie pozwoliłby sobie na nieumycie zębów. Usługi dentystyczne we Włoszech należały do jednych z najdroższych na świecie. Skropił się obficie perfumami i nie zawracając sobie głowy szukaniem skarpetek, wsunął stopy w zniszczone, ale zawsze wierne białe adidas, po czym zbiegł po schodach.

Szybkie poruszanie się po mieście okazało się niemożliwe już za rogiem. Na via San Romano wpadł w kolorowy tłum podążający ślimaczym tempem w stronę rynku. Przypomniawszy sobie, że była niedziela, dzień pochodu z okazji zakończenia Palio. Miotając się i przeciskając przez mur turystów i ubranych w barwy kontrad tubylców zdołał dobrnąć do bocznej uliczki. Skręcił w nią i skracając sobie drogę przez zaułki i podwórka po chwili wbiegł na rynek.

Wbiegł i zatrzymał się jak truskawka w zastygającej galarecie. Na rynku było jeszcze tłoczniej niż na głównej ulicy. Gęstniejący ciągle tłum czekał tu na przejście korowodu złożonego z przedstawicieli wszystkich zespołów biorących udział w Palio, ubranych w średniowieczne kostiumy i niosących sztandary. Klnąc pod nosem

i jednocześnie wykrzykując głośne „przepraszam”, Davide z trudem zbliżył się do uniesionych nad tłumem flag, których żółto-fioletowe kolory były mu bardzo znajome.

Stanął na palcach, przyłożył dłonie do ust, nadając im kształt megafonu i z całych sił krzyknął.

– Santa Maria!

– In Vado! – odkrzyknęli chórem chłopcy trzymający flagi. Najwyższy z nich rozpoznał Davide’a i po chwili żółto-fioletowi zbandieratorzy bezceremonialnie naparli na tłum, aby utworzyć korytarz, dzięki któremu dziennikarz mógł dołączyć do grupki. Nastoletni chłopcy z entuzjazmem przywitali legendę kontrady. Davide postanowił wykorzystać swoją popularność.

– Michele – zwrócił się do najstarszego z wyrostków – za dziesięć minut muszę być pod Savonarolą, a potem jak najszybciej dostać się do kina „Apollo”. Pomożesz?

Młodzieniec podrapał się po głowie, aby po chwili uśmiechnąć się szelmowsko do dziennikarza.

– No jasne! – powiedział – Pod warunkiem, że pójdziesz z nami chwilę w pochodzie i zrobisz mały pokaz. A potem możesz się odłączyć, gdzie chcesz. Tylko jakiś kostium ci musimy znaleźć. Pasuje ci to? – zapytał z nutką nadziei w głosie.

Davide nie zastanawiając się ani przez chwilę, skinął głową. Chłopcy radośnie zaczęli przybijać mu piątki. Po chwili całą grupą dopchali się do znajdującego się tuż za ich plecami małego baru, gdzie utworzyli parawan z własnych ciał. Dorównujący dziennikarzowi wzrostem młody zbandierator z obrażoną miną zdjął i oddał mu swój strój.

Kilka minut później Davide ubrany w kolorowe rajtuzy i tunikę, z flagą w rękę ustawił się wśród gotowych do przemarszu ogrodzoną trasą zbandieratorów. Poprzedzający ich muzycy uderzyli w werble z taką siłą, że zawibrowało powietrze. Trębacze przytknęli instrumenty do ust i rozległa się ogłuszająca marszowa muzyka. Stojący na czele chorąży ze sztandarem, eskortowany przez ubranych w błyszczące zbroje rycerzy, ruszył do przodu. Davide wraz z ze swoimi zbandieratorami rozpoczął pochód przerywany co jakiś czas na pokazową zonglerkę. Łopotowi wyrzucanych w górę i łapanych z niezwykłą zręcznością kolorowych flag towarzyszyły aplauzy publiczności zgromadzonej po obu stronach ulicy. Na chwilę zapomniał, że znajdował się tu tylko dlatego, aby dostać się do celu jedyną wolną od tłumy drogą. Dał się porwać emocjom. Był w swoim żywiole. O mało nie przegapił momentu, w którym pochód dotarł w okolice pomnika Savonaroli.

Wyszedł z szeregu, jednym ruchem przeskoczył przez metalowe barierki i wdrapał się na pomnik rozglądając się przy tym dookoła. Diany ani Giacomo nigdzie nie było. Jedyni przedstawiciele służb porządkowych, jakich miał w zasięgu wzroku, dwaj strażnicy miejscy stojący nieopodal patrzyli na niego groźnie i gestami rozkazywali mu, aby zszedł z cokołu. Flaga, którą wciąż trzymał w ręku zafalowała na wietrze i kibice kontrady Santa Maria in Vado, którzy wzięli obecność Davide’a na pomniku za umyślną manifestację zaczęli wiwatować. Ich adwersarze z innych kontrad

odpowiedzieli gwizdami i buczeniem. Widząc rosnące wzburzenie tłumu strażnicy zdecydowanie ruszyli w stronę dziennikarza. Davide dał za wygraną. Zeskakując ze stopni pomnika rzucił jeszcze okiem na wieżę zegarową zamku. Olbrzymie wskazówki pokazywały już prawie szesnastą. Idąc w pochodzie kompletnie stracił poczucie czasu. Nie podejrzewał, że było aż tak późno. Ponownie przeskoczył bariery i wyprzedzając w biegu swoją kontradę zakręcił flagą młynka nad głową. Ponownie odpowiedziały mu gwizdy i aplauzy tłumu. Zobaczył jeszcze kątem oka, że zbandieratorzy żegnają go podrzucając swoje flagi. Pobiegnął dalej do przodu. Gdy wyprzedzał inne kontrady idące bliżej przodu pochodu, odprowadzały go zdziwione, a czasem nawet wrogie spojrzenia. Był pewien, że jego nietypowe zachowanie przejdzie na zawsze do historii pochodów Palio.

Dobiegł do rogu rynku, gdzie przedarł się pomiędzy ustawionymi tam ambulansami zabezpieczającymi uroczystość i ponownie skracając sobie drogę przez boczne uliczki wpadł na niemal pustą via del Carbone, gdzie mieściło się kino „Apollo”.

Wbiegł do środka przez otwarte na oścież drzwi. W hallu nie było nikogo. Zdezorientowany zaczął się rozglądać za znakami, które doprowadziłyby go do sali numer cztery. Dostrzegł strzałkę z numerem i skierował się w lewo. Minął toaletę i w głębi korytarza zobaczył otwarte drzwi do niewielkiej, wąskiej sali kinowej. Jej schludne ceglane wnętrze było udekorowane zwisającymi ze ścian czerwonymi draperiami. Przebiegł wzrokiem wzdłuż pustych rzędów foteli. W salce, podobnie jak w hallu, nie było nikogo. Ze zdziwieniem zanotował nietypowe źródło światła, które w rogu sali padało z podłogi na sufit. Gdy podszedł w to miejsce, zobaczył wyrwaną w parkiecie dziurę, a w niej wykute w kamieniu prowadzące stromo w dół schody. Tego się nie spodziewał. Skoro jednak w sali nie było żywej duszy, podziemia kina pozostawały jedynym miejscem, gdzie mogła na niego czekać Olivia. Westchnął i zaczął ostrożnie schodzić po schodach uważając, aby nie rozbić głowy o niskie łukowate sklepienie.

Gdy zszedł na sam dół i minął jasno świecącą przenośną lampę podłączoną do kabla, który ktoś przeciągnął tu z sali kinowej, ogarnęła go całkowita ciemność. Stawiając niepewnie kroki i trzymając się jedną ręką ułożonej z zakurzonych cegieł ściany, przeszedł kilka metrów. W pewnym momencie zobaczył blade światło i usłyszał echo męskiego głosu. Ośmielony przyśpieszył kroku i po chwili znalazł się w oświetlonej pochodniami, wypełnionej ludźmi krypcie. Zdyszany i zaskoczony rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu Olivii, co nie było łatwe, bo żółte światło rzucane przez kopcające pochodnie zniekształcało twarze połowy z obecnych. Twarze reszty osób nie miałyby szans dojrzeć nawet w lepszym świetle, ponieważ zasłaniały je przyłbice średniowiecznych zbroi. Naliczył pięć osób ubranych w kompletne zbroje rycerskie i owinięte białymi pelerynami, na których widniał rozszerzający się na końcówkach ramion czerwony krzyż templariuszy.

Na środku krypty wykuto w posadzce płytką dziurę. Z miejsca, w którym stał Davide, widać było zarys znajdującego się tuż pod posadzką murowanego sarkofagu. Na jego pokrywie widniała rzeźba śpiącego rycerza ze złożoną na piersiach tarczą

ozdobioną promienistym krzyżem. Był on podobny do tego, który pamiętał z katedry i z medalionu Olivii.

Najwyższy rycerz, jedyny z podniesioną przyłbicą, stał u wezgłównia sarkofagu i przemawiał właśnie do zgromadzonych. Po nietypowym wzroście i po basowym głosie Davide rozpoznał Marco, samozwańczego nowego mistrza templariuszy.

– Tylko dzięki łaskawej Opatrzności Bożej udało nam się szczęśliwie odnaleźć to miejsce, a w nim doczesne szczątki naszego brata i ojca założyciela, czcigodnego pierwszego wielkiego mistrza, Ugo dei Pagani – kontynuował zaczęte przed przybyciem Davide’a uroczyste przemówienie.

– Zgromadzeni tutaj w podziemiach kościoła San Giacomo możemy wreszcie oddać cześć temu, który dał początek chwalebnej historii naszego zakonu i zrehabilitować jego imię, dając mu nowy, jasny początek.

Davide przypomniał sobie, że do budynku kina „Apollo” rzeczywiście przylegał stary, nieczynny kościółek z charakterystyczną romańską rozetą nad wejściem. To tam czekała na niego Olivia przed ich pierwszym spotkaniem. Nie zdawał sobie jednak dotąd sprawy, że wewnątrz kościoła zostało wykorzystane na salę projekcyjną. Właściciele kina też na pewno nie byli świadomi faktu, że pod salą znajdowała się krypta ze szczątkami najważniejszej postaci w dziejach słynnego zakonu. Teraz dopiero do Davide’a dotarło znaczenie słów Olivii, która wspomniała coś o pałacu rodziny de’Pagani, znajdującym się w okolicach starego kościoła. Rzeczywiście, via Scienze, gdzie miał się znajdować, była usytuowana dokładnie na tyłach kościoła. Z zamyślenia wyrwało go uderzenie łokciem, jakie otrzymał od osoby stojącej po jego prawej stronie.

– Facet, gdzieś ty się podziewał? Wydzwaniam do ciebie od rana, już się na serio o ciebie zaczynałam martwić! – przy uchu usłyszał teatralny szept Diany. – Jeeezu, jak tyś się ubrał! – dziewczyna ledwie stłumiła śmiech. – Pasujesz do tego teatryku jak ulał! – zauważyła.

Davide dopiero teraz uświadomił sobie, że w ręce trzymał ciągle żółto-fioletową flagę swojej kontrady. Oparł ją o ścianę i w tym momencie przypomniał sobie, dlaczego tak usilnie chciał się spotkać z Dianą i co miał jej ważnego do powiedzenia. Pochylił się, aby powiedzieć jej coś do ucha, ale zamarł, ponieważ w głębi krypty zobaczył stojącą tuż za Marco Olivię.

W ciągu ostatnich tygodni poznał tę dziewczynę dokładnie. Widział ją ubraną w jeansy, w dres i w elegancką sukienkę. Poznał i pokochał każdy centymetr jej ciała. Pamiętał ją w makijażu i rozczochraną, gdy podnosiła głowę z poduszki chwilę po przebudzeniu. Jednak widok, jaki miał przed sobą, spowodował, że po raz kolejny osłupiał z zachwytu. Długa, jasna, przetykana srebrną nicią suknia, w którą była ubrana, była wykonana z jakiegoś lejącego się materiału, który przylegał do jej idealnej sylwetki tak ściśle, że wydawała się niemal naga. Jej smukłe biodra były przepasane wysadzonym błyszczącymi klejnotami pasem. Głęboki dekolt odsłaniał jej nagie ramiona i górną część piersi, między którymi zwisał przewleczony przez srebrny łańcuch pierścień z mieniącym się na czerwono klejnotem.

– *Gemma gemmarum* – domyślił się Davide.

Dziennikarz kątem oka zauważył stojącego obok Diany Giacomo i jego myśli znów wróciły na ziemię. Pochylił się w ich stronę.

– Słuchajcie, chciałem was ostrzec – wyszeptał na tyle głośno, aby usłyszeli go na tle opowiadającego historię zakonu Marco. – Enrico odkrył coś dziwnego, musicie to wiedzieć. Na liście, którą znalazłem jest nazwisko tego waszego francuskiego pomocnika. Może to coś ważnego?

Diana wymieniła porozumiewawcze spojrzenie z Giacomo. Ten uśmiechnął się szeroko ukazując cały garnitur białych zębów.

– Spokojnie chłopaku! Myślisz, że jesteśmy takimi ciemniakami, jak bohaterzy głupich żartów o karabinierach? Od dawna mieliśmy na oku tego Francuzika. Jak stary go wyrzucił, sprawdziliśmy go i odkryliśmy, że jeszcze zanim do nas przyjechał, został wydalony dyscyplinarnie z żandarmerii. Oszust pierdolony – zazgrzytał zębami Giacomo. – Ale spoko, jesteśmy gotowi na każdą ewentualność. – Uchylił marynarkę, pod którą Davide zobaczył kamizelkę kuloodporną i zatkniętego w naramiennej kaburze glocka.

– Do tego mamy obstawę przy drzwiach, więc nikt obcy nam tu nie wlezie – dodała Diana uspokajającym tonem.

– Jaką obstawę? Przecież tam nikogo nie ma – zdziwił się Davide.

Twarz Giacomo nawet w żółtym świetle pochodni wydała się nagle blada jak papier. Bez słowa wycofał się i sięgając po broń zaczął iść w stronę korytarza prowadzącego do sali kinowej.

Diana ścisnęła Davide'a mocno za łokieć.

– Spokojnie – wyszeptała. – Może tylko wyszli na fajkę.

Davide'a to wcale nie uspokoiło. Z niepokojem zerknął w stronę ciągle uśmiechającej się do niego Olivii.

Tymczasem Marco zapowiadał już najważniejszą część ceremonii.

– Bracia i siostry – jego głos zadrżał ze wzruszenia – po siedmiu wiekach, które upłynęły od haniebnej decyzji papieża Klemensa V, który rozwiązał nasz święty zakon, po męczeńskiej śmierci naszych braci wysłanych na stos i po zdradzieckim złupieniu wszelkich dóbr zakonnych, dziś powstajemy z martwych i powracamy ku chwale Chrystusa, którego krzyż nosimy na piersiach – Marco i jego rycerze przeżegnali się przy wtórze chręstu ich zbroi.

– Świat ponownie odwraca się od Boga. Bez zahamowań szerzy się na nim materialistyczna kultura fałszywego bożka konsumpcjonizmu i wyuzdanej, przeciwnej woli boskiej erotyki, sodomii i genderyzmu. Niedługo wyjdziemy z tej krypty, aby znów nieść światło naszego Pana broniąc słowem i naostrzonym ponownie mieczem chrześcijan prześladowanych na całym świecie – kontynuował uroczyste Marco. – Zanim jednak się to stanie, jako znak i błogosławieństwo pochodzące od Pana uroczyste powitajmy klejnot nad klejnotami, najcenniejszy skarb świata i templariuszy, przywieziony z Ziemi Świętej przez naszego pierwszego

mistrza. Wróci on dziś symbolicznie do swojego czcigodnego właściciela.

– Bracie Antonio – zwrócił się do rycerza stojącego po jego lewej ręce – odbierz z rąk naszej siostry, potomkini nabożnej księżnej d’Este z rodu Borgia dar, który w skromności swojego serca zdecydowała się nam złożyć, aby dopełniła się sprawiedliwość i aby radować się mogły nasze serca.

Wezwany rycerz wyszedł z szeregu i skierował się w stronę Olivii, która wyszła mu naprzeciw i zatrzymała się na środku krypty obok Marco. Zanim brat Antonio zwrócił się do Olivii, światło padło na jego zbroję, na której zaśniono coś złotego. Davide wyteżył wzrok. Wydawało mu się, że widzi złoty łańcuch z zawieszką, ale zanim zdołał zobaczyć, co przedstawiała, rycerz obrócił się zasłaniając mu widok. Dziennikarz poczuł niewytłumaczalny przyływ niepokoju.

– Coś jest nie tak – powiedział dość głośno do Diany. Ta obróciła się w stronę korytarza. Giacomo ciągle nie wracał.

Tymczasem brat Antonio podszedł do Olivii. Dziewczyna sięgnęła za szyję i odpięła łańcuch z klejnotem. Położyła go na wyciągniętej dłoni rycerza. Ten skłonił się i przesunął w stronę Marco, przed którym się również uklonił. Nowy wielki mistrz przeżegnał się, po czym z rozświetlonym w religijnej ekstazie obliczem wyciągnął obie dłonie po klejnot. Chwycił go i podniósł do góry, gestem podobnym do księdza pokazującego wiernym poświęconą hostię.

W tym samym momencie lewa ręka brata Antonio wysunęła się spod płaszcza. Powędrowała najpierw do tyłu, po czym z impetem uderzyła trzymanym w niej sztyletem prosto w odsłoniętą szyję Marco. Śmiertelnie raniony mężczyzna zaczął się krztusić własną krwią, która buchnęła mu z ust. Zanim jego ręce opadły bezwładnie, Antonio zdążył z nich wyjąć klejnot. Gdy dwumetrowy rycerz odziany w ciężką zbroję padł na ziemię, po krypcie rozniosło się upiorne echo. Chyba nikt ze zgromadzonych nie potrafił uwierzyć w to, co się właśnie stało, gdyż jak dotąd nikt nie zdobył się na jakąkolwiek reakcję. Nikt z wyjątkiem Diany.

Davide z trudem oderwał wzrok od drgającego jeszcze w przedśmiertelnej agonii Marco i zerknął na karabinierkę, która stała z ręką znieruchomiałą na kaburze pistoletu. Po chwili zrozumiał, dlaczego jeszcze nie wyciągnęła z niej broni. O jej prawą skroń opierała się krótka lufa karabinka trzymanego przez zakutego w zbroję mężczyznę stojącego obok. Davide’owi przyszła do głowy absurdalna myśl, że przecież rycerze nie posługiwali się pistoletami maszynowymi. Zreflektował się i po raz pierwszy dotarło do niego, że może już nigdy nie wyjść żywy z tego miejsca.

Rycerz, który zabił Marco, odwrócił się w stronę zgromadzonych, wśród których Davide dopiero teraz dostrzegł ubranego w galowy mundur kapitana Cimelli i trzymającego się jego ramienia don Cristoforo. Ksiądz trząsł się ze strachu. Gdyby nie kapitan, pewnie runąłby na ziemię. Rycerz trzymając wciąż jedną ręką klejnot, odrzucił zakrwawiony sztylet i zdjął rycerski hełm, który wpadł w kałużę krwi obok nieruchomego już ciała leżącego na posadzce.

– Zabiję cię... ty...! – Davide usłyszał obok siebie wściekły syk Diany.

Na środku krypty z obnażoną głową stał porucznik Jacques Gaudin.

– *Imposteurs! Oszuści! Kłamcy!* – zwrócił się do skamieniałych ze zgrozy obecnych. Jego twarz wyrażała egzaltację, niemal tę samą, jaka jeszcze niedawno malowała się na obliczu mężczyzny, którego właśnie zabił.

– Wy i wasza *mascarade!* – spojrzał na obecnych. – Wasza *vanité!* Ale jest *fini!* Skończona! Jestem Jacques Gaudin, ostatni potomek z rodziny Grand Maître des Templiers, wielkiego mistrza templariuszy, Thibauda Gaudina. Moja familia musiała się ukrywać, przez siedem wieki się upokarzała, ale teraz wyszła z ciemności na światło! Ja wyszłem, stoję przed wami impostorzy i żądam tego, co dla mnie się należy, tytułu wielkiego mistrza i klejnotu mojej władzy! *Elle est à moi!!!* – podniósł do góry kamień i potrząsnął nim mocno. Ściany krypty na chwilę zabarwiły się czerwonymi blaskami rzucanymi przez klejnot. Zablokowana lufą karabinu Diana pomyślała, że powodujący powszechną wesołość zabawny akcent Gaudina brzmiał teraz jak wstęp do krwawego horroru. Następne słowa Gaudina zdawały się potwierdzać jej najgorsze obawy.

– Wasze grzechy, wasza *merde*, sprawia, że chcę wymiotować! Jesteście nieczyści, *impurs*, grzeszni i niegodni. Dla was jest tylko jedna droga teraz. *La mort!!!* Śmierć niewiernym! *Baucent!* – wykrzyknął wściekle bojowe zawołanie templariuszy.

Jego głos nie zdążył jeszcze na dobre wybrzmieć w zaułkach krypty, gdy jeden ze stojących w kręgu rycerzy odrzucił hełm. Diana rozpoznała w nim łysego pomocnika Gaudina. Drugi pomocnik trzymał ją na muszce. Zastanowiła się, czy Gaudin wkradł się tu tylko z nimi, czy też pod zbrojami pozostałych dwóch rycerzy także kryli się przestępcy. Czowała złość i bezsilność. Zgodnie z otrzymanym szkoleniem napała mocno głową na lufę karabinku przytkniętą do swojej głowy. Rycerz z bronią zareagował tak, jak chciała. Zdjął hełm, który zasłaniał mu widok i skierował na Dianę nienawistne spojrzenie. Rzuciwszy w jej kierunku kilka francuskich obelg, zaczął jej wbijać lufę w skroń z jeszcze większą niż dotąd siłą.

– Dobrze! – pomyślała.

W tym samym czasie łysy pomocnik Gaudina spokojnym ruchem wyjął spod płaszcza złote okulary, spojrzał pod światło sprawdzając, czy są czyste, po czym umieścił je sobie na nosie. Jego ręka równie płynnym gestem wróciła pod płaszcz i wynurzyła się stamtąd uzbrojona w okazałych rozmiarów pistolet.

– *Baucent!!!* – beznamietnym głosem powtórzył zakonne zawołanie, po czym bez chwili wahania, płynnym ruchem przytknął broń do głowy stojącego obok kapitana Cimelli i pociągnął za spust.

Białe płaszcze dwóch stojących po przeciwnej stronie sarkofagu rycerzy, którzy nie brali udziału w napaści, zabarwiły się drobnymi czerwonymi kropkami. Ciało kapitana runęło na ziemię pociągając za sobą don Cristoforo, który upadł na posadzkę z przeraźliwym krzykiem.

– Śmierć niewiernym! *Baucent!!!* – krzyknął z entuzjazmem długowłosej Francuz obok Diany.

Dziewczyna zrozumiała, że od utraty życia dzieli ją i wszystkich pozostałych już tylko ułamki sekund. Błyskawicznie odchyliła głowę do tyłu. Mężczyzna napierający

karabinkiem na jej skroń, poleciał w bok za swoją bronią. Lufa przez moment znalazła się na wysokości nosa Diany, ale nie celowała już w jej głowę. Pomagając sile bezwładności, jakiej ulegał w tym momencie jej przeciwnik, dziewczyna pociągnęła go za rękę. To wystarczyło, aby odziany w metal przestępca całkiem stracił równowagę i przewrócił się w stronę karabinierki. Chwyciła go za nadgarstek nakierowując jego broń w sufit i zablokowała jego ramię wsadzając je sobie pod pachę. Niewiele brakowało, aby wytrąciła mu karabinek, ale w tym momencie palec mężczyzny zacisnął się na spuście.

W krypcie rozpętało się piekło.

Szybkostrzelny karabinek FN P90 wypuszczał z siebie około dziewięciuset pocisków na minutę. Przy zastosowaniu powiększonego magazynka, a taki właśnie sterczał z plującego nabojami pistoletu maszynowego, jego siłę ognia można było porównać do piły tarczowej, która wymknęła się spod kontroli operatora.

Kryptę zalał rój pocisków rykoszetujących po całym pomieszczeniu i rozsiewających wokół odłamki cegieł i drzazgi z drewnianych belek podtrzymujących strop. Wszyscy obecni padli na ziemię. Davide z przytomnością umysłu, jaka zaskoczyła nawet jego samego, odskoczył w bok i ukrył się przed gradem odłamków za okazałą kamienną kolumną. Starał się dojrzeć Olivie, ale dym oraz pył z syjących się ścian coraz bardziej zasłaniał mu widoczność.

Nagle strzały ustały. Davide przewyciężając ból głowy spowodowany uszkodzeniem bębenków spojrział w stronę strzelca. Ten leżał na nieprzytomnej Dianie i wybałuszonymi oczami patrzył w tępo w sufit. Z jego szeroko rozciątego gardła wylewała się szerokim strumieniem krew.

Giacomo, który przybiegł do krypty zaalarmowany hałasem wystrzałów, klęczał nad trupem. W prawej dłoni trzymał spadochroniarski nóż, z którego wciąż jeszcze kapłała krew przestępcy. Przepęlnym wściekłością wzrokiem próbował dojrzeć poprzez opadający pył kolejnych przeciwników. Zauważył Davide'a i podpełzł do niego.

– Wszystko w porządku?! Ilu ich jest? – zapytał krótko.

– Co z Dianą? – odpowiedział pytaniem na pytanie dziennikarz pokonując jednocześnie mdłości.

– Nic jej nie będzie – uspokoił go oschle porucznik. – Więc?! Ilu?

– Zdaje się, że jeszcze dwóch. Jeden z nich to Gaudin.

– Zaraz straci kutasa – stwierdził mrozącym krew w żyłach tonem, po czym wychylił się zza kolumny z gotowym do zadania ciosu nożem.

– Di miała pistolet – podpowiedział mu przytomnie Davide.

Karabinier zerknął na niego jak na kosmitę.

– Ja też mam. Lepiej tu nie strzelać. Rykoszety. I gazy – wytłumaczył enigmatycznie.

Chłopak przypomniał sobie, że kiedyś opisywał wypadek na strzelnicy, która spłonęła wraz z ćwiczącymi na niej strzelcami na skutek samozapłonu gazów

prochowych nagromadzonych w zamkniętym pomieszczeniu.

Kryjący się po drugiej stronie krypty Gaudin najwyraźniej nie miał obaw przed użyciem broni palnej. Gdy udało mu się dojrzeć zarys wysuniętej sylwetki Giacomo, wystrzelił dwukrotnie z pistoletu. Chwilę wcześniej wyjął go z bezwładnych rąk mężczyzny w okularach. Ten ostatni najwyraźniej nie zdążył ukryć się przed odłamkami i jak reszta osób wokół leżał na posadzce nie zdradzając oznak życia.

Pierwsza kula przeszła tuż obok Davide'a, nie czyniąc nikomu żadnej szkody. Druga trafiła Giacomo w sam środek kamizelki kuloodpornej. Nie przebiła jej, ale pochłonięcie olbrzymiej energii, z jaką wbiła się w nią lecąca z prędkością czterystu metrów na sekundę kula, nie było bezbolesne. Giacomo uderzony w klatkę piersiową z siłą kowalskiego młota wyładował na ścianie i osunął się po niej z trudem łapiąc oddech.

– Spierdalaj!!! – wycharczał w stronę dziennikarza.

Nie było już żadnych bohaterskich obrońców. Na placu boju pozostał tylko Gaudin i całkowicie bezbronny Davide. Chłopak wiedział, że gdy tylko Francuz skończy mocować się z wymianą opróżnionego magazynku w pistolecie, przyjdzie kolej na dobijanie tych, którzy jeszcze pozostali żywi. Spojrzał za siebie. Wejście do korytarza i zbawiennego wyjścia było odległe o jakieś sześć, siedem metrów od miejsca, w którym się znajdował. Wystarczyłoby kilka szybkich susów, aby zniknąć za załomem korytarza, wspiąć się po schodach i uciec. Naprężył ciało gotowy do skoku, gdy przypomniał sobie o Olivii. Spojrzał na ruszającą się bezwładnie pod zwłokami napastnika Dianę i na tracącego właśnie przytomność Giacomo.

„Nie, kurwa!”, pomyślał po polsku.

Zerknął na pistolet w kaburze Giacomo. Myśl była kusząca, ale nie wiedziałby nawet jak go użyć. Tuż obok nieprzytomnego karabiniera, oparta o ścianę stała flaga, którą przez roztargnienie przywłókł ze sobą do krypty. Tą akurat potrafił operować po mistrzowsku.

Kłęczący przed sarkofagiem Gaudin wciąż siłował się z zaciętym pistoletem. Tuż za nim Davide dostrzegł na posadzce długie jasne pukle włosów Olivii. Spowodowany tym widokiem napływ złości niemal rozsadził mu głowę. Serce zabiło mu tak mocno, że obraz przed oczami zaszedł mu czerwoną mgłą.

Nie dbając o to, że wystawia się na cel, wstał, podszedł do flagi i wziął ją do ręki. Gaudin przerwał zmagania z bronią i spojrzał na niego niedowierzającym wzrokiem. Davide ocenił odległość i położył dłoń na metalowym drzewcu w precyzyjnie wybranym miejscu, tak aby nie zahaczyć flagą o ściany lub sufit, a jednocześnie nadać jej wystarczającą energię początkową. Francuz, nie zmieniając pozycji wyszczerzył do niego zęby w szerokim białym uśmiechu.

– *Tu es un idiot!* – uraczył obelgą Davide'a, który zaczął kręcić flagą młynki, zupełnie jakby brał udział w pokazie Palio.

Wypuszczona w odpowiednim momencie flaga wystrzeliła do przodu, lecąc obciążonym ołowiem drzewcem prosto w kierunku twarzy Gaudina.

Rozległo się głośnie plaśnięcie i głowa Francuza odskoczyła do tyłu, jakby była z gumy. Siła uderzenia była tak duża, że Gaudin poleciał w stronę znajdującej się za nim dziury z sarkofagiem Ugo dei Paganiego. Ciężka jak worek złomu zbroja pociągnęła go w dół. Wpadając do dziury, kark Francuza spotkał się z krawędzią otworu wykutego w posadzce. Davide usłyszał chrzęst łamanych kości i Gaudin znieruchomiał z otwartymi szeroko oczami. Jego ciało zatrzymało się na śpiącym rycerzu wykutym na pokrywie grobowca, a przekrzywiona w bok głowa opierała się wciąż o krawędź posadzki, która złamała mu kark. Na pancerzu, który miał na sobie, załśnił złoty łańcuch z krzyżem.

Dziennikarz oparł dłonie o uda dysząc ciężko. Przed oczyma latały mu ciemne czerwone kręgi. W jego uszach nadal brzmiał nieprzyjemny pisk wywołany eksplozjami pocisków. Adrenalina powoli go opuszczała, pozbawiając go sił. Wpatrywał się już tylko w jeden punkt. W bladą nieruchomą twarz dziewczyny leżącej w głębi krypty.

– Olivia! – wydawało mu się, że krzyczy, podczas gdy z gardła wydobywał mu się tylko mokry bulgot.

Rzucił się biegiem w stronę dziewczyny. W połowie drogi pośliznął się na plamie krwi, która wypłynęła z czyjegoś ciała. Stracił równowagę i walnął z hukiem na posadzkę, szorując po niej przez następny metr, aby zatrzymać się na krawędzi otworu w podłodze. Ostatnim, co zapamiętał, był złoty łańcuch zawieszony na zbroi spoczywającego na sarkofagu Gaudina. Po raz pierwszy zobaczył ten przedmiot z bliska. Na krzyżu nie wisiał Chrystus. Gruba postać, którą wszyscy brali za Jezusa z nadwagą, okazała się być stojącym na dwóch łapach gryfem – identycznym jak ten, którego narysował Montanari.

Poczuł na twarzy uderzenie. Jedno, drugie. I trzecie, mocniejsze.

Otworzył oczy. Musiało upłynąć niewiele czasu, bo był ciągle w krypcie. Zobaczył nad sobą utyłanego we krwi Giacomo. Za jego plecami Diana pochylała się nad jednym z leżących wciąż na posadzce ciał.

– Ty pieprzony bohaterze – karabinier próbował się do niego uśmiechnąć sinymi z niedotlenienia ustami. – Uratowałeś nas. Dopadłeś gnoja!

Davide'owi w tym momencie było całkowicie obojętne, kogo dopadł. Uniósł się lekko i rozejrzał wokół siebie.

– Gdzie Olivia?! – zapytał z przerażeniem w głosie.

– No właśnie, gdzie jest Olivia... – odpowiedział głucho Giacomo. – Diana ogarnęła się pierwsza i zaczęła nas cucić. Ale Olivii już wtedy nie było. I tego kamyka też nie. Przykro mi to mówić stary, ale zdaje się, że twoja dziewczyna wydymała nas wszystkich.

Sophia

Czerwiec okazał się dla mieszkańców Ferrary miesiącem wyjątkowo smutnym.

W „terrorystycznym ataku” – jak ochrzciły wydarzenia w krypcie krajowe i zagraniczne media – śmierć poniosło dziewięć osób. Oprócz kapitana Cimelliego, na którego uroczysty pogrzeb przyleciał sam Prezydent Republiki, zginęło na służbie dwóch karabinierów, którzy mieli zabezpieczać wejście do kina. Ich zwłoki znaleziono w kinowej toalecie wraz z nagimi ciałami brata Antonio oraz innego członka zgromadzenia. Nowi templariusze stracili także wielkiego mistrza w osobie Marco oraz duchowego przewodnika, don Cristoforo, który wprawdzie przeżył strzelaninę, ale doznał uszczerbku na zdrowiu i nie był zdolny do dalszej posługi. Jedyni dwaj ocaleli bracia wycofali się z działalności, co ostatecznie zakończyło nieudaną próbę reaktywacji zakonu.

Swoje życie skończyli w krypcie także wszyscy trzej zamachowcy, których rzecz jasna, nikt nie opłakiwał. Jedyną osobą, która nie potrafiła się pogodzić z ich śmiercią, był Davide, a jedynym powodem, dla którego żałował, że ani jeden ze złoczyńców nie pozostał przy życiu, był fakt, że w tej sytuacji szansa na uzyskanie odpowiedzi, co stało się z Enrico Montanari, zmalą praktycznie do zera.

Dziennikarz z dnia na dzień stał się najpopularniejszą osobą w kraju, co poczytywał za wyjątkową ironię i złośliwość losu. Czekał na podobny moment całe życie. Od lat pragnął zyskać sławę i wybić się ponad poziom monotonnej pracy prowincjonalnego dziennikarza. Teraz, postawiony w centrum światła reflektorów czuł, jak przygniata go brzemień „bohatera z krypty”, „super-zbandieratora” i „obrońcy w rajtuzach”.

Nie o taką sławę mu chodziło. Smutni panowie w czarnych garniturach, którzy odwiedzili go dzień po wydarzeniach w krypcie, zakazali mu udzielania jakichkolwiek wypowiedzi na temat zaginionego klejnotu i ukrywającej się Olivii Cattanei tłumacząc to tajemnicą państwową o najwyższej wadze i grożąc mu surowymi karami. Służby specjalne postanowiły utajnić i przejąć śledztwo ze względu na niemożliwą do wycenienia wartość kamienia i napływające wieści o zaangażowaniu analogicznych służb ze strony francuskiej i izraelskiej. Rozpoczął się wyścig tajnych agentów, a Davide zamiast opisywać historię, o której zawsze marzył, był zmuszony uciekać od tabunów youtuberów, których ciekawiło jedynie to, jak wykonać zabójczy rzut flagą.

Odseparował się od wszystkich i nie ruszał się z redakcji, gdzie zamieszkał, próbując sklecić artykuł o historii templariuszy w Ferrarze. Jednak nie potrafił się

skupić na tej pracy.

Czuł się samotny jak nigdy w życiu. Przestał nawet odbierać telefony od Diany, która mimo niewyobrażalnego natłoku pracy, jaką miała podczas przejmowania obowiązków komendanta po kapitanie Cimellim, starała się zrobić wszystko, aby wyciągnąć go z apatii.

Udało się to dopiero nieznałomej osobie, która dwudziestego piątego czerwca zadzwoniła do redakcji.

– Dobravski, słucham – wychrypiał zaspanym głosem. Jeszcze przed chwilą spał z głową na biurku, mimo że było już grubo po popołudniu.

– A! To dobrze, że to pan. Dzień dobry – ucieszył się nieznałomy młody kobiecy głos. – Zostałam zatrudniona, żeby przekazać panu informację od ważnej osoby.

– Taaa? Od jakiej osoby? – zainteresował się apatycznie. Przewidywał kolejny głupi żart jakiegoś youtubera.

– Hmm. Ta osoba... ta pani powiedziała, że pan będzie doskonale wiedział, o kogo chodzi – zawahał się głos w słuchawce.

– Tak?! – stanął niemal na baczność. – Proszę mówić dalej! – krzyknął już całkowicie przebudzony.

– Ta pani prosiła, żeby pan przyszedł dziś o godzinie osiemnastej do restauracji „Cztery Anioły”. Będzie tam na pana czekał stolik na hasło „Borgia”. To chyba taka książeczka z filmu? – zastanowił się głos.

– Tak, tak, właśnie ta – potwierdził pośpiesznie. – Proszę pani, a czy ta pani mówiła coś jeszcze? Bardzo proszę mi powiedzieć! Widziała się z nią pani? Jak ona się z panią skontaktowała?

– Przykro mi, obowiązuje mnie tajemnica zawodowa – głos kobiety przybrał oficjalny ton. – Ale mogę panu powiedzieć, że... – zawahała się.

– Tak?! – Davide, gdyby mógł, wszedłby to słuchawki i potrząsnął rozmówczynią.

– Powiem panu, bo to trochę śmieszne. Tak naprawdę to stolik ma pan na osiemnastą trzydzieści, ale ona powiedziała, żeby panu powiedzieć, że na osiemnastą, bo się pan i tak spóźni – głos przybrał wesołe brzmienie.

Davide nie miał już żadnych wątpliwości, kto zaprosił go do restauracji.

Chciał o coś jeszcze zapytać, ale usłyszał dźwięk odkładanej słuchawki.

Jeszcze nigdy nie przyszedł na spotkanie przed czasem. Dziękował Bogu, że miał w redakcji jeszcze jedną czystą koszulę i nieodłączny flakonik perfum. Właściciel restauracji obrzucił podejrzliwym wzrokiem jego kilkudniowy zarost i niedbałą fryzurę. Trwała pora *aperitivo* i do klimatyzowanego lokalu wchodziły elegancko ubrane panie w towarzystwie jeszcze bardziej modnie ubranych i starannie ogolonych partnerów. Zajął miejsce przy stoliku i zwrócony twarzą w stronę wejścia niecierpliwie czekał, kiedy wskazówki na ściennym zegarze przekroczą umówioną godzinę. Punktualnie o osiemnastej trzydzieści do stolika przyszedł kelner i postawił

przed nim kieliszek wypełniony pomarańczowym drinkiem oraz talerz z tradycyjnie podawanymi do koktajlu zakąskami.

– Ale ja niczego jeszcze nie zamawiałem! – zaoponował dziennikarz. – Czekam tu na kogoś!

– Koktajl dla pana został już opłacony – wyjaśnił kelner wyniosłym tonem. – A, właśnie! – zreflektował się. – Miałem panu dać jeszcze to – wyjął spod ramienia białą, nieopisaną kopertę formatu A3 i położył ją na stole.

– Gdyby pan sobie jeszcze czegoś życzył, wystarczy zawołać – dodał usłużnie i odszedł od stolika.

Davide pośpiesznie rozerwał brzeg koperty. Wyjął z niej duży arkusz papieru zapisany odręcznym pismem. Zaczął przebiegać po nim łapczywie oczami.

Kochany, wybacz mi – już sam wstęp nie pozostawiał złudzeń, że Olivia nie stawi się na spotkanie.

Teżknę za Twoim roztrzępym wyrazem twarzy i bardzo chciałabym go teraz zobaczyć. Jestem pewna, że jesteś świetnie ubrany, a zapach Twoich perfum czuć nawet tu, gdzie jestem.

Nie ma na świecie osoby, której byłoby mi bardziej brak. Kocham Cię każdą komórką mojego ciała. Ty, na pewno, poprawiłbyś mnie i powiedział „boskiego”. Tego mi też brakuje. Podjęłam jednak decyzje, które na długo uniemożliwią mi cieszenie się Twoją obecnością. Traktuję to jako karę i pokutę, na które zasłużyłam. Nie chcę jednak, żebyś cierpiał wraz ze mną, dlatego piszę do Ciebie ten list.

Pozbyłam się już telefonu i wszelkich elektronicznych urządzeń, więc na razie mam tylko taką możliwość kontaktu z Tobą. Proszę Cię, abys wybaczył mi moje uczynki i to, że zniknęłam bez słowa. Wiem, że łatwo mnie osądzać, ale jesteś jedyną osobą na świecie, która może mnie zrozumieć i wierzę, że na końcu tego listu zrozumiesz.

Nie ukradłam klejnotu. Nie zabrałam go z krypty, żeby się na nim wzbogacić i żyć wygodnie w ciepłych krajach. Moje życie przez następne lata będzie pasmem wyrzeczeń, z których największym jesteś Ty.

Czy pamiętasz, jak opowiadałam Ci o ostatnim aniele, który oddzielił się od dobrego Boga i spowodował powstanie naszego świata oraz całego zła, które na nim istnieje? Ten anioł był kobietą i nazywał się Sophia. A przynajmniej wierzyli w to gnostycy, tacy jak moja matka. To od niej znam te wszystkie historie. Czy wiesz, że ponoć w każdym z nas jest cząstka Sophi? Jej dobrej i czystej choć skalanej tragiczną pomyłką duszy? Ponoć my kobiety jesteśmy szczególnie uwrażliwione na jej głos.

A ja mam w rękach coś, co może zmienić na lepsze losy ludzkości. Nie jestem alchemikiem ani magiem, ale na swój skromny sposób wykorzystam ten kamień.

Naprawdę chciałam go oddać. Ale tam w krypcie, słuchając słów Marco o nawracaniu mieczem niewiernych i patrząc na wszystko, co zdarzyło się potem... To mi uświadomiło, że ten przeklęty kamień zawsze będzie tylko powodem cierpień ludzi. Nie chcę, aby miała go ta czy tamta grupa tej czy tamtej religii, rządu czy organizacji.

Postanowiłam, że podzielę go na sto równych części. Mój jubiler mówi, że i tak każda z tych drobin ciągle będzie warta fortunę.

Uciekając przed policją całego świata, będę musiała zmieniać co chwila kryjóWKi. Odnajdę więc sto najdzielniejszych, najszlachetniejszych i najmądrzejszych kobiet na świecie i oddam każdej z nich jeden kawałek klejnotu. Może w zamian poproszę niektóre z nich o drobne przysługi? Jedna z nich już bardzo mi pomogła.

Pamiętasz, że mówiłam Ci, że gemma gemmarum potrzebuje czystej duszy, aby móc przemieniać rzeczy i ludzi? Wierzę, że realizując mój plan stworzę najsilniejszy kamień filozoficzny na świecie. Będzie on miał stukrotnie większą moc, zasilaną czystymi sercami potomkiń Sophi, ostatniej duchowej cząstki łączącej nas z pozaziemską mądrością i dobrem.

A jeśli kamień nie zadziała? Cóż, każda z jego części wciąż będzie miała ogromną wartość rynkową. Zapewnię więc przynajmniej dostatnie i dobre życie stu wspaniałym kobietom. Jestem przekonana, że wykorzystają tę szansę lepiej niż ktokolwiek inny.

Pewnego dnia policja w końcu o mnie zapomni. Wierzę, że Ty nie i że jeszcze się zobaczymy. Do tego czasu żyj dobrze i szczęśliwie. Najlepiej u boku jednej z moich stu kobiet... Moja przyjaciółka Sara mówi, że jest Tobą oczarowana ;) Może powinieneś ją odwiedzić?

Ściskam Cię mocno mój Źle Ubrany Chłopaku, Jedyna Miłości mojego życia.

Do zobaczenia. Twoja na zawsze

O.C.

Gdy skończył lekturę listu, przeczytał go jeszcze raz. A potem znów i znów, kilkanaście razy, aż nauczył się go niemal na pamięć. W tym czasie nawet nie dopił aperitivo. Nie spróbował też niebywale smacznych capellacci z sosem ragù, na które usilnie namawiał go kelner.

Z listem w ręku wyszedł w końcu na zewnątrz. Musiał zaczerpnąć świeżego powietrza. Zatopiony w lekturze i własnych myślach nie zauważył, że już zmierzchało. Był to jeden z ostatnich wieczorów, kiedy wchodzące w szczytową fazę lato dawało jeszcze nieco orzeźwienia po zachodzie słońca.

Z niedbale trzymanej przez niego koperty wyleciał na bruk kawałek papieru. Ukląkł, aby podnieść kartkę, której wcześniej nie zauważył i w świetle latarni dostrzegł, że nie była pusta. Była to reprodukcja obrazu Bartolomeo Veneto pod tytułem „Flora”. Przedstawiał piękną złotowłosą kobietę trzymającą w dłoni pęk polnych kwiatów. Obok jej nagiej piersi zwiisał na łańcuszku wielki czerwony kamień osadzony w złożonym szkaplerzyku. Davide wiedział, dlaczego uwieczniona na nim kobieta przypominała mu Oliwię. Znalazł już wcześniej zdjęcie tego obrazu w bazie danych Enrico. W rzeczywistości był to kolejny portret Lukrecji Borgii.

Włożył obrazek i list do koperty i podniósł się z klęczek. Zapadał mrok i za jego plecami załączyła się lampka oświetlająca szyld „Quattro Angeli”. Wokół niego panował gwar. Roześmiane pary opalonych dwudziestolatków stały z drinkami w rękach i podrygiwały do dźwięków muzyki z głośnika. Spacerowicze trzymając się za ręce, szli w stronę zamku lub rynku. Świat tętnił życiem. Davide przygryzł usta i powłókł się w stronę redakcji.

Trzy dni później opuściła go na zawsze kolejna osoba. Jego ojciec zmarł, nie wybudzając się ze śpiączki.

Diana przyszła na pogrzeb w galowym mundurze, z nowymi kapitańskimi gwiazdkami na pagonach. Stała obok Davide'a, obejmując go czule, gdy urna z prochami jego ojca wjeżdżała do wykutej w ścianie komory. Na wszelki wypadek wykupił miejsce na samej górze.

Gdy urna spoczęła w grobowcu, odwrócił głowę, aby się nie rozplakać jak dziecko. Jego wzrok padł na odsłonięte ucho Diany, w którym zauważył coś, co przykuło jego uwagę.

W długim kolczyku, który opadał na jej smukłą szyję, lśnił intensywną czerwienią mały okrągły kamyczek o kształtach nie zdradzających śladów szlifowania.

Dziewczyna zauważyła jego zaskoczony wzrok. Uśmiechnęła się i z miną szelmowskiej dziewczynki, puściła do niego oko.

KONIEC

Ferrara, styczeń 2021